

Opowiadania - sygnały troski

Krystyna Sztramska

Święty spokój	Kapuśniaczek	Przebaczenie	Twarz Anioła
Taki sobie cud?	Komediantka	Przyjaciółka	Właściwy czas
Takie zwykle szczęście	Komu nudno?	Siostrzyczka	Amazonka
Tam gdzie czuwają Anioły	Komunijne Prezenty	Samolot	Matka
Urodziny	Kontuzja	Rusalka	Pusia
Ważna gra	Królewicz	Skaczące czapeczki	Zamiana
Ważne spotkanie	Kto miał rację?	Słuchać nie ma kto...	Dziadek?
Wizyta	Nadzieja	Śnieżynka	Obcy pan?
Wujek	Najpiękniejszy prezent.	Jak Madonna?	Świąteczny prezent
Zakręt	Nie odchódź!!	Egoistka?	Cisza
Zemsta	Narodził się Bóg.	Idźmy, tulmy się jak dziatki...	Dobrze, że jesteś!
Zyrafa	Nowy dom	Zakład	Nowe wyzwanie
0- 700...	O mój rozmarynie...	Szczśliwe zakończenie	Falszywy alarm
Agnes	Nowy dzień...	Duchowy Opiekun	Wycieczka czy Psalm.
Czy warto było	Obrońca słabych...	Najlepszy Opiekun	Ja go tak bardzo kocham
Dziwna stołówka	Ona wiele może	Brzydkie kaczątko	Kulas czy bohater
Gdyby tak dziś	Poetka.	Trzy matki	Jak znaleźć czas
Gdzie jest Bóg	Pamiętamy...	Gdzie mieszka Bóg	Uwierzyć w Anioły
Jezus żyje	Pomoc Anioła.	Niewinne kłamstwo	Na ratunek
Jeż na rowerze	Prawdziwe życie	Niewinne żarty?	Taniec serca
Kalendarz	Prawdziwy mężczyzna	Dziura w sercu.	Pamiętka po ojcu
			Najpiękniejsze życzenie
			Nowa wnuczka

Święty spokój

- Ja dziś na korepetycję nie pójde - Magda patrzyła niepewnie na matkę pocierając policzek drżącą ręką.
- Dlaczego? - matka zdziwiła się. Dotychczas jej córka nie protestowała z powodu dodatkowych zajęć.
- Wiesz, że możesz zaważyć rok. Mówiła mi Szymaniakowa, że ten Lisiewicz to dobry informatyk. Jej syn chwalił go, że dobrze tłumaczy.
- Przyłożę się i poradzę sobie sama - Magda próbowała matkę przekonać.
- Wiem, że jesteś pracowita, ale informatyka to nie historia, nie można się jej nauczyć na pamięć.
- Ale ja się tam źle czuję. Lisiewicz tak dziwnie na mnie patrzy. To mnie krępuje.
- Zmęczona jesteś, przewrażliwiona. A to spojrzenie? Może on ma po prostu coś z oczami? - roześmiała się matka.
- Dobrze, pójde - Magda dała za wygraną. Włożyła do plecaka potrzebne przybory. Może rzeczywiście uśmiech Lisiewicza to objaw sympatii? Może to jego spojrzenie zupełnie nic nie znaczy?

Siedziała przed telewizorem oglądając ulubiony serial. Minęło piętnaście minut odkąd córka wyszła z domu. Akcja filmu zmieniała się co chwila a ona nie mogła się skupić na jego treści. Wciąż przed oczami miała twarz córki i ten niepokój w jej oczach. Może zlekceważyłaby go, gdyby nie pamięć własnego dzieciństwa i tego sąsiada, który zabrał ją do ogródków działkowych. Miała mu pomóc pielę truskawki. Obiecał, że dobrze zapłaci, więc zgodziła się chętnie. A później był zamknięty na klucz gospodarczy domek, obleśne ręce na dziecięcym jeszcze ciele i strach, że to może być złe, że to ona jest zła. Śniło jej się później tamto po nocach a nie umiała tego nikomu powierzyć. Znow tamten lęk owinał się wzdłuż jej kręgosłupa. Wyłączyła telewizor i chwyciła wiszący w przedpokoju płaszcz. Za chwilę już zjeżdżała windą.

Siedzieli obok siebie przy komputerze. Operacje nie były trudne, ale Magdę peszył uśmiech Lisiewicza. W dodatku mężczyzna niby mimochodem dotykał jej dłoni na myszce...

- Świetnie, Madziu, właśnie tak to trzeba było zrobić - jego ręka podniosła się i objęła dziewczęce plecy. Magda zeszytniała. To nie mógł być zwykły gest radości.
- Ślicznie wyglądasz - Lisiewicz przysunął się bliżej. Magda zacisnęła palce na brzegu zeszytu. Mężczyzna nachylił się ku jej twarzy. Odgarnął włosy z czoła. Jego dłoń zaczęła wędrować wolno wzdłuż skulonych ramion. Nagły trzask zeszytu spadający na jego policzek zlał się z dzwonkiem u drzwi. Magda zastygła w bezruchu. Lisiewicz zerwał się z krzesła przykrywając dłonią bolące miejsce. W otwartych drzwiach stała matka.

Magda podbiegła do niej chowając twarz w jej ramionach.

- Mamo, to nie moja wina - szepnęła wystraszona
- Wiem - matka patrzyła wściekle na Lisiewicza.
- A dajcie wy mi święty spokój z tymi korepetycjami, stary już jestem i nie mam siły - mężczyzna cofał się wгłęb mieszkania.
- Święty spokój? - matka z trudem wydobywała głos - święty spokój będę miała dopiero wtedy, gdy zgłoszę to gdzie trzeba - wyjęła z torebki telefon. Lisiewicz patrzył na nią kpiącym wzrokiem.
- Cóż się takiego znowu stało? - wyraz bezczelności rozlał się po jego twarzy.
- Jeszcze nic. I mam nadzieję, że już nigdy nic. Moja w tym głowa, żeby pan już nikogo więcej nie skrzywdził. Już ja panu obrzydłę życie. Jeszcze się pan przekona. Znają mnie tu ludzie z ostrego języka.

Lisiewicz stał z otwartą buzią. Zamiast sądu osiedlowa plotkarka? Toż to może być gorsze piekło niż więzienie. Bezczelny uśmiech zaczął wolno schodzić z jego twarzy. Można było to rozegrać inaczej. Może jeszcze spróbuje. Spojrzał w kierunku drzwi. Ale nikogo już tam nie było.

Taki sobie cud?

Słońce stało wysoko i gorąco się nasilało. Byli potwornie zmęczeni. Wyruszyli nocą, żeby uniknąć dziennego skwaru. A i tak nie udało im się uciec od upału wciskającego się nachalnie w każdy zakątek auta. Pootwierane okna tylko potęgowały uczucie ciepła. Samochody posuwały się wolno, jakby defilada żółwi przechodziła wzdłuż szosy pilnując wyznaczonego porządku. Jak dobrze pójdzie przekroczą granicę może za trzy, cztery godziny.

- Mogliśmy wybrać późniejszy termin - Marta po raz któryś wycierała twarz nawilżoną chusteczką.
- Przecież sama popędzałaś, żeby jak najszybciej - Jerzy nie chciał brać winy na siebie.
- Popędzałam, bo nie mogłam się doczekać. Wiesz, ja wciąż nie mogę uwierzyć, że my tam jedziemy. To prawdziwy cud że udało się Rafałowi załatwić nam pracę w tak krótkim czasie. No i że Alicja zgodziła się dać nam schronienie. Przynajmniej na początku.
- Boże jacy my będziemy niedługo bogaci - rozmarzył się Jerzy.
- I jacy szczęśliwi - dodała Marta jakby te dwie rzeczy jakoś łączyły się ze sobą.
- Chyba już tu nie wrócimy - Jerzy ani razy nie obejrzał się za siebie, żeby niczego nie zapeszyć.
- A mama?
- Przecież uzgodniliśmy, że dostanie nasze mieszkanie. I że pani Bogusia się będzie nią opiekować.
- Wolałabym, żeby była z nami.
- Wiem kochanie, wiem. Tylko co ona by tam z nami robiła?
- No tak, obcy ludzie, inny język i my całe dnie w pracy.
- No właśnie. Zresztą ona by swoich nie zostawiła.
- Jakich swoich? - Marta zgubiła wątek rozmowy.
- No tych, na cmentarzu.

To prawda. Marta zamyśliła się. Mama codziennie odwiedzała groby bliskich. Swojego dziadka i tych wszystkich wojennych bohaterów, których nazwiska zapadły jej głęboko w pamięci. Nie, ona by nie opuściła swojej ziemi, swojego kraju.

Przed ich wyjazdem stała się niespokojna, ale zaakceptowała ich decyzję. Pani Bogusia martwiła się jednak, że mama to rozstania za bardzo przeżywa. Bo już nawet przestała śpiewać swoje ulubione piosenki, te o kraju ojczystym, o jarzębinie czerwonej o zielonej rucie. A to było zawsze oznaką jej dobrego samopoczucia, chociaż Jerzy nie lubił, kiedy śpiewała.

- Niechże mama przestanie - wołał, gdy coraz głośniejsze „arie” przeszkadzały mu w pracy na komputerze.
- Bo ty nie wiesz co dobre - odpowiadała nadąsana ścisząc głos. - Takich pięknych piosenek to na całym świecie nie ma.
- No i cóż w nich takiego pięknego? - prowokował ją do kłótni.
- Miłość - odpowiadała za każdym razem.
- Miłość? Niby, do czego? Do kwiatków, motyli, wiejskich pastuszków?
- Aleś ty głupi Jerzy, aleś ty głupi - denerwowała się - to miłość do wszystkiego, co nasze, co polskie. Mój dziadek walczył o tę Polskę w dwudziestym roku. Żeby nie on i jemu podobni to by dziś Polski nie było. I języka i tych piosenek. O wojnie sowieckiej słyszałeś? - pytała po raz niewiadomo który
- Słyszałem, słyszałem - odpowiadał szybko, by uprzedzić jej monolog jak to dzięki Bożej Matce w Dniu Wniebowstąpienia udało się sowietów zwyciężyć.
- To był prawdziwy cud - bez żadnej pomocy z nikąd tysiące bezbożników przepędzić - matka i tak musiała dokończyć swoją opowieść.
- To cud był, cud nad Wisłą - wciąż była po wrażeniu tamtych wydarzeń chowanych w sercu dzięki dziadkowym opowieściom...

Sygnal klaksonu wyrwał Martę z zadumy. Co też się jej nagle przypomniało. Zamiast się cieszyć tym wyjazdem na zachód ona wspomina jakieś nic nieznaczące historie. Matka mogła sobie żyć wspomnieniami, ale ona i Jerzy mieli przecież przed sobą nowe, dostatnie i pasjonujące życie.

- Zasnęłaś? - zapytał Jerzy. Wyrzała przez okno samochodu. Już blisko do granicy, coraz bliżej.

- Nie, nie spałam - odpowiedziała. - Tak mi się jakoś smutno zrobiło. Zatęskniłam za mamą. I za jej piosenkami.

- O przyszłości myśl kobieto, o przyszłości - zawołał wybijając rytm słów o kierownicę. - Jak się nam powiedzie to mamę do siebie sprowadzimy, zgoda? - chciał ja jakoś pocieszyć, odpędzić złe myśli.

Uśmiechnęła się. Oparła głowę o drzwi. Jasne włosy opadły jej na ramiona i plecy. Słowiańska uroda - powiedziałaaby matka.

- Taka jesteś do mojego dziadka podobna - powtarzała setki razy. Może, dlatego kochała ją najbardziej ze wszystkich swoich dzieci? Bo w niej widziała tego, który był dla niej symbolem bohaterstwa i wzniosłych ideałów. Matka przechowywała wszystkie dziadkowe pamiątki, medale, zdjęcia, mapy. Pokazywała je każdemu, kto się napatoczył. Opędzali się od niej jak od brzęczącej muchy.

- Stare śmieci - powiedział kiedyś wujek Jarek machając lekceważąco ręką.

- Stare śmieci? - zacierzawiła się - te stare śmieci to znak, że to wszystko co teraz jest nie spadło jak manna z nieba, że to wszystko trzeba było życiem tysięcy Polaków zdobyć.

- A teraz ci Polacy mają to gdzieś - wujek Jarek wykrzywił twarz - Sam bym gdzieś uciekł, gdyby okazja się znalazła...

- Głupiś - babcia nie liczyła się nigdy ze słowami - głupiś jak but...

A teraz oni myślą tak samo jak wujek Jarek. Matka nie powiedziała im złego słowa. Nie zatrzymywała, nie odradzała. Jeszcze na drogę im wszystkie swoje oszczędności wetknęła. Chusteczką pomachała, jakby na wojenną wyprawę wyruszała, krzyżyk w powietrzu zrobiła, by Bóg ich chronił i pomagał. Marta poczuła jak po policzku spływa jej łza.

- Jerzy, a jak jej serce nie wytrzyma? Jak nie będzie umiała bez nas żyć? - dziwna panika zaczęła ogarniać jej duszę.

- Matka twoja silna jest, nic jej nie pokona. Całe życie z dziadka przykład brała. Inaczej jakby sobie poradziła z waszą gromadką gdy ojciec odszedł? No jak?

- To prawda, dzielna była. Ledwie wiązała koniec z końcem a jednak wychowała nas na uczciwych ludzi. I wykształcenie każde z nas jakieś ma i miejsce w życiu.

- Sama widzisz. Więc przestań już się mazać i ciesz się z tego, że los nam sprzyja - Jerzy zauważył jak żona dyskretnie wyciera oczy.

- A jeśli ja jej już nigdy nie zobaczę.

- A ta swoje. Jak katarynka jakaś. Będzie dobrze i już. I nie chcę więcej słuchać o mamie. Włączę radio dobrze?

Skinęła głową. Jerzy przesuwając gałką radia łapiąc kolejne fale. Nagle usłyszeli poważny głos spikera:

- Dziś w Warszawie o godzinie dwunastej w południe rozpoczęły się uroczystości związane z rocznicą Cudu nad Wisłą. Właśnie 80lat temu wojska sowieckie napadły na Polskę...

Marta otworzyła buzię ze zdumienia. Jak to się mogło stać że właśnie przed chwilą jej myśli biegły ku matce i ku temu wszystkiemu czym żyła, co wciąż wspominała... Jak to się mogło połączyć z tymi nagle włączonymi wiadomościami z radia...

Może to jakiś znak? Może nie powinni szukać lepszego życia daleko od swoich? Jerzy sięgnął do radiowej gałki.

- Poszukam muzyki - powiedział.

- Zostaw- położyła dłoń na jego rękę - chcę tego wysłuchać.

- Ukochany kraj, umiłowany kraj - rozśpiewały się nagle radiowe fale.

- Ukochany kraj, umiłowany kraj - doszedł do ich uszu cichy głos gdzieś z tyłu samochodu.

- Mama? - krzyknęli prawie jednocześnie oglądając się do tyłu. Z pomiędzy pakunków przykrytych kocem wychyliła się głowa matki. Kobieta trzymała w ręku skórzany woreczek. Pamiątki po dziadku...

- Ukochany kraj, ukochana i ziemia i nazwa - śpiewała coraz głośniejsz patrząc na nich przez lzy.

- Ukochana i ziemia i nazwa - wtórowała Marta prowadząc wzrokiem zbliżającego się do nich żołnierza granicznej straży.

- Dokumenty do kontroli - mężczyzna z orzełkiem na czapce obrzucił ich obojętnym wzrokiem.

Jerzy rozłożył puste ręce, a potem zaczął wycofywać samochód.

- My właśnie wracamy - poinformował zdumionego strażnika. Matka uśmiechnęła się szeroko.

- Ukochany kraj - zaintonowała ponownie.

- Mamo - przestań - nie wytrzymał Jerzy. Ale było to najczulsze „przestań” jakie kiedykolwiek w życiu słyszała.

Takie zwykłe szczęście

Obudził ją płacz Amelki. Przez spuszczone rolety do pokoju nie docierało żadne światło. Uniosła głowę, spojrzała na zegarek. Boże, już wpół do ósmej. Była niewyspana i zmęczona. Położyła się dopiero o trzeciej nad ranem. Mała marudziła i nie dała jej usnąć. Karolowi jej płacz zupełnie nie przeszkadzał. Pochrapywał lekko odwrócony

twarzą do ściany. Wtuliła się jeszcze w kołdrę, przymknęła powieki, może uda się jej ukraść jeszcze parę minut snu.

- Nie słyszysz, że dzieciak płacze? - teściowa zapukała do drzwi pokoju.
- Już wstaję - odpowiedziała znużonym głosem. Włożyła dres, związała włosy kolorową frotką. Karol przekręcił się na drugi bok, mamrocząc coś pod nosem.
- Gdyby ojciec nie kaszlał to by się tak nie budziła - powiedziała pod nosem zmieniając małej pieluchę.
- Ojciec Ci przeszkadza? - teściowa miała wyjątkowy słuch w takich sytuacjach - Bo to jego winą, że go astma dusi?
- A moja, że tego słuchać się nie da? - odpowiedziała głośnie.
- Co to już we własnym domu kaszleć nie może?
- Oj mam! Znów mama zaczyna? Czy ja już nic powiedzieć nie mogę?
- Możesz, ale normalnie z szacunkiem, a nie jak do byle kogo.
- Znów się mama czepia. Od samego rana.

Amelka rozplakała się na dobre. Wkładała jej śpiochy drżącymi rękami. Zagadała pieszczotliwie, choć dziwna klucha ścisnęła jej gardło. Trzymając córeczkę na jednej ręce lawirowała po kuchni przygotowując śniadanie. Wlała mleko do garnka, otworzyła chlebak, wyjęła masło. Za chwilę w kuchni pojawił się Karol. Rozsiadł się za stołem, rozłożył gazetę.

- Też byś się ruszył - warknęła - mleko wykipi, dziecka byś popilnował...
- Co to, chłop przy dzieciaku skakać będzie? - teść w piżamie zajął miejsce po drugiej stronie stołu.
- Taki sam on jego jak i mój - wybuchnęła odstawiając garnek z mlekiem na blat szafki. Mąż wstał gwałtownie. Rozstawione na stole naczynia zabrzęczały niebezpiecznie.
- Sabina! - teściowa stanęła w drzwiach kuchni - czyś ty do reszty zgłupiała? Chłopak całe dni ciężko haruje a ty jeszcze go do pieluch chcesz zagnać?
- A ja to co? Leżę? Obijam się? Mam już tego dość! Tej harowy i was wszystkich - tupnęła nogą, poczerwieniała. Patrzyli na nią zdumieni. Jezu, co za cyrk!

Teściowa podeszła do niej, zabrała z rąk Amelkę.

- No to wynoś się skoro ci tak tutaj źle. Idź w świat szukać szczęścia.

Wciągnęła buty, chwyciła płaszcz z wieszaka, trzasnęła drzwiami. Nikt za nią nie wybiegł, nikt nie zatrzymał. Na dworze ogarnął ją chłód. Deszcz ze śniegiem wciskał się w rękawy i w niedopięte poły palta. Ludzie mijali ją nie zwracając uwagi. Jakiś kierowca nieostrożnie rozprysnął śniegową maź prosto na jej nogi. Mokra zimno powędrowało wzdłuż ciała zatrzymując się na sercu. Załopotało nagłym skurczem, zabolalo. Po twarzy popłynęły łzy. Nie miała ochoty ich wycierać.

- Czemu płaczesz? - dziecięcy głosik dopłynął do niej zza drewnianego parkanu. Spojrzała na małą postać opartą o słupek.
- Zgubiłaś się?
- Nie - uśmiechnęła się rozbawiona tym pomysłem - jestem przecież dorosła
- Dorośli też się gubią. Moja mama zgubiła się trzy lata temu. Wyszła z domu z takim jednym wujkiem. I już nie wróciła. To nas oddali do Domu Dziecka. Mnie i moje rodzeństwo.
- Nie, nie zgubiłam się - odpowiedziała niepewnie. Twarzyczka Amelki stanęła jej przed oczami.
- Masz dzieci?
- Tak, mam córeczkę Amelkę.
- Jedną?
- Jedną.
- A wiesz, że Patryk ma aż cztery siostry i sześciu braci? Ich mama nie miała już siły ich wychowywać. Ani pieniędzy. Powiem ci w sekrecie, tylko nie mów nikomu. Jego starzy piją wódkę. Przepili już wszystko, wszyściuteńko. A twoja Amelka jest chora?
- Nie, dlaczego?
- Bo płaczesz. Wczoraj jedna pani zostawiła u nas swoją córeczkę to też płakała. Zuzia jest chora. Nie może chodzić. A ta pani przecież musi pracować, no to kto z nią w domu siedzieć będzie. A twoja Amelka gdzie teraz jest?
- W domu została, z tatą, babcią, dziadkiem.
- To ty masz dom? - oczy dziewczynki zalśniły nieznanym światłem.
- Mam, oczywiście że mam.
- To musisz być szczęśliwa - mała popatrzyła na nią z podziwem. - Już wiem, płaczesz, ze szczęścia...

Prawie biegła potrącając po drodze przechodniów. Tam gdzieś był jej dom. Szczęśliwy dom. Upagniona córeńka, zdrowa, śliczna, kochana. Mąż, zabiegający by niczego im nie brakowało. Taka była w nim zakochana. Tak pragnęła spędzić z nim całe życie. Nigdy tak lekko i szybko nie wbiegała na trzecie piętro. Nigdy z taką radością nie otwierała drzwi. Karol podszedł do niej jakby się nic nie stało. Objął ją czule. Pocałował w policzek. Amelka wyciągnęła rączki gaworząc radośnie. Teściowa wyjęła ją z łóżeczka, podała jej dziecko do rąk.

- Dobrze, że wróciłaś - powiedziała z dziwną u niej miękkością i ciepłem.

Teść rozkaszał się nagle. Spojrzała na niego ze współczuciem. Cholera, jak ta astma go męczy... Wciągnęła powietrze głęboko. Zakręciło się jej w głowie. Po raz pierwszy odczuła jak smakuje prawdziwe szczęście.

Tam, gdzie czuwają Anioły.

Gienek biegł bez wytchnienia i odpoczynku już pewnie z dwie godziny. Wreszcie zamajaczyły przed nim kontury starego wojennego schronu. Koniec wędrówki i koniec zmęczenia. Dla niewprawionych w marszach nóg droga wydawał się nie mieć końca. Gienek nie pamiętał, żeby kiedyś to był taki szmat drogi. Żeby nie miał siły dojść do celu. Przychodził tu z tatą przecież tyle razy. No tak, ale wtedy ojciec sadzał go na barana i pokazywał świat od tej innej, mniej męczącej strony. Wtedy i las nie był tak daleko, i rzeczka wydawała się być tuż tuż, i schron był na wyciągnięcie ręki.

Gienek wcisnął kciuki rąk w czerwone od płaczu oczy. Dawno tu nie był. Bał się, że serce mu pęknie gdy dotknie wyżłobionych czasem i pogodą czerwono-burzych cegieł, że obudzą się wspomnienia, których nie sposób będzie przepędzić ani płaczem, ani krzykiem ani tupaniem nóg. Ale nie miał wyjścia. Musiał w końcu powziąć męską decyzję. Przeciąć coś, co już nabrzmiewało od kilku lat i co dziś z taka siłą wybuchło, przecież nie z jego, Gienka, winy. Musi się tu jakoś urządzić, przeczekać najgorsze, a później postanowić, co dalej. Bo do domu nie wróci. Za nic w świecie nie wróci.

Gienek resztką sił doczłapał się do schronu. Rozejrzał się po zarośniętym trawą i chwastami niewysokim pagórku, wokół którego rosła sterta śmieci, różnego żelastwa i postrzępionych papierów. Przykucnął u wejścia dziwnie jakoś uprzątniętego i niezagraconego. Zajrzał do środka. Puste wnętrze wyścielone było słomą, mchem i zeschniętymi liśćmi. Na środku leżał kraciasty koc. Tylko ten koc i nic więcej. Żadnych resztek jedzenia, naczyń, ubrań. Tak jakby ktoś wiedział, że Gienek dziś tu przyjdzie. Że będzie chciał tylko przenocować. Chłopiec rzucił się na ten kraciasty koc, zwinął się na nim jak zraniony pies i jak pies zawył pozwalając swej dziecięcej skardze roznieść się po całej okolicy. Ale tylko stado wron usłyszało ten jego rozpaczliwy żal i z przestachem zerwało się do lotu z głośnym krakaniem. Później dookoła zaległa cisza. Jęk w schronie także zaczął cichnąć a chłopak zmęczony daleką drogą i płaczem usnął wtulając swą mokra twarz w szorstki kawałek zakurzonego materiału...

- Ej mały, czego tu się szwendasz? - zachrypnięty głos wśliznął się do schronu i podrażnił Gienkowe uszy.

Chłopak zerwał się patrząc nieprzytomnym wzrokiem. Nie wiedział, czy ta zarośnięta twarz, która pojawiła się nagle w otworze niskiej ściany to sen jeszcze czy już coś co dzieje się naprawdę.

- Wyłaż - głos nakazał stanowczo.

Przestraszył się. Wygramolił się na zewnątrz schronu. Stał garbiąc plecy i wciskając wzrok w ziemię.

- Jak się nazywasz? - Gienek kątem oka zauważył, że mężczyzna jest stary i że ma brązowe spodnie i buty. Nie odpowiedział. Nie po to uciekał z domu, żeby go pierwszy napotkany człowiek do domu zaprowadził.

- Głuchy jesteś? - stary chwycił go za podbródek, odwrócił ku światłu.

Głuchy? Może być głuchy. Ucieszył się, że mężczyzna poddał mu taki pomysł. Wzruszył ramionami dając znak, że nie rozumie.

Mężczyzna przyjrzał mu się wnikliwie. Zobaczył poranione gołe stopy i podpuchnięte oczy.

- Jak chcesz, to nic nie mów - burknął jakoś tak przychylnie, bez złości.

Nieznajomy usiadł prosto na ziemi, wyjął z kieszeni marynarki zawiniątko, zdjął z niego papier.

- Głodny? - zapytał podając mu kawałek chleba. Zapachniało wędliną i kiszonym ogórkiem. Gienek chwycił łapczywie pachnącą kromkę, ugryzł spory kęs, później drugi, trzeci. Mężczyzna podsunął mu następny kawałek zerkając spod oka na jego łapczywość i niecierpliwość. Widać było, że chłopak dziś jeszcze nic nie jadł. Bo głód był tak silny, że potrafił oszukać nieufność i strach przed obcym. Ten chleb nieoczekiwanie ich zbliżył. Gienek przestał dygotać obserwując spod oka niespodziewanego dobroczyńcę.

- Skąd się tu wzięłeś? - zapytał mężczyzna

Gienek nie odpowiedział ciągnąc wymyśloną przed siebie grę jakoby nie słyszy. Ale wzdrygnął się mimowolnie. Znów zaczynało być niebezpiecznie.

- Dobra, możemy pomilczeć - zgodził się obcy. Chłopak uspokoił się, rozluźnił, wyprostował skulone ze strachu dłonie. Siedzieli później obok siebie wpatrując się w zachodzące słońce. Jakoś tak nagle sobie bliscy, choć minęło dopiero kilkanaście minut odkąd ich drogi się skrzyżowały. Nagle Gienek poczuł na ramieniu ciepłą dłoń.

- Tato! - krzyknął szczęśliwy, że czas się może cofnął, że to może ojciec wrócił do niego, że się przebrał tylko, w inną postać zmienił...

Łzy popłynęły mu po policzkach. Stary nie odezwał się, tylko mocno przytulił do siebie drżące chude ciało. Jakieś dziwne wzruszenie chwyciło go za gardło.

- Pora spać - wymamrotał tklawie wskazując chłopcu wejście do schronu. Wczołgali się później jeden za drugim i wsunęli pod koc.

- Musimy się jakoś tu obaj zmieścić - mężczyzna wiercił się na słomie robiąc miejsce małemu - Musi nam koca dziś starczyć na dwóch - zaśmiał się dziwnie radośnie.

- Starczy, na pewno starczy - zamruczał chłopak tuląc się niezdarnie do nieznajomego. Zasypiając usłyszał znajomy dźwięk. To świersze tak pięknie śpiewały.

Słońce wkradło się do schronu szczelinami popękanego sufitu. Zatrzymało się na powiekach śpiącego chłopca i pogłaskało go swoim promieniem. Gienek otworzył oczy. Usiadł na szeleszczącej słomie i patrząc nieprzytomnie próbował odgadnąć gdzie się znajduje. Nagle sobie przypomniał wczorajszy wieczór, nieznajomego, kanapki i sen pod ciepłym, miękkim kocem na cudownie miękkim męskim ramieniu. Gienek zerknął na miejsce obok. Było puste. Może, więc przyśnił mu się ten wczorajszy wieczór, te kanapki z kielbasą, włóczęga, który utulił go do snu. Może to rzeczywiście był ojciec, który w taki właśnie sposób dał mu znak, że o nim myśli, pamięta, że czuwa nad nim tam z dalekiego nieba. Ech, to byłby cud, prawdziwy cud.

Gienek wygramolił się na zewnątrz schronu. Dzień wstał piękny, ciepły, przepelniany kropelkami porannej rosy. Na prawie bezchmurnym niebie królowała jedna biała chmura. Gienek zapatrzył się w jej kształty. Z ojcem często porównywali wygląd tych pierzastych stworków, z których można było ułożyć różne historie, bajki, zdarzenia.

Gienek zmrużył oczy. Biała puszysta kulka zaczęła rozrastać się, wyciągać, wyginać, zamieniać się w dziwnie znajomą postać. To był Anioł. Gienek aż podskoczył z wrażenia. To był naprawdę Anioł. Miał szeroko rozpostarte skrzydła i ręce wysunięte do przodu. Jak ten na obrazku, który kiedyś wisiał nad jego łóżeczkiem, a później powędrował nad stary tapczan za szafą w kuchni.

Bo w jego łóżeczku spała teraz Myszka. I miała swojego Aniołka. Ślicznego, błękitnego młodzieńca niosącego w ramionach grubego bobaska. Takiego jak Myszka, która zajęła jego łóżeczko i miejsce w sercu matki. Ten Anioł na jego obrazku pilnował dzieci przechodzące po kładce przez rzeczkę. Powinien także pilnować Gienka, który od najmłodszych lat składał do niego dziecięce rączki i wzdychał z ufnością kochającego serduszka.

Ale nie pilnował. Bał się ojczyma. Tak jak ojczyma bała się matka. I babcia. No to, co dopiero Gienek, który wszystko robił źle. Źle układał swoje rzeczy, źle sprzątał, źle nakrywał do stołu, źle czyścił buty, źle się uczył. Gienek rozumiał gniew ojczyma. Bo trzeba w życiu starać się lepiej, więcej. A on Gienek wciąż kulał. Nawet w piłkę grał jak ostatni patałach.

I rozumiał, że Myszka będzie kimś lepszym, piękniejszym, mądrzejszym. Że ojczym w niej pokładał całą swą nadzieję. I przebaczał ojczymowi jego wybuchy złości i jego przekleństwa i ataki gniewu, kiedy w ruch szedł pasek, rzemień czy kabel od żelazka. To wszystko dla Gienka dobra, żeby dobrego człowieka z niego wychować.

Gienek wszystko wytrzymywał, także dla mamy, która błagała go żeby był grzeczny, żeby nie denerwował ojca, żeby nie wyprowadzał go z równowagi. Więc Gienek cierpliwy był, płakał po kątach i wybacział. Ale tego co wczoraj wybaczyć nie umiał. Bo żadnej w tym jego winy nie było, że Myszka rozlała herbatę a on Gienek nie widząc brudnej plamy rozniósł ją butami po całej kuchni. Więc niesłusznie ojczym się wściekł. Rzucił Gienka na tapczanik za szafą i zaczął tuc pięściami gdzie popadło. Gienek osłaniał się rękami, ale i tak ciosy ojca trafiały w najczulsze miejsca.

Gienek i to by wytrzymał. Ale kiedy westchnął w przypływie rozpacz do swojego Anioła, żeby go ratował, żeby osłonił, ojciec wpadł w szal. Zerwał obrazek ze ściany, cisnął nim o podłogę a później stając butami zgniótł szkiełko aż się roztrzaskało w drobny mak. Anioł leżał rozplaszczony z dziwnie wykrzywioną twarzą i patrzył smutno w Gienka oczy. I tego spojrzenia Gienek nie mógł wytrzymać. Bo może to Gienek miał uratować Anioła? A nie umiał. Choć to była najdroższa osoba w jego życiu. Ktoś kto był przy nim zawsze blisko. Zawsze. Wtedy, gdy tatuś był jeszcze tutaj na ziemi i gdy później poszedł do nieba.

Gienek spojrzał jeszcze raz w górę. Chmurzasty Anioł rozplynał się zagarniając skrzydłami rodzące się nowe obłoki. Gienek zadrżał ze smutku. Znów miał być świadkiem śmierci Anioła? Znów jego serce miało pękać z żalu i rozpacz?

- Przyniosłem śniadanie - ten sam głos, co wczoraj obwieścił dobrą nowinę. Lecz Gienek nie porwał jedzenia tak jak wczoraj. Nie zanurzył zębów w chrupiących bułeczkach i świeżej kaszance. Rzucił się najpierw w ramiona tego, który po raz pierwszy od kilku lat okazał mu serce. Objął go rękami i przytulił do szorstkiej bluzy.

- Już dobrze, dobrze - stary głaskał go niezdarnie po krótkich włosach. Wycierał otwartą dłonią mokrą od łez twarz.

- Tak mi smutno, tak rozpaczliwie smutno - zawołał Gienek otwierając się na zwierzenia, które jak nadmiar wody w rzece musiały opuścić brzeg.

- Opowiadaj- zaryzykował nieznajomy. Uśmiechnął się, że Gienek jednak usłyszał.

I Gienek zaczął mówić, mówić i mówić... Aż wszystko się z niego wylało, wszystko się wyjaśniło, wszystko się ujawniło... Do samego dna jego pokaleczonej duszy.

- Matka za toba tęskni - Wincent (tak miał na imię obcy i tak się kazał Gienkowi nazywać) powiedział jakby od niechcenia, gdy trzeciego dnia rano przyszedł ze śniadaniem.

- Matka? - Gienek zeszytywniał cały od niespodziewanej wiadomości. Czyżby niepotrzebnie staremu zaufała?

- Nie bój się, nic jej nie powiedziałem - dodał Wincent widząc zaniepokojone spojrzenie chłopaka.

Gienek odetchnął z ulgą.

- Widział ją pan? - zapytał.

- Widziałem i rozmawiałem. Szukała cię. Powiedziałem, żeby się nie martwiła. Że jesteś bezpieczny. Wrócisz jak będziesz gotowy.

- Nie wrócę - Gienek zacisnął dłonie w pięści - ojczym mnie zatłucze.

- Nie zatłucze. Obiecał matce, że się będzie leczył.

- A bo to pierwszy raz obiecuje?

- Teraz nie będzie miał wyjścia. Matka postawiła mu ultimatum. Kurator ma nad nim czuwać.

- E, on się nikogo nie boi. Co mu tam kurator

- Zobaczymy. Jak się wszyscy za niego wezmą to nie da rady.

- Może...- Gienek podparł brodę rękami. Iskierka nadziei wąską szczeliną zaczęła wlewać się w jego serce.

- Myszka też czeka - Wincent kuł żelazo póki gorące.

- Naprawdę? - ucieszył się Gienek. Wspomnienie siostrzyczki rozczuliło go nagle.

- I Anioł.

- Anioł?! - chłopak krzyknął z niedowierzania - jak to, przecież ojciec podeptał go w przypływie szału?

- Matka dała go oprawić. Jest trochę pognieciony, ale plamy zeszły. A ramka złota, świecąca. Wisi w salonie nad kanapą.

- Wolałbym, żeby nad moim tapczanikiem – szepnął rozczarowany.

- Tapczanik wyrzucony. Stary był, zniszczony. Matka mówi, że teraz na kanapie będziesz spał. Jak prawdziwy mężczyzna.

Gienek otworzył szeroko oczy z wrażenia. Jak to? On na kanapie? W salonie? A nad nim jego ukochany Anioł?

- To wrócisz? - stary zajrzał mu pytająco w oczy.

- A pan? Spotkam pana jeszcze? - Gienek nie był przygotowany na rozstanie.

- Myślę, że tak - Wincent uśmiechnął się tajemniczo - Będę was często odwiedzał.

- A ojczym? Nie będzie zły?

- Ojczym będzie się musiał z tym pogodzić. Wyprosić kuratora z domu to nie lada sztuka.

- Kuratora? - Gienek zachłysnął się następną dobrą wiadomością. Czy świat może być aż tak piękny?

Gienek położył się na trawie, rozpostarł ramiona jak do lotu, wykonał kilka zamasztych ruchów. Na odcisniętej ziemi wyłoniła się postać Anioła. Ze skrzydłami tulącymi do siebie chłopięcą postać. Wincent uporządkował wnętrze schronu. Złożył koc, przygniótł słomę, spakował uzbierane w ciągu kilku dni śmieci.

- Może się jeszcze komuś przyda - zamruczał pod nosem chwytając Gienka za rękę.

W przedwieczornej ciszy odezwał się cichy głos świerszcza. A może to był śpiew Anioła?

Urodziny

Jasiek z niecierpliwością czekał na rodziców. Nie mogli przecież zapomnieć o jego urodzinach. O! Już słyszeć kroki na schodach.

- Jesteśmy synku - mama weszła trzymając w ręku małą paczuszkę - wszystkiego dobrego - pocałowała go w czoło wręczając mu prezent.

- Taka jaką chciałeś - dodał tata zdejmując marynarkę w przedpokoju - możesz ją sprawdzić.

- Później - szepnął oglądając opakowanie płyty. Rzeczywiście o tej grze wspominał ostatnio. Będzie mógł się pochwalić nią przed chłopakami. Ale to naprawdę później. Teraz spędzi miły wieczór z rodzicami. Cekał na niego już tyle dni. Od rana był taki podekscytowany.

- Odrobiłeś lekcje? - tata zainteresował się szkołą. Jasiek z radością pobiegł po plecak. Będzie mógł ojcu pochwalić się szóstką z matematyki a potem opowie o tej historii z Joasi patyczakami, co to na lekcji biologii uciekły z terrarium.

- Zobacz tato co dostałem od Bartka - przypomniał sobie nagle wyciągając z kieszeni kilka kolorowych kamieni - to z jego kolekcji, najładniejsze okazy - doadał kładąc kamyki na stole.

- Ciszej synku - tata ominął skarby wzrokiem - właśnie oglądam wiadomości.

No tak. Teraz to już nic do taty nie dotrze. Będzie przeskakiwał z kanału na kanał szukając to wiadomości, to boksu to jakichś interwencji. Nie, tata już jest stracony, już nic do niego nie dotrze. Będzie się wgapił w ekran jakby nic innego się wokół nie działo. A on Jasiek ma przecież dziś urodziny. Urodziny! Czy to się w ogóle w tym domu nie liczy?

- Tato - wrzasnął, aż Mucek podskoczył na swoim posłaniu.

- Dlaczego krzyczysz? - tata zdenerwował się - Nie rozumiesz, że mi przeszkadzasz? Wyprowadź pasa, bo piszczy.

- Mam dziś urodziny - Jasiek przypomniał cicho.

- Mucek tego nie rozumie - zaśmiał się tata - on po prostu musi wyjść.
- Idź, idź synku - mama wyjrzała z kuchni - Po obiedzie może coś wymyślimy, bo teraz to sam widzisz, że mam pełne ręce roboty.
- Boże - pomyślał Jasiek - żeby jakiś cud, żeby choć dziś ktoś mu rodziców odmienił - marzył zakładając psu smycz na szyję. Ale cuda się przecież nie zdarzają na zawołanie. Więc teraz pójdzie z psem a później włączy sobie tę nową grę na komputerze. Bo na mamy obietanki też nie ma co liczyć. Wieczornego serialu to i ona nie przepuści.
- Basiu, Basiu, poszukaj świeczki - ojciec skierował kroki ku oknu.
- A niech to - sapnął - w całym bloku wysiadło światło. Za pół godziny mecz a tu taka awaria! - sarknął niezadowolony. Jasiek opuścił swoje miejsce przy komputerze. Stał obok taty.
- Może zaraz uszykują - pocieszał ojca. Taki mecz mogliby przecież obejrzeć razem. Razem by trzymali kciuki za swoich, razem by krzyczeli „gol”. To by było fajnie tak z tata siedzieć na jednej kanapie, śmiać się i złościć, i denerwować się i tupać nogami. Szkoda, że prądu nie ma. Jaka szkoda.
- Umówiłem się z Bogdanem na ten mecz - tata rozwił marzenia Jaśka o wspólnym wieczorze - ale u nich też ciemno
- Zadzwoń do Pawła, może u nich jest prąd - tata wyciągnął z kieszeni telefon.
- Karol, daj spokój - mama przytuliła się do taty - Po prostu pójdziemy wcześniej spać. Chyba żeby Jasiek coś wymyślił. No co Jasiek, może byśmy w coś zagrali?
- W szachy? - zawołał z nadzieją Jasiek.
- Albo w skrabie - zapalił się tata.
- A ja bym wołała w państwa i miasta - mama z sentymentem wspominała grę swojego dzieciństwa.
- Można wszystkiego po trochu - zawołał rozpromieniony Jasiek biegnąc do swojego pokoju po gry.
- Panie Boże dziękuję ci za ten cud - szeptał wracając do salonu obładowany pudełkami.
- I jeszcze proszę - zatrzymał się podnosząc głowę do góry - żeby jutro też u nas zgasło światło.

Ważna Gra

Niedawno Adam wyrzucał Joannie, że źle wychowuje syna, że to niezdrowo i niemądrze trzymać go w domu przed telewizorem. Dziś siedzą razem w studio i czekają na finał Ważnej Gry. Da Bóg ich syn wygra duże pieniądze. Joanna ociera pot z czoła. Tak tu gorąco. Przez te lampy i wciąż rosnące emocje. Każdy następny etap gry kosztował Joannę nową porcją nerwów. Ale wytrzyma. Musi wytrzymać. Adam się przekona i przestanie w końcu się z nią kłócić o to co dla dziecka jest najważniejsze. Jeszcze wczoraj wykrzykiwał bez powodu.

- Zobacz jak on wygląda. Chłopcy w jego wieku są lepiej zbudowani, opaleni, radośni, szczęśliwi. A on chuchro takie, blady, oczy podkrążone. To od tego siedzenia przed telewizorem.
- Lepiej przed telewizorem niż nie wiadomo gdzie i z kim - Joanna broniła syna.
- Normalny chłopak nie karmi się telewizją od rana do wieczora - denerwował się.
- Ależ on jest normalny - podniosła głos - Wie więcej niż rówieśnicy. I to dzięki telewizji właśnie.
- Wolałbym, żeby mniej wiedział a zdrowiej wyglądał. Nie potrzebnie go do oglądania wszystkiego zmuszasz.
- Ja go zmuszam? - Joanna zdziwiła się. Mąż nie pamięta jak to było naprawdę? Karol już jako niemowlę zachwycał się reklamami. Próbowала zasłaniać łóżeczko firanką, śpiewała mu kołysanki, czytała książeczki. Ale on płakał wniebogłosy, gdy nie widział migającego ekranu. To, co miała zrobić, by uciszyć jego płacz? No może później trochę przesadziła. Sama włączała mu bajeczki, filmy przyrodnicze i wszystko inne. Ale on się tak szybko uczył. No i cichy był a ona więcej czasu miała na domowe zajęcia. Cieszyła się, bo swoje robiła i syna na oku miała. Adam się czepia, że syn chudy, że blady. No może trochę ma rację. Ale to przecież nie jej wina, że syn alergikiem jest. Ze spacerów z kaszlem wracał. Nie mogła pozwolić, by się męczył. W końcu biedronkę, jaskółkę czy motyla można w telewizji zobaczyć. Jeszcze piękniejszą, większą i całkiem z bliska. To, po co się po łąkach i polach wałęsać? Po co się na chorobę narażać?

Nie. Joanna nie żałuje swoich decyzji. Adam niepotrzebnie wprowadza w nią niepokój. Zwłaszcza teraz gdy tak blisko wygranej, w zasięgu ręki prawie. Już wychodzą finaliści, już głośnie fanfary obwieszczają wejście zawodników. Pierwszy, drugi, trzeci. Joanna wstaje z fotela, ciągnie niecierpliwie Adama za rękaw marynarki.

- Gdzie Karol? - szepce ściskając dłońmi łopocące serce. Wędruje spojrzeniem wzdłuż siedzeń widzów, miejsc dla jurorów. Zatrzymuje wzrok na drzwiach z których już nikt więcej nie wychodzi.
- Podobno ten czwarty zasłabł - doszedł do niej jakiś chłopięcy głos z tyłu - Dobry był nawet. Ale widziałeś jak się trząsł? Słyszałem jak lekarz powiedział że to wycieńczenie nerwowe.
- Szkoda chłopaka, wiedzę może i miał, ale sił zabrakło - odpowiedział sąsiad

Joanna zaczęła przepychać się między siedzeniami. Jej twarz zakwitła krwawym rumieńcem

- Taki wstyd. Taki wstyd - denerwowała się - Tyle nerwów, tyle nadziei, tyle planów. I wszystko na nic, zupełnie na nic!

Adam szedł blady jak ściana. I wściekły. Na żonę, że nic nie rozumiała. I na siebie. Że nie umiał jej tego jakoś wytłumaczyć. Że pozwolił, by dziś stało się to, co się stało. Nie z winy syna przecież...

Gdzież ten Karol! Adam rozejrzał się zmartwiony. Musi jak najszybciej go odnaleźć. I musi w końcu coś w ich życiu zmienić...

Ważne spotkanie

Halina wyszła z gabinetu lekarskiego na ugiętych nogach. Tomasz powitał ją niespokojnym spojrzeniem.

- Co powiedziała? - głos załamał mu się niebezpiecznie - Jest jakaś nadzieja?

Usiadła na najbliższym krześle, położyła drżące dłonie na kolanach, skuliła ramiona.

- Nie ma - rozwlekła słowa opóźniając złą wiadomość.

Tomasz przyklęknął u jej kolan nie wstydząc się wścibskich spojrzeń.

- Nie ma? - chwycił jej dłonie zostawiając na palcach siny ślad - Jak to nie ma! Musi być jakiś sposób, jakieś lekarstwo!

- próbował uczyć się ostatniej nadziei.

- Nie ma - powtórzyła prawie szeptem. Z trudem powstrzymywała łzy.

Zamknęła oczy, zaczęła kołysać się jak osierocone dziecko. Gdzieś z boku dolatywał gwar ludzkich głosów, trząśnięcia drzwi, stukanie butów o terakotową posadzkę. Normalne szpitalne życie.

- Przyniosę ci herbaty - oczy męża zatrzymały się na jej wyschniętych ustach. Skinęła głową. Tomasz pobiegł w kierunku szpitalnego baru. Wiedziała, że potrzebuje samotności, że musi pozbierać się w sobie, by później dać jej mocne oparcie. Jak zawsze, gdy zwały się na nią zbyt wielkie troski.

Drzwi gabinetu skrzypnęły, zaszeleściło białym fartuchem.

- Pani doktor - zerwała się z krzesła - a może to pomyłka, może trzeba jeszcze raz. Mam dopiero pięćdziesiąt lat, nie chcę jeszcze umierać! - wyrzuciła z siebie skargę jak wulkanową lawę.

- Przykro mi - usłyszała rutynowe słowa. - Bardzo się spieszę, mam wezwanie.

- Znieczulica, wszędzie ta znieczulica - pomyślała odprowadzając lekarkę wrogim wzrokiem. Nagle ujrzała smugę jasnego światła padającą od okna ku szklanym drzwiom, za którymi zniknęła pani doktor. Coś pchnęło ją, by za nią pójść.

Oddział na którym się znalazła był niewielki. Po wymalowanych w bajkowe postacie ścianach domyśliła się, że trafiła na oddział dziecięcy. Przez uchylone drzwi zaglądała do sal. W kolorowych łóżeczkach leżało kilka dziewczynek i chłopców. Niektóre zastygłe w dziwnym bezruchu, inne wykonujące nieskoordynowane ruchy. Wszędzie medyczna aparatura. I spokojni, pogodni ludzie. Pielęgniarki, dorośli. Pewnie rodzice tych chorych maleństw.

Dziewczynka, która wybiegła z jednej z sal mało jej nie przewróciła.

- Szukasz kogoś? - zapytała bezceremonialnie.

- Pani doktor.

- A, ciocię Martusię. Ona teraz jest u mojej siostry. Kasieńka dziś jest bardzo niespokojna, pewnie ją coś boli.

Ciocia Martusia daje jej zastrzyk. Mówi, że to chyba już ostatni. Bo widzisz Kasieńka ma takie chude rączki, że już nie ma jak kłuć. Ona może w każdej chwili umrzeć.

- Jak to umrzeć? - zapytała niepewnie

- To nie wiedziałas, że to hospicjum dla dzieci? Tu wszyscy czekają na śmierć. Mirka ma białaczkę, Zosia raka, a Czarek ma jakieś nieuleczalne bakterie. Może Markowi uda się otrzymać nowe serce, ale teraz każdy dzień może być dla niego ostatnim.

- I tak spokojnie to mówisz - była oszołomiona tym co usłyszała.

- Każdy kiedyś pójdzie na spotkanie z Jezusem - dziewczynka uśmiechnęła się zawadiacko - ty też.

Tomasz stał pod oknem rozglądając się dokoła. Szklanka z herbatą parzyła mu dłonie. Postawił ją na parapecie.

- Tu jesteś! - usłyszał nagle przy uchu, jakby to on się zawieruszył nie ona.

- Wracamy do domu?

- Tak, ale najpierw muszę komuś podziękować - powiedziała - I przygotować się na ważne spotkanie - dodała.

Smuga jasnego światła tańczącego między oknem a ścianą zatrzymała się na jej włosach, a potem oderwała się i delikatnie popłynęła ku drzwiom szpitalnej Kaplicy.

Wizyta

- Pani Konstancjo, niech pani zerknie przez okno, może już idzie...

- Idzie, idzie, akurat! tak się spieszy aż jej się nogi płaczą - sarkastyczny głos opiekunki był na tyle cichy, by chora nie rozumiała słów. Kobieta niechętnie podeszła do okna.

- No i? Dzieje się coś?

- Oj dzieje się, dzieje, wiosna przyszła, słonko świeci, ptaszki śpiewają, kot łązi po płocie...

- Ale ja nie o kota pytam tylko czy Elwira idzie, obiecała, że dzisiaj na pewno...

- Obiecanki cacanki - mruknęła pod nosem Konstancja. Zaszurała papuciami, sprawdziła palcem ziemię w doniczce, trzeba podlać, bo paprotka jak nie uschnie.

- Na obiad podam dziś pulpeciki z sosem ananasowym, takie jak pani lubi. Teraz zmienię pampersa, umyję panią, uczeszę i może poczytamy coś?

- A Elwira?

- Elwira na pewno będzie chciała panią zobaczyć czyściutką i zadowoloną. Niech jej pani czasem głowy nie zawraca brakiem apetytu, albo swoimi bólami, bo ona musi mieć spokój, na jej stanowisku to nerwy trzeba mieć silne i myślenie jasne. Sama pani wie jak to teraz jest, jeden nierozsądny ruch i fora ze dwóra. Gdzie ona więcej zarobi jak nie w tej firmie?

- E, ustatkować się by mogła, rodzinę założyć, a nie tak po świecie się szwęda, za szczęściem goni...

- Gdyby ona taka zaradna nie była to by i pani takich wygod nie miała, rarytasów nie jadła i na opiekunkę stać by nie było!

- No, ale mnie jej brak - Maria otarła ukradkiem łzę.

- Oj, nie biadolilałaby pani! Ja jestem z panią całe dni i noce, dogadzam, pilnuję, dbam. Jeszcze pani mało?

- Nie mało, nie mało, dobrze, że panią mam, ale tęsknię za moją córeczką.

- Przyjdzie, na pewno dziś przyjdzie - zapewniała opiekunka, choć tak naprawdę nie przepadała za wizytami Elwiry. Nie lubiła tej dumnej, wystrojonej lalki węszącej w każdym kącie, szukającej kurzu i zaglądającej w garnki.

- Pani Konstancjo - mówiła piskliwym głosem - czy mamusia dziś jadła, czy dobrze spała, może więcej owoców by jej dawać, witaminki podwoić... Nie cierpiała tych rozmów, tych uwag, tego całego zamieszania. Po tych rzadkich i krótkich wizytach pozostawał po niej zapach perfum, niespokojność jakaś i nowe oczekiwanie. E! Takie te życie pospieszne się zrobiło. Dogonić je trudno. I ciężkie. Dla starych ludzi nie do uradzenia.

- No niech pani odbierze! Telefon dzwoni i dzwoni. Ogłuchła pani czy co? Może to Elwirka, no szybciej bo się rozłączy!

Konstancja ocknęła się z zamyślenia, podreptała do aparatu.

- No i co? - Maria uniosła na łokciach swoje szczupłe, wyniszczone chorobą ciało - Kiedy przyjdzie? Mówiła pani, że na nią czekam?

- Mówiłam, mówiłam, ale ona dziś naradę ważną ma, dyrektorzy będą i ktoś z zagranicy. Zdenerwowana była. Zadzwonili jeszcze i wpadnie później...

Maria wiedziała co znaczy to później. Ono nieraz rozciągało się na kilka dni, tygodni nawet. Tak dziwnie się ten ich czas układał - dla niej było go aż nadto, dla córki wciąż mało i mało. Gdyby tak można było go sprawiedliwiej rozdzielić. Chociaż i ona Maria kiedyś czas wypełniony miała po brzegi. Próby, premiery, wyjazdy, rauty. Elwirka nie miała żalu, do niani przywiązana bardzo była. Oj zazdrościły jej koleżanki sukienek, zabawek, płyt. A teraz?

- No niech pani nie płacze, chce pani przypomnieć sobie dawne lata? - Konstancja wiedziała, że Maria uwielbia wracać do młodości, zaszczytów, światła ramp, kamer, fleszy.

Sięgnęła do szafki, wyjęła kartonik ze zdjęciami, niech sobie Maria poogląda, powspomina. Cóż, można i tak zapełnić czas. Ona w tym czasie litanie odmówi, ze swoim Panem Jezusem w modlitwie się spotka. Z wizytą Go przyjmie. Konstancja spojrzała na chorą. Maria trzymała w rękach zdjęcie córki. Spod przymkniętych powiek spływały wolniutko dwie duże łzy.

- O Boże, niechby Elwira przyszła jak najszybciej, najlepiej zaraz jutro - rozpoczęła modlitwę Konstancja wyciągając z kieszeni fartucha drewniany różaniec.

Wujek

Za oknem szarzało, choć zegar wskazywał dopiero szesnastą. Grażyna siedziała w półmroku oglądając telewizję. Szczególnie uwielbiała reklamowe bloki zachęcające do kupna tego czy owego. Jej współlokatorkę stać było na markowe ciuchy ale Grażyna mogła tylko o takich pomarzyć.

- Śpisz? - Marta wtargnęła do pokoju rozsiewając wokół zapach perfum.

- Nie - Grażyna otworzyła oczy

- Kamil znów pytał o ciebie - Marta uśmiechnęła się znacząco.

- E tam - Grażyna wykrzywiła usta. Kamil. Dobry kumpel i tyle. Fajnie się z nim rozmawiało, ale żeby było coś z tego więcej? Zresztą Kamila nigdy nie będzie stać na takie reklamowe buty czy spodnie. Wujek Marty miał gruby portfel, ona więc mogła sobie na wiele pozwolić.

- Wujek ma dziś spotkanie z kimś z branży. Może mogłabyś nam towarzyszyć? - Marta jakby czytała w jej myślach.

- Ja? - Grażyna aż podskoczyła z wrażenia.

- Wujek jest bardzo ciekawy, z kim mieszkam.

- Ale to chyba nie wypada tak. Zresztą nie pójde w starych dzinsach i koszulce.

- Weź coś ode mnie - Marta odgarnęła z czoła swoje blond loki - i bądź gotowa na dziewiętnastą.

Restauracja, do której weszli zachwyciła Grażynę bogatym wystrojem a panowie elegancją i osobistym urokiem. Obaj komplementowali Grażynę jakby nagle zobaczyli przed sobą Miss Świata a nie studentkę trzeciego roku. Kilka kieliszków alkoholu rozwiązało jej język więc tryskała śmiechem i humorem. Przyjaciel wujka co chwila nachylał się do jej ucha i szeptał zabawnie posapując.

- Jakaś ty śliczna dziewczyno, jakaś śliczna...

Grażyna poddawała się urokowi chwili. To nic, że straszy pan całował ją po rękach i kładł swoje dłonie na jej kolanach. Wujek Marty zachowywał się podobnie a ona zupełnie na to nie reagowała, Widać w wielkim świecie taka poufałość jest na miejscu.

- Kupiłem ci coś ładnego - starszy pan wyciągnął z kieszeni małe pudełeczko i wyciągnął z niego złoty wisiołek. Grażynie zaiskrzyły oczy. Drżącą ręką dotknęła łańcuszka zawieszonego przez nowego przyjaciela na swojej szyi. Wtedy poczuła na sobie czyjeś spojrzenie. Rozejrzała się po sali. Przy stolikach nie było nikogo znajomego. Ale za oknem z przyklejoną do szyby twarzą stał Kamil. Jego nienaturalnie wykrzywiona twarz była napęczniona dziwnym cierpieniem. Grażyna poczerwieniała nagle jakby ktoś uderzył ją w twarz.

- Kamil - krzyknęła zrywając się z kanapy. Nie dopięty wisiołek z cichym szelestem upadł na błyszcząca posadzkę

- Kamil - krzyknęła powtórnie kierując się biegiem ku wyjściu. Ale za drzwiami restauracji były już tylko światła samochodów i bezimienne postacie nieznanych przechodniów.

Grażyna powinna pójść spać, lecz kiedy zamykała oczy wciąż widziała twarz Kamila przylepioną do szyby. Włączyła więc telewizor by przerwać rozmyślanie o nieudanym wieczorze. Na ekranie jakaś dziewczyna zachęcała do kupna czerwonej sukienki. Jej głos drażnił mózg jak niewidzialna wiertarka. Chcesz być piękna musisz mieć taką sukienkę - zdawały się mówić jej karminowe usta. Jesteś tego warta - przekonywały wpatrzone w obiektyw oczy. Dziewczyna prawie płynęła po ekranie z wdziękiem przyjmując męską adorację. Jeden z otaczających ją mężczyzn przypominał znajomego „wujka” z restauracji. Wzdłuż pleców Grażyny przebiegł nieprzyjemny dreszcz. Kamil pewnie pomyślał o niej, że jest właśnie taka. Że można ją kupić, że ważniejsze są dla niej stroje niż to, co w środku, co w sercu.

Grażyna zakryła twarz rękami pozwalając by łzy przeciskały się między sztywnymi palami. Nagle w pokoju rozległ się dźwięk telefonu.

- Chciałbym z toba porozmawiać - głos Kamila wpływał do jej duszy jak leczniczy balsam.

- Czekam - odpowiedziała natychmiast - wszystko ci wytłumaczę, wyjaśnię - szepnęła żałośnie.

- Wiem - odpowiedział dziwnie miękko.

Grażyna poczuła nagle jak pokój zawirował z nią dziwnie niebezpiecznie. I zaraz w jej oczach pojawiły się dwa światełka jak dwie małe latarenki z nadzieją.

Zakręt

- Rafał, dobry jesteś! Należy ci się premia.

Pajewski wcisnął mu zawiniątko z forszą i reklamówkę z nowym towarem.

To był gość. Z gestem. Bogaty. Ale i szczodry. Pod jego willę zajeżdżały drogie limuzyny, a wokół letniego basenu odbywały się cotygodniowe libacje. Rafał to wszystko obserwował przez okno. Ludzie z osiedla narzekali na nocne hałasy, ale Pajak miał swoje układy w Policji.

- Świetnie - ucieszył się - Znów będzie świeży grosz.

Od pewnego czasu mógł sobie pozwolić na markowe ciuchy, sprzęt radiowy, komputer. I jeszcze matce trochę pieniędzy oddawał.

- Zaradny się zrobiłeś synku - chwaliła - jak Pajewski.

- Pajewski lewe interesy robi to i ma - gniewnie odpowiadał ojciec - A ja bym chciał mojego syna na uczciwego człowieka wychować - spoglądał na Rafała podejrzliwym okiem.

- Przecież wiesz, że Siudakowi na bazarze pomagam - kłamał Rafał i uciekał wzrokiem pod sufit.

- Zbyt hojnie ci płaci - ojca nie można było zbyć fałszywym argumentem.

- A co ty masz z tej swojej uczciwości - złościła się matka - starego malucha i te dwa zagracone pokoje?

- Tobie tylko bogactwo w głowie - denerwował się ojciec. I milkł, kurczył się w sobie i nie odzywał się przez kilka godzin. Rafał spoglądał na niego bezradnie, ale w końcu cóż mógł na to poradzić, ojciec sam sobie był winien, jak sobie pościelił tak ma.

Rafał wracał do domu zadowolony. Proszek upłynął szybciej niż zwykle. Został mu tylko jeden woreczek.

Matka stała w drzwiach zapłakana wypełniając histerycznym szlochem klatkę schodową.

- Co się stało? - wepchnął ją za próg zasłaniając przed wścibskim spojrzeniem przechodzącej sąsiadki.

- Ojciec - wymamrotała zasłaniając twarz rękoma.

- Co z ojcem - przypadł do niej.
 - Pobił Pajewskiego. Ma złamany obojczyk.
 - Kto? Ojciec?
 - Nie! Pajewski!
 - A ojciec?
 - Ojciec miał zawał, właśnie odwiozła go karetka.
 - Nie pojechałaś z nim?
 - Czekałam na ciebie. Boże, co za tragedia, ten Pajewski taki porządny gość a on do niego z łapami.
 - O, co się pobili?
 - Wyobraź sobie, że ojciec sobie ubzdurał, że on, ten Pajewski narkotykami handluje i ciebie w to wciąga, wyzwickami go obrzucił, w furję wpadł aż się cały trząsł. Taki wstyd, wszystkie okna w bloku pootwierane i on twój ojciec jak ulicznik jakiś, chuligan. Nigdy mu tego nie wybaczę.
 - Mamo! Przecież ojciec ma rację. Nie mów, że tego nie wiedziałaś! Że nie domyślałaś się.
- Wybiegł z domu oszołomiony. Boże, jego ojciec miał zawał. Może umrzeć. Jego tata. Ten, który nosił go na baranach, gdy był malutki, który uczył go jeździć na rowerze, robić proce, strzelać z łuku, stawiać namiot. Tata, jego tata. Ten, który kibicował jego meczom i prowadził go do kościoła. Który chodził z nim na ryby i kleił szybowce.
- Jak o tym mógł zapomnieć, jak mógł tak daleko się od niego odsunąć? Łzy jak grochy kapwały mu na bluzę zostawiając mokry ślad. Potarł go ręką, wyczuł w kieszeni foliowy woreczek. Wyjął go gwałtownie, szarpnął, uniósł do góry. Jak kwiatowy pył pofrunęły z wiatrem białe drobinki. Przyspieszył kroku, musi jak najszybciej być w szpitalu, musi zobaczyć tatę, podziękować mu za to, że jest właśnie taki, jaki jest. Musi mu powiedzieć, że chce być taki jak on. Musi zdążyć. Już zakręcił i szary budynek szpitala.
- Tato, zaczekaj na mnie!

Zemsta

Jacek skradał się po cichu jak złodziej. Było ciemno, ale on znał tu każdy kawałek muru, każdą cegłę, każdy załom domu. Stawiał bezszelestnie kroki dotykając rękoma chropowatej ściany i centymetr po centymetrze przybliżał się do zamkniętych drzwi. Nagle na ganku zaświeciła się lampa. Jacek odskoczył szybko by ukryć się w cieniu rosnącej przed domem jabłunki. Musi zachować większą ostrożność. Jego plan może nie wypalić, jeśli zostanie zbyt wcześnie rozpoznany. Serce załomotało mu z wrażenia gdy minuta po minucie zaczął odtwarzać w myślach przez siebie ukartowany scenariusz. Zapuszczone okienne rolety nie przepuszczały nawet światła. Ale dziwnie zapachniało kakaem, bułkami, szczypiorkiem. Domowe jedzenie. W poprawczaku nigdy nie czuł zapachów i żadna szynka nie potrafiła zastąpić smalcu i kiszzonego ogórka. Ale nie dla tego domowego jedzenia stamtąd uciekł. Nie dla kakao, ani dla smalcu od kilku miesięcy opracowywał ten wypad. Już jakiś czas temu zrobił sobie pod podłogowymi deskami skrytkę, do której schował przemycony ze stołówki nóż. Przez ostatni czas zachowywał się bez zarzutu, więc wychowawca poluzował mu nieco, nie pilnował go tak jak na początku pobytu. Nawet w nagrodę dał mu przepustkę na godzinny spacer po mieście. Nie mógł, więc Jacek nie wykorzystać tej szansy. Nie mógł nie zjawić się dziś pod domem z nadzieją zemsty. Tym słodszej, że sprawiedliwej. Bo tego co mu ojciec zrobił wybaczyć się nie da.

Jacek zacisnął rękę na uchwycie noża ukrytego w kieszeni bluzy. Był już blisko celu. Nacisnął lekko klamkę. Drzwi puściły z delikatnym, prawie niesłyszalnym chrzęstem. Jacek zajrzał przez szparę i oniemiał z wrażenia. Ojciec klęczał przed obrazem Matki Bożej z różańcem w ręku. Jego wargi poruszały się rytmicznie w cichym szepcie. Był skupiony i zapatrzony w oblicze Maryi, jakby widział ją naprawdę. Matki nie było. Pewnie w drugim pokoju usypia Patryka. Jacek uśmiechnął się tkliwie. Matkę i Małego oszczędzi. Chociaż matka też nie była bez winy. Choćby dlatego że nie stanęła w jego obronie. Ale tylko wtedy.

Bo wcześniej ustępowała mu w najdrobniejszych sprawach. Od dzieciństwa wymuszał na niej płaczem i histerią kupno zabawek, później komputerowych gier, rolek, roweru, skutera. Miał kieszonkowe większe niż inni koledzy. Dlatego garnęli się do niego, gdy zaczął popijać, biegać na dyskoteki, wszczynać osiedlowe burdy. Rajcowały go pijackie rozróby i autorytet jakim się cieszył wśród swoich. Tego go nauczyła matka. Teraz dziwi się, że Jacek umie walczyć o swoje, że ma posłuch i tę zawziętość, której mu koledzy zazdrościli. Nikt nie mógł stanąć mu na drodze do spełniania pragnień, nawet ona.

- Oddaj - namawiała go matka, gdy przychodził ze skargami z przedszkola.
- Nie daj się - buntowała, gdy z płaczem relacjonował jej jak to Paweł, Jurek czy Mateusz zaczepiali go na przerwach w szkole, przezywali go od mazgajów i maminsynków. Któregoś razu zareagował. Skopał wtedy Maćka. Wpadł w furję, w amok jakiś, gdy kolega popchnął go na schodach. Maciek zaklinał się później, że to niechcący, że taki napór innych dzieci był. Ale Jacek i tak mu nie wierzył. Zresztą matka w domu go pochwaliła.
- Nareszcie zmądrzałeś synku - cieszyła się, mimo że przed nauczycielką robiła skruszoną minę. Później dołożył Antkowi, gdy ten pociągnął go za rękaw. Witkowi, gdy przestawił mu plecak na inne miejsce... Nagle scysje z kolegami

posypały się jedna za drugą. Matka co najmniej raz w tygodniu biegała do szkoły, tłumaczyła go, przepraszała, zapewniała, że złe zachowanie syna już się więcej nie powtórzy. Ale w domu ze wmożoną czułością okazywała mu jak bardzo jest z niego dumna. Kiedyś ojciec próbował zareagować, porozmawiać z Jackiem dość surowo. Odepchnęła go wtedy od syna, zezłościła się.

- Niedorajdę chcesz z niego zrobić, takiego samego nieudacznika jak ty? Żeby inni chodzili mu po głowie. Żeby się śmieli z niego jak z ciebie? - syczała słowami pełnymi nienawiści. Więc przestał się wtrącać do wychowania Jacka.

Odsunął się od wszystkich rodzinnych problemów. Wpatrywał się milcząco w ekran telewizora albo wsuwał nos w gazetę. Jacek spoglądał na niego ze wstydem. Taka ciapa, taki życiowy popapraniec, co to w życiu nic nie osiągnął, niczego się nie dorobił i niczego nie miał. Nawet żona się od niego odwróciła. Od tego czasu matka przestała się do ojca odzywać. Jakby w domu obok siebie dwie obce osoby były.

Dopiero, kiedy Jacek podniósł rękę na matkę, gdy ją uderzył tak, że krew pociekła jej z nosa, ojciec nie wytrzymał. Może zrozumiał, że to już nie było „niewinne” synowskie potrząsanie, wyzwiska i domaganie się pieniędzy pijackim belkotem. Matka zdumiona była i jednocześnie przerażona takim zachowaniem syna. Była kobietą, była jego matką, najbliższą osobą na świecie a on tak...

Ojciec się wtedy wściekł. Chwycił za telefon. Zadzwoił na Pogotowie, na Policję. Tego Jacek nie mógł mu wybaczyć. Przez niego znalazł się w poprawczaku. Własny ojciec zabrał mu z życiorysu całe okrągłe dwa lata. Musi teraz za to zapłacić.

Jacek wsunął jedną nogę za próg. Poczuł jak po czole, twarzy spływają mu nagle krople potu. Dłoń na uchwycie noża też zrobiła się mokra. Żeby mu się tylko ten nóż nie wysunął z ręki. Żeby tylko dobrze zadać cios.

- Boże mój - usłyszał głośniejsze westchnienie ojca - miej wzgląd na mojego syna Jacka. To dobry chłopak, tylko się strasznie pogubił. Bardzo go kocham. Pozwól mu zrozumieć. Pozwól naprawić zło jakie wyrządził innym. Ty wiesz, jak bardzo go kocham. Mnie zabierz do siebie a jego ratuj. Ratuj go i ty Maryjo. Błagam. Plecy ojca wstrząsnęło łkanie. Łzy przeciekały mu przez palce przyciśnięte do twarzy.

Jacek wpatrzył się w tę scenkę z dziwnym drżeniem w sercu. Gdy był w domu, jeszcze przed poprawczakiem denerwowała go modlitwa ojca, to poranne i wieczorne jego klękanie przed świętym obrazem. Potykał się wtedy o ojca nogi, psioczył, wykrzykiwał wulgarne wyrazy. Spokojna twarz ojca wyprowadzała go z równowagi. Teraz, gdy usłyszał tę ojcową prośbę dziwnie miękko zrobiło mu się na sercu. Przyjrzał się ojcu uważniej. Stary się bardzo zmienił, na czole pojawiły mu się zmarszczki, włosy posiwiały, kąciaki ust opadły. Jacek poczuł jakby w sercu topił mu się kawałek lodu. Ojciec modlił się za niego. Pewnie przez wszystkie wieczory gdy on tam myślał o zemście, o zabijaniu, on wyciągał z kieszeni różaniec i szeptał zdrowaśki...

Chłopak oparł czoło o drzwi. Jęknął jakby ktoś i jemu zadał bolesną ranę. Nie, nie może płakać. Nie może ujawnić swojego tu przybycia. Wycofał się więc za próg mieszkania delikatnie zamykając za sobą drzwi a potem pobiegł w swoich trampkach cicho jak pantera.

Brzęk upadającego w oddali noża wyrwał ojca z modlitewnego skupienia. Rozejrzał się niespokojnie wokół siebie. Powietrze dziwnie mieniło się w świetle nocnej lampy i jakiś zagubiony motyl przysiadł na jej abażurze. Ojciec podniósł się z kolan, głęboko westchnął.

- Mam wrażenie, że ktoś tu przed chwilą był - zwrócił się do wchodzącej żony. Spojrzała na niego spod zmrużonych oczu. Może już czas, żeby się do niego odezwać?

- Zwidziało ci się - odpowiedziała wolno przeciągając wyrazy - chyba, że był tu jakiś zbłąkany Anioł. Podobno przychodzi tam, gdzie brak jego opieki i pomocy - dodała dziwnie zawstydzona.

Objął ją ciepłym spojrzeniem, zajrzał do oczu.

- Skoro znów ze mną rozmawiasz kochanie - wyszeptał nachylając się czule ku jej dłoniom - to on niewątpliwie tu był. Nie może być inaczej...

Żyrafa

Zegar na ścianie wskazywał osiemnastą. Magda kończyła właśnie porządkować kuchnię. Za chwilę będzie mogła usiąść do komputera. Żeby tylko Rafał ustąpił jej miejsca. Syn podejrzliwie spoglądał na nią, gdy wchodziła na swoje ulubione strony. Musiała dobrze kryć się z rozmowami na czatach i forach. Ale skoro z własnym mężem nie ma się wspólnych tematów to trzeba szukać przyjaciół w Internecie.

- Rafał - zawołała - mam pilny projekt do zrobienia na jutro. Będzie mi potrzebny komputer.

- Znowu? - Rafał nie był zachwycony jej prośbą.

- Co to znaczy znowu? - Bogdan pojawił się w pokoju syna - tobie tylko gry w głowie i ta hałaśliwa muzyka. A mama komputerem zarabia na chleb.

Magda pochyliła głowę pozwalając by jej długie włosy zakryły nagle poczerwieniałą twarz. Trochę z tym projektem skłamała, ale jak inaczej wytłumaczyć mężowi te swoje wieczorne wgapienie się w ekran komputera?

- Może byś się teraz trochę pouczył - Magda udawała że kompletuje materiały do projektu - oceny ostatnio jakies mizerniutkie u ciebie

- Och mam! - jęknął Rafał podnosząc się jednak z fotela - potrafisz człowieka totalnie zdołować - dodał chwytając

kurtkę z wieszaka w przedpokoju - pójde trochę pobiegać.

Uśmiechnęła się zadowolona. Syn nie będzie jej teraz przeszkadzał, zadawał pytań, zaglądał przez ramię co robi. Kliknęła na swoją pocztę, wpisała hasło. Wiktor lubił o tej porze zapukać do niej na czacie. Uwielbiała z nim rozmawiać. Był taki pogodny, wesoły, umiał ją komplementować, interesował się jej pracą, tym co jej się podoba, o czym myśli i marzy. Z Bogdanem już dawno przestała rozmawiać na takie tematy.

- Zrobić ci herbaty? - wzdrygnęła się na głos męża.

- Nie, nie! - odmówiła szybko.

Bogdan zajął już kuchnię. Nałożył swój poplamiony farbami i żywicą fartuch, rozłożył kawałki drewna i dłuta różnej wielkości. Będzie teraz do północy strugał, rzeźbił, malował, kleił nie pozwalając jej wejść do swojego królestwa. Magdzie właściwie nie przeszkadzało to nagłe dziwactwo męża, ale nie znosiła zapachu kleju i roznoszącego się po całym mieszkaniu drzewnego pyłu.

- Jesteś? - Wiktor zapytał ją poprzez okno swojego czata. Dziwne ciepło popłynęło wzdłuż jej ciała

- Jestem - napisała oglądając się z niepokojem, czy mąż jednak nie niesie jej szklanki z herbatą .

- Muszę się z tobą spotkać - ta nagła propozycja wywołała drżenie jej rąk

- Teraz? - z trudem szukała właściwych liter na klawiaturze.

- Natychmiast - odpowiedział „tłustym” drukiem - będę czekał pod domem.

Znów zadrżała. Chciała spotkać się z Wiktorem tylko co powiedzieć Bogdanowi...

- Będę musiała na chwilę pójść do Joanny z tym projektem - uchyliła drzwi kuchni. Mąż spłoszył się jakoś. Zaszeleścił rozłożonymi na stole gazetami. Pewnie zasłania te swoje upačkane farbami ręce. Magda nie lubiła zniszczonych, szorstkich dłoni męża ani oglądać ani ich dotykać. Czyżby Bogdan jakoś to instynktownie wiedział, czuł? Czyżby dlatego je tak przed nią skrzętnie chował ?

- Uważaj na siebie - rzucił jak zwykle, gdy wychodziła wieczorem z domu.

Znów się spłoniła. Ale myśl o spotkaniu była silniejsza niż troska męża. Mini spódniczka, wysokie czółenka, kilka kropeł dobrych perfum dało jej pewność i świadomość, że jest bardzo kobieca i atrakcyjna. Wiktor był nią oczarowany. Ujął jej twarz obiema rękami, pogładził po policzkach, czole, szyi. Dłonie miał gładkie, delikatne, subtelne.

- Chodźmy - zaproponował i ona się nie opierała. Wiedziała dokąd idą.

- Zobacz - przytrzymała go przed wystawą dużego sklepu - ta żyrafa. Widzisz jaka jest piękna?

Oglądali ją w skupieniu. Wiktor znał się na sztuce. Rozumiał ją.

- Kupimy ją jak będziemy wracać - obiecał patrząc jej głęboko w oczy.

Kiedyś pokazała tę żyrafę Bogdanowi, ale mąż wogóle się nią nie zachwycił. Posmutniał tylko jakoś i westchnął:

- Ależ ona droga!

Wiktor nie wzdychał, nie liczył się z pieniędzmi. Jemu musi naprawdę na Magdzie zależeć. Może to w końcu ta prawdziwa miłość, którą Magda szukała od lat?

- Mamo! - Rafał pojawił się przed nią jak duch. Ręka Wiktora zsunęła się gwałtownie z Magdy ramienia.

- Co ty tu robisz? - zapytała czując jak uginają się jej kolana.

- A ty?- odwrócił pytanie.

Zakłopotana się, spuściła z zażenowania oczy. Miała wrażenie, że krew która nabiegła jej do twarzy wytryśnie z niej jak gorący gejzer.

- Tak wygląda twoja praca? - Rafał wycedził przez zęby - tak właśnie zarabiasz na chleb?

Zabolało ją te słowa. Były jak ciskane w nią kamienie. Skuliła się cała w sobie, zmalęła.

- Rafał - chciała krzyknąć, ale głos ugrzązł jej w gardle. Syn odwrócił się szybko na pięcie i wybiegł wprost na jezdnię. Magda zamarła ze strachu. Rafał lawirował pomiędzy pędzącymi autami jak mała chuda pacynka. W pewnym momencie jego głowa zginęła Magdzie z pola widzenia. Usłyszała zgrzyt hamulców i dźwięk klaksonu. Stała na brzegu chodnika zwijając dłonie w pięści.

- Wiktor! - obejrzała się za przyjacielem szukając w nim oparcia i bliskości. Ale Internetowego znajomego już obok niej nie było...

Wróciła do domu nad ranem. Bogdan wyszedł jej naprzeciw gdy usłyszał jak przekręca w zamku klucz.

- Co z Rafałem? - zapytał cicho wbijając wzrok w podłogę. Wiedział o wypadku. Zadzwoiła do niego zaraz po tym jak przyjechało pogotowie i zabrało Rafała do szpitala.

- Został na obserwacji. Miał ogromne szczęście - załkała rzucając się Bogdanowi na szyję. Odsunął się od niej, zdjął jej ręce ze swoich ramion.

- Zaparzyłem herbatę w termosie. Rozgrzejesz się.

Uśmiechnęła się blado. Weszła do kuchni. Rozejrzała się po niej jakby ją pierwszy raz widziała. Stół wytarty, gazety zebrane, farby schowane. Nigdzie śladów drewna, kleju, żywicy.

- Joanna przyniosła ci projekt do zrobienia. Macie go oddać do końca miesiąca. - Bogdan wskazał ręką na stół. Popatrzył na nią z wyrazem wyrzutu i bólu. Magda zbladła jak prześcieradło. Nie pomyślała, że Joanna może wpaść bez uprzedzenia. Niebieska teczka niewinnie leżała na blacie kuchennego stołu a ona Magda szukała w głowie pomysłu jak by to można było Bogdanowi wyjaśnić.

- Nic nie tłumacz - mąż uprzedził jej kłamstwa - tak się śpieszyłaś, że nie wyłączyłaś komputera.

Zawstydzila się. Przysiadła na brzegu krzesła, zasłoniła rękami twarz.

- Miałem ci ją dzisiaj dać - Bogdan sięgnął do kuchennej szafki - ale teraz to nie ma już żadnego znaczenia.

Magda podniosła głowę. W rękach męża zabłysło brązowo-złotym światłem. Żyrafa. Jej wymarzona żyrafa o długich nogach i smukłej szyi. Prawie taka sama jak ta z wystawy.

- Sam ją zrobiłeś! - odkryła nagle tajemnicę zamykanych w kuchni drzwi, kawałków drewna, kleju, farb, pokaleczonych dłutem rąk.

Mąż bez słowa postawił żyrafę na stole i wyszedł do przedpokoju. Nie zauważyła wcześniej jego spakowanej podróźnej torby stojącej przy lustrze.

- Bogdan - zawołała zaczynając rozumieć decyzję męża - nie odchodź!

Zawahał się. Postawił uniesioną do góry torbę z powrotem na podłodze.

- Pójdę do Rafała - odezwał się w końcu smutno - porozmawiamy jak wrócę.

Ucieszyła się. Zamigotała w jej sercu jakaś nadzieja. Weszła do pokoju syna. Monitor komputera błyskał niebieskim światłem. Magda nachyliła się nad ekranem. Czat nadal był włączony.

- Spotkamy się jutro? - Wiktor pytał jakby się nic nie stało.

Ze złością wyciągnęła kabel z gniazdka aż posypały się iskry. Rozpłakała się głośno, żałośnie, rozpaczliwie. Czy mąż będzie umiał jej tę zdradę wybaczyć? Czy oboje z synem pozwolą by mogła jeszcze wszystko naprawić, odbudować? Chwyciła w dłonie żyrafę, przycisnęła ją mocno do piersi. Kawałek drewna nappełnił jej serce niespodziewanym ciepłem. Poczula w sobie ogromne pragnienie by przytuliły ją szorstkie, pokaleczone ręce męża. Ale teraz musiała jej wystarczyć tylko ta mokra od łez żyrafa. Jedynie ona...

0 - 700...

Siedziała buszując po Internecie, gdy drzwi pokoju otworzyły się gwałtownie

- Córeńko, ty jeszcze się uczysz?

- E, mam nie wyrabiam. Wiesz, chyba zawalę ten rok.

- Nie dość, że ojciec łązi gdzieś po nocach to jeszcze i z tobą kłopot będzie.

- Ja się nie szlajam z dziwkami - rzuciła przez zęby.

Matka skuliła się jakby ktoś nagle uderzył ją w samo serce.

- No coś ty, skąd te podejrzenia?

- A co nie czujesz jak wraca nad ranem do domu? Ten wczorajszy zapach jaśminu to nie od kobiety był? - dorzuciła.

- A ty? Myślisz, że nie wiem gdzie byłeś w ostatni weekend? Już ci się Patryk znudził? Jak ojciec ganiasz nie wiadomo za kim - odbiła piłeczkę.

- E, tam, co mi tam Patryk. Radek chyba moim przeznaczeniem jest. Ma fantazję i forszę.

- A skąd to można wiedzieć, kto komu przeznaczony.

Matka wycofała się z pokoju. Pewnie się popłaczę. Niepotrzebnie tak jej o tych dziwkach strzeliła. Pójdzie za chwilę ją przeprosić. Ale matka wcale nie płakała. Siedziała wpatrzona w szklany ekran telewizora i wystukiwała numery na komórce

- 0 700 - powtarzała pod nosem kolejne cyfry

- Mamo, zwariowałaś?

- Chodź, chodź - pociągnęła ją na kanapę.

Spojrzała na jej rozpalone policzki, na nienaturalnie błyszczące oczy. - Teraz już będę wiedziała na pewno.

- Mamo! Wierzysz w takie gadanie?

Matka przyłożyła słuchawkę do ucha. Przysunęła twarz do telewizora. Jaskrawo umalowana wróżka w hebanowym koku ciepłym głosem zaczęła zadawać pytania. Jej długie palce zakończone czerwonymi paznokciami kocim ruchami układały karty na przykrytym aksamitnym obrusem stoliku. W szklanej, dużej kuli odbijały się zawieszone na nitkach ozdoby o dziwnych kształtach.

- Mamo, zapytaj ją o mnie - już i jej policzki nabrały kolorów, już i jej oczy zaświeciły dziwnym blaskiem. Zacisnęła pięści. Teraz w tej chwili rozstrzygały się losy jej przyszłości, ich przeszłości.

Ojciec wrócił nad ranem. Wyłączył telewizor. Wyciągnął jej z dłoni pilot od telewizora. Obudziły się zdziwione, że na ekranie już nic z tajemnicy, magii, przepowiedni.

- Kładźcie się spać - powiedział znużony. Po pokoju rozszedł się ostry zapach paczuli.

- Jednak wróżka miała rację - pomyślała - ojciec jak nie wracał od baby. Trzeba to będzie jutro jeszcze dokładniej wyjaśnić. Spojrzała na matkę. Jej ułożone w kreskę usta i zmrużone oczy świadczyły o wściekłości. Ech, tato, idą dni burz i huraganów.

Siedziała przy komputerze. Rozmawiała na gg z Alicją o swojej przyszłości. Na biurku czekały zaległe lekcje. Nie przejmowała się tym. Wróżka powiedziała, że będzie w życiu szczęśliwa i bogata. Że wysoki brunet (to na pewno Radek) zabierze ją w podróż dookoła świata a ona zrobi ogromną karierę. Jeszcze nie wiadomo, jaką, ale na pewno będzie kimś nieprzeciętnym, sławnym. Więc, po co ma się uczyć? Po co marnować czas na coś, co się jej w życiu zupełnie nie przyda? Matka też już pogodziła się z ojcowymi kochankami. Najwyżej się rozwiedzie i urządzi się gdzieś za granicą. W końcu bogata córka nie da jej zginąć.

Ojciec wrócił wcześniej niż zwykle. Dobrze, że usłyszały jego kroki na schodach i przełączyły kanał. Wpadł rozradowany i uśmiechnięty, słodki zapach konwalii rozlał się po pokoju.

- To dla nas - jasny prostokąt dużej koperty upadł na stół - opłaciła mi się ta dodatkowa praca w perfumerii.

Matka wzięła kopertę do rąk, otworzyła ją.

- Mamo, to bilety na samolot! - klasnęła z radości w ręce...

- Tak - ojciec promieniał - wykupiłem dla wszystkich tygodniową wycieczkę do Włoch.

Podskoczyły z radości.

- A to było w skrzynce, chyba rachunek za telefon...

Spojrzały na siebie oniemiałe. Matka sztywnymi palcami odkleiła kopertę, zajrzała do środka... Zaczęła liczyć zera. Nie, tego wróżka im nie wywróżyła. Boże, skąd wziąć nagle tyle pieniędzy?

Spojrzała na stół, na rozrzucone niedbale bilety. Może uda się je jeszcze komuś odsprzedać?

Agnes.

Marek po prostu „musiał” urwać się ze szkoły, chociaż widział dezaprobatę w oczach Sandry, gdy ukradkiem wychodził z klasy. Koleżanka będzie się złościć, że lekceważy jej pomoc w nauce, ale na pewno wpadnie dziś do niego by mógł nadrobić zaległości. Marek nie przepadał za Sandrą, ale nikt inny nie był tak obryty w matmie jak ona. W ogóle nie przepadał za dziewczynami w realu. Wolał znajomości Internetowe. Ale to właśnie przez te wirtualne znajomości nie mógł się dziś skupić na lekcjach. Wciąż jego myśli krążyły wokół netowej korespondencji i rozmów. Ostatnio zafascynowała go Agnes. Pisała mądre komentarze pod jego tekstami na blogu. Wczoraj na czacie rozprawiała o poezji. Ciekawe, jaki temat poruszą dzisiaj.

Marek przyspieszył kroku. Wszedłszy do domu od razu pobiegł do swojego pokoju.

- Już siadasz do komputera? - matka zapytała z pretensją w głosie,

- Muszę natychmiast napisać referat z polskiego - skłamał włączając komputer.

- Zaraz zrobię Ci coś do jedzenia - męczeńska mina syna od razu wzbudziła w niej współczucie i troskę - Co to teraz za czasy, żeby dzieciak po szkole nie mógł nawet zjeść spokojnie obiadu - rzędziła wstawiając garnek na płytę elektrycznej kuchni.

Marek usiadł przed monitorem. Myszka w jego dłoni układała się idealnie.

- Twoje ulubione danie - talerz z parującym gołąbkami wylądował na biurku obok komputera. Zapachniało smakowicie, ale najpierw trzeba przejrzeć maile. Weronika przysłała kilka dowcipów, Kaśka piękne akty, Dagmara ponownie wyznawała mu miłość. Zabawne te dziewczyny, ufnie, wesołe, kolorowe. Marek nadział sobie gołąbek na widelec, skierował go wolno do ust. Szkoda, że Agnes dziś milczy... Nagle usłyszał dzwonek u drzwi. Jeśli to Sandra, będzie ją musiał szybko spławić. Trudno czuć przy kompie powtarzając jednocześnie regułki o sinusach i tangensach.

- Marek kończy referat z polskiego - dobiegł go głos matki z przedpokoju - ale może przez ten czas pomogłabyś mi piec racuchy? Będziemy akurat miały coś słodkiego do herbaty.

Marek nie odezwał się, nie wyszedł nawet z pokoju. Właśnie przyszła wiadomość na Naszej Klasie i on musiał ją natychmiast przeczytać. Ależ śliczne zdjęcia wkleiła Justyna. Marek był oczarowany wyglądem nie tylko Justyny, ale i innych zgrabnych, opalonych i uśmiechniętych netowych panienek. Agnes na pewno wygląda równie uroczo.

- Ty jeszcze pisesz? - matka weszła do pokoju z miską pełną racuchów. Marek zerknął na zegarek. Jak ten czas szybko leci.

- Już skończyłem - westchnął ciężko prostując obolałe plecy.

- Zrobię ci herbatę - matka zabrała talerz po gołąbkach i postawiła na to miejsce racuchy.

- Gdzie Sandra? - Marek zerknął dyskretnie za plecy matki.

- Przed chwileczką poszła do domu. Nie miała więcej czasu.

Marek przeciągnął się błogo. To fantastycznie. Będzie mógł dalej spokojnie buszować po Necie. Żeby tak Agnes chciała się odezwać właśnie teraz...

- Sandra to niezwykle miła i mądra dziewczyna - matka przysiadła na kanapie w pokoju Marka - Ty wiesz, że ona chciałaby zostać pisarką?
- Sandra? - Marka zatkało. Nigdy jakoś nie rozmawiał z nią na takie tematy.
- Wymyśliła sobie nawet pisarski pseudonim - uśmiechnęła się matka - taki dziwny... Agisz... czy Afisz - jakoś tak...
- Może Agnes! ? – Marka nagle olśniło.
- Tak - matka klasnęła w ręce - mówiła ci o tym?
- Nie, ale...

Marek nie dokończył zdania. Zerwał się z fotela i ruszył w kierunku przedpokoju.

- Ty, dokąd? – matka zapytała zaskoczona widząc, że nakłada buty.
- Zaraz wracam - odpowiedział dziwnie podekscytowany - muszę dogonić Sandrę. Przyjemnie byłoby razem z nią zjeść te twoje pyszne racuchy nieprawdaż mamo?

Czy warto było?

Adela obudziła się złana potem. Serce jej łopotało i dziwny ucisk umiejscowił się tuż za mostkiem.

- Zawał - pomyślała wystraszona. Uścisk zamienił się w ból.

Ułożyła się wygodniej, odpięła guzik piżamy, spłyciła oddech. A jeśli to już koniec?

Nagle przed oczami stanęła jej twarz córki. Elegancko ubranej, młodej atrakcyjnej kobiety, którą uczyniła swoją „księżniczką” której spełniała każde życzenie. Kto będzie jej dobrą wróżką, gdy Adeli zabraknie? Przez tyle lat dbała o nią, kupowała wszystko, czego zapragnęła. A nawet i tego o czym nie pomyślała nawet. Dziecięcy pokoił się od maskotek, zwierzątek, lalek, modnych sukienek bucików, torebek. A ona wciąż obdarowywała córkę nowymi prezentami. Przez wszystkie te lata. Sprawiało jej to ogromna przyjemność, gdy mogła wejść do sklepu i kupić to, na co miała ochotę. Ogromną przyjemność.

Ból w klatce piersiowej odezwał się nagłym szarpnięciem. Poruszyła się gwałtownie. Metalowe łóżko skrzypnęło zgrzytliwie. Zagryzła usta, by zatrzymać w sobie jęk. Nie powinna się skarżyć. W końcu znalazła się tu na własne życzenie. Te kilkanaście miesięcy to naprawdę niewielka cena za szczęście jej córki. Musiała jej dać wszystko, co najlepsze. Zanim w firmie wykryli jej finansowe machlojki zdążyła ulokować pieniądze w zagranicznych bankach. Jej córka musiała być bogata.

Tak sobie postanowiła, jeszcze w dzieciństwie. Ze nikt z jej bliskich biedy nie zazna. Tak wyobraziła sobie swoją przyszłość, gdy z pajdą chleba, posypaną cukrem, w pocerowanych rajstopach i w za dużych butach stała w kącie podwórka i zazdrosnymi oczami patrzyła na inne dziewczynki w kolorowych sukienkach, błyszczących kokardkach, lakierowanych pantofelkach.

- Bidula, bidula - przezywała ją blokowa dzieciarnia a ona bezradnie zaciskała ręce w małe pięstki, wierząc, że zacaruje zły los i że jeszcze im wszystkim pokaże. I pokazała. Zawzięta była na naukę, na kolejno zajmowane stanowiska, na pieniądze nieuczciwie powiększające jej konto. Jej Agnieszka musiała mieć wszystkiego dużo jak te lalki nie mieszczące się na półkach.

Ech! - znów zacisnęła zębra jak metalową obręczą. Dotknęła czoła wierzchem dłoni. Kropelki potu przylgnęły do ręki. Przez okratowane okno zaczęły wpadać pierwsze smugi porannego światła. Za chwilę strażniczka z głośnym brzękiem kluczy otworzy ciężkie drzwi, za chwilę ruszy ta cała więzienna machina i zrobi się gwaro i ciasno jak w ulu. A po południu przyjdzie do niej Agnieszka. Usiądzie naprzeciwko niej i będzie w milczeniu patrzeć na nią swoimi smutnymi oczami. Nie umiały rozmawiać. Nie było czasu w tym ciągłym zabieganiu na chwilę bliskości i zwierzeń. O czym marzy jej córka, o czym myśli? Boże! Przecież ona jej zupełnie nie zna.

Ból pogłębił się jakąś dziwną tęsknotą. Po twarzy Adeli popłynęły łzy. Poczuła w sobie tamtą małą dziewczynkę z blokowego podwórka z przyciśniętą do chudego ciała szmacianą lalką. Nagle nadzieja jak dotyk Bożej Łaski dotknęła jej serca. Nie jest jeszcze za późno by wszystko naprawić, odmienić. Pewnie potrzebny był jej ten czas za tymi grubymi murami i nie bez znaczenia jest ten ból.

Uśmiechnęła się blado próbując podnieść się z łóżka. Ból wyraźniej zelżał. Musi być silna, ma jeszcze tyle do zrobienia. Porozmawia dziś ze swoją córką, przytuli ją. Bóg dał jej czas by zacząć wszystko od nowa. Nie może go zmarnować.

Dziwna stolówka

Weronika cicho wymknęła się z domu dźwigając w ręku kosz ze śmieciami. Ten kosz i to dyskretne wynoszenie śmieci było najważniejszą sprawą każdego wieczoru. Matka podejrzliwie patrzyła na nią, gdy stawiała pusty kosz pod zlewozmywakiem. Czepiała się wszystkiego, kosz też był do tego świetnym pretekstem

- Łazisz po nocy, jeszcze ci ktoś krzywdę zrobi – mamrotała gniewnie
- Pewnie by to ci na rękę było - Weronika denerwowała się - Jedna gęba mniej do jedzenia i luźniej w domu będzie

- Będiesz matka to sama się przekonasz ile to zmartwień! Ale co ty tam możesz wiedzieć o życiu! Dla ciebie liczy się tylko lustro i wygląd! Modelką chcesz zostać? Do aktorstwa cię ciągnie? Do sławy?

Weronika wzdygnęła się na wspomnienie matczynych oskarżeń. Wcale nie liczyło się dla niej tylko lustro. Owszem przyglądała się sobie, ale przecież nie z zachwytem, nie z aprobatą. Nie widziała w nim pięknej, atrakcyjnej dziewczyny tylko potwornie grubą, brzydką nastolatkę ze smutnymi oczami i przeźroczystą cerą. Robiła wszystko by swój wygląd poprawić, by być szczuplejszą. Waga niby mówiła, że chudnie, ale lustro było bardziej wiarygodne, pokazywało nadal kilogramy tłuszczu na udach, ramionach, brzuchu. Do ideału wciąż było jeszcze daleko. A ona, Weronika pragnęła być najlepszą we wszystkim. Uczyla się dużo by zaimponować matce i ojcu iż nie jest żadnym matolem ani beznadziejnym prymitywem. Dbała o porządek w swoim pokoju, ale matka i tak zawsze wyzywała ją od bałaganiarzy i brudasów. Ech! Weronika wtuliła głowę w ramiona drżąc na wspomnienie matki awantur. Było jej potwornie zimno. Ostatnio trzęsło nią bez przerwy. W domu jakoś udawało się jej opanowywać szczykowanie zębami, kiedy skulona przykrywała się kocem i leżała bez ruchu wsłuchując się w przeraźliwie głośne łomotanie serca. Teraz idąc w kierunku śmietnika zimno utrudniało każdy krok.

- Ej Mała! - usłyszała nagle nad uchem - Spóźniłaś się.

Pryszczaty Edzio, osiedlowy menel zagroził jej drogę chwiejąc się na szeroko rozstawionych nogach.

- Tak jakoś wyszło - uśmiechnęła się blado stawiając koszyk na chodniku. Zakręciło się jej w głowie oparła się, więc o ścianę bloku.

- Co jest? - wybełkotał zdejmując pokrywkę - O! kanapeczki z kielbaską, jajecznica, pomidorek! - Edzio kolejno wyjmował z koszyka różne smakołyki. Z kosmiczną szybkością wpychał sobie je do buzi nie zważając na ślinę kapiącą mu z ust.

Weronika przymknęła oczy. Widok jedzenia przeprowiał ją o mdłości. Kilka dni temu u Kaśki zjadła kawałek pizzy i wypila trochę coli. Poczula wtedy potworny ból brzucha i uczucie okropnej sytości. Edzio jednak jadł z przyjemnością, takiej uczty nie można przecież zmarnować.

Matka nadeszła niepostrzeżenie jak Anioł. Jednym dokładnym spojrzeniem ogarnęła dziwny widok. Obżerającego się wyjętym z koszyka jedzeniem pijanego Edzia i córkę ślaniającą się na nogach.

- Od pewnego czasu coś złego podejrzewałam - wyszeptała chwytając się za serce - Wyglądasz jak cień.

- Znów się czepiasz? - Weronika odwróciła się w kierunku ściany. Jej nogi zaczęły mocniej dygotać. Matka podeszła bliżej, położyła dłonie na sterczących ramionach. Weronika poddała się nagle ciepłu płynącemu z jej rąk.

- Musisz się leczyć - matka wyszeptała tak czule jak jeszcze nigdy dotąd - musimy się leczyć - dodała pewnie.

Weronika pozwoliła jej się objąć i poprowadzić ku domowi. Coś na kształt nadziei zamigotało w jej oczach. Wchodząc na klatkę schodową obejrzała się. Pryszczaty Edzio wyjmował właśnie z koszyka jabłko. Czy to możliwe, by można było je tak normalnie zjeść?

Gdyby tak dziś

Dawid wgapił się bezmyślnie w ekran telewizora czekając na telefon od Angeliki. Umówił się z nią wczoraj na wspólny wieczór w pubie. Przyjaciółka miała odezwać się dziś, ale komórka milczała jak zaklęta.

- Może wyrzuciłbyś śmieci? - mama stanęła w progu omiatając pokój niezadowolonym spojrzeniem.

- Zaraz - mruknął pod nosem - oglądam film.

- Zawsze oglądasz film, gdy trzeba pomóc w domu - matka schyliła się po leżące na podłodze spodnie.

- To o wojnie. - Dawid udał nagle jak go ten film wciągnął.

- Przecież nie lubisz filmów o wojnie - matka przyjrzała mu się podejrzliwie - ani opowieści o tamtych latach. Twój dziadek walczył o Polskę w trzydziestym dziewiątym, ale nigdy cię to nie interesowało.

- Oj mam - Dawid przerwał matczyne wywód. Jak teraz matka zacznie wywlekać tamtą tragiczną przeszłość to nie będzie końca jej wojennym opowieściom.

Dawid miał gdzieś tę jej miłość do historii. I do religii, dzięki której polskość w ludziach przetrwała. Tak twierdziła matka oglądając zdjęcie dziadka w polskim mundurze.

- Wiesz, że on pod tym mundurem nosił zawsze krzyżyk?

Wiedział. Słyszał to już mnóstwo razy.

- Ale ten film to o osiemnastym roku - miał nadzieję że uda mu się zmienić temat.

- I tu i tu chodziło o to samo - matka nie dała zbić się z tropu - dzięki wierze ojców udało się nam pokonać i zaborców i bolszewików i Niemców.

Dawid umilkł. Wiedział, że każde jego słowo matka teraz potraktuje jako zachętę do dalszej dyskusji. A on na to nie miał zupełnie chęci. Tyle razy już słyszał o bohaterstwie dziadka, i o tym jak mu ten noszony pod mundurem krzyżyk ocalił życie zmieniając tor pocisku, który powinien był utknąć w sercu a przebił tylko jedno płuco. Nie, nie chciał na nowo wysłuchiwać o żołnierzach, wojnie, przelanej męczeńskiej krwi. Chciał się spotkać z Angeliką,

pójść z nią nad Wisłę i patrzeć w jej błękitne oczy. A nie przywoływać tamte smutne czasy, i pławić się w nich jak w brudnej rzece.

Telefon zadzwonił akurat wtedy, gdy matka wyciągnęła z szafki album ze zdjęciami.

- Sorry Dawid - Angelika oddychała ciężko - nie mogłam dać ci znaku, bo próba się przeciągnęła.

Dawid odetchnął z ulgą. Jakoś zapomniiał o tej jutrzejszej inscenizacji związanej z Dniem Niepodległości.

- Wpadnę po ciebie pod szkołę - odpowiedział chwytając kurtkę i wybiegając z domu.

Stał pod szkołą tupiąc dla rozgrzewki butami, bo listopad w tym roku był śnieżny i mroźny. Ale Angeli nie było widać. Wszedł, więc do auli. Próba jeszcze trwała. W kręgu reflektorowego światła stało kilkanaście osób. Aktorzy inscenizacji. Żołnierze w obszarpanych mundurach, chłopcy w lachmanach, ksiądz z krzyżem na piersiach. Angelika ucharakteryzowana na starą kobietę klęczała obok księdza. Miała sińce wokół oczu i była potwornie blada. Coś mówiła, ale Dawid nie mógł zrozumieć słów. Zobaczył tylko jak ksiądz podał jej krzyż a ona uniosła go do góry i krzyknęła:

- Niech żyje Polska !

Wtedy padł strzał. Dawid nie zauważył skąd. Zobaczył tylko jak Angelika się słania, jak upada na ziemię, zamyka oczy. Serce w nim zamarło. Podbiegł do niej, uklęknął, podniósł drżącymi rękoma głowę. Angelika spojrzała na niego wystraszona

- Dawid, co ty! Przecież to tylko tak na niby.

- Wiem - odpowiedział trochę wzburzony - ale poczułem jakby to zdarzyło się naprawdę. Nagle uświadomiłem sobie, że nie można o tym zapomnieć. Pomyślałem, że gdyby tak dziś, gdyby teraz wybuchła wojna, gdyby przyszła niewola, śmierć to byłoby strasznie. Czy teraz też byśmy tak potrafili walczyć, ginąć za ojczyznę? - Dawid czuł jak mu w gardle zbiera się ogromna klucha.

- Kiedyś opowiem ci o dziadku. I o krzyżyku, który ocalił mu życie - dodał patrząc jej poważnie w oczy.

Skinęła głową. A później nagle przytuliła się do niego tak ufnie jak jeszcze nigdy dotąd...

Gdzie jest Bóg?

Hanna usłyszała odgłos głośnej muzyki już na dole klatki schodowej. Sąsiadka z pierwszego piętra uchyliła drzwi swojego mieszkania ukazując głowę w papilotach.

- I znów to samo - zaskrzeczała - ten hałas wszystkich wykończy.

Minęła ją bez słowa. Nerwowym ruchem przekręciła klucz w zamku. Z pokoju Pawła dochodziło teraz prawdziwe wycie. Wpadła bez pukania, choć tego nie lubił.

- Paweł, czyś ty oszalał? - podbiegła do magnetofonu, wyrwała kabel z gniazdka. W pokoju zaległa cisza. Paweł popatrzył na nią wrogo.

- Włącz, bo zabiję - usłyszała nagle. Nie zrozumiała. Nie pomyślała, że on może tak do niej, do matki.

- Kowalska się skarży że za głośno...

- Tę starą jędzę też zabiję.

- Paweł, jak ty się odzywasz, co ty wogóle mówisz? - nagle zrozumiała sens jego słów.

- Włącz to pudło! - krzyknął. Spojrzała w jego twarz. Przestraszyła się błyskających złością oczu i wykrzywionych ust. Podniosła kabel trzęsącymi rękami, z trudnością włożyła wtyczkę do kontaktu. Fala metalicznych dźwięków goniła ją do samej kuchni. Usiadła przy stole, objęła głowę rękami. Rozpłakała się.

Siedzieli w mroku nadchodzącego wieczoru. Hanna przestała płakać. Opiekuńcze ramię męża zatrzymało w niej rodzącą się rozpacz, a później wściekłość. Po awanturze jaka przetoczyła się przez ich dom nie mogła się pozbierać. Dziś ich ukochany jednak zważył na ich ramiona niewyobrażalny ciężar. Wpadł w furję, w amok jakiś, w stan dziwnego podniecenia i wymachując nad nimi rękami groził że ich zniszczy, że podpali, zabije, udusi...

- Bóg wszystkich nie zbawi, nie uratuje - wrzeszczał aż mu czerwone plamy wyskoczyły na twarzy - On, jeśli jest, to taki jak na obrazie przed którym codziennie klękacie. Bezduszny, nieruchomy i martwy. Jego nie ma, po prostu nie ma!

- Jak to nie ma? - Hanna złapała się za serce - Jak to nie ma? - zapytała zbielełymi nagle wargami

- Gdyby był Marta by nie umarła. - rzucił jej w twarz. Potem już był tylko tupot ciężkich butów zbiegających po schodach. I ta okropnie boląca cisza. Jakby się cały świat zatrzymał.

Hanna wpatrzyła się w obraz wiszący na ścianie. Z zegarmistrzowską dokładnością badała Jezusową twarz. Bezduszny, nieruchomy, martwy. Tak go widział ich syn. Tak go oskarżał miotany jakimś dziwnym bólem. Od kiedy tak się zmienił? Przecież był z niego wzorowy syn, ministrant. Klękał z nimi do modlitwy, zaznaczał w kalendarzu święta, układał religijne piosenki. Teraz jak jakiś nieznany huragan wtargnęła do ich domu hałaśliwa muzyka, ordynarne słowa i te odrażające plakaty na ścianach. Zamknięty godzinami w swoim pokoju Paweł nie rozmawiał z nimi prawie wcale. Jakby nagle wyrósł między nimi niewidzialny mur.

- To przez Martę - westchnął mąż - On chyba się w niej kochał.

Marta? Nigdy o niej z nim nie rozmawiali. Ani wtedy, gdy żyła, ani później, gdy wrócili z pogrzebu komentując jej głupią, nikomu niepotrzebną śmierć. Mieszkała w sąsiedniej klatce, brała narkotyki, przedawkowała. Byli oszołomieni tym wydarzeniem. Współczuli rodzicom, rodzinie. Płakali nawet. Ale co z tym miał wspólnego Bóg? Co z tym miał wspólnego Paweł?

Szła cicho w kierunku śmietnika. Szarzało dopiero, ale nie mogła spać, więc wzięła się za domowe porządki. Jak zwykle zaczęła od wyrzucenia śmieci. Przystanęła, by zmienić rękę gdy usłyszała kwilenie. Zbliżyła się do kubła i zmartwiała. Przy murze leżał jakiś chłopak. Jęczał cicho zaciskając palce na przegubie dłoni, z której wąską strużką sączyła się krew.

- Paweł, co ci? - wyszeptwała rozpoznając syna sąsiadów. Nachyliła się na nim wystraszona.

- Gdzie on był? gdzie on był? - chłopak patrzył na nią błagalnie wierząc, że otrzyma odpowiedź.

- Kto gdzie był? - zapytała wiążąc mu rękę ściągniętą z głowy chustką. Krew szybko wsiąkała w wełniany materiał tworząc ciemną plamę.

- Bóg gdzie był, gdy umierała.

- Bóg zawsze jest przy człowieku - odpowiedziała, choć nie bardzo wiedziała, o co chodzi.

- Przy każdym?

- Przy każdym - potwierdziła próbując go podnieść.

- Nie widzę go - zaczął znowu.

- Może nie widzisz, ale on jest - pogłaskała go czule po włosach - właśnie mnie do ciebie przysłał.

- Panią? - nie wierzył w jej słowa.

- A cóż to. Kowalska gorsza od innych? - zachnęła się stawiając go na nogi.

Uśmiechnął się mimo bólu. Pozwolił się poprowadzić do bloku. Oparł głowę na jej ramieniu. Jakiś miękki kosmyk włosów rozplatał się z papierowego warka. Pogłaskał go po twarzy. Paweł rozplakał się. Z każdą łzą jego serce stawało się lżejsze, coraz lżejsze. Jakby chciało unieść się do Nieba. Jakby Bóg chciał je na nowo do siebie przyciągnąć...

Jezus żyje!

Słońce z trudem przedzierało się przez opuszczone rolety. Za oknami od kilku godzin trwał piękny dzień. Ale tu w mieszkaniu na trzecim piętrze dopiero rozpoczynało się leniwe życie. Lucyna obudziła się pierwsza, miała więc szansę na długą, przyjemną kąpiel. Wczoraj zasiedziała się przy komputerze do bardzo późnych godzin nocnych. Teraz bolał ją kark i oczy. Gorąca woda z pachnącą pianą pomoże jej rozruszać kości i obudzić w niej wszystko co jeszcze śpi.

- Gdybyś parzyła herbatę to zrób i dla mnie - matka jeszcze leżała w łóżku, ale już włączony telewizor grał cichutko migając niebieskimi światłami.

Ojciec pochrapywał lekko nie zwracając uwagi na hałasy zza ściany. To dzieciaki sąsiadów od kilku godzin wyczyniały harce. Po kilku latach mieszkania w bloku można było się do tego przyzwyczaić, że i w niedzielę maluchy budziły się tak samo wcześniej jak co dzień. Lucyna spojrzała na zegarek. Jedenasta. Matka zaraz zacznie się krzątać po kuchni. Jej nie zdjęte papiloty i wygnieciona podomka zawsze Lucynę żenowały. W powszednie dni matka wyglądała jak wyjęta z żurnala, zadbana, elegancka kobieta. W niedzielę chodziła po domu jak wiejska baba. Lucyna weszła do łazienki. Odkręciła kurek nad wanną.

- Ciszej! - ojciec odwrócił się na drugi bok.

Wstanie nie prędzej niż na obiad. A i później w spranej koszulce będzie drzemał w fotelu pomiędzy telewizyjnymi programami do samego wieczora. Lubił po całym tygodniu ciężkiej pracy odpocząć na luzie, bez poczucia pośpiechu i uwierającego go krawata przy firmowej koszuli.

Lucyna zamknęła drzwi łazienki, weszła do wanny, wyciągnęła się w niej z błogą przyjemnością. Po kąpeli wybierze się na zakupy. W markecie widziała ostatnio torebkę zdobioną złotymi sprzączkami. Gdyby tak chciała pójść z nią Kaśka. Przyjaciółka jednak w niedzielę wybierała Kościół. Taka mądra, inteligentna, wesoła dziewczyna a przedkładała Boga ponad wszystko inne. Jakby ten Bóg o którym tak chętnie rozprawiała mógł jej zastąpić to wszystko co się działo wokół. W piątek na przykład zrezygnowała z dyskoteki, choć wiedziała, że będzie na niej Alek.

- Czy ty nie rozumiesz, że taka okazja drugi raz ci się może nie zdarzyć? - przekonywała ją Lucyna wiedząc, jak bardzo Kaśce Alek się podobał - podbierze ci go jakaś frajerka i znów będziesz sama...

- Nie jestem sama - Kaśka znacząco popatrzyła do góry.

Nie jest sama? Lucyna nie mogła tego pojąć. Modlić się przecież można zawsze i wszędzie. A Alek pojawiał się na zabawach od czasu do czasu. Zresztą na różańce i litanie przyjdzie czas na starość. Teraz trzeba korzystać z życia. Ech, jakże się one z Kaśką różniły! Ale przecież coś ją do niej ciągnęło, coś kazało jej się z nią przyjaźnić,

coś ciepłego przyciągało ją do niej jak magnes. Lucyna przymknęła oczy. Jutro musi z Kaśką poważnie porozmawiać. Tak chciałaby ją przekonać do... No właśnie. Do czego?

Wracła z marketu uradowana. Upatrzona torebka czekała na nią i teraz zwisając na długim pasku podskakiwała rażno w takt Lucyny kroków. Słońce nadal połyskiwało złotem dając poczucie dziwnej energii i chęci do życia. Lucyna westchnęła głęboko nabierając w płuca jak najwięcej powietrza. Za chwilę będzie w domu i zsiądzie do smacznego obiadu. A wieczorem spotka się z Grzegorzem w pubie. Jedno, dwa piwa i oboje będą śmiać się do rozpuku z byle czego. Z Grzegorzem czas płynął tak szybko. Z Grzegorzem nigdy się jej nie nudziło. Miał taki zapas dowcipów, że mógłby występować w kabarecie. Lucyna zatrzymała się nagle na chodniku. Z drugiej strony ulicy dobiegł ją jakiś nieznany hałas. Ktoś śpiewał wykrzykując raz po raz jakieś imię.

- Je-zus, Je-zus, Je-zus - niesło się wzdłuż ulicy wołanie odbijając słowa o ściany domów, latarni, słupów. Lucyna uśmiechnęła się na widok zbliżającej się grupki młodych ludzi z transparentami w dłoniach. Roześmiane twarze, taneczne ruchy i euforia w oczach widoczna była z daleka. Gromadka rozweselonej młodzieży skręciła na osiedlowy park. Lucyna podążyła za nimi. Skoro wołają Jezusa to powinna tam być również Kaśka. Jak dobrze byłoby się z nią teraz spotkać

- Chodźcie do nas. Zostawcie na chwilę swoje sprawy i posłuchajcie jak Jezus was woła. Jak pragnie przyjść do waszych domów, rodzin. Otwórzcie drzwi na jego przyjście - młodziutki ksiądz z prędkością karabinu maszynowego wtłaczał słowa do trzymanego w dłoni mikrofonu. Chudy wyrostek ugiął się pod ciężarem niesionego głośnika, ale i on podrygiwał w rytm taktów granych na bębenkach i tamburinach.

- Jezus was kocha! Jezus żyje - wykrzykiwał nadal kapłan, a reszta uczestników skandowała za nim te same słowa.

Okna domów zaczęły się otwierać, z klatek wyskoczyła garstka dzieci. Niektórzy przechodnie tak jak Lucyna - stawali zaciekawieni widowiskiem. Kilka dziewcząt chwyciło dzieciarnię za ręce, utworzyły korowód i śpiewając i tańcząc pociągnęły je do rozbawionego pociągu. Inne skakały unosząc ręce do góry jakby chciały dosięgnąć nieba. Kolorowe transparenty zafalowały za wietrze jak jachtowe maszty. Lucyna przebiegła wzrokiem po wszystkich postaciach. Nie, Kaśki wśród nich nie było. A przecież tylko opowiadała o Bogu. Tak bardzo przeżywała spotkania z Nim. Teraz, kiedy naprawdę się coś działo przyjaciółka siedzi pewnie w domu i wgapia się w telewizor, albo odrabia lekcje. Ech, też mi pobożność.

- Jezus żyje! Jest wśród nas - nawoływał nadal ksiądz i Lucyna poczuła nagle jak kolana jej podrygują, jak biodra zaczynają falować a serce otwiera się na tę dziwność słów. Ktoś wsunął do jej ręki kijek z płóciennym kawałkiem materiału. „Chrystus moim Królem” odczytała zadowolona, że wzięli ją za swoją, że włączyli w krąg bawiących się i cieszących się ludzi. Usłyszała nagle swój głos i swoje okrzyki łączące się z innymi. To było niesamowite uczucie pozwolić sobie na taki luzacki szal, na odgrywanie takiej pasjonującej roli, czegoś, co przyprawiało zmysły o zawrót głowy. Gapiów przybywało. Niektórzy tak jak Lucyna włączali się do spektaklu, inni przyglądali się z pewnym dystansem. Lucyna nie myślała, że religią można się tak świetnie bawić, toż to przecież sam Pan Bóg zapraszał do tańca. Szkoda, że Kaśki z nią tu nie ma, szkoda, że nie wyrzuca wraz z nią ramion i nie woła zachrypniętym głosem: - Bóg moim Panem. W Nim moje zbawienie!...

Wracła do domu zmęczona. Przeszła z grupą prawie pół miasta. Ze śpiewem i tańcem. Z muzyką i okrzykami. Wokół fontanny na Starym Mieście wykonali pożegnalny taniec. Modlili się. Ściskali wzajemnie swoje dłonie. Lucyna była wzruszona. Zapomniała nawet zadzwonić do domu, żeby nie czekali z obiadem. Dawno nie przeżyła takich chwil ekstazy. To był naprawdę święty czas. Kaśka pewnie jej nie uwierzy jak jej o wszystkim opowie. Ominęła ją fantastyczna przygoda. Musi jej opowiedzieć o tym teraz, póki w niej to jeszcze wszystko gra, póki ma w sobie ten żar i ten podniosły nastrój.

Skręciła w ulicę na której mieszkała koleżanka. Mijając kościół zauważyła otwarte drzwi. Garstka wiernych opuszczała właśnie kościelne mury. Byli zamyśleni, poważni. Zupełnie inni niż tamci z którymi się przed chwilą rozstała. Gdyby wiedzieli, że można inaczej, piękniej przeżywać bliskość z Panem Bogiem pewnie i oni by do nich dołączyli. Nagle Lucyna poczuła potrzebę wejścia do Kościoła. Może chciała podziękować Bogu za dzisiejszy dzień? A może tylko chciała zobaczyć co w nim jest takiego co przyciąga Kaśkę?

Kościół nie był jeszcze całkiem pusty. Gdzieś tam widniały plamki głów pochylonych prawie w jednakowy sposób. Ludzie klęczeli, choć w kościele było cicho i nic nie wskazywało na to, że odbywa się tu jakieś nabożeństwo. Lucyna obrzuciła wzrokiem ściany zawieszane obrazami, przyjrzała się ciekawie kolorowym witrażom, zrobiła kilka kroków po terakotowej posadzce. Już chciała zająć miejsce w ostatniej ławce gdy zauważyła jasne włosy Kaśki. Jeny, jak dobrze że zaufała swojej intuicji, jak dobrze, że weszła do tego kościoła. Prawie podbiegła do koleżanki, zajęła miejsce obok niej.

- Kaśka - szepnęła głośno - chodź, muszę ci coś opowiedzieć.

- Ciii - Kaśka położyła palec na ustach wskazując głową ołtarz

- Nie rozumiem - Lucyna podniosła głos.
- On tu jest.
- Kto?
- Jezus.

Jezus? No jasne, przecież to kościół. Ale i oni przed chwilą byli z Jezusem i nikt nie szeptał, nikt nie klęczał, nikt nie kładł palców na ustach. Lucyna spojrzała zniecierpliwiona na Kaśkę. Jej oczy skierowane były wciąż w jedno miejsce. Teraz dopiero Lucyna zauważyła, że ołtarz nie był pusty, że na środku białego obrusa stała złota Monstrancja z Białym Oplątkiem.

- On tu jest - jak echo zabrzmiały w głowie Lucyny przed chwilą słyszane słowa. Kaśka nie patrząc na nią wyciągnęła rękę, chwyciła ją za dłoń. Była taka przejęta i taka rozmodlona. Lucyna nie widziała jeszcze nigdy u nikogo takiego wyrazu szczęścia na twarzy ...

- No, opowiadaj! – zachęcała Kaśka Lucynę, gdy wyszły z kościoła
- O czym? - Lucyna była, dziwnie nieprzytomna
- Myślałam, że masz mi coś ważnego do powiedzenia. Szukałaś mnie w kościele.
- E, nie, to nic takiego... - Lucyna zupełnie zapomniała o tamtym hałaśliwym marszu - naprawdę ważne to było to tu, teraz...

Kaśka uśmiechnęła się promiennie. Rzuciła się Lucynie na szyję. Głośne cmoknięcie słychać było chyba na kilometr.

- Wariatka! - krzyknęła Lucyna. Ale serce jej skakało z radości, więc zaczęła się śmiać tak mocno i tak serdecznie jak jeszcze nigdy w życiu. Nawet Grzegorz nie umiałby jej tak rozbawić. Choćby opowiedział najwesejszy na świecie żart. Choćby opowiedział jej sto najśmieszniejszych na świecie kawałów. Lucyna już wiedziała, że musi opowiedzieć o swoim spotkaniu z Jezusem Grzegorzowi. Że musi opowiedzieć o Nim rodzicom.

- O Boże, Kaśka... Jezus naprawdę żyje! - jęknęła. Było to jednak najdelikatniejsze jęknięcie jakie kiedykolwiek wymknęło się jej z ust.

Jeż na rowerze?

Ogromy księżyc wpływał prawie do pokoju rozjaśniając swoją poświatą kontury mebli, kanapy, podwieszonych pod sufitem doniczek z kwiatami. Nocna blokowa cisza wypełniała sobą każdy kawałek domu. Ale w słuchawkach Marzeny trwały okrzyki, wrzawa, wydawane komendy i polecenia dotyczące trwającej właśnie walki z wirtualnym wrogiem. Ostatnio znajomy przesłał jej link z nowymi gramami i Marzena zupełnie nie umiała się od nich oderwać.

Dobrze, że Staś potrafił bawić się sam. Zresztą Marzena dbała o to by synek się nie nudził. Na półce obok telewizora piętrzył się stos płyt z bajkami. Staś zagłębiał się w swoim foteliku i tak przytulony do swojego Miśka mógł siedzieć przed telewizorem godzinami. Czasem tylko stawał w oknie i patrzył na bawiące się na dworze dzieci. Kiedyś zamęczał ją i Waldka, by wychodzili z nim przed blok, ale to łażenie po piętrach, słuchanie dziecięcych wrzasków i tumany kurzu usuwających się spod rowerowych kół, wrotek i deskorolek było ponad ich siły. A jeszcze jak starsze wyrostki zaczynały kopać piłkę to miało się wrażenie, że między nimi szaleje powietrzna trąba. Wy tłumaczyli, więc synkowi że w domu jest spokojniej, czystiej no i bezpieczniej. Dopóki nie urośnie i sam nie będzie mógł wychodzić na dwór widok za oknem musi mu wystarczyć.

Marzena spojrzała na zegarek. Boże, jak późno! Mąż też jeszcze klikał nachylony nad swoim laptopem. Na ekranie przesuwali się jakiś obrazki, zdjęcia

- Waldek - szepnęła zaglądając mu przez ramię - co tam jeszcze oglądasz?

Mężczyzna drgnął dziwnie wystraszony i gwałtownym ruchem opuścił pokrywkę laptopa, mrużąc coś ze złością pod nosem. Gwałtowna reakcja męża była trochę podejrzana, jasne było że Waldek coś przed nią ukrywa. Marzena odeszła od niego obrażona. Skoro mąż ma przed nią tajemnice to ona mu zaraz pokaże. Jak wulkan wtargnęła do sypialni, chwyciła swoją poduszkę i ruszyła do pokoju synka.

- Posuń się - szepnęła wsuwając się pod kołdrę. Wyciągnęła rękę by przygarnąć do siebie małego. Ale natrafiła tylko na pustkę.

- Waldek! - krzyknęła zapominając o swoim gniewie - widziałeś Stasia?

- Był w łazience - mąż odpowiedział ponuro.

Marzena sprawdziła łazienkę, pobiegła także do kuchni i przedpokoju.

- Nie ma - rzuciła zdenerwowana. W skroniach poczuła gwałtowne pulsowanie.

- Może u Esia i Meli? - Waldek zostawił swojego laptopa i zaczął przeszukiwać szafę, gdzie pomiędzy wiszącymi płaszczami „mieszkali” wyimaginowani przyjaciele Stasia. Ale synka i tam nie było. Więc Marzena przejrzała jeszcze pawlacze, wsadziła głowę do kosza z brudną bielizną, otworzyła bęben pralki.

- Okno! - nagle i taka szalona myśl przebiegła jej przez głowę. Oczami wyobraźni zobaczyła synka leżącego na betonowym chodniku.

- Zamknięte! - Waldek odsunął firanki. Sprawdził zacisk klamki.
- Zejdę do piwnicy, poszukam wokół domu. Ty dzwoń na Policję - zadysponował wkładając kurtkę i buty. Przejął ster w swoje ręce i Marzena od razu poczuła się pewniej. Ich synek musi się odnaleźć cały i zdrowy. Po prostu musi.

Stasio drżał cały czując jak wiatr przenika jego ciało do kości, choć miał na sobie kurtkę, ciepłe buty i zawiązany pod szyją szalik. Na początku wcale nie było mu tak zimno. Kiedy pędził pustymi ulicami miasta to nawet się spocił. Może także ze strachu czy nie zabłądzi. Ostatni raz szedł tą trasą razem ze swoją grupą i swoją panią. Śpiewali wtedy piosenkę o jesieni. W parku w którym był także plac zabaw dla dzieci zbierali liście, bujali się na huśtawkach i jeździli na karuzeli. Włazili na przeplotnie tak zwinnie jak afrykańskie małpki. Staś czuł się tu jak ryba w wodzie. Uwielbiał zabawy na powietrzu. Gdyby jeszcze miał rower i mógł śmigać po parkowych ścieżkach jak prawdziwy kolarz, to świat byłby jeszcze piękniejszy, drzewa i krzaki omijałyby go w szybkim pędzie a wiatr śpiewałby mu we włosach jak czarodziejski ptak. Ech, takie marzenia spełniają się tylko w snach.

- Zabawimy się w poszukiwanie skarbów - zaproponowała im pani wskazując miejsce pomiędzy drzewami.
- Jeż! Prawdziwy jeż - palec Justysia wskazywała kopiec liści w rogu parku. Rzeczywiście, mała iglasta kulka toczyła się po trawie.
- Jeża nie ruszajmy - powiedziała pani - pewnie przygotowuje się do zimowego snu.

O tym zimowym śnie jeża pomyślał najpierw Stasio, gdy obudził się w środku nocy. Że trzeba mu pomóc, dosypać liści, otulić mchem. Dlatego wyruszył w tę nocną wędrówkę. Sam trafił do parku. Tylko kryjówki jeża znaleźć nie mógł, choć księżyc jak latarnia oświecał każdy zakątek placu. Kiedy się zmęczył usiadł na ławce. Wtedy zrobiło mu się zimno. Poczuł nagle jak ze wszystkich stron otula go gęsta, mleczna mgła. Musiał chyba zasnąć i zsunąć się z ławki, bo gdy otworzył oczy leżał zanurzony w puszystej pierzynie. Przestraszył się samotności i śniegu, który zaczął padać na jego głowę. Próbował się poruszyć, ale zupełnie nie czuł nóg i rąk. Kichnął tylko kilka razy i zaczął płakać. Pomyślał, że tu w tym białym, zimnym parku pozostanie już na zawsze..

Jasiński kuśtykał ciężko wokół budowy. Ostatnio szef narzekał, że giną z placu materiały i że dozorca z pilnowaniem ich sobie nie radzi. Tylko jak upilnować złodziei, gdy oni znali każdą dziurę w płocie, każde nieoświetlone miejsce w którym można było bezkarnie buszować nie bojąc się rozpoznania i kalekiego ochroniarza. Byli sprytni i mieli zdrowe nogi. Jasińskiemu w takich sytuacjach pozostawał jedynie krzyk i telefoniczna prośba o pomoc. Dziś jednak nie pozwoli, by chuligani dobrali się do magazynów. Już kilka razy słyszał od strony parku dziwne szmery, pokaskiwanie, szurania nogami. To pewnie znów jakaś szajka szykuje się do skoku. Teraz jednak Jasińskiego nikt nie oszuka, nie wykiwa, nie wyprowadzi w pole. Stary miał ze sobą dużą latarkę i kawał grubego pręta. Zajdzie gagatków od tyłu, od strony parku. Niech nie myślą że sobie z nimi nie poradzi, że znów wystawią go do wiatru.

Śnieg pod jego butami skrzypiał cicho, musieli go jednak usłyszeć, bo ktoś kichnął głośno a później zakwilił jak dziecko. Pewnie udaje włóczącego się po nocach kota. Tylko, że nie z Jasińskim takie numery. Mężczyzna ścisnął mocniej w dłoni metalowy pręt, jego uderzenie musi być silne, celne, precyzyjnie zadane. Najlepiej w głowę, albo w nogi. Żeby złodzieja od razu powaliło. Inaczej wymknie się mu z rąk i szukaj wiatru w polu. Koci jęk przypominający dziecięcy płacz powtórzył się znowu. Jasiński naprężył mięśnie, wstrzymał oddech, uniósł pręt do góry i rzucił się do ataku...

Marzena czuwała przy łóżku synka całą noc i cały dzień. Odmrożenia na rękach i nogach nie były tak rozległe jak się początkowo wydawało. Ale temperatura nie spadała. Rozpalona głowa, błyszczące oczy, spierzchnięte usta wciąż budziły w Marzenie niepokój. Nie mogła sobie darować tego, że nie upilnowała Stasia, że zajęta swoimi grammi nie miała dla niego dość czasu i uwagi. Teraz za to nie spuszczała z niego oczu, głaskała po policzku, zwilżała wargi, zmieniała zimne okłady na czole. Staś w nocy spał niespokojnie, zrywał się z łóżka, pytał o jeża i mając przy sobie coś o jakimś rowerze. Teraz wyciszył się trochę, leżał spokojnie i uśmiechał się do niej blado.

- Poczytasz mi? – zapytał nagle cicho.

Marzenę zaskoczyła ta prośba. Już nie pamiętała, kiedy czytała synkowi po raz ostatni. Nawet nie wzięła ze sobą do szpitala żadnej książeczki.

- Zaraz zadzwonię do taty, żeby przyniósł coś do czytania - odpowiedziała.
- I niech kupi puzzle - poprosił jeszcze.
- Dobrze - Marzena otarła łzę, która ukazała się jej w kącie oka - a teraz zobacz kto do ciebie przyszedł.
- Pani Zosia? - Staś uniósł z wysiłkiem głowę.
- Przyniosłam ci rysunki od dzieci. Zobacz, Justysia narysowała jeża.

Staś uśmiechnął nieśmiało. To ci dopiero niespodzianka.

- Jak się czujesz smyku! - nowy gość stanął w drzwiach. Staś zmarszczył brwi. Tego kulejącego pana zupełnie nie znał
- To pan Jasiński, on odnalazł cię w parku - Marzena tłumaczyła synkowi.

- Jakże znalazł - mężczyzna pokręcił głową - gdyby mnie twój tata nie złapał za rękę... - Jasiński umilkł nagle dziwnie przestraszony.
- To nie tata taki bohater - usłyszeli od strony korytarza- to pani Zosia zaprowadziła nas do parku. Ona o wszystkim wiedziała. I o jeżu, i o zabawach na powietrzu i o... - Waldek wciskał się do sali popychając przed sobą coś czerwonego, błyszczącego.
- Rower? - oczy Stasia zrobiły się okrągłe jak dwie małe piłeczki.
- Dla ciebie. Jak wyzdrowiejesz pójdziemy do twojego parku.

Staś oniemiał z wrażenia. Tyle miłych rzeczy go tu w szpitalu spotyka. Mama troszczy się o niego, pani Zosia opowiada o przedszkolu, tata robi prezenty. Pan Jasiński uśmiecha się ciepło i podchodzi do łóżka z wiklinowym koszykiem w rękę.

- On też chciał cię odwiedzić - mówi i odsłania wieczko koszyka, w którym wierci się... Staś nie wierzy własnym oczom. To przecież ten sam jeż, którego widzieli wtedy w parku. To same siwe futerko, ruchliwy ryjek, zmrużone ślepka...

Chłopiec wyciągnął rękę, dotknął iglastego łepka. Jeż przyjrzał mu się nieufnie a później rozdziawił mordkę i wysunął czerwony język

- On mnie poznał - ucieszył się mały - naprawę mnie poznał!

Marzena otarła łzę spływającą po policzku, a i na twarzach pozostałych gości odmalowało się dziwne wzruszenie.

- Wiesz - Staś znów przemówił do jeża - jak będziesz chciał to przewiozę cię moim rowerem. Zobaczysz, jaka to wielka frajda...

Kalendarz

Stasia z wysiłkiem wyprostowała plecy. Kalendarz wisiał dość wysoko a jej kręgosłup przy każdym prostowaniu odzywał się bólem. Kiedyś ona zrywała kartki z kalendarza. Teraz Felicjan przejął po niej ten przywilej. Każdego wieczoru pojawiał się w holu i jednym ruchem zrywał kartkę z datą minionego dnia.

Stasia nałożyła okulary. Wyteżyła wzrok. A jednak dobrze sobie wyliczyła. Tak właśnie pomyślała, że Felicjan już zerwał kartkę i że ona pierwsza oznajmi swym przyjaciółkom radosną nowinę.

- Jutro Dzień Babci! - poinformowała dumna ze swego odkrycia siedzące w rogu holu koleżanki.
- Jutro? - Marta zawołała nagle ożywiona - może będzie trochę radośniej w tym naszym domu „Spokojnej Jesieni”.
- Przyjadą wnuki- rozmarzyła się zapominając, że najbliżsi coraz rzadziej pamiętali o takich świętach.
- Pewnie przyjdą też moi - Frania przypominała sobie obietnice wnuków z ubiegłego roku. Grześ pozdawał wszystkie egzaminy a po przeziębieniu Dorotki pewnie już nie ma śladu. Więc jutro wpadną tu z bukietem kwiatów i będą jej opowiadać o wszystkim, co ciekawego się w ich życiu wydarzyło. A ona, Frania będzie słuchać i cieszyć się z ich sukcesów, będzie dotykać ich rąk i twarzy i będzie czuć ich ciepło i miłość. To będzie dobry dzień.
- Ja swoje wnuki widziałam, gdy były małe - Agata odezwała się tak cicho, że z trudnością ją usłyszały - Mam kilka zdjęć, ale wciąż czekam że przyjadą. Może to będzie jutro? - westchnęła z nadzieją. - Zdjęcia nie mówią, nie przytulają się do Ciebie, nie pogłaszczą po włosach.
- Lepszy telefon bo można chociaż usłyszeć głos. - Zofia wtrąciła się do rozmowy.
- Ale takie rozmawianie kosztuje - Frania przypominała sobie skargi córki, że nie może dzwonić często bo rachunki są zbyt wysokie.
- Pewnie gdyby paliwo było tańsze to mój syn zjawiałby się tu z dziećmiakami - Zosia próbowała wytłumaczyć brak wizyt swojej rodziny - i Mariolkę by przywiózł i Adasia. Ale teraz wszystko takie drogie. Dzieci też kosztują. Książki, ubrania, pływalnia, tańce, kino...
- Młodym wciąż wszystkiego mało. Wciąż mają za mało czasu dla siebie i dla bliskich - podsumowała Stasia.
- A nam czas płynie już wolniej, inaczej, bez nadziei na lepsze, weselsze - wtrąciła smutniejszym głosem Agata.
- Ech, starość - głos Frani zdrzął nagle niebezpiecznie.

Zamilkły, zasłuchały się w ciszę, która przylepiła się im do serc. Aż pielęgniarka Halinka przechodząc obok zatrzymała się zaniepokojona.

- Co tu tak cicho? - zapytała patrząc na ich pochylone głowy. - Stało się coś?
- E, nie! - Frania uśmiechnęła się miękko - Rozmyślamy tylko o jutrzejszym dniu. Może będzie lepszy obiad i dużo więcej gości?
- Marzycielki - pielęgniarka puściła im żartobliwie oczko - przecież posiłki mamy to zawsze dobre.
- No tak - speszyła się Frania - ale przy takim Świącie mogłoby być coś specjalnego.
- Przy jakim świącie? - Halinka w dalszym ciągu nie pojmowała o co chodzi.
- No przecież jutro Dzień Babci - Stasia wskazała na kalendarz.

- Dzień Babci? - Halinka miała niewyraźną minę. Podeszła do kalendarza, przyjrzała się uważnie cyfrom. Poczzerwieniała. Nagle na holu pojawił się Felicjan. Szedł szurając butami. Podeszedł do ściany z kalendarzem. Pielęgniarka zrobiła mu miejsce. Mężczyzna uniósł rękę, chwycił dłonią róg kartki, oderwał ją i zmiął w dłoni. Rozejrzał się za koszem. Wtedy dostrzegł oniemiały wzrok kobiet.

- Czego tak na mnie patrzycie? - zapytał wystraszony - czy zrobiłem coś nie tak?

Kapuśniaczek

- Proszę państwa! Za chwilę zamykamy! - głos barmana dotarł do Michała poprzez muzykę płynącą z głośników ustawionych w rogach sali. Mężczyzna rozejrzał się dokoła.

- Jakie proszę państwa! - pomyślał - siedzę przecież sam w lokalu co najmniej od godziny.

- Zamykamy! - na twarzy barmana pojawił się sztuczny uśmiech. Ruchem głowy wskazał wiszący na ścianie zegar.

Michał podążył za jego wzrokiem. Szkoda, że już tak późno. Mógłby wypić jeszcze jedno piwo. I posiedzieć następną godzinkę. Powrót do domu napęlił go niepokojem. Pewnie znów czeka go awantura. Żona przez ostatnie tygodnie była nie do zniesienia. Kłóciła się o byle co, gderwała, płakała, wyrzucała mu każdą niedbałość i brak troski o rodzinę. Jakby w domu najważniejsze były wyniesione śmieci i ustawione buty w przedpokoju. Nie liczyło się to, że zarabiał pieniądze, że ciągnął nadgodziny, że po powrocie z pracy już nie miał na nic siły i musiał po prostu odpocząć przed telewizorem.

Kiedy ostatnio urwał się z kolegami na piwo Anna nie rozmawiała z nim przez tydzień. Dziś pewnie też przywita go pretensjami, żalami, słowami, które dotkliwie ranią. Dawno już ze sobą normalnie nie rozmawiali. Anna zresztą nie umiała rozmawiać, ona krzyczała. A i on Michał też podnosił głos. Może powinni się rozstać, tak jak sugerowała Anna? Może ich miłość się już wypaliła, wygasła?

- Zamykamy- barman niecierpliwił się coraz bardziej.

Michał wstał z krzesła i chwiejnym krokiem zbliżył się do baru. Wyjął zwinięty banknot, położył go na ladzie. Barman skasował należność i podążył za nim ku drzwiom. Zgrzyt przekręcanego klucza uświadomił Michałowi, że nie ma już powrotu, że stoi na chodniku tylko w towarzystwie ulicznych lamp. Było potwornie zimno. Wiatr wcisnął mu się w poły rozpiętego płaszcza wywołując dreszcze. Do domu nie miał daleko, choć teraz wydawało mu się, że jest to przestrzeń nie do pokonania. Dziś nie chciał tej drogi pamiętać. Dokąd więc ma pójść? Szukać innego lokalu? Dopić się tak, by nic nie pamiętać, nie czuć?

Nagle poczuł w nozdrzach dziwny zapach. Wciągnął głęboko powietrze do płuc. Tak, to był wyraźny zapach czegoś znajomego. Czegoś, co znał, ale czego nie mógł sobie przypomnieć. Rozejrzał się wokół. Z rzadka tylko rozświetlone okna były pozamykane szczelnie - mróz był zbyt ostry by wpuszczać go nocą do mieszkań. Klatki schodowe też odgradzały zamknięte drzwi. Skąd więc ta niewidzialna smuga czegoś słodkiego i kwaśnego zarazem, czegoś delikatnego i ostrego, czegoś subtelnego i podrażniającego język. Michał wyteżył pamięć, rozbieganymi myślami dotykał minionych zdarzeń, chwil, wspomnień...

Jest! Ma! Widzi już okrągły drewniany stół i krzesła z wysokimi oparciami. Lampa nad stołem rzuca pomarańczowe cienie. Na płóciennych serwetkach stoją talerze wypełnione parującą zupą. Do kuchni wpada chłopak. Jego twarz jest czerwona od biegu i płaczu. Zmierzwione włosy tańczą w różnych kierunkach w takt podnoszącego ramiona gwałtownego chlapania. Chłopak gestykuluje rękami, tupie nogą. Tłumaczy coś kobiecie stojącej przy węglowej kuchni. Otarte ręką oczy zostawiają na policzku siny ślad. Kobieta podchodzi wolno do chłopca, obejmuje go rękami, przytula jego głowę do swej rozgrzanej piersi. Nic nie mówi. Słucha go z uwagą pozwalając na wylanie wszystkich łez, na wypowiedzenie wszystkich słów. A później, gdy nastaje cisza sama zaczyna mówić. Spokojnie, śpiewnie, bez emocji. Głaszcze chude plecki i zapewnia, że wszystko będzie dobrze, że się ułoży. Odsuwa krzesło i sadza chłopaka za stołem, podsuwa talerz. Chłopak bierze łyżkę, zanurza w zupie. Kobieta siada obok. Przygląda się spod przymrużonych powiek zjadającemu z apetytem dziecku. Uśmiecha się. Chłopak ociera buzię ręką. Prostuje plecy i mówi już bez płaczu.

- Pyszny ten kapuśniaczek babciu. Najpyszniejszy na świecie.

Kobieta targa delikatnie rude włosy chłopca. Takie wyznanie jest dla niej najpiękniejszym podziękowaniem.

- Może chcesz jeszcze - mówi trzymając w ręku wazową łyżkę. Chłopak kiwa głową, że tak. Kobieta wlewa na talerz nową porcję zupy. Jej zapach robi się bardziej intensywny, wzmaga apetyt, mimo, że pierwszy głód został już zaspokojony...

Michał zadrżał od tego nagłego wspomnienia, od tej woni atakującej nozdrza. Zapach kapuśniaku stał się tak realny, że mężczyzna poczuł ślinę napływającą do ust.

- Babciu - westchnął rzewnie jak wtedy, gdy był małym chłopcem a ręce babci tuliły go w chwilach smutku i rozpacz. Były dla niego najlepszym lekarstwem podczas chorób, zmartwień, chłopięcych bójek i gorszych ocen - Babciu!

Jak mógł o niej zapomnieć, jak mógł odsunąć się od niej tak daleko. Przecież nie można miłości przekreślić ot tak lekką ręką. Nie można zagłuszyć w sobie uczuć wypełniających serce od chwili narodzin i trwających przez

okres dzieciństwa i wczesnej młodości. Prawda w ustach babci bolała, nie dało się jej przyjąć bez zastrzeżeń, nie dało się jej ominąć. Michał pamięta tamten dzień, gdy poinformował babcię o swoim ślubie. Pamięta jej radość i łzy wzruszenia. Jej marzenie o prawnuku miało się spełnić. I zaraz potem słowa Anny, że ślub tylko cywilny, że ona ma inny światopogląd i Michał musi go uszanować. Babcię wtedy o mało nie dostała zawału. Ale wygarnęła im prosto w oczy co o tym myśli. Obrazili się. Wybiegli z jej mieszkania jak oparzeni. Babcia nie powinna była podważać ich decyzji, nie powinna była wtrącać się do ich życia.

- Dewotka - wykrzykiwała całą drogę Anna - Panem Bogiem nas straszy, w poczucie winy wpędza. Żeby być szczęśliwym nie potrzeba żadnego księdza, żadnego Boga, przynajmniej dla mnie, dla nas.

Michał milczał wtedy. Tak bardzo kochał Annę. Tak pragnął być tylko z nią nawet za cenę tego cholernego ślubu w Urzędzie. Ale kiedy wkrótce przestało im się układać coraz częściej myślał, że może to dlatego, że nie posłuchał babci, że to babcia a nie Anna miała rację. Że bez Boga każde szczęście rozleć się musi na drobne kawałki.

- Och! Babciu! - Michał wpatrzył się w niebo jakby tam chciał odnaleźć poznaczoną zmarszczkami twarz okoloną koroną siwych włosów - Jaki ja byłem głupi, jaki głupi...

Zapach kapuśniaku nie ustawał. Michał już wiedział, że to znak, że nie może go zlekceważyć. Nogi same niosły go w znajomym kierunku. Małe domki spały przycupnięte wzdłuż drogi. Michał stanął przed ocienioną tujami posesją. Nacisnął guzik domofonu. Światła w oknach rozbłysły prawie natychmiast. Jakby babcia w ogóle się dziś nie kładła spać. Jakby na niego czekała. W jednym z okien ukazała się jej twarz. Michał stanął bliżej latarni, żeby starszuszka mogła lepiej go widzieć, żeby nie wystraszyła się zaniechanej wizyty.

- Kto tam? - usłyszał głos w domofonie.

- To ja babciu – mężczyzna wyszeptał nagle onieśmielony - Twój Michał.

- Wejść Kochany - te dwa słowa rozlały mu się ciepłem po sercu. Więc chwycił gwałtownie klamkę bramki.

Stali później naprzeciw siebie jak za dawnych lat. Babcia zupełnie nie zdziwiona jego przyjściem o tak późnej porze. Michał ze wzruszeniem zauważył, że babcia jest jakby mniejsza, bardziej delikatna, krucha wręcz. Ostrożnie uniósł jej ręce ku swoim ustom. Teraz on ją przytulał trzymając jej głowę na swojej piersi.

- Babciu, przepraszam - wykrztusił chowając twarz w jej włosach.

- Nie przepraszaj - babcia uśmiechnęła się czule - w miłości nie trzeba takich słów. Ważne, że jesteś. Ze mnie potrzebujesz.

- Ty wszystko wiesz, wszystko rozumiesz - Michał nie wstydził się takich słów - muszę ci coś opowiedzieć, doradzić się, zapytać.

- Mów Kochany, mów... - babcia krzątała się po kuchni. Wyjęła z lodówki garnek, włączyła gaz.

- Właśnie mam świeży kapuśniak - poinformowała - Zaraz ci go odgrzeję. Anna wie, że tu jesteś?

- Nie wie - Michał zaczerwienił się po czubek głowy.

- To zadzwoń do niej. Szukała cię. Była u mnie.

- U ciebie?

- Wiesz, jej chyba jest źle samej ze sobą. Chyba się trochę zagubiła. Powinieneś z nią o tym porozmawiać.

Michał stał oszołomiony wiadomością. Jak to się stało, że Anna tu przyszła, że go szukała. Może jeszcze nie jest dla nich za późno. Może uda im się jeszcze ocalić szczątki małżeństwa.

Zapach odgrzewanego kapuśniaku rozszedł się po mieszkaniu. Babcia już stawiała talerze, wyjmowała łyżki. Michał westchnął głęboko. Tak pachniało bezpieczeństwo i dzieciństwo.

- Spodziewasz się jeszcze kogoś? - zapytał widząc trzy nakrycia.

- Pomyślałam o Annie - szepnęła gładząc go po włosach.

Spojrzał na nią z wdzięcznością. Wyjął z kieszeni telefon, wystukał numer.

- Anno! - wyszeptał - babcia zaprasza cię na obiad.

- Już idę - odpowiedziała mu natychmiast zupełnie nie zdziwiona tym, że w niektórych domach obiad je się o trzeciej nad ranem. Ale to przecież nie był zwykły obiad. Mieli we trójkę jeść kapuśniaczek.

Komediantka

- List do ciebie - Ulka rzuciła na stół prostokątną kopertę z ogromną, urzędową pieczętą na wierzchu. Łucja drgnęła jakby ktoś przejechał po jej sercu ostrym końcem noża. Michał nie dawał jej spokoju. Wciąż do niej pisał, choć ona nigdy tych jego listów nie otwierała. Łucja z westchnieniem spojrzała na córkę.

- Spalę go - szepnęła kuląc się jakby w ten sposób chciała się odgradzić od słów ukrytych pod szarą powierzchnią koperty.

Ulka wzruszyła ramionami. Jej długie włosy zasłaniały pochyloną głowę i Łucja zupełnie nie mogła odczytać wyrazu jej twarzy. Te ostatnie miesiące oddzieliły je od siebie tak bardzo.

- Czy on nam nie da spokoju? - córka warknęła otwierając kopniakiem drzwi do swego pokoju - powinnaś coś z tym zrobić.

- Próbowałam. Prokurator mówi, że ojciec ma prawo. Że to taki jego przywilej za wzorowe zachowanie.

- Komediant - to było ulubione słowo Ulki - za to, co zrobił powinien nigdy nie wyjść z paki.

- Przecież to twój ojciec! - Łucja nie umiała ukryć oburzenia.

- Ojciec? Bydlak nie ojciec - Ulka wpadła do swojego pokoju zatraskując za sobą drzwi. Za chwilę zza ścianą rozległy się ostre dźwięki puszczonej na cały regulator muzyki.

Łucja usiadła przy stole, przysunęła do siebie list. Szara koperta parzyła jej ręce jak pokrzywa. Boże! Przecież ona dłużej nie zniesie takiego stresu. Musi poprosić dyrektora więzienia, by wstrzymał te listy od Michała. Nie może być tak, by resocjalizacja męża była ważniejsza od ich spokoju. Ulka zrobiła się jeszcze bardziej nerwowa niż kiedyś. Łucja oparła głowę na łokciach, przymknęła oczy.

- Potrzebuję kasy - stanowczy głos córki wyrwał ją z odrętwienia. Łucja spojrzała na nią z lękiem.

- Znowu? Dostałaś przecież nowe buty - próbowała przypomnieć jej wczorajsze zakupy w najdroższym sklepie w mieście.

- Chyba wiesz, co się teraz nosi! Mam pokazać ci reklamy? - Ulka stanęła przed nią w wyzywającej pozie. Sama wyglądała jak ogromna reklama. Wszystko, co nosiła było markowe, drogie, niepospolite. W jej oczach pojawiły się złe błyski. Łucja wiedziała, że były one oznaką zbliżającej się histerii. Nowa awantura wisiała w powietrzu.

- Dobrze już, dobrze - Łucja sięgnęła do portfela. Nie mogła Ulce odmówić. Nie teraz. Nie po tym, co się stało. Pani psycholog radziła, by córce ustępować, łagodzić konflikty, wyciszać emocje.

- Traumatyczne przeżycia - tłumaczyła - wychodzą z człowieka powoli. Potrzebna jest wtedy wyjątkowa cierpliwość i troska. I miłość. Dużo miłości.

Łucja próbował okazywać córce miłość. Zgadzała się z jej fanaberiami, przymykała oczy na złe oceny, pozwalała na wypadki z kumplami do dyskoteki. Może w ten sposób Ulka zapomni? Może wróci do ich domu spokój?

- Ulatniam się na jakiś czas! - córka prawie wyrwała jej pieniądze z ręki - jak wrócę tego listu ma nie być!

- Nie będzie - ręce Łucji bezradnie opadły wzdłuż ciała. Z oczu jak z fontanny wytrysnęły jej niczym nie wstrzymywane łzy.

Kukułka zakukała dwa razy.

- To już druga - pomyślała Łucja zaciskając mocniej powieki. Wciąż nie mogła zasnąć. - Leżała w pustym łóżku rozmyślając nad tym, co się stało. Zimne ręce i stopy za nic nie chciały się rozgrzać a myśli raz po raz przywoływały falę dreszczy. Czuła się taka samotna. Wyciągnęła rękę, przesunęła nią po poduszce męża. Ale pod palcami nie wyczuła nawet najłżejszego wgłębienia. Zatęskniła za Michałem. Nienawidziła go a jednocześnie pragnęła jego dotyku, bliskości. Boże, przecież on był dla niej taki dobry, taki czuły. Kochał ją, kochał je obie. Tylko że córki nie można kochać tak jak żony. Nie można jej pieścić, dotykać, całować. Kiedy w tamten pamiętny dzień policjanci wpadli do domu z nakazem aresztowania Michała myślała, że to pomyłka, że ktoś zrobił im paskudnego psikusa.

- Pańska córka, Urszula Napierała, zgłosiła skargę o molestowanie i gwałt - policjant nie bawił się w delikatne słówka - musimy pana zabrać ze sobą.

Metalowe kajdanki zabrzęczały nieprzyjemnie. Łucja zbladła jak papier

- Jestem niewinny - mąż rozglądając się dokoła zdumionym wzrokiem. Nie umiała mu spojrzeć w oczy. Nie chciała go słuchać wyobrażając sobie natychmiast to wszystko straszne o którym wspomniał policjant.

- Nic nie rozumiem, jestem niewinny - Michał opierał się podczas wyprowadzania go z mieszkania. Wtedy spojrzała na niego. Na jego odchyloną w jej stronę twarz i zrozpaczone oczy. Ten widok nosiła wciąż w pamięci.

- Komediant - powtórzyła teraz za Ulką - straszny, zakłamaný komediant.

Kukułka niestrudzenie kukała co godzina. Łucja przewracała się z boku na bok. Od tego wiercenia bolały ją wszystkie kości. Ale jeszcze bardziej bolało ją serce. Serce, które nie potrafiło wybaczyć i które wciąż krwawiło z nie dającej się zabić rany. Nie, nie można wciąż rozpamiętywać tamtych złych zdarzeń, nie można zadreć się myślą, że niczego nie zauważyła, nie pomogła, nie przerwała tego, co działo się pod jej dachem. Ulka nie opisywała szczegółów tamtych kontaktów z ojcem, jednak Łucja wyobrażając sobie ją i Michała w takich intymnych zbliżeniach wpadała w popłoch. Ogromne poczucie winy nie pozwalało jej na szczerą rozmowę z córką, nie pozwalało także na czytanie listów od Michała. To ona była matką, to ona powinna czuwać nad bezpieczeństwem swojego dziecka a nie umiała. Zawaliła najważniejszą sprawę w życiu, nie ochroniła tego, co było dla niej najdroższe.

Łucja poczuła jak zbiera jej się na wymioty, jak wszystkie mięśnie napinają się jej w sztywne postronki. Z trudnością zwlokła się z łóżka. W kuchennej szafce miała schowane uspokajające tabletki. Poczłapała więc i sięgnęła ręką do półki. Biała pigułka trzymana w dłoni dała jej poczucie spokoju. Łucja odchyliła głowę pozwalając tabletkę wpaść prosto do gardła. Usiadła ciężko na krześle spoglądając na nietkniętą dotychczas kopertę. Dziwne ciepło rozlało się jej po sercu. Z niecierpliwością rozdarła bok koperty, wyciągnęła kartkę papieru.

- Kochana moja, proszę przeczytaj ten list do końca.....

Zadrżała. Nachyliła się nad równym kaligraficznym pismem męża. Wgłębiła się w jego słowa. Po raz pierwszy od kilku miesięcy pozwoliła by mógł się wytłumaczyć, usprawiedliwić. Postanowiła, że go wysłucha, że da mu szansę. Może będzie umiała go nawet zrozumieć?

Na schodach było jeszcze ciemno. Ktoś na korytarzu znów wykręcił żarówkę i Łucja musiała oświetlać sobie drogę włączonym ekranem telefonu. Od aresztowania Michała nie była w piwnicy. To było jego królestwo. Jego narzędzia, motor, stare komputery, które namiętnie kupował na giełdzie i naprawiał poświęcając na swoje hobby cały wolny czas. Łucja wyciągnęła przed siebie ręce natrafiając na porozwieszoną dokoła pajęczynę. Przekręciła kluczyk w kłódce i nacisnęła kontakt. Mętne światło ukazało kontury kartonów, szafek, starych mebli. Łucja nachyliła się nad małym stolikiem stojącym w rogu piwnicy. Michał napisał, że tu położył torbę. Tak, była. Duża reklamówka z nadrukiem znanej zagranicznej firmy pokryta była kurzem. Łucja podniosła ją do góry. Drobiniki brudnego pyłu wpadły do jej nosa. Łucja kichnęła głośno. Zza załzawionych oczu wyłoniła się jej nagle twarz Michała. Dobra, pocziwa, szczerza. Łucja wzruszyła się nagle tym widzeniem. Przytuliła reklamówkę do piersi. Twarz Michał rozplynęła się tak nagle jak się pojawiła. Zamiast niej przed oczami stanęła jej Ulka. Łucję ogarnęła złość, wściekłość taka, że trudno było ją opanować.

- Komediantka, prawdziwa komediantka - jęknęła uderzając pięściami w zimną ścianę piwnicy. Głuche echo uniosło tę jej złość po całym, uśpionym jeszcze o tej wczesnej porze, bloku...

Ulka wróciła do domu nad ranem. Stała w progu zdziwiona widząc matkę siedzącą przy kuchennym stole.

- Czekałam na ciebie - Łucja próbowała nadać swojemu głosowi spokojny ton.

- Byłam u Aśki - Ulka prychnęła nerwowo - uczyłyśmy się razem do klasówki.

Łucja skinęła głową. Przyzwyczaiła się już do kłamstw córki. Wyciągnęła do niej rękę z reklamówką.

- To prezent od ojca - wolno przeciągała słowa.

- Przecież ojciec... - zająknęła się Ulka

- Co ojciec? Jest w więzieniu? - Łucja wbiła w córkę świdrujący wzrok - Za to, czego nigdy nie zrobił?

- Co ty? - Ulka podniosła głos - Po co miałabym kłamać?

- Choćby po to, żeby go ukarać. Wstrzymał ci kieszonkowe, zabronił noszenia tych wszystkich wyzywających strojów. Gonił do nauki.

Ulka zaniemówiła. Zupełnie nie była przygotowana na taki atak. Krwisty rumieniec rozlał się po jej twarzy.

- Dlatego wymyśliłaś to kłamstwo. Wciąż ci wszystkiego za mało.

- A ty? Ty jesteś inna? - Ulka odbiła piłeczkę - półka w łazience ugina się od twoich reklamowanych kremów, odżywek, perfum. Majątek wydajesz na bieliznę, pończochy, wyszczuplające pasy. Wierzysz w każdą reklamę, w każdy nowy preparat ujędrniający ciało, szampon, który nadaje włosom puszystość i blask. Całe mieszkanie zawalone jest reklamami a ty mi mówisz, że to ja? Że mnie wciąż wszystkiego za mało? - Ulka zasapała się od tej naglej krytyki.

Łucja zbladła. Zasłoniła rękami uszy. Nie chciała już więcej niż słyszeć.

- Tobie ojciec pozwalał na wszystko - Ulka nie umiała powstrzymać się od dalszych zarzutów - mnie nagle postanowił zmienić

- Jednak kupił ci to, o czym marzyłaś, czego dopominałaś się podczas ostatniej kłótni - Łucja podała Ulce przyniesioną w piwnicy reklamówkę - Chciał zrobić ci niespodziankę. Nie zdążył.

Ulka oparła się plecami o ścianę. Zaciśnęła ręce wpijając sobie paznokcie w dłonie. To prawda, że wrobiła starego w ten gwałt. To prawda, że wymyśliła sobie taki perfidny scenariusz. Dzięki niemu ojciec nie mógł się już jej czepiać a matka sypała coraz większą kasą. Za to, co zrobiła ojciec powinien ją znienawidzić. Sama siebie za to nienawidziła. Ale jak miała to wszystko odwrócić, jak powiedzieć prawdę, jak spojrzeć ojcu w oczy.

- Ten list wczoraj - Łucja wskazała palcem na blat stołu - to także do ciebie. Ojciec cię wciąż kocha. Liczy, że go odwiedzisz, że porozmawiacie...

Ulka rozplakała się nagle głośno, żałośnie, tkliwie. Chlipała nie wstydząc się ani łez ani swoich wyszeptanych słów:

- Jaka ja byłam głupia, jak głupia...

Za oknem szarzało. Ulka zapaliła lampkę i niżej pochyliła głowę nad kartką papieru. Wysunięty koniuszek języka przesuwiał się jej wolniutko po rozchylonych ustach.

- Kochany tato - powtarzała półgłosem pisane z namysłem słowa - straszna ze mnie komediantka, ale mam nadzieję, że mi przebaczysz. Dziękuję za nowy sweterek. Jest śliczny. Gdy wrócisz już nie będziesz musiał mi nic kupować. Mamie też. Postanowiłyśmy obie wydać reklamom wojnę. A przecież wiesz, jakie potrafimy być uparte...

Komu nudno?

Pokój. Z lewej strony ojciec w fotelu, na zmianę patrzy w telewizor lub czyta gazetę. Co chwila zmienia program pilotem (na magnetofonie nagrane różne „programy”). Na wprost przy ścianie jakaś szafka z garnkami, naczyniami, miskami - matka przygotowuje kolację. Po prawej stronie 10 letni chłopiec - Jasiek odrabia lekcje przy stoliku. Obok na biurku stoi wyłączony komputer. Przy ścianie regał z zabawkami, gramii itp. Pies śpi przy nogach Jaśka.

(przebrane za psa dziecko - może być tylko maska psa lub opaska z uszami na głowę).

Jasiek z hałasem zamyka zeszyty, książki, wkłada do plecaka. Woła:

-Już odrobiłem wszystkie lekcje, czy mogę na komputer?

Ojciec czytając gazetę :

-Już dzisiaj grałeś na komputerze, czy nie uważasz że to wystarczy?

Jasiek

-To może włączę bajkę?

Ojciec:

- O nie, za chwilę będą Wiadomości , czekam na nie już od godziny...

Matka ustawiając szklanki na tacy

- Za pół godziny kolacja, usiądź spokojnie i poczekaj...

Jasiek podnosi bezradnie ręce, siada jednak posłusznie na krzesło

- O rany, pół godziny to nieskończenie długo...

Ojciec nie odrywając oczu od telewizora

- Ja, gdy byłem mały to cieszyłbym się gdybym mógł posiedzieć trochę beczynn timer, ojciec gnał mnie do roboty przez cały dzień, nawet nie wiesz jak ty masz dobrze teraz...

Jasiek krzywi się, wierci się na krzesło, skubie palcami tapicerkę.

- Oj tato, nie ściemniaj, co było a nie jest nie pisze się w rejestr.

- Maaamooo!!! Nuudzęęęę sięęęę !!!!

Matka:

- To pobaw się czymś. Może tym nowym samochodem strażackim?

Jasiek podbiega do półki z zabawkami, bierze samochód, krzyczy:

- Samochodzik! samochodzik! To zabawka dla małych dzieci.

Ale jeździ samochodem wydając przy tym dźwięki jadącego samochodu (brum, brum) oraz naśladując klakson. Spogląda co chwila na ojca, jeździ blisko jego nóg, warkot samochodu staje się coraz głośniejszy. Rozradowany i rozochocony pies biega za Jaśkiem szczekając radośnie.

Ojciec krzyczy ze złością:

- Jasiek, czyś ty oszalał? Nic nie słyszę. Uspokój się natychmiast bo wyrzucę ten twój samochód za okno!

Jasiek siada na dywanie przestraszony. Chwila ciszy, ojciec znów przełącza jakiś kanał, matka kroi chleb . Chłopiec nie wytrzymuje i woła:

- Mamoo! Ja sięęęęę nudzęęęęę!

Matka patrzy zaniepokojona na męża

- Weź synku klocki, zbuduj dom albo garaż tylko po cichu, nie przeszkadzaj tatusiowi, bo to ważne co tatuś ogląda...

Jasiek bierze klocki, buduje dom. Specjalnie uderza nimi głośno patrząc przy tym na ojca. Wysoka budowlę popycha ręką, ta z hukiem rozpada się, pies znów podnosi „alarm”.

Ojciec woła:

- Jasiek, w tej chwili pozbieraj te klocki, wiesz że już mam dosyć tych twoich zabaw? Uszy puchną i zupełnie nic nie słychać!

Jasiek

- To co ja mam w końcu robić? Przecież ja się zanudzę na śmierć

Matka, śmieje się:

Oj Jasiek, nie przesadzaj, Zygmunt (matka zwraca się do męża) - to może Jasiek niech jeszcze idzie do tego swojego komputera?

Ojciec nie odpowiada. Jasiek pytająco patrzy na matkę, ta przyzwalająco kiwa głową. Chłopiec podchodzi do komputera, włącza go i zaczyna wydawać odgłosy strzelania, jakieś okrzyki zwycięstwa lub klęski itp. Przy tym skacze, macha rękami, podskakuje itp. Pies mu w tym towarzyszy.

Ojciec zrywa się z fotela, krzycząc zbliża się do syna, ten cofa się przed nim i wchodzi pod krzesło.

Ojciec nachyla się nad nim:

- Czy ja w tym domu nie mogę obejrzeć nawet wiadomości, jak nie strzelasz na komputerze to szalejesz na dywanie, bardziej rozbrykanego dziecka nie znam, Ty chyba masz ADHD, wylaż spod tego krzesła i posiedź spokojnie bo nie ręcę za siebie!!! A ty Lucek na swoje posłanie, już i przestań szczekać!

W tym momencie gaśnie światło

Jasiek woła:

- Mamo, boję się

Matka

- Już zaraz synku, mam tu gdzieś świeczkę, zaraz zapalę, poczekaj, nie ruszaj się, o już - zapalona - stawia świeczkę na stoliku przy którym Jasek odrabiał lekcje

Jasek siada przy stoliku.

Matka podchodzi do okna

- Chyba nie ma światła na całej ulicy, bo ciemno choć oko wykol. Zygmunt, może dla pewności sprawdź jednak korki!

Ojciec udaje sprawdzanie korków

- Nie, Marysiu, korki dobre, może gdzieś linię zerwało albo co innego, zaraz zadzwonię do pogotowia energetycznego

- bierze książkę telefoniczną, wykręca numer.

- Halo! Tu pogotowie energetyczne? nie mamy prądu... ulica Wita Stwosza... tak, jakieś dziesięć minut... tak... rozumiem... za ile? Czemu tak długo?... tak, tak rozumiem... no trudno... tak... poczekamy... pospieszcie się bo zaraz skoki mają być... tak... pan też jest pasjonatem skoków? No właśnie. więc pan rozumie... dobrze... dziękuję... do widzenia.

Matka:

- I co? I co?

Ojciec:

Awaria na Południowej, drzewo się przewróciło na linię wysokiego napięcia, spróchniałe było. Prąd będzie nie prędzej niż za dwie godziny. O Boże, a w telewizji skoki miały być i Interwencje...

Matka:

A ja miałam jeszcze pranie wstawić i odkurzyć pokój No cóż siadajcie do kolacji, zjemy dziś przy świeczce.

Matka przynosi jedzenie - siadają całą rodziną do stołu, jedzą w milczeniu i patrzą na siebie. Jasek robi śmieszne miny, potem mama, a później włącza się do zabawy ojciec. Nagle przy stole wybuchają wszyscy wesołym śmiechem.

Jasek trzyma się za brzuch i woła:

- Oj bo nie wytrzymam, chyba pęknę, tak mi się jakoś śmiesznie zrobiło I wcale nie nudno!

Matka

- To może byśmy w coś zagrali?

Jasek

-Tylko w co?

Ojciec

No to może w okręty?

Matka

- E nie, ja bym wołała w państwa i miasta!

Jasek

- A ja w Chińczyka, albo w młynek

Matka

- Nie, może lepiej w domino, chyba gdzieś tam u ciebie synku na półce stoi

Jasek

A ja to bym chciał w karty, w Piotrusia albo w wojnę

Ojciec

Nie lepiej w warcaby? albo w szachy? są gdzieś takie stare jeszcze po dziadku Franku

Matka

- A ja to uwielbiam scrabble

Jasek

A ja komiksy - poczytajcie mi komiksy! Albo rozwiążmy krzyżówkę, ja będę pisał litery, zgoda?

Ojciec

- No cóż, trudno wybrać, ale mamy całe dwie godziny, a może i dłużej, zdążymy zagrać w niejedną grę myślę że możemy zacząć od propozycji Jaśka. No Jasek co na początek? Chińczyk, Piotruś czy komiksy?

Jasek

- Może być Piotruś.

Chłopiec biegnie do szafki, przynosi karty, tasuje, rozkłada, gra rozpoczyna się, jakieś rozmowy, wyciąganie kart, śmiechy itp.

Kurtyna opada.

Przed kurtyną wychodzi Jasek ubrany w piżamę, śpiewa sobie pod nosem, ale tak żeby było słychać (na melodię „Panie Janie”)

Komu nudno temu nudno

A mnie nie, dzisiaj nie

bo dziś mama z tatą,

bo dziś mama z tatą
ze mną bawili się
ze mną bawili się

Komu nudno temu nudno
A mnie nie, dzisiaj nie
Bo każda zabawa
Wspólna z rodzicami
Fajna jest, fajna jest

Kłęka, składa ręce, robi znak krzyża
- W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.....
- Dziękuję Ci Panie Boże za dzisiejszy dzień, za to że mam tatę i mamę, za to że dziś ze mną grali w Piotrusia, Chińczyka, państwa i miasta, i w okręty, i w domino, i w inne gry. I że mi czytali Komiksy. Bardzo ich kocham...
(wolno i bardzo głośno)
I proszę Cię Panie Boże żeby jutro też zgasło światło....

Komunijne Prezenty

Hanna wpadła do mieszkania dysząc szybko od biegu. Po drodze kupiła kilka drobiazgów i trzeba będzie je jeszcze zapakować do torby. Pociąg do Zakopanego odjeżdża o osiemnastej. Musi jeszcze zamówić taksówkę i kupić bilety.
- Jestem - zawołała w progę.

Cisza, jaka jej odpowiedziała świadczyła o tym, że córki nie ma w domu. Hanna zajrzała do kuchni, łazienki, pokoju. Nagle jej wzrok padł na stolik stojący w rogu pokoju. Na leżącą na nim Biblię, łańcuszek z krzyżykiem, różaniec. Jeszcze rano stał na nim także laptop, pudełeczko ze złotymi kolczykami, odtwarzacz MP-4 i telefon komórkowy. Hanna wyrzwała oknem na balkon. Nie było także roweru. Boże! Ktoś okradł ich mieszkanie! Hanna chwyciła za telefon.

- Melduję rabunek - krzyknęła prosto do ucha dyżurnemu policji. Mężczyzna po drugiej stronie zaczął zadawać pytania.
- Nie, zamki są całe, nic nie jest porozrzucane. Telewizor? Jest. Meble też są. Zginęły tylko komunijne prezenty
- Hanna odpowiadała krótko i zdecydowanie.
- Czekam na was - rozkazała siadając ciężko na kanapie. Nagle owładnęła ją niepokojąca myśl. Co z pieniędzmi Elżuni? Zajrzała szybko do szafy. Uff, zwinięte w rulon banknoty leżały pod ręcznikami. Ale, co to? Na wieszaku nie ma białej sukienki? Tej ślicznej tiulowej kreacji, która przyleciała z Paryża samolotem? Elżunia wyglądała w niej jak prawdziwa królowa. Kiedy śpiewała Psalm wszystkie oczy skierowane były na nią. Hanna dobrze widziała w nich i podziw i zazdrość. Na dowód tego porobiła masę zdjęć a i Franio nagrał wszystko na filmowej taśmie.

Przygotowania do Pierwszej Komunii kosztowały dużo zachodu i pieniędzy. Ale warto było. Dziadek właśnie zafundował im ten weekend w górach. Elżunia wołałaby pewnie chodzić do kościoła z innymi dziećmi, trwał jeszcze Biały Tydzień, ale miejsca w Domu Wczasowym trafiły się akurat teraz.

- Pana Boga najlepiej w górach się czuje - tłumaczyła jej Hanna - Tam do Niego najbliżej. Niebo jest wtedy na wyciągnięcie ręki - śmiała się.

Dzwonek telefonu wyrwał ją ze wspomnień.

- Szcześć Boże !

Zdziwiła się tym powitaniem. Nikt tak do niej nigdy nie mówił.

- Chciałbym z panią porozmawiać na temat córki.

- Gdzie ona jest? – zmartwiała z przerażenia

- W kościele.

- W kościele?

- Proszę przyjść jak najszybciej.

W słuchawce zaległa cisza. O Boże! Co się mogło stać? Dlaczego ten Ktoś jej niczego nie wyjaśnił? Hanna chwyciła płaszcz, wsunęła pantofle i zbiegła po schodach. Droga wydawała się nie mieć końca. Szarpnęła drzwiami kościoła. Panujący w nim półmrok zamazywał kontury ławek, obrazów, konfesjonału. Hanna przetarła oczy. Przecież tu nikogo nie ma. Nagle skierowała wzrok na ołtarz. Teraz zobaczyła małą klęczącą postać w bieli. Obok oparty o klęcznik rower, na posadzce kilka ułożonych w gromadkę rzeczy. Są! Komunijne prezenty. Jaka ulga, jaka radość. Hanna podbiegła do córki. Zaczęła podnosić z podłogi przedmioty.

- Chodźmy - szepnęła nachylając się ku córce. Mała odwróciła głowę. W jej jasnych oczach promieniowało dziwne światło. Komunijny wianuszek z drobnych perełek rozświetlił dziewczęcą główkę jak świetlista aureola. Jej córka wyglądała jak prawdziwy Aniołek

- Mamuś - i właśnie ten Anioł do niej przemówił - te rzeczy podarowałam Panu Jezusowi. Żeby pokazać Mu jak Go kocham. Ty też Go tak kochasz jak ja, prawda?

Hanna zadrżała z wrażenia. Klękła obok córki, objęła ją ramieniem. Chrystus z obrazu uśmiechał się do nich tak czule. Po raz pierwszy od wielu lat poczuła w sobie Jego obecność. Mogłaby teraz zapłakać. Ukryty w konfesjonale ksiądz mocniej nacisnął koralik różańca. Błogi uśmiech rozlał się na jego twarzy. Dobrze, że nie wyprosił tej Małej z kościoła. Dla takiego pięknego widoku warto było żyć.

Kontuzja

Maria spojrzała na zegarek. Taksówka nie nadjeżdżała a jej się bardzo spieszyło. Przed chwilą dostała dramatyczną wiadomość.

- Maciek jest w szpitalu - głos męża drżał ze zdenerwowania.
- W szpitalu? - zapytała nieprzytomnie - przecież miał być na kółku literackim.
- Był na meczu. Złapał kontuzję. Coś z kolanem. Właśnie go operują.
- O Boże! - Maria zatrzęsała się ze strachu - Przecież wiesz, że Maciek się do sportu nie nadaje. Znow go zaciągnąłeś na boisko?
- Chłopak powinien umieć grać w piłkę - mąż odparł nagły atak - to ty robisz z niego maminsynka.
- Wiem co dla niego jest najlepsze - Maria krzyknęła w słuchawkę.
- Jak zawsze – mąż skwitował natychmiast.

Od kiedy Maciek się urodził wciąż się ze sobą spierali. Krzych chciał zrobić z niego silnego faceta co to nie płacze, jest samodzielny i radzi sobie w każdej sytuacji. Nie rozumiał, że z dzieckiem trzeba inaczej, że trzeba miłością, łagodnością. Taki maluch się dopiero wszystkiego uczy, poznaje. Powinien mieć szczęśliwe dzieciństwo a nie płakać z powodu zbyt dużych wymagań. Maciek zamiast fikołków z ojcem wołał zabawę samochodzikami. Zamiast wyścigów na nartach budowanie z klocków. Zamiast wybryków w basenie - oglądanie bajek w telewizji. Teraz mąż wymyślił tę niebezpieczną grę w piłkę. Zupełnie bezrozumnie. Wciąż złościł się na niego

- Co z ciebie za facet? Nieudacznik taki, niedorajda. Trochę więcej życia sportowego ci potrzeba a nie tylko książek.

To nieprawda, że Maciek był nieudacznikiem. Pani w szkole chwaliła go za wyniki w nauce. Więc Krzych zupełnie nie miał racji.

Pisk zatrzymującej się taksówki wybił ją z rozmyślań. Westchnęła z ulgą. Za chwilę przytuli swojego synka, otoczy go swoimi ramionami i wybije Krzychowi ten pomysł z piłką z głowy. Niech nie myśli, że pozwoli mu na jego nowe eksperymenty. W końcu to matki wychowują swoje dzieci i wiedzą jak to robić najlepiej.

Taksówka zatrzymała się przed szpitalem. Maria w biegu zapłaciła za kurs i już była na schodach. Na końcu długiego korytarza zamajaczyła jej postać męża. Nie umiała powstrzymać krzyku.

- To znow przez ciebie Maciek cierpi - rozplakała się histerycznie - co to za ojciec, który posyła dziecko na rzeź. Bońka chciałeś z niego zrobić? Lubańskiego?

- Uspokój się - mąż rozejrzał się dokoła czy nikt tego nie słyszy - Jaka rzeź? Normalna kontuzja. Każdemu się może zdarzyć.

- Jak ty nic nie czujesz! – Maria zatrzęsała się z nerwów.
- Doktorze! - chwyciła przechodzącego chirurga za rękaw fartucha - muszę zobaczyć się z synem.
- Tylko na minutkę - lekarz zatrzymał się przy nich na chwilę - on teraz potrzebuje dużo spokoju.

Zatrzymali się na progu sali. Maciek leżał z nogą podniesioną na wyciągu. Jego szczupła twarz była przeraźliwie blada. Chude ręce złożone nieruchomo na piersiach przypominały raczej owiniętą bandażami kukłę niż ich ukochane dziecko.

- Synku - Maria klękła przy łóżku jak przed świętym obrazem - co też ci ten ojciec zrobił.
- Mamo - szept Maćka przedarł się jakoś przez jej szloch - to była moja wina.
- Nie twoja - Krzych podniósł głos - gdyby matka tak cię nie wydelikaciła, ten atleta Jacek by cię w życiu nie powalił.
- Gdybym ja go nie chroniła to by się jeszcze gorsze nieszczęście stać mogło - Maria podniosła się z podłogi, oczy rozblęśły jej gniewem - Już więcej ci na takie decyzje nie pozwolę!
- To jest także mój syn - Krzych jak zwykle nie panował nad głosem - i będę go wychowywał po swojemu.
- Wynoście się stąd! - Maciek uniósł z wysiłkiem głowę. Jego splecione dłonie zaczęły drżeć jak w febrze.
- No coś ty, Maciek? - Maria zdumiała się nagłym wybuchem syna - przecież my wszystko dla ciebie.
- Wynoście się - chłopak załkał jak dziecko. Odwrócił się do nich plecami. Stali nieruchomo jakby ktoś nagle raził ich piorunem. Patrzyli na siebie nic nierozumiejącymi oczami. Ich syn ich wyrzucał z sali a oni zupełnie nie wiedzieli dlaczego...

Królewicz

Ruch na ulicy wyraźnie zmalął. Rafał dodał gazu. Minął skrzyżowanie na czerwonym świetle. Jak dobrze, że przypomniła mu się Krystyna. To nowa przyjaciółka Beaty. Żona ostatnio coś o niej wspominała. Że mieszka na tym nowym osiedlu pod lasem. Rafał popyta lokatorów. Rozejrzy się po okolicy. To jest ostatni ślad. Objeździł już wszystkich znajomych, sprawdził wszystkie znane adresy. Żona zniknęła jak kamfora. Co gorsza zabrała ze sobą Agatkę. Rafał zahamował gwałtownie. Podniósł do ucha dzwoniący telefon.

- No i co synku? - mama pytała już chyba dziesiąty raz - znalazłeś zgubę?

- Nie, jeszcze nie - Rafał odpowiadał z niechęcią. Telefony od mamy stawały się zbyt częste a on nie mógł zupełnie się skupić.

- Powiedz mi czy Beata zabrała biżuterię?

- Mamo! Ty teraz o błyskotkach?

- To nie żadne błyskotki. Ta złota kolia to jeszcze po twojej babci. Beata nie miałaby prawa jej zabierać.

- Nie wiem co zabrała Beata. To teraz nieważne

- Jak to nieważne? - matka zachłysnęła się ogarniętą złością - ta twoja Beata może nie wracać, ale to co nasze powinna oddać.

- Przecież podarowałaś jej tę kolię w dniu naszego ślubu.

- Zaraz podarowałaś! Skąd mogłam wiedzieć, że Beata nie zasługuje na takie prezenty!...

- No co też ty...

- Sam opowiadałeś jaka jest niegospodarna, leniwa, nieporządna.

- Mamo!

- Co mamo! Nie do takiego życia cię wychowałam. Beata nie potrafi ci dogadzać tak jak ja. Kto ci prasuje koszule? Kto kupuje gazety? Piwo też w mojej lodówce zawsze na ciebie czeka. Szukałeś lepszego po świecie choć miałeś je pod nosem - matka nadawała jak zwykle bez dłuższego przystanku.

- Znajdę ją. Namówię do powrotu.

- Ani mi się waż. Niech tylko odda, co zabrała. Wracaj z Agatką. Zrobię wam kopytko.

Kopytko. Takich kopytek jak robiła matka nie uświadczyl jeszcze nigdzie. Beata próbowała, ale jakoś nie miała do tego daru. W ogóle nie miała daru do niczego. Ani do gotowania, ani do sprzątania ani do dbania o dziecko. Nie to, co mama. Przy niej zawsze czuł się bezpiecznie, zawsze wszystko zrobione było na czas.

- Szkoda mi ciebie synku. Nie o taką żonę dla ciebie się modliłam - żaliła się, gdy opowiadał jej o swoich z Beatą problemach. Rafał jednak wątpił, czy matka w ogóle się modliła o jakąkolwiek żonę dla niego. Wciąż go namawiała, żeby do niej wrócił. Był jej oczkiem w głowie, jej jedyną miłością. Ojciec zostawił ich tak dawno.

„Mój ty królewiczu” - tak go nazywała przez wszystkie lata dzieciństwa. „Mój ty królewiczu” - mawiała także później, nawet wtedy, gdy zdał maturę i skończył studia. „Mój ty królewiczu - wdychała tklíwie, gdy coraz częściej wpadał na jej smaczne obiady już po ślubie z Beatą. Jak takiej matki nie kochać? Jak nie wierzyć, że pragnie jego dobra? Jego szczęścia?

Samochód wjechał na nowe osiedle. Rafał włączył wycieraczki. Zaczynało padać i trudno było patrzeć przez mokre szyby. Jak on teraz znajdzie jakąś tam Krystynę. Będzie musiał chyba wędrować od domu do domu, pytać napotkane osoby. Ludzie już zaczynali rozpinać parasole, niechętnie będą udzielać informacji. Może zadzwoni jeszcze raz do żony. W końcu kiedyś musi odebrać telefon od niego. Ale najpierw się zatrzyma i zapali. Uspokoi skołatane nerwy. Papierosy powinny być w szufladce. Beata próbował go co prawda namówić na niepalenie, ale matka zawsze wciskała mu paczkę papierosów do kieszeni, gdy od niej wychodził.

- Co to za facet, co nie ma żadnych nałogów - mawiała za każdym razem żegnając go w progu - w domu możesz nie palić skoro twojej żonie dym szkodzi - dodawała zgryźliwie - u mnie możesz wszystko. Pamiętaj tu nadal jest twój dom.

Jego dom. Jego mama. Jego życie. Gdzie w nim było miejsce na Beatę, na Agatkę? Jak sobie wyobrażał to ciepłe miejsce do którego się wraca z radością i tęsknotą? Rafał zaciągnął się mocno dymem. Zakręciło mu się w głowie. Oparł głowę o siedzenie fotela. Przymknął oczy. Jak to się mogło stać, że jego żona uciekła od niego. Jak on mógł do tego dopuścić. Przecież nie był aż takim złym mężem, ani takim złym ojcem. Że więcej przebywał u mamy? Że wołał spokój i ciszę jej domu? W końcu jednak zawsze wracał. Beata nie mogła mu zarzucić, że ją zdradza albo łązi z kumplami po knajpach. U mamy też przecież nie bywał codziennie. W środę na przykład przesiedział cały wieczór w domu. Aż Beata zapytała zdziwiona.

- Królewicz zapomniał dziś odwiedzić mamusię?

Zdenerwował go jej sarkastyczny ton. Wyczuwał w nim ironię.

- Nie zapomniał, tylko chciał pobyć z rodziną - odpowiedział jednak grzecznie.

- Z jaką rodziną? - zapytała robiąc wielkie oczy.

- Z tobą. Z dzieckiem - odpowiedział nagle niepewnie.

- My twoją rodziną? - znów ten kpiący ton - myślałam, że prócz mamusi nie kochasz nikogo.
- Chyba nie jesteś zazdrosna o moją mamę? - podszedł do barku by nalać sobie drinka. Takie rozmowy wyprowadzały go z równowagi. Powtarzały się regularnie co jakiś czas.
- Nie jestem zazdrosna - odpowiedziała smutno - Po prostu mi ciebie żal, nas mi żal. W końcu będziesz musiał wybrać.
- Dziwne stawiasz mi ultimatum - jak można wybierać między matką i żoną. Przecież wiesz, jak mama mnie kocha.
- Ja nie? Myślisz, że ja ciebie nie kocham?

Przyjrzał się Beacie jakby po raz pierwszy ją zobaczył. Co to za pytanie! Jasne, że żona musi go kochać. Inaczej nie byłoby ze sobą od kilku lat. Ale przecież nie tak go kocha jak mama, jak ta co go nosiła pod sercem, co go urodziła, wychowała. Jak można taką miłość porównywać, jak można kazać wybierać.

Rafał zatrząsł się na wspomnienie tamtej rozmowy. Beata go nie rozumiała. Nie rozumiała, że żadna inna kobieta nie zastąpi matki, takiej matki. Nie rozmawiali już więcej na ten temat. Rafał nie przeczuwał nawet, że żonę będzie stać na taki numer. Że zostawi go jakby nic dla niej nie znaczył. Mama napomykała coś o braku uczuć Beaty do niego. Że nietroskliwa, mało opiekuńcza, zapatrzona w siebie. Ale żeby aż do tego stopnia, by burzyć ich wspólny dom? By nie oglądając się na nic odejść zostawiając tylko krótki list na stole i puste półki w szafach? I jego Rafała winić za brak więzi, za samotność, za małżeńską obcość?

Dźwięk telefonu przerwał mu rozważania. Może to w końcu Beata daje o sobie znać. Będzie mógł więc z nią porozmawiać, wyjaśnić, zapytać, o co tak naprawdę chodzi.

- Synku - to jednak znów mama - znalazłam chyba adres tej Krystyny o której wspominałeś. Jest tu także numer telefonu.
- Gdzie? - zapytał zaskoczony. Matka potrafiła wytrzasnąć potrzebne wiadomości nawet spod ziemi.
- Był w pamiętniku twojej Beatki.
- W jakim pamiętniku? Skąd go masz? I gdzie ty właściwie jesteś.
- Jak to gdzie? U ciebie w domu.
- U nas? Co ty tam robisz?
- Właśnie przestawiałam meble w sypialni, kiedy z łóżka wypadł ten pamiętnik. Czytam go już od pół godziny. Żebyś ty wiedział co ta twoja żona w nim wypisuje!
- Mamo! Przecież tak nie wolno. To pamiętnik Beaty. Mieszkanie też nie twoje, Beata będzie zła, że urządzasz je po swojemu.
- Mieszkanie nie jest moje? A kto spłaca kredyt, kto dał wam na nową kuchnię, na kanapę, fotele! Zresztą, Beata nie ma po co wracać. Mam nadzieję, że jej już nie wpuścisz.
- Przecież to moja żona!
- Twoja była żona. Sama wybrała. Nie martw się, przeżyjemy jakoś rozwód, wywalczymy dziecko.

Rafał jęknął zupełnie zdezorientowany. Matka znów próbuje ich rozdzielić. A on oczywiście zrobi tak jak ona zechce.

- Mamo - wydusił wbrew jej oczekiwaniom - ale ja ją kocham.

- Bardziej niż mnie? - matka wyciągnęła najczulszą broń.

- Nie bardziej. Inaczej.

Cisza, jaka zapadła między nimi nie była wygodna. W końcu Rafał usłyszał po drugiej stronie głębokie westchnienie.

- Nic nie rozumiesz synku. Nikt tak cię nie będzie kochał jak ja.
 - Wiem mamo. Ale ja mam swoje życie, swój dom i żonę. Pozwól mi ratować to, co jeszcze nie całkiem stracone.
- Matka nie odpowiedziała. Będzie musiał stawić jej czoła. Jej i jej zaborczości, temu w jaki sposób zawładnęła jego życiem. Spróbuje o swoje szczęście zawałczyć. Ono przecież nie przychodzi do leniwych i czekających na cud. Rafał właśnie poczuł w sobie tę moc, która dodaje skrzydeł. Był gotów na wszystko. Byle tylko Beata zechciała, byle tylko mama nie przeszkodziła.

Ulica opustoszała zupełnie. Gdzieś tam tylko przemykała się jakaś samotna postać pod parasolem. W oknach domów kolejno gasły światła. A on Rafał siedział od dwóch godzin w samochodzie i obserwował ciemne okna. Za którymś z nich była jego żona i dziecko. Może za tamtym w którym zamajaczyła jakaś postać? Rafał włączył ogrzewanie. Od długiego siedzenia zdrętwiały mu nogi i plecy. Dziwne dreszcze przepływały wzdłuż kręgosłupa. Może tak wyłaziły z niego nerwy? Godzinę temu zadzwonił do Beaty. Nagrał się jej na pocztę głosową. Teraz będzie czekał. Jeśli będzie trzeba to nawet do rana. W końcu żona kiedyś wyjdzie z domu. W końcu kiedyś z nim będzie musiała porozmawiać...

Kto miał rację?

Maria spojrzała na zegarek. Taksówka nie nadjeżdżała a jej się bardzo spieszyło. Przed chwilą dostała dramatyczną wiadomość.

- Maciek jest w szpitalu - głos męża drżał ze zdenerwowania.
- W szpitalu? - zapytała nieprzytomnie - przecież miał być na kółku literackim .

- Był na meczu. Złapał kontuzję. Coś z kolanem. Właśnie go operują
- O Boże! - Maria zatrzęsła się ze strachu - zawsze postawisz na swoim. Przecież wiesz, że Maciek się do sportu nie nadaje. Znow go zaciągnąłeś na boisko?
- Chłopak powinien umieć grać w piłkę - mąż odparł nagły atak - to ty robisz z niego maminsynka
- Wiem co dla niego jest najlepsze - Maria musiała postawić na swoim.
- Jak zawsze - mąż skwitował natychmiast.

Od kiedy Maciek się urodził wciąż się ze sobą spierali. Krzych chciał zrobić z niego silnego faceta co to nie płacze, jest samodzielny i radzi sobie w każdej sytuacji. Nie rozumiał, że z dzieckiem trzeba inaczej, że trzeba miłością, łagodnością. Taki maluch się dopiero wszystkiego uczy, poznaje. Powinien mieć szczęśliwe dzieciństwo a nie płakać z powodu zbyt dużych wymagań. Maciek zamiast fikołków z ojcem wołał zabawę samochodzikami. Zamiast wyścigów na nartach budowanie z klocków. Zamiast wybryków w basenie - oglądanie bajek w telewizji. Maria była przekonana, że Maciek się tego wszystkiego boi. Krzych nie mógł zrozumieć, że dlatego zabraniała mu wypraw do lasu czy w góry. Teraz znow mąż namówił syna na tę niebezpieczną grę w piłkę. Zupełnie bezrozumnie. Jeszcze nie tak dawno złościł się na niego.

- Co z ciebie za facet? Nieudacznik taki, niedorajda. Nawet sprzątać za ciebie matka musi. Masz dwie lewe ręce czy co?

Nie musiała sprzątać za Maćka, lecz chciała. Robiła to szybciej, staranniej, po kobiecemu. Nieudacznikiem też Maciek nie był. Pani w szkole chwaliła go za wyniki w nauce. Więc Krzych zupełnie nie miał racji...

Pisk zatrzymującej się taksówki wybił ją z rozmyślań. Westchnęła z ulgą. Za chwilę przytuli swojego synka, otoczy go swoimi ramionami i wybije Krzychowi ten pomysł z piłką z głowy. Niech nie myśli, że pozwoli mu na jego nowe eksperymenty. W końcu to matki wychowują swoje dzieci i wiedzą jak to robić najlepiej.

Taksówka zatrzymała się przed szpitalem. Maria w biegu zapłaciła za kurs i już była na schodach. Na końcu długiego korytarza zamajaczyła jej postać Męża. Nie umiała powstrzymać krzyku.

- To znow przez ciebie Maciek cierpi - rozplakała się histerycznie - co to za ojciec, który posyła dziecko na rzeź.

Bońka chciałeś z niego zrobić? Lubańskiego?

- Uspokój się - mąż rozejrzał się dokoła czy nikt tego nie słyszy - Jaka rzeź? Normalna kontuzja. Każdemu się może zdarzyć

- Jak ty nic nie czujesz! - Maria zatrzęsła się z nerwów - Gdzie on jest? Chcę go zobaczyć!

- Lekarz mówi, że nie wolno. Że Maciek nie chce nikogo widzieć.

- Może ciebie nie chce widzieć, ale ja jestem jego matką.

- Panie doktorze - zatrzymała przechodzącego lekarza - Mój syn miał operację na kolano, muszę się z nim zobaczyć.

- Pani wybaczy, ale rozmawia z nim psycholog. Syn jest załamany.

- Załamany. Z nogą coś nie tak?

- Nie, noga za kilka tygodni będzie sprawna. Tylko on się boi spotkania z państwem.

- Z nami? - Maria uchwyciła się dłoni męża - Dlaczego?

- Płacze, że będziecie się kłócić, że będziecie się nawzajem obwiniać za ten wypadek.

Spojrzeni po sobie zaskoczeni. Po raz pierwszy zabrakło im słów. Maciek płacze z ich powodu? Nigdy nie myśleli, że on tak ich widzi.

- Proszę mu powiedzieć, że my już nigdy... - Krzych poczerwieniał ze wstydu.

- Nigdy - Maria powtórzyła za mężem jak echo.

Lekarz uśmiechnął się blade, ale skierował kroki na pooperacyjną salę. Poszli za nim w zupełnym milczeniu.

Nadzieja

To był trudny dzień. Od miesiąca robili ten projekt i jeszcze nie był dopięty na ostatni guzik. Wanda zadzwoniła do najstarszej córki by przygotowała coś na obiad, bo znow wróci z pracy później ale nikt nie odbierał słuchawki. Pewnie Gosia poszła do biblioteki a maluchy nie wróciły jeszcze ze świetlicy. Zupełnie nie miała czasu dla swoich dzieci. Może w weekend, gdy przyjedzie Mąż wybiorą się gdzieś razem. Antek z Magdą uwielbiali wspólne wyprawy. Gorzej było z Gosią. Odsunęła się jakoś od nich. Zmizerniała, wychudła. Przysiadowała wiecznie zamknięta w swoim pokoju i kuła tę swoją biologię wierząc, że upragniona medycyna jest w zasięgu ręki. No cóż. Kiedy się ma marzenia trzeba mieć i siłę by je zrealizować. Wanda wróciła do pracy. Na obiad kupi coś w powrotnej drodze. Teraz jednak musi się skupić na projekcie. Chyba przyszło jej do głowy fantastyczne rozwiązanie.

Sygnal komórki zadzwonił nagle, aż podskoczyła przestraszona.

- Mamuś, nie możemy wejść do domu-usłyszała w słuchawce płaczliwy głos synka - dzwonimy i pukamy a Gośka nie chce nam otworzyć.

- Idźcie do pani Jeremiakowej a ja spróbuję to jakoś wyjaśnić.

Telefon Gosi jednak nadal milczał, choć wystukiwała numer kilka razy. Dziwny niepokój wśliznął się do jej serca.

- Rafał, muszę biec do domu, Gosia jeszcze nie wróciła i a jej telefon milczy - krzyknęła do kolegi.

- Pewnie poszła na randkę a ty panikujesz.

- Nie, nie! - Wanda pokiwała przecząco głową. Chłopak Gosi nie pokazywał się u nich w domu, co najmniej od pół roku. Drogę do domu przebiegła w kilkanaście minut. Otworzyła drzwi mieszkania. Zajrzała do pokoju, kuchni, łazienki. Pusto. Nacisnęła klamkę do pokoju Magdy. Zamknięte na klucz. Spojrzała na zegarek. Osiemnasta. Gdzie u licha Magda mogła pójść. Może Ulka coś będzie wiedziała na jej temat ?

- Nic nie wiem - Ulka stała w drzwiach swojego mieszkania - Nie widziałam jej już kilka dni. Bo widzi pani, Magda przestała chodzić do szkoły

- Jak to przestała chodzić do szkoły?

- Lepiej niech pani z nią porozmawia sama - koleżanka Magdy zamknęła jej drzwi przed nosem.

Coś niedobrego musiało się dzieć z córką a ona Wanda tego zupełnie nie zauważyła. Rzeczywiście Magda chodziła ostatnio smutna, zgaszona, bez humoru. Przemykała się po mieszkaniu jakby się czegoś bała. Nawet posiłki zabierała do swojego pokoju. Wanda myślała, że to strach przed egzaminami. Taki stres związany z nauką. A tu Magda w ogóle nie chodzi do szkoły.

Nagle w pokoju Magdy coś zachrobotało. Ktoś poruszał się wolno. Wanda zaczęła szarpać klamką.

- Magda, otwórz!

Córka stanęła w drzwiach dziwnie blada. Ledwie trzymała się na nogach przytrzymując się futryny.

- Magda, co z tobą - krzyk Wandy złął się z odgłosem upadającego ciała. Chwyciła córkę na ręce, podniosła do góry. Boże! Jakaż ona była lekka, jaka leciutka.

- Trzeba zadzwonić po pogotowie, trzeba ją ratować.

Wanda rozplakała się. Nie umiała łkania powstrzymać nawet wtedy, gdy pojawił się lekarz, gdy zbadał Magdę i szorstkim głosem oświadczył:

- Pani córka jest zupełnie wycieńczona. To anoreksja.

- To niemożliwe! - rzuciła mu w twarz. Spojrzał na nią zimno. Uciekła spojrzeniem na leżące ciało córki. Na jej chude ręce, nogi.

- Dlaczego mi to robisz? - zawołała uniesiona dziwną rozpaczą. Ale Magda leżała z zamkniętymi oczami nie wydając żadnego dźwięku. Więc wtuliła tylko twarz w jej piersi i rozplakała się na nowo

- Zabierzemy pani córkę do szpitala - powiedział już trochę łagodniej lekarz - może uda nam się ją z tego wyciągnąć.

Wanda spojrzała na niego z wdzięczności. Taka właśnie nadzieja była jej teraz bardzo potrzebna.

Najpiękniejszy prezent.

Wybrali się do sklepu zaraz po szkole. Jacek obiecał dzieciakom nowy komputer. To miał być prezent za dobre świadectwa. Właśnie oglądali nowy sprzęt, gdy zadzwonił telefon.

- Tak? - Jacek przyłożył aparat do ucha.

- Mógłbyś zaraz przyjechać? - zapytała żona.

- Zapomniałaś, że kupujemy komputer?

- Nie zapomniałam - Anna ściszyła głos - wyniki są złe, jutro idę na operację.

- Jutro? - prawie krzyknął, aż dzieciaki spojrzały na niego z przestraszonym - już jadę.

- A komputer? - Piotrek patrzył z niedowierzaniem, kiedy tata ruszył nagle ku wyjściu.

- Komputer nie zajac - nie ucieknie - zażartował smutno Jacek, gdy wychodzili ze sklepu.

Anna była zdenerwowana. Początek wakacji a ona się rozchorowała. Nici z wyjazdu nad morze.

- Nic się nie martw - Jacek głaskał ją po rękę - zostanę z tobą.

- A dzieci? - Anna miała oczy pełne łez - Powinny wyjechać choć na trochę z miasta.

- Zawiozę je do twojej mamy.

- Jest w sanatorium.

- Może twoja mama by się nimi zajęła? - Anna rzuciła cicho nie patrząc na męża.

- Co też ci przyszło do głowy. Nie zgodzi się.

- Zapytaj ją.

Skinął głową bez przekonania. Ale spróbować może. Wykręcił numer telefonu.

- Przypomniałeś sobie o matce synku - matka zawsze witała go wymówką gdy do niej dzwonił.

- Zawsze o tobie pamiętam - odpowiedział.

- Raczej o sobie i o swojej żonie. Pozwoliła ci zadzwonić?

- Mamo! - powiedział rozżalony.

- Co mam! - podniosła głos.
- Chciałbym ci na kilka dni przywieźć dzieci - udał, że nie wyczuł jej ataku.
- Anna się zgodziła? - znów ta kpiąca nuta w jej głosie.
- Anna jest chora. Poważnie chora. Jutro ma operację.
- W słuchawce zaległa nagle cisza. A potem usłyszał jej głos.
- Przyjeżdżajcie synku. Czekam jutro od samego rana.

Anna czuła się coraz lepiej. Dwa tygodnie temu wróciła ze szpitala. Stęskniła się za dziećmi. Jacek miał w pracy urwanie głowy i nie mógł po nie jechać.

- Właśnie oglądała coś w telewizji gdy usłyszała pukanie do drzwi.
- Jesteśmy - teściowa stała na progu obławowana pakunkami. Dzieciaki rzuciły się Annie na szyję. Opalone, radosne, takie jakieś inne.
- Wiesz, że Lucka się oszczeniła? - Asia już zdawała najświeższe relacje - ma cztery małe puszyste szczeniaczki. Mam, mogę wziąć od babci jednego - prosiła patrząc błagalnie Annie w oczy.
- Jak tam wolę konie - wtrącił się do rozmowy Piotrek - Babcia zapisała mnie na konną jazdę. Trener powiedział, że siedzę w siodle jak prawdziwy jeździec.
- Na wsi jest po prostu ślicznie. Drzewa, kwiaty, motyle - zachwyciła się Zosia. - Babcia ma takie sztalugi i pełno farb do malowania. Nauczyła mnie jak to się robi. Zobacz, przywiozłam kilka obrazków - Zosia już wyjmowała z torby swoje malowidła.

- Anna nie wiedziała, kogo słuchać. Nagle przypomniła sobie o prezencie. Otworzyła drzwi drugiego pokoju.
- A oto wasz nowy komputer - powiedziała wskazując ręką na biurko.
- Komputer? - Piotrek zrobił minę jakby nie wiedział, o co chodzi - Zupełnie o nim zapomniałem. Bo wiesz, u babci jest zupełnie inaczej. Tam nie ma ani telewizora, ani komputera, a tyle się dzieje.
- Pamiętacie jak zbudowaliśmy szałas z gałęzi i koców i jak babcia rozpałała ognisko i mogliśmy tam spać całą noc?
- przypomniła Zosia
- Aśka się trochę bała - Piotrek spojrzał na młodszą siostrę.
- Też byś się bał gdyby ci żaba chodziła po nodze...
- To nie była żaba tylko zaczarowany książę - babcia wtrąciła się do rozmowy.
- Roześmiali się. A potem na wyścigi zaczęli przypominać sobie wszystkie wesołe wakacyjne historie.
- To był najwspanialszy prezent te wakacje u babci - powiedział na końcu Piotrek - lepszy niż komputer.

Anna uśmiechnęła się do synka. Zobaczyła jego roziskrzone oczy, rozradowane twarze wszystkich swoich dzieci i teściową rozmawiającą z nimi jak z przyjaciółmi. Próbując przekrzyczeć wesoły gwar swojej rozbrykanej gromadki zawołała:

- Może zostaniesz u nas na dłużej, mam...

Nie odchódź!!!

Miała może siedem, może osiem lat, sterczące kucyki, rudą grzywkę i konstelację piegów na pociągłej twarzyczce. Stała za metalową siatką ogradzającą bogate blokowisko od tej mniej zamożnej części małomiasteczkowego społeczeństwa. Jej małe, delikatne rączki siniały od długiego trzymania w górze i ściskania wpijających się w dłonie prętów. Krótka sukienka odsłaniała chudziutkie nogi, pełne zadrapań i siniaków zbieranych zapewne podczas karkołomnych letnich przygód. Przyklejona do ogrodzenia patrzyła chciwie na bawiące się w piaskownicy dzieci, na ich rodziców, zabawki... Wysunięty język zlizywał kurz z metalowych oczek siatki, a nogi od długiego stania drżały jak brzoźowe listki i to drżenie szło wzdłuż chłopięcych jeszcze bioder, pochylonych ramion zatrzymując się na rozwichrzonej grzywce.

- Widzi pan tą małą? - młoda kobieta zwróciła się do swego sąsiada, siedzącego na ławce obok niej.
- Przychodzi tu codziennie i wisi na tym płocie przez kilka godzin. Biedna mała, ma takie smutne oczy, jakby nieszczęście ją jakieś wielkie spotkało...

Mężczyzna omiół wzrokiem małe stworzonko przy płocie i szybko skierował spojrzenie ku dziecku bawiącemu się w piaskownicy. Chłopiec przesypywał piasek z wiaderka do żółtej foremki. Nagle zaczął machać rączkami i wypływać drobne kamyczki, które wpadły mu do otwartej z przejęcia i wysiłku buzi.

- Adasiu, poczekaj - mężczyzna zerwał się z ławki, przykucnął przy małym grubasku i wyciągniętą z kieszeni chusteczką zaczął wycierać twarz i rączki synka. Mały pluł i śmiał się jednocześnie a mężczyzna patrzył na niego z uwielbieniem i miłością. Momentami jego wzrok uciekał spojrzeniem ku dziewczynce zza płotu, ale szybko wracał skrywając się za opuszczonymi powiekami.
- Pan to chyba kocha dzieci - kobieta uśmiechnęła się do mężczyzny, gdy zajął ponownie miejsce na ławce. Ale

sąsiad nie odezwał się, odsunął się trochę, jakby chciał się odgradzić od natarczywej sąsiadki.

- To od razu widać gdy mężczyzna lubi dzieci - ciągnęła niezrażona milczeniem mężczyzny kobieta - gdy umie się z nimi bawić, gdy ma dla nich czas. Wie pan, mój mąż to robi wszystko żeby się urwać z domu. Mówi, że go krzyki Pawełka i Stasia wykończą, że nie może ani telewizji obejrzeć, ani gazety przeczytać. I żeby tak jak pan z dzieckiem na spacer wyjść, to by się musiał chyba cud stać. A pan to ma cierpliwość do Adasia. No, ale Adaś to dobry chłopiec, taki mądry, inteligentny, niczego mu pewnie nie brakuje - jednak przecież, nie to co moich dwóch urwisów, wszystko muszę kupować podwójnie, a i tulić muszę jednocześnie bo tacy zazdrośni są jeden o drugiego.

Mężczyzna niecierpliwie podwinął rękaw marynarki i spojrzał na zegarek. Kobieta bez skrępowania przysunęła twarz do przegubu jego dłoni.

- Widzi pan, już prawie godzina minęła a ta mała wciąż jeszcze tam sterczy... Musi chyba jakąś sierotą być, że tak ciągle sama i sama jakby nikogo bliskiego nie miała...

Mężczyzna skierował wzrok w kierunku dziewczynki. Ich oczy spotkały się na moment... Mała przywarła mocniej do siatki, wyciągnęła swe chude ciało stając na palcach. Mężczyzna znieruchomiał na chwilę, po jego twarzy przebiegł dziwny grymas, coś na kształt strachu, lęku a może nawet paniki... Zerwał się z ławki i zaczął spacerować nerwowo po chodniku. Rzucił niespokojne spojrzenie to ku dziecku bawiącemu się w piasku, to ku dziewczynce za płotem, to ku oknu na piątym piętrze. Z kieszeni spodni wyjął papierosa, zapalił...

Dziewczynka przykucnęła. Jej sukienka wydęła się jak balon. Drobną dziecinna twarzyczka wydawała się teraz jeszcze bardziej szczupłą, jeszcze bardziej blada... Ręce bezwiednie skubały mizerne kępki trawy i układały na skulonych kolanach.

- Boże jak ona patrzy, jakby cały świat chciała w swych oczach zamknąć. Chyba pan jej się spodobał, bo nie spuszcza z pana wzroku - odezwała się znowu kobieta siedząca na ławce.

- Maciej, Adaś - z okna na piątym piętrze wychyliła się głowa kobiety - obiad czeka...

Mężczyzna odetchnął z ulgą. Podeszedł do piaskownicy, pobierał szybko zabawki i wziął dziecko za rękę. Chłopiec protestował trochę, tupał nogami, ale uchwyt ojca był silny i stanowczy. Ruszyli razem w kierunku klatki schodowej. Dziewczynka przy płocie podniosła się nagle. Nie odrywając od mężczyzny spojrzenia przesuwiała się wzdłuż siatki zaczepiając dłońmi o otwory w siatce. Ten przyspieszył kroku ciągnąc za sobą malca potykającego się o nierówności chodnika. W końcu wziął go na ręce i przytulił do siebie. Pospiesznym minął dziewczynkę unikając jej zrozpaczonych oczu. Zgarbił się tylko jakoś, zmałał...

- Tato! - piskliwy głos malej przetoczył się przez podwórko. - Tato!

Mężczyzna zadrżał, wołanie śmignęło go po plecach jak batem. Biegł już teraz uciekając przed coraz głośniejszym i rozpaczliwym:

- Tato! Tato! Nie odchodź!!!

- Malwina, Malwinka! - jak spod ziemi pojawiła się postać obcej kobiety. - Ile razy ci mówiłam, żebyś tu nie przychodziła, ile razy tłumaczyłam, że tatuś ma już nową rodzinę, że nas nie chce... Chodźże do domu. Nic tu po nas...

Matka chwyciła małą za ramiona, pociągnęła ku sobie. Drobne rączki dziewczynki z trudem odczepiły się od siatki pozostawiając na jej dłoniach czerwone pręgi. W pustych oczach zaszklily się łzy i w zwolnionym tempie zaczęły spływać po zaczerwienionych policzkach. Z klatki schodowej dał się słyszeć odgłos windy. Okno na piątym piętrze zamknęło się z trzaskiem. Dziewczynka oddalała się od bloku oplecioną czułym ramieniem matki. Jej kroki przypominały chód drewnianego pajaca w którym drżało małe nie rozumiejące serce.

Narodził się Bóg.

Szedł ulicą wymachując rękami. Światła zapalały się w oknach a on wędrował bez przystanku. Przysiadł na kamieniu, ale zaraz gromadka młokosów zaczęła wyśmiewać się z jego podartego płaszcza i zniszczonych butów. Skulił się, czapkę naciągnął na uszy. Poczł na sobie grad śniegowych kulek, więc wstał pospiesznie i oddalił się szurając nogami. Trząsł się z zimna i strachu. Nauczył się uciekać. Zewsząd odpędzały go groźne okrzyki, wyzwiska, przekleństwa. Nieraz jakiś przechodzień spojrzał z litością. Wsunął w dłoń bułkę, kilka groszy. Brał tę jałmużnę, dziękował. A później z opuszczoną głową oddalał się chyłkiem, jakby przepraszając, że ośmielił się wyciągnąć rękę.

Wiedział, że dziś Wigilia. Miał w swoim mieszkaniu gałązkę świerku i trochę zgromadzonego jedzenia. Czuł jednak jakąś niespokojność i pragnienie bliskości. Szedł, więc zaglądając do cudzych okien i sycąc oczy rodzinami wspólnie zasiadającymi do stołu. Gdzieś kiedyś i on miał taki dom i takie miejsce przy stole. Radosne oczy dziecka wypatrywały pierwszej gwiazdki a jego rączki obejmowały jego szyję w przypływie wzruszenia i miłości. Serce załopotało gwałtownie. Musiał usiąść. Dom na końcu uliczki ośmielał ciemnymi oknami. Otworzył furtkę. Doczłapał się do ławeczki. Usiadł ostatnim wysiłkiem zmęczonego ciała. Oparł głowę o mur, przymknął oczy...

Stała przy oknie. Pogasiła światła by lepiej obserwować taniec śniegowych płatków w świetle latarni. To pierwsza Wigilia, którą miała spędzić samotnie. Córka z zięciem późno zamykali sklep. Przyjadą jutro z samego rana. Poczekają.

W końcu nie ma nic innego do roboty. Dom posprzątany, choinka ubrana, lodówka wypełniona. Nie, dziś jeść nie będzie. Samej jakoś nic nie smakuje. Nagle skrzypnęła furtka. Odsunęła firankę, dotknęła czołem szyby. Mężczyzna, który wynurzył się z cienia domu przeraził ją. Szedł chwiejąc się niebezpiecznie. Pijak albo włóczęga. Siadł na ławce. Cień jego głowy zaznaczył się wyraziście na szybie.

- Boże - wystraszyła się. Nie mogła się ruszyć. Czekala więc wstrzymując oddech. Głowa w oknie nie poruszała się. Śnieg zaczął tworzyć na niej białą czapkę. Poczula niebezpieczne mrowienie w dłoniach, stopach. Zbliżyła się do drzwi. Otworzyła je. Wiatr gwałtownie wcisnął do przedpokoju śniegowy pył. Zarzuciła na głowę wełnianą chustkę. Stała na schodach. Nieznajomy nie zareagował na jej głos, nie otworzył oczu. Zapomniała o strachu. Objęła rękami jego głowę, potrząsnęła nieruchomym ciałem. Zaczęła chuchać w twarz, ogrzewać dłońmi ręce. Drgnął. Podniósł powieki. Pomogła mu wstać, zaprowadziła do domu, posadziła na fotelu, zapaliła światła. Musiała go ogrzać, musiała go nakarmić.

Zapach owocowej zupy i grzybów rozchodził się po domu. Biały obrus chrzęścił w miejscu ukrytego sianka. Ogień na kominku wtórował płynącym z magnetofonu kolędom. Nogi kobiety kursowały między kuchnią i pokojem znosząc coraz to inne smakołyki. Mężczyzna wkładał na talerz kolejną porcję jedzenia. Kobieta uśmiechała się czule patrząc jak je. Na niebie pojawiła się pierwsza Gwiazda. Narodził się Bóg.

Nowy dom

- Agata, ty dokąd? - Kaśka szarpnęła koleżankę za rękaw - znów się urywasz z religii?

- Mam już dość tej hipokryzji!

- Zwariowałaś? Co ci nagle odbiło?

- Ty tego nie widzisz? Nie rozumiesz? Oni co innego gadają a co innego robią!

- Jacy oni?

- Księża, moi starzy, ci wszyscy co latają do kościoła a tak naprawdę to kłamią, kradną i cudzołożą - Agata zachłysnęła się ostatnim słowem.

- Chyba przesadzasz - Kaśka była zupełnie zdezorientowana - mówisz tak jakby cię ktoś odmienił.

Agata nie odpowiedziała. Nie było sensu dalej dyskutować z Kaśką. Ona żyła w innym świecie. W świecie obłudy i fałszu. To pani Maria uświadomiła Agacie gdzie należy szukać prawdziwego szczęścia. Takiego, które łączy ludzi, gdzie wszyscy razem pracują, jedzą, spędzają ze sobą czas. Szkoła też powinna wyglądać zupełnie inaczej. Pani Maria rozmawiała z Agatą o wszystkim. Umiała odpowiedzieć na każde pytanie, rozwiązać każdą wątpliwość. Ksiądz tak nie potrafił. Ani rodzice. Zresztą oni zajęci byli teraz tylko sprawą rozwodową. Ojciec afiszował się ze swoją kochanką a matka szukała pocieszenia w alkoholu. Agata zupełnie się dla nich nie liczyła. Nie obchodziło ich gdzie i z kim spędza wieczory i noce. Czasem tylko próbowali ją nagle wychować. Wtedy wybuchałyby awantury związane z jej słabymi ocenami, ekstrawagandzkim strojem, wymyślną fryzurą. I to wszystko pod płaszczykiem chrześcijańskiej miłości. Dla jej, Agaty, dobra oczywiście. Brrr, aż się niedobrze robi od takiego zakłamania.

Agata ruszyła pustym korytarzem w kierunku szkolnego sklepiku. Pani Maria miała dla niej zawsze słodką niespodziankę. I uśmiech i dobre słowo. Słuchała z uwagą jej zwierzeń na temat kłopotów w domu, w szkole, z Przemkiem, który wciąż namawiał ją do intymnej bliskości.

Teraz też pani Maria czekała na nią ze szklanką gorącej czekolady. Ale dziś nie była sama.

- To Addariusz - przedstawiła Agacie swojego gościa

Mężczyzna skłonił się przed Agatą, podał jej rękę. Popatrzył w oczy. Agata poczuła jak wzdłuż jej ciała przepływa dziwny prąd.

- Piękna jesteś - Addariusz obejrzał ją od góry do dołu. Spłonęła rumieńcem. Nikt tak nigdy do niej nie mówił. Nawet Przemek nie uważał ją za ładną.

- Maria opowiadała mi o tobie - mężczyzna nie spuszczał z niej wzroku - jaka jesteś wspaniała, inteligentna i dobra. Jak bardzo kochasz Boga. Myślę, że mogłabyś już zamieszkać z nami - uśmiechnął się przyjaźnie.

Agata zamrugła powiekami. Ten facet musiał być kimś ważnym a traktował ją tak bezpośrednio.

- Zastanowię się - odpowiedziała niepewnie. Ale już w jej sercu zakiełkowała myśl o nowej, lepszej przyszłości i odtąd nie dawała jej spokoju.

Agata od rana była bardzo podekscytowana. W końcu podjęła decyzję. Wrzuciła do plecaka trochę osobistych rzeczy. Pani Maria przekonała ją, że w nowym domu niewiele jej będzie potrzeba.

Zbliżając się do szkoły zobaczyła policyjny samochód.

- Przyjechali po tę sklepikarkę - Kaśka pojawiła się nagle obok niej jak duch.

- Coś ukradła? - Agata strzeliła bezmyślnie.

- Nie - Kaśka miała wypieki na twarzy - podobno werbowała dziewczyny do jakiejś sekty. Kręcił się tu także facet

od handlu narkotykami i żywym towarem.

Agatą zatrzęsło. Oparła się o ścianę budynku. Plecak z lekkim pląśnięciem upadł na ziemię. Kaśka przyjrzała się jej uważniej

- Ty chyba coś o tym wiesz - zapytała cicho.

Agata skinęła głową. Coś zaczęło jej się pomалу rozjaśniać. Policjant przy aucie wpatrywał się intensywnie w drzwi szkoły. Może powinna do niego podejść, porozmawiać? Ale może najpierw zadzwoni po rodziców. Sprawa nie wyglądała tak dobrze jak jej się jeszcze przed chwilą wydawało...

O mój rozmarynie...

Telefon zadzwonił, gdy przygotowywała się do snu.

- Pani Szumska? - zapytał ją jakiś kobiecy głos po drugiej stronie kabla.

- Tak - odpowiedziała.

- Ojciec pani jest ciężko chory. Leży w domu bez żadnej opieki. Pani jako córka powinna...

Upuściła słuchawkę. Wspomnienie ojca przeszło ją ostrym bólem. Myśli od razu powędrowały do tamtych czasów z dzieciństwa, gdy ojciec wracał pijany do domu. Bełkotał wtedy i szukał powodów do awantur. Wyciągał wszystkich z łóżek, ustawiając swoje „bachory” w jednym szeregu pod ścianą. I zarządzał koncert. Uczył je wszystkich znanych sobie piosenek. Najbardziej lubił tę o rozmarynie. Za każdy fałsz, zapomniane słowa dopadała ich kara. Ojciec bił gdzie popadło, popychał, ciągnął za włosy.

- O mój rozmarynie - nakazywał wściekle wymachując pogrzebaczem jak batutą. Otwierali więc szeroko buzie i zachłystując się łzami wyśpiewywali „pójdę do dziewczyny, pójdę do jedynej zapytam się...”

Matka nie wtrącała się do tego domowego chóru. Stała wtulona w kąt kuchni i poruszając cicho wargami czekała na swoją kolej, kiedy zmęczony dyrygenturą ojciec wychodził z kuchni ciągnąc ją za sobą. Wrzeszczeli wtedy owe „o mój rozmarynie” jeszcze głośniejszy zatykając sobie uszy rękami, żeby nie słyszeć tego co się za pokojowymi drzwiami działo.

Wzdrygnęła się na to wspomnienie. Nienawidziła ojca z całego serca. Pamiętała jak uciekali po kolei z tego okropnego domu szukając bezpiecznej przystani w innym, lepszym świecie. Zapomnieli o krzywdach. Aż tu nagle dziś ten telefon. Barbara zaraz powiadomiła o nim rodzeństwo. Ale nikt z pozostałej czwórki nie chciał słyszeć o spotkaniu z ojcem. Musiała więc decyzję o wyjeździe podjąć sama.

Weszła wolno po schodach przytrzymując dłońmi rozszalałe od emocji serce. Drzwi otworzyły się z lekkim skrzypnięciem. Natychmiast owinął ją przykry zapach moczu, nie mytych podłóg, brudnych szmat, zaschniętego jedzenia. Wszędzie wały się śmieci, stare gazety, butelki, puszki. W rogu kuchni na brudnym barłogu leżał mężczyzna. Nieogolona twarz, wychudzone ciało czyniły z niego odziany w łachmany szkielet. Barbara poczuła na plecach zimne dreszcze.

- Tato! - szepnęła sztywnymi wargami.

Mężczyzna z trudem podniósł powieki. Próbował unieść się na łokciach, ale nie miał siły.

- Spokojnie tato - Barbara nabrała w płuca więcej powietrza - to ja, twoja córka, zaraz się tobą zajmę.

Otworzyła przywiezioną ze sobą torbę, wyjęła ręcznik, mydło, czystą bieliznę. Stary wpatrywał się w nią w wielkim skupieniu aż nagle jego twarz rozjaśnił błądy uśmiech. A później w kącie oczu pojawiła się jedna, brudna łza.

Jadł rosół mlaskając głośno jak wygłodzony pies. Wytarła mu usta, poprawiła poduszkę. Wodził za nią oczami, gdy zamiatała podłogę, myła okno, paliła w piecu.

- O mój rozmarynie - zanuciła bezwiednie, dziwiąc się skąd jej ten motyw wpadł nagle do głowy. Oczy ojca zawisły na jej wargach. Spijały z nich każde słowo, każdy dźwięk. Usiadła przy nim i jeszcze raz przyjrzała się zniszczonej starością i wódką twarzy.

- Chory, nieszczęśliwy człowiek - pomyślała ogarnięta wielkim współczuciem i litością. Leżał tu przy niej jak ludzki wrak. Bez żadnej życzliwej duszy obok, bez nikogo bliskiego, kochanego

Ojciec poruszył wargami, wymamrotał coś pod nosem, ale pokręciła głową, że nie rozumie. Położył więc rękę na swoim sercu a później ucałowawszy ją skierował ją ku niej. Domyśliła, że chciał jej coś ważnego przekazać, coś szczególnego wyznać. Patrzyła na tę wyciągniętą, ojcowską dłoń z dziwnym bólem. Tak bardzo kiedyś tęskniła za takim gestem, za takim objawem miłości. Dziś nie czuła zupełnie nic, ani tej dawnej nienawiści ani pragnienia bliskości. Ręka jej jednak drgnęła mimowolnie, gdy poczuła na niej drżącą, ojcową... Nie cofnęła swojej. I nagle poczuła, jak wstępuje w nią dziwna radość i spokój.

Nowy dzień...

Wróciła do domu wściekła. Rzuciła z trzaskiem plecak na środek pokoju. Usiadła na fotelu kładąc nogi na ławie. Cyrk, jaki zrobiła Chudemu nie dawał jej spokoju. Przeglądała, jak nic przeglądała. Nauczyciel zapisując dziś temat w dzienniku zdjął jak zwykle swoje grube okulary i położył na biurku. A ona mu te okulary ze stołu ściągnęła. Uniosła je do góry żeby wszyscy widzieli. Chudy pomacał rękami po blacie.

- Jagoda - zapiszczał podnosząc głowę - gdzie są moje okulary?

- Ależ panie psorze, skąd ja mogę wiedzieć. Może spadły? - rzuciła się na podłogę udając że ich szuka. Okulary powędrowały do Kaśki z drugiej ławki a potem dalej podawane z rak do rąk.

- Jagoda, nie wygłupiaj się, tylko ty mogłaś mi to zrobić - Chudy tarł palcem swoją łysinę. - Oddaj mi je proszę.

- Panie psorze, zawsze jak się coś stanie to pan tylko na mnie. Może sobie zrewidować - zaczęła rozpinąć guziczki bluzki.

- Dobrze, już dobrze - przerwał jej zażenowany. Zmrużonymi oczami rozglądał się po klasie.

- Tu są! - Krzysiek z ostatniej ławki pomachał okularami.

Chudy chciał ją wyminąć ale ona podstawiała mu nogę. I geograf runął między rzędami jak długi. Klasa zatrzęsała się od śmiechu. Tylko Krzysiek się nie śmiał. Podbiegł do starego i pomógł mu wstać. Chudy popatrzył wtedy na nią tak jakoś smutno. A Krzysiek wysyczał jej wprost do ucha

- Jakaś ty głupia, głupia i bez serca...

Ech, lepiej o tym nie pamiętać. Włączyła telewizor. Przeleciała kanały. Lubiła programy z modą, muzyką, plotkami z artystycznego świata. To było życie. Bogate, piękne, błyszczące. Pragnęła być kimś takim, niezależnym, sławnym, niedbającym o innych, z kieszeniami pełnymi pieniędzmi.

O! Spiker coś mówi o nowym castingu. Chwyciła ołówek i na leżącej w pobliżu gazecie zapisała szybko potrzebne informacje. Musi tam pojechać, szykuje się następna szansa, żeby ktoś ją odkrył, poznał się na jej urodzie. W przyszłym tygodniu wraca z Anglii ojciec, sypnie na pewno groszem. Kupi sobie trochę nowych ciuchów. I wyruszy szczęściu naprzeciw.

Deszcz lał hałaśliwie odbijając się od powierzchni wody. Siedziała na starej rybackiej łodzi wciśniętej w nadbrzeżny piasek. Była przemoknięta od stóp do głów. Drżała. Życie zatrzymało się dla niej tutaj na tej plaży. Właściwie mogło się już skończyć, ale nie miała jeszcze odwagi pójść prosto w morskie bałwany. Chociaż wydawało się być to takie proste. Trzeba było tylko wstać i krok za krokiem wejść w tą wielką mokrość i zimno. Nie różniło się ono od tego na brzegu. Miała taką nadzieję. Ale nie pewnośc...

A jeszcze rano było tyle słońca na niebie i w jej sercu. Leżała wyciągnięta na kocu pozwalając promieniom opalać swoje ciało. Facet, który „zasłonił” jej słońce wyglądał jak z filmowej reklamówki.

- Właśnie kogoś takiego szukam - odezwał się rejestrując dokładnie przymioty jej urody. Uśmiechnęła się zalotnie pewna swojego wdzięku. Usiadła wyjmując z włosów klamrę. Niech zobaczy jej złociste fale.

- To niesamowite, ale mam szczęście, że cię spotkałem, jestem reżyserem - wymamrotał pod nosem jakieś nazwisko - szukam właśnie kogoś do mojego nowego filmu. Jesteś wprost idealna.

Zarumieniła się uradowana. Cholera, nie będzie musiała szukać swojego szczęścia po castingach, bo ono samo do niej przyszło.

- Byłabyś zainteresowana? Dobrze zapłacę.

Podobało jej się, że rozmowa przebiega tak zawodowo.

- Jasne - nie namyślała się ani chwili. Niech wie, że nie jest płochliwym dziewczątkiem, które nie wie, czego chce.

- Świetnie, bardzo się cieszę. Masz jakieś swoje zdjęcie?

Nie miała.

- Tu nieopodal mam swoje biuro fotograficzne, moglibyśmy podskoczyć i wykonać kilka fotek.

Biuro fotograficzne urządzone było w campingowej przyczepie. Reżyser był miły, poczęstował ją winem- tak dla rozluźnienia - powiedział - żeby zdjęcia były bardziej naturalne. Nowa rola wymagała bardziej intymnych pozycji - dodał rozbierając ją ze skąpego bikini...

- Roman - usłyszała po chwili - Udał ci się połów? Bo tam, na plaży widziałem ekstra babkę. - głos należał do młodego mężczyzny zaglądającego przez okno - pospiesz się bo chyba związa swoje manele.

- Już idę - odpowiedział wsuwając jej do ręki jakiś banknot - Przyjdź jutro, będę czekał.

Żachnęła się, rozszyfrowała oszustwo

- Tylko cicho sza. - złapał ją za rękę. - Jeśli komuś się poskarżysz twoje erotyczne harce obejrzy cały internetowy świat, twoje koleżanki, rodzice i nauczyciele. A teraz zmykaj. I pamiętaj, czekam jutro, bo inaczej...

Boże, jaka była głupia. Tak, Krzysiek miał rację. Była potwornie głupia. Nie pójdzie tam jutro. Choćby wszyscy mieli odkryć prawdę. Ale jak z taką prawdą żyć? Nie, zaraz wstanie i pójdzie w czarną nicłość. Niech tylko przejdzie ten nieznajomy w czarnej pelerynie, który nagle pojawił się na horyzoncie. Skuliła się. Nie może jej zobaczyć. Boże! On lezie prosto na nią.

- Jagoda! Szukamy cię od kilku godzin... wszyscy, matka, cała klasa, Krzysiek odchodzi od zmysłów. Zagubiłaś się nam dziewczyno. Co ty wyprawiasz? - Geograf zdjął swoją pelerynę, okrył jej drżące ciało.

- Chudy... przepraszam panie sorze, skąd pan wiedział?

- Chodź coś ci pokażę.

Poszła za nim na zdrętwiałych od zimna i siedzenia nogach. Stanęli na granicy lądu i morza.

- Widzisz, to było tutaj. Miała piętnaście lat. I takie jasne włosy jak ty. Nie zauważyłem, że ma problemy. Że potrzebuje pomocy. Moja córka już mi nigdy nic nie powie. Już jej nie uratuję. Ale może będę mógł pomóc tobie?

Przez zalane deszczem okulary nie było widać oczu. Czuła jednak jego smutne spojrzenie. Takie jak wtedy w klasie. Wsunęła swoją mokrą rękę w jego dłoń. Słowa posypały się same...

Szli brzegiem morza trzymając się za ręce. Wysoki, chudy facet i jasnowłosa dziewczyna. Deszcz przestał padać i na przetartym niebie zaczęły wyskakiwać pojedyncze gwiazdy. Za dwie godziny wstanie nowy dzień. Nie musi być podobny do tych, które minęły...

Obrońca słabych...

Magda kącikiem oka zobaczyła, że Nowy idzie za nią. Mogła z nim porozmawiać, ale skoro nikt z klasy nie próbował się z nim zaprzyjaźnić, czemu ona miała zacząć pierwsza? Zresztą, chłopak jej się nie podobał. W granatowych spodniach i niebieskiej koszuli wyglądał jak bankowy urzędnik a nie jak uczeń maturalnej klasy.

- Szczęść Boże! - usłyszała nagle tuż przy uchu.

- Nie wydurniaj się - rzuciła przez zęby - na księdza się wybierasz?

- Nie, dlaczego? - Nowy spłoszył się, zamrugał nerwowo oczami.

- Gadasz jak nawiedzony.

- Nie wierzysz w Boga? - zapytał zdziwiony.

- Co ma wiara do tego, żeby być normalnym?

- Znaczy, ja nie jestem? - zaczerwienił się jak piwonია.

Zmieszała się. Jak tu z takim rozmawiać. Jak mu powiedzieć, że wiara to jedno a bycie takim jak inni to drugie.

- Sorry, nie chciałam cię obrazić - powiedziała próbując złagodzić swoje słowa - po prostu zachowujesz się dziwnie.

- To znaczy jak?

- Kaśka mówiła, że mamrocześ jakieś mantry pod nosem.

- To nie mantry - roześmiał się rozbawiony - to Koronka do Bożego Miłosierdzia.

- Nie za młody jesteś na taką dewocję? - Magda przyspieszyła kroku.

- Chrystus też często się modlił - Nowy zamyślił się - a On jest dla mnie największym autorytetem.

- Daleko z tym swoim Chrystusem nie zajedziesz - zaśmiała się drwiąco - takie łagodne baranki to najlepszy kąsek dla wilków.

- Myślisz, że ja też jestem takim barankiem?

- A nie? - odpowiedziała szybko - z nikim w klasie się jeszcze nie zakolegowałeś. Nikt nie lubi takich słodkich lalusiów. Nowy nie odpowiedział. Zwolnił tylko kroku pozwalając się Magdzie wyprzedzić.

Wracała z kina sama. Reklamowany od miesiąca film okazał się rzeczywiście hitem. Wartka akcja, sceny rodem z piekła. Tyle emocji, wypieków na twarzy. Choć nie była z natury lękliwa to teraz oglądała się bojaźliwie na wszystkie strony. Opuszczony park mógł być niebezpieczny.

- Cześć Mała - głos, który usłyszała przestraszył ją. Z cienia drzew wysunęły się trzy postacie. Chyba jakieś nastolatki szukające przystanku. Cofnęła się, zacisnęła rękę na pasku torebki. Po omacku zaczęła szukać zamka. Może uda jej się znaleźć telefon, zadzwonić po pomoc. Jeden z wyrostków zbliżył się do niej niebezpiecznie blisko. Poczula z jego ust odór alkoholu.

- Zostaw ją - ktoś stanął za jej plecami.

- Nie wtrącaj się, lepiej idź w swoją stronę - Magda rozpoznała głos Nowego.

- Nie pozwolę, by ktoś zrobił ci krzywdę - powiedział na tyle głośno, żeby go tamci usłyszeli.

Zarechotali widząc takiego cherlawego obrońcę. Poklepali się po ramionach.

- Te, giguś, wracaj do mamusi bo i z ciebie marmoladkę zrobimy.

Nie wyglądał na przestraszonego. Stanął przed Magdą na szeroko rozstawionych nogach. Czekał na ich pierwszy ruch. Rzucili się na niego pewni wygranej. Nowy wykonał kilka skomplikowanych ruchów. Za chwilę pierwszy

leżał na ziemi a drugi klęczał z wykręconymi na plecach rękoma. Trzeci zaczął uciekać. Nagle prawie bezszelestnie nadjechał policyjny samochód. Zabrzęczały kajdanki. Któryś z policjantów podszedł do Nowego i Magdy.

- Wszystko w porządku? - zapytał przyglądając się im z uwagą.
- W porządku tato - Nowy otrząpywał zabrudzone piaskiem spodnie.
- Dzielnie się spisałeś - mężczyzna poklepał go po ramieniu.
- Twoja szkoła tato - Nowy uśmiechnął się skromnie.

Ojciec puścił mu oczko, ucisnął rękę jak mężczyzna mężczyźnie.

- Dzięki Bogu, że się nic nie stało. Dobrze, że od razu zadzwoniłeś.
- Główka pracuje Tato.
- Podwieźć was do domu?

Nowy spojrzał na Magdę. Na jej oczy patrzące na niego z podziwem.

- Odprowadzę koleżankę i zaraz wrócę.

Ojciec uśmiechnął się porozumiewawczo i odszedł do samochodu.

- Już nie jestem taki laluś? - Nowy zajrzał Magdzie figlarnie w oczy.

Zaczerwieniła się, przygryzła wargi zębami.

- Rafał, przepraszam - powiedziała spuszcżając głowę.
- E, tam... nie ma sprawy - roześmiał się wesoło - A propos Chrystusa... On zawsze bronił słabszych...

Ona wiele może

Wybrali się rowerami za miasto. Powietrze pachniało wiosną i słońcem. Po obu stronach drogi rozpościerał się ocean pól i łąk z rzadka znaczone drzewami. Gdzieś z góry odezwał się skowronek.

- Jak cudnie - Marynia westchnęła głęboko rejestrując wzrokiem błękit nieba i zieleń traw.
- W maju jak w maju - Jeremi puścił kierownicę wznosząc ręce do góry - brak tylko śpiewu aniołów.
- Ciii... chyba je słyszę.
- Ja też - zaśmiał się figlarnie.

- Naprawdę słyszę - Marynia gestem uciszyła jego śmiech. Zaczęli uważniej nasłuchiwać. Tu na tym odludziu naprawdę ktoś śpiewał. Ruszyli w stronę głosów.

Scenka, jaka ukazała się ich oczom była jakby wyjęta z religijnych obrazów. Otulona białymi pniami brzoź, wciśnięta w kawałek czarnej ziemi, stała drewniana kapliczka z figurką Matki Boskiej. Marynia bez ostrzeżenia zatrzymała rower. Jeremi wpadł prosto na jej tylne koło. Chrząst łamanych szprych ściągnął spojrzenia kobiet klęczących u stóp kapliczki. Z ciekawością przyglądały się gościom. Dobrze, że nic groźnego się nie stało.

- Spróbuję wyprostować koła - Jeremi nachylił się nad pokancerowanymi rowerami.

Marynia przybliżyła się do kobiet. Zaczęły znów śpiewać. Znała słowa i melodie jeszcze z dzieciństwa. Włączyła się do śpiewu.

- Może zaczniesz? - zaskoczyło ją pytanie skierowane do niej. Spojrzała na wyciągniętą rękę z różańcem.
- Nie umiem... - zaczęła bronić się speszona.
- Pomogę - staruszka uśmiechnęła się życzliwie. Marynia uklękła. Zaczęła powtarzać słowa. Serce zaczęło jej bić szybciej, głos się załamał, palce silniej chwyciły różańcowe paciorki. Jeremi jakby czując, że potrzebuje pomocy ukląkł obok niej, dotknął ramieniem.

Wracali w milczeniu prowadząc popsute rowery. Zachodzące słońce czerwonymi promieniami zegnało dzień. A oni witali coś, co im nagle wypełniło serce.

Maj w tym roku znów wybuchł gwałtownie zapachem bzów i akacji. Mogli, więc wypuszczać się razem z Helenką na spacer. Mała była zachwycona pobytem na powietrzu. Jej pulchne, nóżki wykonywały przeróżne młynki a rączki bezustannie chwyciły niewidzialne przeszkody. Gaworzyła bez przerwy jakby chciała opowiedzieć im cały swój świat. Popychali, więc wspólnie wózek dumni, że wiozą taki skarb. Dziś postanowili wyruszyć dalej. Zapakowali, więc plecak i ruszyli drogą, która rok temu stała się ich drogowskazem.

- Ciekawe czy one tam będą - denerwowała się Marynia.
- Będą, co mają nie być. Przecież majowe - Jeremi umiał podtrzymać ją na duchu.

Przyspieszyli, kiedy usłyszeli śpiew.

- Twoje Anioły - powiedział, gdy zbliżyli się do brzoź. Helenka zaśmiała się głośno.

Odwróciły głowy. Te same twarze, te same chustki na głowach, ten sam wyraz rozmodlenia w oczach. Ta sama nad nimi Matka Boża z wyciągniętymi rękami. Rozpoznały ich, zaprosiły gestem bliżej. Marynia wyjęła córeczkę z wózka. Zbliżyła się do figurki.

- Ma-ma - Helenka wyciągnęła paluszek w kierunku drewnianej twarzy.
- Skąd ona wiedziała? - zapytała Marynia odwracając się do kobiet

- Dzieci jak Aniołki, takie rzeczy wiedzą...
- Nie Helenka! Matka Boża skąd wiedziała. Wtedy rok, temu. Skąd wiedziała, że ja nie mogę mieć dzieci, że lekarze nie dawali nadziei?
- Matki wszystko wiedzą. I wiele mogą. Dzięki modlitwie - odpowiedziała jedna z kobiet.

Uklękli, więc przed Tą, która tyle mogła. Helenka, ułożona na kocyku gaworzyła do siebie. - Ma-ma, ma-ma - jej niewyraźne słowa wplatały się jak modlitwa w ich różańcowe zdrowaśki. Zachodzące słońce czerwonymi promieniami żegnało dzień. A oni dziękowali Tej, która wypełniła nową miłością ich serca.

Poetka.

- Jeść mi się chce! - Konrad zawołał od progu rzucając niedbale plecak w przedpokoju.
- Zaraz będzie obiad - Agata zdjęła okulary patrząc na wnuka z niesmakiem - Umyj ręce.
- Spoko - chłopak usiadł przy stole zamiast iść do łazienki - nie mam czasu na durne pucowanie łap. Jestem głodny jak wilk i muszę zaraz coś wrzucić na ruszt. Po południu mamy spotkanie z poetką w szkole. Pewnie przyjdzie jakiś moherowy beret.
- A cóż to znów za słownik? - Agata zamknęła swój zeszyt, w którym codziennie zapisywała złote myśli - te wczorajsze twoje odzywki do ojca też nie były na miejscu. Co się z tobą dzieje?
- Tatę też ponosi.
- Był zdenerwowany.
- Słyszałaś go w pracy? Byłem wczoraj u niego na budowie. Kłął jak szewc.
- Dlaczego?
- Ktoś go wkurzył. Oni, ci jego pracownicy podobno inaczej nie rozumieją. Jak się im nie pośle wiązanki to inne argumenty nie docierają.
- Ty nie musisz tak - Agata nie po raz pierwszy zwracała uwagę wnukowi - nie tak cię uczyłam. W żadnej książce takich słów nie ma.
- Chyba, że w Internecie - zaśmiał się Konrad - żebyś ty babciu wiedziała jaki tam bełkot.
- Mówisz, że bełkot a sam go naśladujesz.
- Taka moda. Chłopaki by mnie wyśmiali, gdybym nie przeklął od czasu do czasu.
- Od czasu do czasu? Jak się spotykasz z Małym i Puzonem to chyba cały czas. Słyszałam wczoraj was jak przechodziliście pod oknem.
- Teraz wszyscy tak.
- Wszyscy? - Agata chwyciła się za boki. Widać było, że stara się panować nad zdenerwowaniem.
- Nie, ty nie! - Konrad szybko sprostował swoją wypowiedź - ale teraz daj mi jeść, bo nie zdążę odrobić lekcji i biec na te czytanie wierszy. Boże, kto bawi się jeszcze w poezję? Kowarskiej chyba na mózg padło, by robić takie spotkania...

Siedzieli w auli czekając na gościa. Gwar głosów nie pozwalał na swobodną rozmowę. Nagle hałas zaczął cichnąć. Do stolika stojącego z przodu sali podeszła polonistka prowadząc pod rękę jakąś kobietę. Rozległy się nieśmiałe oklaski.

- Chciałabym wam przedstawić naszą poetkę - pani Kowarska podniosła dłoń uciszając resztę gadulskich.
- Konrado, czy to nie Starsza twojej Starej? - ostry szept Małego przeleciał wzdłuż rzędu. Gdzieś z tyłu rozległy się chichoty. Ktoś zagwizdał na palcach. Ktoś inny zaszurał butami. Kowarska obrzuciła widzów surowym wzrokiem. Nie warto było z nią zadzierać. Matura zbliżała się wielkimi krokami.

- Konrado, to naprawdę twoja babcia? - Puzon nachylił się do przyjaciela - Ale aparatka.

Konrad spuścił głowę. Taki wstyd. Żeby wiedział to by dziś tutaj nie przyszedł. Babcia coś tam bazgrała w swoim zeszycie, ale żeby wiersze? Ależ będą się teraz z niego koledzy śmiać.

Ale co to? Cisza jak makiem zasiał? Słowa babci płyną prze aulę jak muzyka. Agnieszka ma łzy w oczach. Jacek też poważny jak nigdy dotychczas. Konrad dyskretnie rozejrzał się po pozostałych twarzach. Wszędzie zaszuchanie, skupienie. Tylko Puzon czyści paznokcie. Ale Mały słucha. Konrad prostuje plecy. Wypina dumnie pierś. Niech wszyscy widzą, niech wiedzą, że to jego babcia tak pięknie mówi, że sama ułożyła, że potrafi tak.

- Burza oklasków uwieńczyła ostatni wiersz. Ktoś podbiegł z kwiatami. Babcia Agata stoi i uśmiecha się skromnie.
- Piękna jest nasza polska mowa - mówi na pożegnanie - dbajcie, więc o nią jak o największy skarb.

Konrad czuje na sobie babci wzrok więc kiwa potakująco głową.

- Oj, Puzon, oj Mały - szepce pod nosem - czeka was teraz ze mną ciężkie życie. Piękna polszczyzna i zero przekleństw.
- Babcia - poetka do czegoś zobowiązuje, nieprawdaż?

Pamiętamy...

Helena wytarła podłogę suchą szmatą. Nie lubiła, gdy odwiedzający zostawiali ślady na mokrych płytkach. Była dokładana w tym co robiła. Nie wszystkim się to podobało. Koleżanki krzywo patrzyły na jej staranność i poświęcanie

obowiązkom więcej czasu niż to było dotychczas na oddziale przyjęte. Tylko siostra oddziałowa patrzyła na nią łaskawym okiem prosząc o dodatkowe prace. Ale jej podziw potęgował jeszcze bardziej niechęć pozostałego personelu.

Ostatnio pani Jadzia zrobiła jej awanturę nie zważając na kręcących się wokół ludzi. Właśnie pomagała panu Stasiowi w wyjściu do toalety gdy pielęgniarka dopadła ją machając nerwowo rękami.

- Pani tu nie od pacjentów jest! - krzyczała - Trzeba znać swoje miejsce a nie pchać się tam gdzie nie proszą. Kubel i szmata - to pani zajęcie - atakowała zadowolona widząc jak Helena zostawia pana Stasia na środku korytarza i cofa się przerażona - Jeszcze raz to ordynatorowi doniosę - wysyczała złośliwie.

Ech... nie warto o tym myśleć - Helena wytarła załzawione oczy - Rozczulanie się nad sobą niczego nie zmieni. Jej praca rzeczywiście polegała na tym, by chorzy mieli czysto i schludnie. I tego powinna się trzymać. Tylko jak przejść obok ludzkiego cierpienia? Jak nie podzielić się dobrym słowem, gestem, uśmiechem? Jak nie pomóc, gdy wszyscy zabiegani, załatani, nie mający chwili czasu. Pan Stasiu zupełnie nieporadny. I taki samotny. Wygląda na nią każdego ranka i wita ciepłym spojrzeniem, choć ból go nie opuszcza.

- Helen - szepce suchymi wargami - jaka pani dobra. Tyle w pani słodyczy. Tyle miłości. Jak w Najświętszej Panience.

- E... gdzieżby mnie z naszą Panią porównywać - składała ręce jak do modlitwy.

Helena westchnęła głęboko, zdjęła fartuch, rozwiesiła szmatę na grzejniku w łazience, żeby wyschła. Umyła ręce i twarz. Na dziś koniec pracy. Zajrzy jeszcze do pana Stasia i zapyta czy czegoś nie potrzebuje. Później posiedzi jeszcze chwilę z Chrystusem w szpitalnej Kaplicy i pójdzie do domu. Do domu w którym nikt na nią nie czeka.

Georg delikatnie wyprostował plecy. Kręgosłup odczuwał się znajomym bólem. Tyle lat trzymał jego kości w przyzwoitej kondycji, ale ostatnio zbuntował się trochę. I chociaż Georg pomógł w swoim życiu tysiącom chorym to sobie pomóc nie umiał. Wiedział, co go czeka w najbliższej przyszłości. I godził się na to ze świadomością człowieka, który godnie przeżył swoje długie życie. I chciał, żeby takie było do samego końca. Stąd ten pomysł powrotu do kraju. Z majątkiem, którego się na obczyźnie dorobił i pomysłem, który przez ostatnie lata spędzał mu sen z powiek. Z Piotrem synem Stefana kontakt się urwał, gdy przyjaciel umarł osiemnaście lat temu. Ale kilka miesięcy temu Georg napisał do niego list. Że chce do kraju powrócić a swoją fortunę ulokować w szpitalu w którym pracował jego obozowy przyjaciel. Teraz gdy przeszedł na emeryturę a żona zmarła nic go w Stanach nie trzymało. Nawet dzieci i wnuki...

- Proszę zapiąć pasy, zbliżamy się do lądowania - głos stewardesy wyrwał go z zadumy. Warszawa. Piotr obiecał mu wszystko pokazać, przypomnieć. Dziś jeszcze obejrzy sobie szpital Stefana a jutro wyruszy w poszukiwaniu wspomnień. Żeby tylko sił starczyło.

- Pani Zosiu - zwrócił się do siedzącej obok kobiety - proszę pamiętać o saszetce. Tam są wszystkie dokumenty i zdjęcia. Z moją pamięcią nie najlepiej.

- Niech się pan nie martwi, wszystkiego dopilnuję - opiekunka pogłaskała go czule po rękę. Georg spojrział przez okienko samolotu. Westchnął cicho. Był w domu. Wracał zza oceanu jak wojenny wygnaniec. Na zawsze.

- Czy ja mam mieć wszędzie oczy? - Piotr denerwował się widząc, że jeszcze nie wszystko jest tak jak zarządził.

- Gdzie się podziała pani Zawadzka! Kwiaty nie mogą przecież stać tak blisko przejścia!

- Pewnie znów u Jakimowicza. Wciąż przy nim przesiaduje a robota czeka - pani Jadzia umiejętnie podkopywała pod salową dolki.

- To on jeszcze nie wyszedł do domu? Mówiłem, żeby w piątek już go nie było! - ordynator poczerwieniał ze złości.

- Nikt się po niego nie zgłosił.

- A ta córka co u niego była?

- Mówiłam jej, a ona, że daleko mieszka, że biedna jest, że nie ma jak ojca przewieźć a samego w domu nie zostawi.

- Biedna? Jak do szpitala przyjąć to biedna nie była! A jak do domu to nagle pieniędzy nie ma.

- Mówiła, żeby karetką...

- Karetką? We łbie się babie pomieszało. Jak się pokaże to proszę ją natychmiast do mnie. Na plecach go wyniesie, bo ja już go dłużej trzymać nie będę. Miejsca na innych czekają.

- Powiem - pani Jadzia, choć sama nie święta była, słów lekarza nie bardzo słuchać mogła.

- A teraz weźcie tego starego pod okno i dajcie mu coś na sen. Żeby nie gadał od rzeczy. A tą Zawadzką pognajcie niech się pospieszy. Za godzinę tu będzie profesor Georg Liszowski. I jeszcze kilka ważnych osób z burmistrzem na czele. Oddział ma błyszczeć. Rozumiecie! Błyszczeć jak... - Piotr nie dokończył polecenia widząc jak pani Jadzia uśmiecha się drwiąco. Z nią też będzie musiał poważnie porozmawiać. Ale to później. Jak przyjaciel ojca obejrzy to wszystko, jak zostawi tę ogromną kwotę, którą obiecał.

Taksówka jechała wolno raz po raz utykając w ulicznych korkach. Może to i nawet lepiej. Georg mógł spokojnie patrzeć na mijane domy, ulice, ludzi. Warszawa jego dzieciństwa była taka inna, tak bardzo się różniła od teraźniejszych nowoczesnych sklepów, reklam, światła.

Wtedy, gdy biegali z chłopakami po warszawskich ulicach nikt nie pomyślał, że przyjdą takie czasy, że swój swojego do gazu wyda. A wydał. Za polskie słowa dodające otuchy, za wiarę i nadzieję płynącą z patriotycznych i religijnych pieśni i wierszy. Za gazetki roznoszone po polskich domach. Czas obozu śnił mu się po nocach przez wiele lat. Przez wiele lat budził się złany potem i wtulony w kąt pokoju czekał świtu, by po raz niewiadomo, który sprawdzić, że rzeźbione ogrodzone domu nie jest więziennym kolczastym drutem. Przez wiele lat jego lodówka nie mogła pomieścić zgromadzonego jedzenia w obawie, że może go kiedyś zabraknąć. Przez wiele lat na dźwięk niemieckiego języka cierpła mu skóra i zaczynał się jąkać rozpoczynając wciąż na nowo sesję z psychologiem. Wtedy, gdy uciekał ze Stefanem myślał, że może lepiej by było, aby im się ta ucieczka nie udała. Że niesprawiedliwie tak ocalać swoje życie, gdy inni umierają z głodu, choroby, pocisku lub gazu. Żal, że Jakim, który to wszystko wymyślił i zorganizował nie zdążył ukryć się w wywożonych z obozu szmatach. Że umarł tam z tysiącami innych jak bohater.

- Georg, niech pan nie płacze - opiekunka delikatnie wsunęła mu chusteczkę do drżącej ręki - Ta polska mowa mnie też wzrusza - dodała nie znając prawdziwego powodu jego łez.

Cały personel denerwował się z powodu przyjazdu tak ważnego gościa. Jeszcze przed chwilą Helena po raz kolejny wytarła podłogę i poręcze wzdłuż szpitalnego korytarza. Ordynator z całą lekarską świtą czekał przy głównych drzwiach. Oddział lśnił czystością a pacjenci w wyprasowanych pościelach wyglądali jak mumie ułożone w bielutkich trumnach. Wiedzieli, jak ważna to dla szpitala chwila. Nie tylko dlatego, że będzie nosił on imię wojennego bohatera, ale przede wszystkim dlatego, że szpital otrzyma potężny zastrzyk gotówki na sprzęt, badania i opiekę chorych.

- Idą, już idą - rozległ się głośny szept. Helena stanęła na palcach, by lepiej widzieć. Staruszek, którego ujrzała pomiędzy urzędową świtą zupełnie jej nie przypominał kogoś ważnego i bogatego. Przygarbiona szczupła postać, bielusiennie jak śnieg włosy, prawie przeźroczyste oczy. Pochód szedł wolno, bo amerykański profesor, choć podtrzymywany przez starszą panią zatrzymywał się co chwila dla nabrania oddechu. W końcu wszyscy stanęli przed umocowaną poprzedniego dnia tablicą okrytą białą-czerwoną opaską. Zaczęły się kolejne przemówienia, powitania, przedstawienie gości.

- Pamiętamy tamte trudne czasy - zakończył swą wypowiedź burmistrz - pamiętamy tamten niebezpieczny okres, gdy walka o polskość wymagała poświęcenia i zabrała niejedno młode życie - zakończył z patosem.

Helena słuchała z niedowierzaniem. Pamiętamy? Burmistrz miał nie więcej jak czterdzieści lat! Cóż on mógł wiedzieć o wojnie? O polskości. Niszczył wszystkie dobre inicjatywy w mieście i gdyby mógł oddałby cały państwowy majątek w obce ręce. Teraz mówi - pamiętamy, wiemy, nie zapomnimy. Tak powiedzieć mógłby pan Stasio. On rzeczywiście wiedział co to jest wojna. Przeżył obóz, walczył w partyzantce, stracił rodzinę i przyjaciół.

- Ech - Helena westchnęła ciężko - dziwny ten świat w którym bohaterowie umierają w samotności. Trzeba jednak uważać, bo profesor właśnie pociągnął za koniec wstążki i oczom zebranych ukazała się tablica. Ozdobne złote litery układały się w napis.

- „Stanisławowi Jakimowiczowi w dowód wdzięczności za uratowanie życia - Stefan Kozicki i Georg Liszowski” Nie, to niemożliwe. Taka zbieżność nazwiska i imienia? Helena podeszła bliżej, nie reagując na szepty stojących ludzi. Odsunęła wyciągniętą rękę pani Jadzi próbując ją zatrzymać. Profesor spojrzał na nią przymrużonymi oczami.

- On tu jest - Helena z trudem wydobyła z siebie głos - on tu jest!

- Kto tu jest? - Georg patrzył jej w oczy nic nie rozumiejąc

- Stanisław. Stanisław Jakimowicz.

- Przecież on nie żyje. Od kilkadziesiąt lat - amerykański akcent śmiesznie zniekształcał polskie słowa.

- Żyje! - Helena chwyciła staruszkę za rękaw marynarki i ku zdziwieniu obecnych pociągnęła za sobą.

Pan Stasio obudził się właśnie. Popatrzył obojętnie na mężczyznę stojącego u szczytu łóżka. A później jego oczy zatrzymały się na salowej.

- Helen - uśmiechnął się czule wyciągając ku niej rękę - tęskniłem za panią.

- Ma pan gościa - kobieta uśmiechnęła się, że nie słyszy wyznania, którego świadkiem było tylu nieznanych ludzi.

- Gościa? - Stanisław odwrócił od niej głowę.

- Jakim, poznajesz?

Staruszek drgnął słysząc głos profesora. Wyteżył wzrok.

- Lis? - zapytał nie bardzo wierząc w taki cud.

- Lis, lis. Ech ty stary draniu, Ty żyjesz a ja cię już dawno opłakałem.

Georg usiadł na brzegu łóżka. Chwycił kościste dłonie dawnego przyjaciela i przyłożył do ust.

- No coś ty, starego dziada całujesz?

- Podziękować chciałem. Za tamto wiesz. Dzięki tobie żyję. Uratowałeś nas wtedy. Mnie i Stefana. Zakryłeś kocem a sam nie zdążyłeś. Anioł na ciebie mówiliśmy, prawdziwy anioł.

- Taki czas był, że się ludziom pomagało... - Stanisław kiwał potakująco głową - teraz z tym różnie bywa... Ale

jaki ja tam Anioł. Anioły mają niebieskie oczy i kasztanowe włosy. Jak moja Helen. Gdyby mnie zechciała mógłbyś być świadkiem na naszym ślubie.

Helena oniemiała. Spojrzała wstydliwie po zebranych. Natrafiła na zdumione oczy pani Jadzi i niemniej zdziwioną twarz ordynatora. Zaczzerwieniła się zażenowana.

- No co? Chyba pani spełni prośbę mojego przyjaciela? - Georg roześmiał się rozradowany - Bohaterom się nie odmawia.

- Jeśli pan zgodzi się być świadkiem to nie mam wyjścia - twarz salowej znów pokraśniała.

- A ty Piotrze przyjrzyj się, komu zawdzięczasz życie. Gdyby nie Jakim nie byłoby ani mnie, ani twojego ojca, ani ciebie. Był tak blisko a ty nawet o tym nie wiedziałeś.

Ordynator stał bez słowa mrugając dziwnie oczami. Może chciało mu się płakać, tylko nie wiedział czy mu wypada? A może powód mrugania zupełnie inny był?

Pomoc Anioła.

Florek spojrzał na zegarek. Już pierwsza. Wszyscy śpią, więc będzie mógł wymknąć się z domu niezauważony. Goryl pewnie już czeka przed blokiem. A Jarocho pilnuje, żeby się nikt przy sklepie nie plątał. Właśnie wychodził z mieszkania, gdy odezwała się komórka. SMS? Pewnie Goryl, albo Jarocho. Czyżby akcja odwołana?

- Jestem przy tobie. Nie rób głupstw. Twój Anioł Stróż - odczytał głośnym szeptem.

Co za głupi żart! Zdenerwował się. Wrzucił komórkę do kieszeni. Goryl rzeczywiście stał pod klatką. Chyba już pobrał swoją działkę, bo chwiał się na nogach.

- Goryl, zwariowałaś! Przecież dziś obrabiamy monopol - Florek wysyczał niezadowolony - Więcej będzie z tobą kłopotu niż pożytku.

- Nie bój żaby - Goryl ruszył niepewnym krokiem - jak się ma do pomocy Anioła to wszystko się uda.

- Jakiego Anioła?! Goryl, co ty pleciesz. Znów wzięłaś za dużo!

- Jakie za dużo, jakie za dużo?! Anioł do mnie dzwonił - jego słowa odbiły się echem od pustej ulicy - że mi pomoże mówić!

- Zgłupiałaś? - Florek zaniepokoił się. Coś im ten Anioł w drogę włożył. Jak jeszcze Jarocho wspomni coś o skrzydłach to będzie znak, że po prostu ktoś tu zwariował.

- Hej, papraki! - Jarocho wyłonił się zza załomu bramy - Wkładać czapki i do roboty. Właśnie patrol odjechał. Mamy pół godziny na robotę. Tylko spokojnie i cicho, żeby wpadki nie było.

Zabrali się do pracy. Metodycznie, po kolei, według ustalonego porządku. Nie pierwszy raz obrabiali sklep, nie pierwszy raz wyłamywali kraty, wycinali szyby, wyciągali ze sklepów co się dało. Odbiorca czekał i nieźle płacił. Będzie znów dostawa świeżej gotówki. Nagle w kieszeni Florka rozdzwonił się telefon.

- Jasna cholera - zaklął nie mogąc wyjąć komórki z kieszeni.

- Tego jeszcze nam brakuje, żebyś nam Policję na głowę ściągnął - Jarocho splunął na chodnik rzucając wkoło niespokojne spojrzenie.

Florek zerknął na wiadomość.

- Wracaj szybko do domu. Twój Anioł Stróż - przeczytał.

- Muszę spadać - zaskoczył kumpli nagłą wiadomością. Spojrzeli na niego nic nie rozumiejąc.

- Po prostu muszę natychmiast coś wyjaśnić - rzucił za siebie zostawiając ich z wybałuszonymi ze zdziwienia oczami.

Zasapał się biegnąc do domu. Przed blokiem zatrzymał się. Spojrzał do góry, W oknie brata paliło się światło. Przez odsłonięte firanki wyraźnie było widać postać siedzącą na wózk. Wbiegł na górę i bez pukania wpadł do pokoju Filipa.

- To twoja sprawa? Te smsy?

Filip uśmiechał się zawadiacko, jakby dowcip wymyślony bratu był żartem jego życia.

- Moja - odpowiedział mrużąc oczy. - Moja i twojego Anioła Stróża. Chciałem, żebyś wiedział, że On cię pilnuje.

- Ciebie twój nie upilnował...

- Bo go nie słuchałem...

- Florek, dobrze, że jesteś - matka stanęła w progu zdenerwowana - właśnie dzwoniła matka tego twojego kolegi, że jakaś strzelanina przy sklepie była. Jarek jest ranny.

- Boże, przecież ja tam dopiero co byłem. Mogłem też tak jak Jarek... - Florek zaczął się trząść jakby nagle dopadła go gorączka.

Matka z zaniepokojeniem spojrzała mu w oczy.

- Dobrze, że jesteś razem z nami, ale nie możemy tego tak zostawić.

- Ja już nigdy, przenigdy... - Florek puknął się w piersi.

- Więc chodź ze mną, musimy coś wyjaśnić...

Florek spojrzał na matkę przerażonymi oczami. Dokąd mają iść? Na policję? Do matki Jarka? Matki Goryla?

- Nie bój się - zachęcił go młodszy brat poważnie - Twój Anioł Stróż ci pomoże...

Prawdziwe życie

Wracała z pracy przygnębiona. Dyrektor znowu się czepiał o byle głupstwo. Dziewczyny stroiły się jedna przez drugą, pokazywały swoje szczupłe ciała i zgrabne nogi. Uff, a ona nie miała czasu nawet na fryzjera. Spojrzała na zegarek - już prawie czwarta. Jeśli się pośpieszy z zakupami zdąży dokończyć obiad i będzie mogła obejrzeć ulubiony serial. Aha, trzeba jeszcze odebrać Radka z przedszkola, bo dziś Stefan nie może. Boże jak ten czas szybko płynie.

No nareszcie. Zagłębiła się w swym ulubionym fotelu. Stefan usnął nad rozpostartą gazetą. Radek walczy z magami i czarnoksiężnikami na komputerowym monitorze. Anna wyciągnęła nogi. Sięgnęła ręką do szklanej miseczki z chipsami. Obok nabierała smaku i koloru kawa. Na ekranie telewizora zaczęły przesuwać się znajome postaci. Piękne, zadbane kobiety, przystojni panowie. O, oni to mają problemy. Niewierni mężowie, zazdrosne żony, niewierne żony, zazdrośni mężowie. Żeby ona mogła tak jeszcze kogoś pokochać, albo ją ktoś tak zauroczył. Spojrzała na chrapiącego męża, na jego zszarzałą twarz, opuchnięte oczy. Brr, lepiej wrócić spojrzeniem na ekran.

Właśnie główna bohaterka wróciła do domu z nocnej imprezy. Rozświetlony salon zakolorował się pięknym wnętrzem, pluszowe kanapy, komoda, złożone lustro, firany, kwiaty. Anna omiotła spojrzeniem swoje małe mieszkanie. Wersalka może i ładna jeszcze kilka lat temu dziś przypominała jadłospis ulubionych pokarmów synka: Danonków, czekoladek, bananów i innych smakołyków. Meblościanka też nie najnowszego typu. Firanki pożółkły jakoś.

Ech, lepiej nie psuć sobie humoru. Anna straciła wątek, ale nic to. Chwila skupienia i już wie, w jakim kierunku toczy się akcja. Ile lat może mieć ta aktorka? Pewnie jest starsza od Anny. Ale jaka cera, jaki piękny makijaż, włosy, figura. Tyle w niej czaru i powabu. Anna sięgnęła do torebki, wyjęła lusterko. Boże, ile na czole nowych zmarszczek, kurze łapki pod oczami, policzki niebezpiecznie zwisają ku dołowi. Gdyby tak operacja plastyczna?

Ostatnio pokazywali w TV taki program, gdzie z brzydkiej zaniedbanej „domowej kury” przez kilka tygodni chirurdzy plastyczni, wizażyści, projektanci mody zrobili piękność nie do poznania. Gdyby tak Anna stanęła teraz przed mężem w takiej super figurze, w takim odlotowym stroju. Gdyby tak ujęto jej tych zmarszczek, tego tłuszczu na biodrach, brzuchu, udach. O! Wtedy Anna poczułaby że żyje, że jest prawdziwą kobietą. Tak chciałaby jeszcze zabłysnąć. Ubrać się jak modelka.

Tak, Anna wie że to wszystko kosztuje. Ale czasem pieniądze przychodzą łatwo. Tyle jest w telewizji teleturniejów, konkursów, quizów. Właśnie prezenter targuje się z piękną blondyneczką za ile chce kupić czy odkupić kopertę. Proponuje jej całkiem pokaźną sumę a ona wybrzydza, kręci głową. Anna denerwuje się. Dobrze że program przerywa reklama. Anna biegnie do kuchni, wyjmuje z lodówki wędlinę, majonez, może jeszcze kawałek sera. I tak jest gruba więc jej ten kawałek nie zaszkodzi.

- Mamo - woła z pokoiku Radek - zrób mi kanapkę - tylko przynieś mi tutaj bo za nic w świecie nie mogę przerwać mojej gry...

- Już się robi - krzyczy Anna zerkając jednym okiem czy reklama już się skończyła.

Kiedy wraca do pokoju na ekranie jakiś polityk tłumaczy naiwnym ludziom że oni tam na górze chcą dobrze tylko jakoś nikt tego zrozumieć nie może.

- Przełącz program - woła do męża Anna. Wybitny ze snu Stefan już trzyma pilota w ręku. Nie wiadomo czy uda się go Annie dziś odzyskać. A przecież zapowiada się jeszcze tyle wzruszeń. Bo może dziś ktoś odszuka zaginionego krewnego, może ktoś ulituje się nad losem samotnych, maltretowanych czy molestowanych dzieci, może uda się rozwiązać problem matki samotnie wychowującej dzieci, może jakiś alkoholik podejmie trud walki z nałogiem, może uda się złapać przestępcę, złodzieja, mordercę... Tyle tych nierozwiązanych spraw, tyle smutku, tragedii, rozpacz. Aż serce boli. I popłakać można i rozczulić się. A czasem to serce zabija gwałtownie z nerwów albo się ucieszy że jednak do ludzi szczęście się uśmiechnie... ale to rzadko raczej bywa.

Telewizja to prawdziwe życie jest. Nie to co przeżywa Anna na co dzień, jakieś takie monotonne, nudne, szare, bez znaczenia. Anna znów patrzy na zegarek. Późno już. Radek powinien iść spać, rano czeka go przedszkole. Anna przeciera zaspane oczy. Idzie do pokoju synka. Monitor pulsuje niebieskim światłem. Głowa Radka oparta na złożonych rękach buja się leciutko. Żrenice oczu pod zamkniętymi powiekami poruszają się niespokojnie. Anna rozbiera synka i kładzie do łóżeczka. Wraca do pokoju. Stefan znowu chrapie. Anna wyjmuje mu delikatnie pilota z dłoni. Będzie miała teraz telewizor wyłącznie dla siebie. Jeszcze trochę emocji, jeszcze trochę prawdziwego życia. Jutro znów rano męka codziennego nudnego dnia....

Prawdziwy mężczyzna

Weronika wyszła z gabinetu zrozpaczona. Lekarz nalegał, by poddała się operacji a ona zupełnie nie wiedziała co zrobić z synkiem. Pawełek niechętnie rozstawał się z nią nawet na czas pobytu w szkole. A tu zapowiadała się co najmniej dwutygodniowa rozłąka. Żeby tylko zechciał pojechać do babci. Weronika spojrzała na zegarek. Musi

się pospieszyć. Pawełek pewnie już skończył lekcje i czeka na nią pod szkołą. A tu jeszcze ten nagły telefon od Andrzeja.

- Słyszałem, że masz kłopoty - głos byłego męża płynął gdzieś z daleka.
- Prosiłam mamę, żeby nikomu nic nie mówiła - Weronika nie kryła niezadowolenia.
- Mógłbym wziąć Pawła na kilka dni do siebie. - Jacek przeszedł od razu do istoty sprawy.
- Ty? - zdumiała się - przecież nie lubisz dzieci.
- To ty tak twierdzisz - mąż odpowiedział sarkastycznie - od początku broniłaś mi z nim kontaktu.
- Bo dziecko to nie zwierzę do tresowania - podniosła głos.
- I nie pluszowa zabawka - odparł jej atak.
- Nie chcę twojej pomocy - krzyknęła wzburzona, że znów dochodzi między nimi do niebezpiecznej wymiany zdań. Nie miała siły na kłótnię. Serce łomotało w niej niebezpiecznie. Niech Jacek nie myśli, że odda mu syna tylko dlatego, że jest chora. Weronika poczuła nagle jak słabnie, jak miękną jej kolana a pot spływa po plecach.
- Chyba jeszcze nie umieram? - pomyślała przestraszona i straciła przytomność.

Jacek przyjechał po Pawła natychmiast jak się dowiedział co się stało. Nie widział go prawie rok. Synek niewiele się zmienił od tamtego czasu. Delikatna, blada twarzyczka, szczupłe ciało, wylękniony wzrok. Kiedy Jacek pakował jego rzeczy dziwił się, że chłopak nie ma ani sportowych butów, ani dresów, ani żadnego sprzętu do zabawy na dworze. Nawet zwykłej piłki, za którą chłopcy w jego wieku uganiają się od rana do wieczora.

- Widziałeś kiedyś konia? - Jacek zagaił rozmowę, bo mały milczał jak zaklęty od kilku godzin. Chłopak skinął głową.
- A osiołka? - Paweł potwierdził mrugnięciem powiek.
- Strusia też pewno widziałeś?
- Mam dużo książek o zwierzętach - Mały odezwał się w końcu.

Jacek udał, że ta odpowiedź go zadowoliła.

- U mnie właśnie urodził się źrebaczek. Jak chcesz, może być twój.

Oczy Pawła zalśniły dziwnym blaskiem. To byłoby cudownie mieć takiego konika na własność.

- Jutro skoczmy na ryby, zgoda?

Ryby? Żrebaczek? Co ten ojciec jeszcze wymyśli?

- Możemy też zbudować namiot. To grzech w taki upał spać pod dachem.

- Ty wszystko tato umiesz?

Jacek roześmiał się

- Kiedyś byłem harcerzem. I wiesz synu, tak naprawdę to wciąż nim jeszcze jestem...

Weronika czuła się wspaniale. Operacja się udała, siły wróciły. Jacek dzwonił do niej do szpitala codziennie, zdawał relację ze wszystkiego co razem z synem robili. Weronika najpierw była przerażona. Nie mogła uwierzyć że Pawełek nauczył się pływać, że jeździ na koniu, że potrafi rozpalic ognisko. Chłopak opowiadał jej o tym z taką radością i entuzjazmem głośnie, że musiała skapitulować. Pozwoliła, by został u ojca do końca wakacji. Modliła się tylko, żeby się nic złego mu nie stało. Teraz w końcu wracają do domu. Pociągami, żeby zaliczyć jeszcze jedną wakacyjną przygodę. Weronika wyteżyła wzrok. W tym wylewającym się z wagonów tłumie podróżnych nie mogła jakoś dostrzec sylwetki synka. Nagle poczuła na ramionach czyjeś ręce. Jakiś dzieciak stając na palcach próbował ją uściskać. Weronika strząsnęła z siebie obce dłonie.

- Mamo, to ja, twój syn Paweł!

- Pawełek? - zawołała zdziwiona, że tak się zmienił, zmężniał.

- Teraz już Paweł - syn silniej zaakcentował swoje imię poprawiając na ramieniu pasek podróźnej torby.

- Prawdziwy z niego mężczyzna, nieprawdaż? - Jacek pojawił się za plecami Pawła.

Cóż miała odpowiedzieć? Że też jest dumna? Że też się cieszy? Ale chyba mąż już to wszystko wyczytał w jej nagle rozpromienionych oczach, bo uśmiechnął się do niej wyjątkowo ciepło...

Przebaczenie

Weszła do domu cicho zamykając drzwi. Rozłożyła mokry parasol w rogu przedpokoju. Od tygodnia lało nieprzerwanie, chociaż był środek lata. Ksawery spał przy niebieskim blasku telewizyjnego monitora. Weszła do łazienki zrzucając po drodze czarne szpilki. Dźwięk telefonu rozerwał nagle ciszę.

- Iśka, jesteś? Dzwonię do Ciebie od kilku dni.

- Stało się coś - zaniepokoiła się nagle - Coś z mamą?

- Nie, nie - Sabina zaprzeczyła zbyt szybko - tylko miałaś przyjechać a ja czekam, niepokoję się o Ciebie.

- Wiesz, ciągle pada.

- To co, że pada. Katarynka się stęskniła.

To był silny argument. Spojrzała na śpiącego męża. Nie rozmawiali ze sobą od kilku dni. Pewnie nawet nie zauważył jej wyjazdu.

- Będę za kilka godzin - rzuciła w słuchawkę ciesząc się, że podjęła tak szybko decyzję. Po drugiej stronie kabla zabrzmiał dźwięczny radosny śmiech.

Wyciągnęła z szafy podróżną torbę. Zaraz się wykąpie, zostawi kartkę Ksaweremu na stole w kuchni i pójdzie do pociągu. Jeśli będzie miała szczęście to prześpi się w pustym przedziale. Za kilka godzin będzie u Sabiny. Nagle zaczęła za nią tęsknić tak bardzo jak jeszcze nigdy w życiu...

- Ciociu, ciociu, chodź popływać - Katarynka chwyciła ją za rękę. Woda była zimna, orzeźwiająca.

- Jak dobrze, że przyjechałaś i że przywiozłaś pogodę - Klara bulgotała zachłystując się wodą.

To prawda, po deszczowym i zimnym tygodniu nie było już śladu. Bezchmurne niebo pozwoliło w końcu słońcu rozlać się kaskadą światła i ciepła. Ludzie chowali się pod parasole, parawany, kapelusze. Sabina też. Ale one z Katarynką czuły się jak w raju, zaznaczone pierwszą opalenizną, z pszenicznymi włosami targanymi przez wiatr, szalały po plaży jak rozbawione szczeniaki.

- Iśka ja ty to robisz, że Klara tak za tobą przepada. Z nikim nie ma takiego dobrego kontaktu. Poza mną oczywiście i Jackiem...

- Talent, siostrzyczko, talent pedagogiczny się ma...

Katarynka po wyjściu z wody zajęła się budowaniem zamku z piasku. Mogły chwilę pogadać.

- Wiesz- siostra spojrzała na nią współczująco - szkoda, że nie macie dzieci, to by was może jakoś scalało. - Sabina zdążyła się już dowiedzieć o ich małżeńskich kłótniach. O coraz dłuższych cichych dniach i o nocnych wypadach Iśki na miasto.

- Pewnie tak, ale wiesz, ja już nie mam siły o to zabiegać. Zresztą lekarze postawili już ostateczną diagnozę.

- A adopcja? Adopcja nie wchodzi w grę?

- Saba, coś ty, cudzego dzieciaka pokochać? Zresztą z Ksawerym odeszliśmy już od siebie tak daleko...

- A Klara? Przecież kochasz Klarę?

- No wiesz? Klara to zupełnie, co innego.

- Ciociu, ciociu, chodź do wody - Katarynka przymilnie głaskała ją po plecach. Nie umiała jej niczego odmówić. Chwyciła siostrzenicę za klejącą się od piasku rękę i pobiegła prosto w nadchodzącą buro-złotą falę.

Wracały z plaży. Minęło już kilka dni wspólnego odpoczynku. Zdążyły sobie opowiedzieć już prawie wszystko. Klara szalała z radości. Teraz też zaciągnęła ich na karuzelę. Kręciły się teraz objęte z Sabina wpół machając jej rękoma. Usiadła na ławce. Przymknęła oczy. Nagle stanęła jej przed oczami tamta noc. Ta, od której zaczął się jej cały późniejszy dramat. Wraciła z Kazkiem z wiejskiej zabawy. Kazek wypił wcześniej kilka piw i teraz tulił się do niej bez przerwy. Broniła się nieśmiało, miała dopiero piętnaście lat i żadnych doświadczeń z mężczyznami. Dotknął jej piersi. Przestraszyła się. Przyspieszyła kroku. Chwycił ją za rękę, doprowadził do drzewa, oparł plecami.

- Boisz się - zaśmiał się rubasznie.

- Nie - szepnęła, choć nogi zaczęły jej drżeć ze strachu.

- Puść, boli - powiedziała głośnie

- Już cię teraz nie puszcze- jego oczy nabrały dziwnie niebezpiecznego blasku. Był silny, sprawny, zwinny. Próbowiła się wyrwać, uciec, zakrzyczeć to, co chciał zrobić. Nie miała szansy. Wolno z premedytacją zrywał z niej kolejne części ubrania. Płakała. Wyła. Wzywała Boga Na próżno.

- Ciociu śpisz? - Katarynka podskakiwała przed nią jak pajac.

- A tak jakoś zdrzemnęłam się - uśmiechnęła się do małej. Ale Sabina zauważyła w kącikach jej oczu dwa błyszczące brylanciki. Objęła ją ramieniem, nie musiała o nic pytać. Ona jedna wiedziała, że rana w sercu siostry wciąż była świeża.

Sabina krzątała się od samego rana. Po całym domu roznosił się zapach pieczonego ciasta. Iśka stanęła w drzwiach kuchni jeszcze w podomce.

- Co tu się dzieje? Czyżbym zapomniała o jakimś święcie? - zapytała.

- Nie, nie - Saba zaprzeczyła szybko - Tak jakoś zachciało mi się czegoś słodkiego.

- Mamo, babcia przyjechała - zawołała Katarynka wyglądając oknem. Spojrzała w kierunku siostry. Opadające na twarz włosy nie pozwalały dostrzec wyrazu jej oczu.

- Sabina? Nie powinnaś mi tego robić - zdenerwowała się - Czemu ją zaprosiłaś?

- Iśka, ty musisz jej wybaczyć.

- Zwariowałaś? Czy ty wiesz, co mówisz?

- Iśka, jej zostało tylko kilka miesięcy życia.

- Skąd wiesz? - wstrząsnęła nią ta nagła wiadomość

- Ta jej lekarka dzwoniła do mnie.

- Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy.
- Iska, nie mów tak, to przecież nasza matka.
- Twoja matka.
- Iska, błagam cię, pozwól jej umrzeć w spokoju.
- Mam pozwolić jej umrzeć w spokoju? Za to, co mi zrobiła? Nigdy...!

Matka stała w drzwiach. Musiała usłyszeć ostateczne słowa. Była biała jak papier. Usta jej drżały a ręce szukały oparcia. Sabina podprowadziła do fotela.

- Mamo, tylko się nie denerwuj, dam ci krople...
- Nie, nie trzeba - matka osunęła ją delikatnie - chcę porozmawiać z Krystą.
- Nie chcę z tobą rozmawiać - krzyknęła zasłaniając oczy rękami.
- Byłam u Ksawerego. Powiedziałam mu całą prawdę. O tobie, o dziecku, o mnie. On zrozumiał. Teraz proszę ciebie o wybaczenie - matka szlochała nie wstydząc się łez.

Wybaczyć? Jak matce wybaczyć to co jej zrobiła.? Jak? Pamięta tamten dzień. Zimno, które przenikało ją od lekarskiej kozetki i te bezimienne ręce, które wyciągały z niej to co się już jakiś czas temu zagnieździło. Miała przywiązane do metalowych uchwytów ręce i nogi. Matka została w poczekalni. Nie mogła być świadkiem tego, co się tam za zamkniętymi drzwiami działo. Dla jej Iski dobra trzeba było to dziecko usunąć. Dla jej Iski dobra matka postanowiła, że tego dziecka nie będzie, że się nie urodzi.

Leżała, więc na zimnej kozetce poddając się woli matki, która zostawiła ją samą z myślami i bólem. Operacyjna lampa milionami świetlnych błysków raniła jej oczy. Miała wrażenie, że leży w przezroczystej trumnie i że umiera wraz z tym maleństwem do którego nie miała prawa. Wtedy poczuła jak jej dziecięce jeszcze ciało wypełnia pustka a do serca jak wąż wślizguje się nienawiść...

Teraz ta jej matka prosi o wybaczenie. O wybaczenie miłości którą zabiła.

- Mamo - zdziwiła się, że dawno nie używane słowo przeszło jej przez gardło

Spotkało ją jej rozpaczliwie smutne spojrzenie. Dotknęła jej siwych, włosów, jej zgarbionych pleców.

- Dobrze mamo, porozmawiamy...

Matka odjechała następnego dnia rano. Sabina chciała, aby została u niej dłużej, do końca nawet, ale ona postanowiła, że woli wiejskie powietrze i ławeczkę przed domem. Wygadały się przez kilkanaście godzin jak nigdy wcześniej. Trzeba było teraz to wszystko w sobie poukładać, jeszcze raz w myślach powtórzyć, na nowo przebaczyć.

Przed chwilą zatelefonował Ksawery.

- Czekam na ciebie - głos w słuchawce był ciepły i czuły. Przebiegł po jej ciele elektryczną iskrą. Zatęskniła za bliskością tego, który przez ostatnie lata coraz mniej dla niej znaczył. Ksawery. Dobry, spokojny mężczyzna, który kochał za mocno, żeby odejść. I wiedział za mało, żeby zrozumieć. Teraz mówi jej prosto do serca „Czekam na ciebie”. Poczuła jak łzy wzbierają się pod powiekami. Za chwilę ruszą lawiną po zakrzepniętych bólem policzkach. Ksawery czekał na nią i to zrobiło się nagle najważniejsze. Musi jak najszybciej go zobaczyć, jeszcze dziś, zaraz... Pobiegła do pokoju, żeby się spakować.

Jesień była piękna tego roku. Klony na cmentarzu mieniły się purpurą, czerwienią, brązem, pomarańczem i żółcią. Na chodniku powstał kolorowy dywan. Ksawery proponował, że z nią pójdzie, że da jej oparcie w razie potrzeby. Ale ona postanowiła powiedzieć o tym matce sama. Bez Ksawerego, chociaż stał się on na nowo najważniejszym człowiekiem w jej życiu. Ostrożnie stawiała kroki. Brzucha jeszcze nie było specjalnie widać, ale ona opasała go dłońmi wierząc, że to ochroni go przed złem świata. Marmurowa płyta też pokryta była liśćmi. Zgarnęła je dłońmi. Przetarła ręką mokry napis. To już dwa lata jak matka odeszła. Dwa lata smutku, którego się wcale nie spodziewała. Usiadła na drewnianej ławeczce, zapatrzyła się w owalne zdjęcie umieszczone z boku pomnika. Matka uśmiechała się. Może to ona wymodliła im ten cud poczęcia? W końcu stało się to bez ingerencji lekarzy, nowoczesnych metod, sposobów. Tak zwyczajnie, normalnie jak przez wieki działo się w ciałach kobiet.

Oparła głowę na dłoniach. Kilka grobów dalej jakąś staruszka odmawiała różaniec. Tu i ówdzie paliły się znicze. Ona nie przyniosła nic. Tylko to dziecko poruszające się w brzuchu i to całkowite przebaczenie. Matka uśmiechała się nadal. Jak kiedyś, gdy Isia kładła głowę na jej kolanach zwierając się ze swych dziecięcych sekretów. Jak kiedyś, gdy jeszcze nie było tego co przyszło później...

Przyjaciółka

Taksówka przejechała już prawie pół miasta. Majka nie mogła nadziwić się mijanym domom, parkom, piętrowym autobusom. Londyn. Jeszcze niedawno znany tylko z folderów i fotografii. Dziś bliższy niż własne miasto. Za chwilę Majka rzuci się Agacie na szyję. Uściska i przytuli jak siostrę. Później będą siedziały do późnej nocy snując opowieści

o dawnych czasach. Może nawet wypiją po lampce wina i będą chichotać jak nastolatki. Majka przytknęła nos do szyby. Tak się spełniają marzenia - pomyślała.

- Na długo do nas? - kierowca Polak próbował nawiązać rozmowę.
- Może na zawsze - odpowiedziała rozmarzonym głosem
- Masz tu kogoś?
- Przyjaciółkę
- Dawno w Anglii?
- Kilka lat
- Na swoim?
- Na swoim.

Tak, Agata była na swoim. A ona Majka dorobić się jakoś niczego nie mogła. Więc może wreszcie teraz? Dzięki Agacie, którą odnalazła przez „naszą klasę”? Powinna podziękować twórcom tej strony, bo przez nich odnowiła starą znajomość. Początkowo nie myślała, że ją to tak wciągnie. Kiedy padła propozycja spotkania wahała się. Oboje z Bogdanem nie mieli stałej pracy. Jasiiek wołał o nowe buty a Werce już po raz drugi zszywała plecak. A takie spotkanie to wydatek. Składka na poczęstunek w lokalu dość wysoka no i ubrać by się jakoś modniej by trzeba. Teraz nie żałuje. Wtedy miała wyrzuty sumienia, że zapożyczyła się na tę jedną noc, a oni tam w domu jedli tylko chleb ze smalcem i cebulą. Ale teraz wie, że to los szczęścia był.

- Majka - krzyknęła wtedy Agata, gdy ją zobaczyła - Tak strasznie się za tobą stęskniłam.

Nie widziały się tyle lat. W liceum siedziały w jednej ławce. Odprowadzały się po lekcjach do domu, biegały razem do dyskoteki. Nawet zakochały się w tym samym chłopaku.

- Ty do pracy? - taksówkarz podjął rozmowę po chwili milczenia
- Mam nadzieję
- Masz już coś nagrane ?
- To tylko - kwestia czasu
- Witamy więc, na pokładzie. Nie będziesz żałować.

Gdzieżby miała żałować. Agata opowiadała jak w Anglii jest dobrze. Zresztą widziała w „naszej klasie” zdjęcia jej domu, samochodu, ogrodu.

- Przyjaciółka czeka? - kierowca chciał być grzeczny do końca.
- Na pewno - Majka zamyśliła się. Jeszcze wtedy, w liceum zapewniały, że zawsze mogą na siebie liczyć. A na spotkaniu „naszej klasy” Agata powtarzała „przyjeżdżaj, pomogę ci”. Co prawda Bogdan nalegał by zadzwoniła, uprzedziła, ale ona wołała przyjechać niespodziewanie, radość większą zrobić.
- No to jesteśmy na miejscu - kierowca zahamował przy drewnianym parkanie - To tu - powiedział wyciągając rękę po zapłatę.

Majka chwyciła plecak, stanęła przy furtce. Jest Agata. Siedzi na ławeczce przy małej piaskownicy i pilnuje dziecka. Nieopodal jakiś mężczyzna kosi trawę.

- Aga - krzyknęła - Agata- !

Przyjaciółka odwróciła głowę. Podniosła się szybko. Podeszła do płotu oglądając się trwożliwie w kierunku domu.

- Przyjechałaś do mnie? - zapytała.
- Zapraszałaś - Majka zeszywniała nagle - Nie cieszysz się?
- Cieszę - odpowiedziała tak jakoś smutno.

Nagle otworzyły się drzwi domu. Starsza kobieta przysłoniła oczy, by lepiej widzieć gościa

- Miss Agata – powiedziała służbowo - you will have some time for a meeting on Saturday. Now please lead Alice to her room and go to Mr. Andrew. He has been asking for changing his nappy for an hour.*

Agata spłonęła rumieńcem. Zawróciła w kierunku domu. Majka podniosła plecak. Zrobiła kilka kroków przed siebie.

- Zaczekaj! - usłyszała. Facet, który kosił trawę znalazł się tuż obok niej.
- Znam tu kogoś. Może ci jakoś pomoże.

Uśmiechnęła się przez łzy. Z ledwością przewiesiła plecak przez ramię. Nagle zrobił się taki ciężki jakby nie kilka ciuchów w nim było a kula z żelaza.

*Pani Agato - powiedziała służbowo - na spotkanie będzie czas w sobotę. Teraz proszę zaprowadzić Alicję do jej pokoju i pójść do Pana Andrzeja. Od godziny nie może doprosić się o zmianę pampersa.

Siostrzyczka

Barbara cieszyła się z wiosennego słońca i coraz cieplejszych dni. Będzie można częściej wychodzić z domu. Bez zbytniego ubierania się w płaszcze, czapki, rękawice. Karolcia zawsze przy tym marudziła. Rozrzucała swoje

rzeczy po całym mieszkaniu. Ostatnio grymasiła bez przerwy. Złościła się, tupiła nogami, czasem nawet rzuciła się histerycznie na podłogę. Zaczęła sikać w majtki i żądać wieczorem mleka w butelce. We wszystkim naśladowała Asię. Basia rozumiała, że zachowanie córki miało związek z przyjściem na świat drugiego dziecka. Próbowала temu jakoś zaradzić, poświęcać Karolci więcej czasu. Trudno jednak było zajmować się jednocześnie obiema córkami naraz. Ale dziś z ubieraniem nie było kłopotu. Szły więc teraz razem pogodnie i zadowolone. Barbara uśmiechnęła się radośnie. Może jej córka w końcu wyrośnie z dziecięcej zazdrości?

Ach ta mama! Idzie sobie spokojnie i uśmiecha się do gaworzącej w wózku Asi. Znowu patrzy na nią. To bardzo boli, gdy mama zajmuje się tylko młodszą siostrzyczką. Że jej Karolci wogóle nie dostrzega. Może mama nie potrafi kochać dwóch dziewczynek na raz? Może jej serce jest po prostu za małe? Lepiej by było, żeby się Asia w ogóle nie urodziła. Ale skoro już jest to przecież nie można jej wyrzucić. Tak naprawdę to Karolcia ją nawet lubi. Potrząsa jej grzechotką nad łóżeczkiem, śpiewa piosenki i robi śmieszne miny. Więc niech Asia już zostanie. Lepiej, żeby Karolcia poszukała sobie nowej mamy. Takiej, która będzie ją kochać przez całe życie. Karolcia już zna nawet taką jedną panią. Pewnie ona czeka na nią na ławce przy płocie. Mama nachyliła się znowu nad Asią, poprawiła jej kocyk, pogłaskała po główce. To dobry moment, żeby się odwrócić i zniknąć za krzakami. Pobiec ścieżką przy płocie do tamtej pani, która kilka dni temu tak miło do niej mówiła i poczęstowała ją cukierkami. Obiecała, że kupi jej domek dla Barbi i konika na biegunach. Więc trzeba się pośpieszyć, żeby jej ta pani nie uciekła.

Barbara wyprostowała plecy. Westchnęła głęboko czystym powietrzem. Rozejrzała się wokoło. Gdzie jest Karolcia? Podskakiwała przed chwilą obok wózka. Może pobiegła gdzieś za pomykającą wiewiórką? Albo zbiera zeszłoroczne szyszki? Nigdzie jednak nie widać czerwonego płaszczyka córki. Ani przy fontannie, ani między drzewami ani na huśtawkach wśród innych dzieci. Basia zaniepokoiła się. Trzęsącymi rękoma wyciągnęła telefon. Wcisnęła numer męża. - Paweł! - krzyknęła nie panując na głosem - Karolcia zniknęła.

Ach ta mama. Pewnie nawet nie zauważyła, że Karolcia odeszła. Co ją obchodzi córeczka, która siedzi teraz na kolanach u tej dobrej pani i je czekoladki. Że kobieta głaszcze ją i tuli. Zaraz przyjedzie samochód i wtedy obie pojadą do pięknego dużego domu pełnego zabawek i słodczy.

Ale co to za wrzawa za ich plecami? Jacyś panowie w mundurach biegają po parku jak małe dzieci. - Karolcia! - To mama biegnie w jej kierunku. Rozpięty płaszcz płacze się jej między nogami. Zmierzwiłone włosy fruwać na wietrze. Obca pani ciśniej obejmuje ciało Karolci. Okrywa ją swoim szalem. Szeptem jej coś do ucha. Ale Karolcia nie słucha. Wrywa się z jej ramion. Upada na śliskiej ścieżce. Patrzy w stronę mamy. Jej ręce są już blisko, bliżutko.

- Kochanie moje - Barbara podnosi dziecko. Oplata je drżącymi dłońmi. Czuje pod palcami niespokojny trzepot małego serduszka

- Dobrze już - szeptem wycierając zapłakane oczy. Jej uścisk jest silny. Karolcia nie ma już wątpliwości, że mama ją kocha. Dobrze, że zdążyła się o tym przekonać. Za chwilę mogłoby być na taką pewność po prostu za późno....

Samolot

„Pan zaś ugodził dziecię i ono zachorowało. Wtedy Dawid błagał Boga za dziećciem i pościł Dawid, a gdy przyszedł na noc do domu, leżał całą noc na ziemi. Siódmego dnia dziećcie zmarło”

Wiktor po raz setny czytał ten fragment Starego Testamentu. Po raz setny zakrywał twarz rękoma i szloch rozdzierał jego serce. Tyle nocy i dni spędził w kaplicy, błagał, składał obietnice, układał się z Panem Bogiem. Na próżno. Po tylu miesiącach ból wciąż odnawiał się przy każdym wspomnieniu, przy każdym spojrzeniu na bawiące się przed blokiem dzieci, przy każdej telewizyjnej migawce relacjonującej dziecięcą chorobę, kalectwo, śmierć.

Ech, Wiktor niecierpliwie zamknął grubą Księgę. Zamiast rozdrapywać rany pójdzie do synka, posiedzi przy jego małej mogile, zapali światełko.

Jesienne słońce suszyło właśnie kałuże i krople deszczu na liściach, krzewach, prętach cmentarnego płotu. Wiktor szedł równym krokiem. Drogę znał na pamięć. Przemierzył ją już setki razy. Małych grobów ciągle przybywało. Pilnowanych przez skrzydlate Aniołki, rozmodlone Jezuski, tkliwe Maryje. Wiktor stanął przy znajomej, marmurowej płycie. Na złotym krzyżyku huśtał się wyblakły pluszowy miś. Z okrągłego zdjęcia wychylała się dziecięca, pyzata buzia

- To twój synek? - cieniutki głosik zaskoczył go nagle. Obok niego stał nieduży chłopiec. Pod pachą trzymał tekturowe pudełko.

- Tak - odpowiedział cicho.

- Ma na imię Jacek?

- Jacek.

- Fajny jest - chłopiec ukląkł, przybliżył twarz do fotografii.

- Tęsknisz za nim?
- Bardzo - Wiktor zdziwił się, że mały wciąga go w takie zwierzenia.
- Jest w niebie - chłopak z przekonaniem pokiwał głową.

Wiktor poczuł jak w jego ogromną rękę zagłębia się mała chłopięca dłoń. Jej ciepło rozlało mu się po ciele.

- Samoloty sklejać umiesz?
- Nie wiem, nigdy tego nie robiłem.
- Nauczę cię, chcesz? - chłopak wyjął spod pachy tajemnicze pudełko. Otworzył pokrywkę. W foliowych torebkach równiutko poukładane leżały części szybowca, klej, kolorowe naklejki, sznureczki.
- Potrzebuję twojej pomocy. Chodź mieszkam niedaleko...

Wiktor zaskoczony propozycją malca dał się pociągnąć ku cmentarnej bramie. Dobrze, odprowadzi go do domu, pewnie rodzice go szukają.

Alicja wyrzwała przez okno. Synka nie było widać. Pewnie mimo obietnic znów pobiegł na cmentarz. Nie opuścił ani jednego dnia od pogrzebu ojca. O! Idzie! Trzyma za rękę nieznajomego mężczyznę. Rozmawiają. Filipek chichocze. Tamten też się śmieje. Alicja składa ręce jak do modlitwy

- O Boże, mamó- woła do nadchodzącej staruszki – znów będziemy miały gości na obiedzie.
- To już trzeci raz w tym miesiącu – z troską w głosie odpowiada kobieta wyjmując z szuflady dodatkowe nakrycie.
- Nie wiem, gdzie znajdziemy miejsce na nowy samolot...

I rzekł Dawid „Dopóki dziecię żyło, pościłem i płakałem. Teraz zaś, gdy zmarło po cóż mam pościć? Czy mogę je jeszcze przywrócić życiu? To ja pójdę za nim, a nie ono powróci do mnie.”

Wiktor zamknął Pismo Święte. Spojrzał na zegarek. Już jedenasta. Musi się pospieszyć. Dziś znów umówił się z Filipem. Będą razem kleić nowy samolot.

Rusalka

Matka stała w drzwiach gotowa do wyjścia.

- Gdzie się znowu wybierasz? - zapytał obrzucając ją wnikliwym spojrzeniem.
- Na turniej taneczny. Dołożyłam trochę pieniędzy do imprezy i dostałam zaproszenie - odpowiedziała przesyłając mu sztuczny uśmiech.
- Przecież to cię nie bawi - w głosie syna wyraźnie słychać było ironię.
- Bawi nie bawi - pokazywać się trzeba - odparła szczerze - Ty też mógłbyś tam pójść ze mną.

Bartosz zawahał się przez chwilę, a później zupełnie niezrozumiale dla siebie zawołał

- Poczekaj, wezmę tylko kurtkę. W końcu i tak nie mam nic ciekawszego do roboty.

Bartosz rozejrzał się po sali. Nie spodziewał się tu tylu ludzi. Cholera, ale dał się wrobić. To chyba jakaś impreza dla kalek, połamańców, inwalidów. Wszędzie wózki, chodziki, balkoniki. Wykrzywione twarze, wygięte plecy, kuśtykające nogi. Boże, jak przykro patrzeć na tyle nieszczęścia skupionego na raz w jednym miejscu. Kurcze, gdyby tak on... Chyba by się załamał. Chyba by nie potrafił wyjść ze swoim kalectwem do ludzi.

- Hej! Tu jest wolne miejsce – dziewczyna, która go zawołała siedziała sama w rogu sali. Jej krótka spódniczka i bluzka z falbankami od razu nakierowała go na właściwy trop.

- Jesteś tancerką? - zapytał.
- Tak - uśmiechnęła się - występuję w pierwszej parze z Rafałem. Właśnie wyszedł na chwilę, bo... - zająknęła się. Popatrzyła na niego jakoś dziwnie.

- Sam przyszedłeś?
- Nie, matka mnie tu zwabiła, ale nie wiedziałem, że tu zlot takich dziwaków będzie.
- Mówisz o niepełnosprawnych?
- No tak, niektórzy to może nawet i normalni, ale reszta... Warto dla nich tańczyć?
- Czemu nie. To przecież tacy sami ludzie jak inni. Tak samo czują, cieszą się, śmieją. Popatrz na ich twarze. Widzisz tam smutek, rozpacz? A zobaczysz jak zagrają.

Czy mu się wydawało, czy spoważniała nagle? Jej ręce zaczęły zwijać koniec spódniczki, chyba drżały nieco.

- Masz tremę - stwierdził raczej niż zapytał.
- Mam- odpowiedziała cicho uciekając wzrokiem ku drzwiom. Nagle jej oczy zajaśniały dziwnym blaskiem.
- Spojrzał w tym kierunku. Szybkim krokiem podązał ku nim rudy chłopak. Przed sobą popychał inwalidzki wózek.
- Rafał – dziewczyna wyprostowała się radośnie - zdążyłeś, tak się bałam...
- Zdążyłem, zdążyłem... śruba dokręcona, siedzenie poprawione, złap się za szyję... - jednym silnym ruchem posadził dziewczynę na wózku - no to startujemy - ruszył wolno na środek sali.

Z głośników popłynęły pierwsze nuty. Tancerka na wózku cała poddała się muzyce. Jej ramiona, głowa, dłonie wykonywały wdzięczne ruchy, początkowo wolne, później coraz szybsze. Chłopak okręcał ją wokół siebie, obracał sprawnie wózkiem, wykonywał skomplikowane piruety i podskoki. Ona „frunęła” prawie, lekka i zwiewna niczym motyl. Jej długie włosy rozsypywały się złotem na plecach, kolanach, poręczach wózka. Przymknęła oczy dając się ponieść muzyce coraz wyżej i wyżej.

- Rusalka – pomyślał dołączając się do burzy oklasków – prawdziwa Rusalka.

- Bartosz, wracamy do domu - matka odnalazła go przy bufecie pijącego sok pomarańczowy.
- Będzie jeszcze zabawa - przypomniał jej program imprezy wiszący przy drzwiach wejściowych.
- Zabawa z niepełnosprawnymi? - brwi matki uniosły się do góry - przecież wiesz że to nie dla mnie.
- To, po co tu przyszedłeś - spojrzał, na nią zdziwiony.
- Żeby sobie od podatku darowiznę odpisać - jej ponowna szczerość zbiła go z nóg. Nigdy nie myślał, że matka tak... że w ten sposób...

Rozejrzał się po sali, doszedł go gwar wesołych rozmów, śmiechu, żartów. Pogodne twarze emanowały ciepłem i spokojem. Dziewczyna na wózku rozprawiała żywo gestykulując z Rudym.

- Idź mam - powiedział patrząc jej prosto w oczy - ja tu jeszcze zostanę...

Skaczące czapeczki

Pociąg ruszył powoli mijając zostających na peronie ludzi. Joanna odetchnęła z ulgą. Zdążyła wskoczyć do wagonu w ostatniej chwili. Wszystko przez ten dworcowy kiosk, który przyciągnął jej wzrok zabawkami dla dzieci. Miała już dla Agnieszki kilka drobnostek, ale gdy zobaczyła na wystawie te gry, nie mogła się im oprzeć.

- Niech pani uważa - jeden z siedzących w przedziale mężczyzn upomniał ją sarkastycznym głosem.
- Przepraszam - Joanna wyszeptwała czerwona z wysiłku układając pakunki na bagażowej półce. Nagle torba wypadła jej z rąk i pudełka z cichym szelestem rozsypały się dokoła.
- Cóż to za archaiczne zabawki - drugi z mężczyzn wykrzywił usta - w dobie komputerów i Internetu ktoś się jeszcze tym bawi? - prychnął pogardliwie - mój syn nie wzięłby tego do rąk.
- To przecież gry dla dzieci: chińczyk, grzybobranie, skaczące czapeczki... - tłumaczyła Joanna podnosząc kolejno kartoniki i wkładając je do torby.
- Jeszcze coś takiego istnieje? - odezwał się trzeci - dzisiejsze dzieciaki wolą gry w komputerze a nie takie nudne tekturowe plansze, na których nic się nie dzieje.
- Jak to nic się nie dzieje? - Joanna zacietrzewiała się nagle - jest kostka, pionki, trzeba dojść do mety, ominąć przeszkody, wykonać zadania - zaczęła wyliczać korzyści płynące z zakupionych gier.
- Pani to nazywa emocjami? - odezwał się Pierwszy - może dwadzieścia lat temu takie zabawki były w modzie, ale teraz? W dobie techniki i elektroniki? Teraz nawet niemowlęta gapią się w komputer - zaśmiał się ze swojego dowcipu.
- Komputer nie zastąpi dzieciom, lalek, samochodów, puzzli - upierała się Joanna.
- Zna się pani na Necie? - Trzeci przerwał jej wywody - tam jest wszystko i lalki i urządzenie mieszkań i klocki, wszystko co pani chce. Sam widziałem jak córka wycinała kompozycje z papieru przy pomocy myszki. Bez kosztów, bałaganu, bezpiecznie i cicho.
- No! - Drugi też się rozemocjonował - mój syn to lubi takie gry zręcznościowe, wyścigi, w ogóle sport. Bo w necie to i koszykówka jest i piłka nożna, i bilard. No bo tych placów do zabaw coraz mniej a tu nikt nikomu nie przeszkadza, nie zajmuje miejsca.
- A ludzie, przyjaciele, kontakty z innymi, rówieśnikami? - Joanna już się gubiła w tych nedorzecznych argumentach - to się już nie liczy?
- Pani kochana. Wirtualna społeczność to tysiące, miliony ludzi. Tam tylko klikniesz i masz znajomych na pęczki. Ja w sieci mam tylu chętnych do grania, że real niech się schowa. Nigdy wcześniej nie miałem tylu przyjaciół.

Joanna umilkła wciskając się w róg przedziału. A jeśli Agnieszka też zamiast normalnych zabawek woli te w Necie? Może bardziej ucieszyłaby ją właśnie taka komputerowa gra. Joanna zerknęła smutno na podskakujące w rytm kół pudełka, pozwalając by radość z zakupów zaczęła parować z niej jak wiosenna kałuża.

- To dla ciebie - Joanna podała siostrzenicy torbę z prezentami. Dziewczynka zaraz zaczęła je rozpakowywać.
- Ależ ciociu- krzyknęła zdziwiona.
- Wiedziałam, że jej się nie spodoba - pomyślała Joanna spoglądając niepewnie na siostrę i jej męża.
- Ciociu - Agnieszka rzuciła się jej w ramiona - takich skaczących czapeczek w naszej klasie nikt jeszcze nie ma, a grzybobranie tylko Aśka. Nasza pani wymyśliła w tym roku taki konkurs na zbieranie gier do świetlicy. Będę mogła je zabrać do szkoły? Będę mogła się nimi pochwalić? - nos Agnieszki wtulił się w ciotczyny policzki.

Joanna odetchnęła z ulgą. Jednak ci z pociagu nie mieli racji. No ale oni pewnie nigdy nie widzieli takich iskier radości w oczach dziecka.

-Ale zanim je zaniesiesz do świetlicy to może najpierw w nie zagramy? - Joanna już otwierała pudełko. Kolorowe czapeczki podskoczyły jak małe dziarskie krasnoludki

- Ach, ciociu - szepnęła Agnieszka. I w tym jej szepcie była taka radość, taka wdzięczność i taka szczęśliwość, że Joannie od razu spocły się oczy. Szkoda, że tamci miłośnicy komputerów nie mogli tego zobaczyć.

Słuchać nie ma kto...

Pokój. Z prawej strony ojciec w fotelu (kaptur, luźna rozpięta pod szyją koszula, spodnie od dresów) na zmianę patrzy w telewizor lub czyta gazetę. Co chwila zmienia program pilotem (na magnetofonie nagrane różne „programy”). Na środku matka przy desce do prasowania (fartuszek, włosy w nieładzie, spocona, zmęczona) prasuje żelazkiem koszulę. Obok na krzeselku duży stos czekających na prasownię rzeczy. Matka cały czas prasuje, składa rzeczy w kostkę, odkłada do wiklinowego kosza. Po prawej stronie 10-12 letni chłopiec - Jasiek, odrabia przy stoliku lekcje. Z boku stoi komputer. Obok telewizora śpi pies (przebrane za psa dziecko - może być tylko maska psa lub opaska z uszami na głowę)

Jasiek

- Mamo, co to jest perykopa? - nikt mu nie odpowiada.

Ojciec czyta gazetę. Nie podnosząc głowy przekrzykuje telewizor:

- Posłuchaj no Marysiu, znów machlojki w zakładach drobiowych.

Matka: (prasując)

- Wiesz, Joanna dziś się źle poczuła, zabrało ją pogotowie. Nie wiem, może to wyrostek, tak jakoś trzymała się za brzuch.

Ojciec (zerka w telewizor)

- O jutro znów będzie padać, będę musiał zabrać rano parasol.

Matka (głośniejsze)

- Czy ty mnie słyszysz? Joanna pojechała dziś do szpitala!

Ojciec

- No zobacz co ten znowu wyprawia, taki wielki polityk a poparcia żadnego nie ma.

Matka

- Może by zadzwonić do Henryka, minęło już kilka godzin powinien wiedzieć co z Joanną.

Jasiek woła głośniejsze

- Mamo co to jest perykopa?

Ojciec: Czego się drzesz, matka za ciebie ma odrabiać lekcje! Jak czegoś nie wiesz to poszukaj w encyklopedii. Po co ci ją kupiłem.

Jasiek

- To może ja zobaczę w necie - podbiega do komputera, włącza go, zaczyna grać w jakieś gierki, strzela, wymachuje rękami itp.

Pies się budzi, zaczyna piszczeć, podbiega do drzwi, zawraca.

Matka

- Z psem trzeba wyjść, może byś Jasiek się ruszył.

Jasiek

- Zaraz mamo, szukam tej perykopy (przestaje strzelać, szuka hasła w komputerze).

- Perykopa, perykopa - powtarza na głos.

Pies szczeka, chwytą w pysk smycz i podbiega do ojca. Łasi się, skamle.

Ojciec

- Jasiek. Lucek chce wyjść na dwór!

Jasiek

- Nie możesz ty? Mam jeszcze tyle lekcji do odrobienia.

Ojciec

- Czyj pies mój czy twój? Natychmiast go wyprowadź na dwór!

Jasiek

- Już idę tato - nie rusza się z miejsca.

- Siad Lucek, do nogi - mówi do psa - pies posłusznie siada przy chłopcu ale nadal piszczy.

Ojciec (zmienia program)

- Znów w tej telewizji nic nie ma. A wiesz kierownik mi dziś powiedział że premii nie będzie. Podobno zepsuliśmy całą partię butelek.

Matka

- A może Joanna nic dziś nie jadła? Ona się znów odchudza!

Jasiek

wkłada słuchawki, tańczy przy wyimaginowanej muzyce, podskakuje, wymachuje rękami, robi miny, stuka ręką o stolik, śpiewa jakiś znany dzieciom przebój. Widownia może podchwycić śpiew. Pies skacze przy nim, ujada głośno. Nagle przysiadła na środku pokoju. Na podłodze pojawia się kałuża. (chłopiec przebrany za psa wylewa wodę, która miał ukrytą w butelce, w kieszeni)

Matka - widzi całe zdarzenie

- O matko jedyna, Lucek, co ty wyprawiasz, w domu się nie sika - biegnie do niego, staje nad nim. Przestraszony pies kuli ogon, kładzie się płasko na brzuchu, zamyka oczy.

Ojciec - zrywa się z fotela

- No coś podobnego taki duży pies i robi na dywan. Niedobry pies, brzydki pies - daje mu klapsa.

Jasiek - podbiega

- No wiesz Lucek, nie mogłeś zaczekać, nic nie robisz i jeszcze brudzisz podłogę? Gdybyś był na moim miejscu to byś się dopiero namęczył. Żebyś chociaż wiedział co to jest perykopa. Za karę nie pójdziesz dziś na żaden spacer. Jazda do kąta. Pies czołgając się odchodzi w róg pokoju.

Matka przynosi mopa, wyciera nim kałużę.

- Tyle kłopotów, Joanna w szpitalu a tu jeszcze pies narobił.

Ojciec siada na fotelu

- Przez tego głupiego psa Wiadomości mi przeszły koło nosa. Marysiu zrób mi herbaty!

Matka

nie reaguje na prośbę - podchodzi do deski i dalej prasuje. Jasiek siada do lekcji.

Ojciec

- No i co z ta herbatą?!

Matka

- Jak skończę to zadzwonię jednak do Henryka

Jasiek wstaje, bierze krzesło stawia je na środku pokoju Staje na nie, krzyczy i tupie nogami

- Czy ktoś w końcu w tym domu powie mi co to jest perykopa?

Nikt na chłopca nie zwraca uwagi. Wszyscy zatrzymują się w ruchu, matka z uniesioną nad deską ręką, ojciec z podniesionym pilotem. Pies aportuje Jasiek wykonuje jakąś dowolną pozycję jak przy zabawie „Figurki” Zalega cisza...

Kurtyna

„Aktorzy” wychodzą przed kurtynę, stają w szeregu, chwytają się za ręce i śpiewają (na melodię „Szła dziewczeczka”)

Każdy chciałby tylko mówić

 słuchać nie ma kto

 słuchać nie ma kto

 słuchać nie ma kto

Każdy chciałby móc się zwierzyć

 usłysz prawdę tą

 usłysz prawdę tą

 usłysz prawdę tą

Ty mówisz, ja mówię

Głos płynie w dal

Słuchając nie słyszysz

choć Bóg słuch ci dał.

 Masz uszy więc słyszysz

 Chcę powiedzieć ci

 żeby inni cię słuchali

 słuchaj też i ty

*perykopa - ustęp z Ewangelii czytany i objaśniany w czasie nabożeństwa

Śnieżynka

Jagoda intensywnie wpatrywała się w biały pasek papieru próbując jak najszybciej odczytać z niego potrzebne informacje. Po plecach spływała jej strużka potu, ręce drżały jak po ciężkim wysiłku. To przecież niemożliwe, żeby po raz trzeci miała powtórzyć się ta sama historia. Ginekolog gorąco przekonywał ich do tej nowej, dobrze sprawdzonej metody. A tu dwie jaskrawe linie świadczą o tym, że Jagoda znów jest w ciąży. Zenek oczywiście ją

będzie winił za brak ostrożności. I to ona będzie musiała szukać lekarza. Pieniądze zamiast na wycieczkę do Paryża zostaną przeznaczone na zabieg. Jagoda oparła czoło o ścianę w łazience. Zimne płytki przyjemnie chłodziły rozpaloną emocjami twarz. Każda taka wpadka napawała ją lękiem i niepokojem.

- To jeszcze nie dziecko - przekonywał ją mąż, gdy ostatnio miała skrupuły, by usunąć ciążę - rodzinę trzeba planować. Musimy jeszcze dokończyć budowę domu, postawić garaż, uzbierać na lepszy samochód. Nie sztuka mieć dzieci, trzeba je jeszcze wychować. A do tego muszą być dobre warunki.

- Muszą - Jagoda potakiwała skwapliwie. Pamiętała jak w dzieciństwie gnieździł się z rodzicami w jednym pokoju z kuchnią, jak jedli chleb ze smalcem i cebulą i jak nie starczało na ubrania i przybory szkolne. Nie, takich warunków swoim przyszłym dzieciom nie zafunduje. A i im się przecież należy coś lepszego od życia. Dopiero jak urządzi dom, ogród, jak zwiedzą trochę świata pomyślą o dzieciach. Jagoda sięgnęła po telefon.

- Muszę z toba porozmawiać - poinformowała męża.

- Powiedz Kowalskiemu że towar przywiozę mu w niedzielę - Zenek jak zwykle myślał tylko o pracy.

- Kowalskiego nie było... - Jagoda z trudem weszła mu w słowo.

- Jaroszek? Za pustaki dostanie za dwa tygodnie. Przez ten czas procent nam urośnie to będziesz miała na tę wymarzoną fontannę.

- Ja nie o tym Zenek - westchnęła głośno - znów mamy problem.

- Cholera - mąż zaklął donośnie - że też ty musisz akurat dziś z czymś takim dzwonić. Zupełnie nie mam do tego głowy. Szykuje mi się dłuższy kurs, a i później będzie latania co niemiara.

- To może ja urodzę? - zaświtała jej nagle w głowie nedorzeczna myśl.

- Oszalałaś? Teraz? Gdy wciąż nam brakuje szmalu? Taki dzieciak to skarbonka bez dna. Dobra niania puściłaby nas z torbami.

- Nie przesadzaj - zaryzykowała atak - mam już trzydzieści pięć lat.

- A wyglądasz o dziesięć lat młodziej. Żaden fitness ci później nie pomoże, żadne SPA!

To był silny argument. Jagoda przejrzała się w lustrze. Wciąż wyglądała atrakcyjnie. Jędrne piersi, pośladki, szczupła talia. Dzieciak to wszystko może zepsuć, zmienić nie do poznania. Jagoda wyprostowała się, odrzuciła głowę do tyłu.

- Masz rację - odpowiedziała już spokojniej - jeszcze dziś poszukam lekarza.

Zenek odetchnął z ulgą

- Mam kilka groszy odłożonych na czarną godzinę. Starczy na zabieg i na ten wyjazd do Paryża.

Jagoda uśmiechnęła się radośnie. Życie może być piękne, gdy się je nie komplikuje. W Salonie Mody widziała ostatnio piękny kostium. W sam raz na zagraniczą wycieczkę...

Renata położyła różaniec na stoliku. Późno się zrobiło, ale ona lubiła ten czas, gdy w bloku nastawała niczym niezmacona nocna cisza. Jan posapywał cicho na swoim posłaniu. Pracował ciężko to i sen miał zdrowy, mocny. Renata zamyśliła się. Jak szybko ten czas mija. Jeszcze niedawno ich skromne mieszkanie tętniło życiem a dziś tylko oni sami jak para nierozłącznych gołąbków. Dzieci pozakładały swoje własne rodziny, otoczyły się swoim potomstwem. Tylko Jagodzie się jakoś w życiu nie ułożyło. Brak było w ich domu dziecięcego gaworzenia i tupotu małych stóp.

Renata przez wiele lat modliła się o wnuki, ale Pan Bóg jakoś nie błogosławił. Może w tym roku szczęście się do nich uśmiechnie? Córka pytała o adres tego dobrego ginekologa, więc pewnie chce podjąć jakieś leczenie. Szkoda, że taka skryta jest, że się matce nie zwierzy, nie poradzi. Serce matki potrafi jednak wyczuć strapienie bez słów. Trzeba będzie tej sprawie więcej modlitwy poświęcić. Renata spojrzała na obraz Matki Najświętszej wiszący nad komodą. I właśnie wtedy poczuła ostry ból w klatce piersiowej. Jakby ktoś wsunął między żebra długi ostry nóż. Wstrzymała oddech. Chwyciła się dłońmi stolika. Poruszony różaniec z cichym szmerem potoczył się wzdłuż blatu a potem upadł na podłogę. Jan otworzył oczy. Zerwał się z łóżka i przypadł do żony.

- Znów tamto? - zapytał ściskając jej dłonie. Skinęła głową. Bała się poruszyć, by nie potęgować bólu.

- Za kilkanaście minut minie - szepnęła z trudem.

Kiedy coś takiego spotkało ją po raz pierwszy kilkanaście lat temu była przerażona. Myślała, że umrze, że nic nie jest w stanie przerwać ataku. Lekarz w karetce pogotowia podawał jej jakieś leki, ale nic nie pomagało. A później nagle ból minął jakby ręką odjął. Dwa lata temu znów to samo. Ból jak przy zawale. Ale badania wykluczyły jakąkolwiek chorobę. Serce miała jak dzwon. Więc skąd ten ból, który pojawił się wtedy? Skąd ten ból dziś? Jan wpatrywał się z niepokojem w jej twarz. Nienaturalnie wykrzywione usta wskazywały, że ból nie mija.

- Zadzwoń po pomoc- głos Jana nappełnił się strachem. Trudno patrzeć na cierpienie kogoś bliskiego

- Nie, nie - Renata zdobyła się na szept - to minie...

Ale nie mijało. Ból stawał się coraz bardziej dotkliwy, coraz głębiej sięgał pod żebra, coraz dotkliwiej koniec wyimaginowanego noża kasał wnętrzności. Jan spociał się od takiego czekania.

- Może zadzwoń do Jagody - Renata nie mogła znieść przestraszonego spojrzenia męża - oni mają samochód.

Jan sięgnął po telefon, wykręcił numer.

- Dobrze, że tata dzwoni - Zenek jakby czekał na telefon od nich - z Jagodą źle. Jest w szpitalu. Zabieg się nie udał. Przyplątał się krwotok. Przyjeďte natychmiast...

Jan upuścił telefon na kolana żony. Popatrzył w jej przerażone oczy nie mogąc wypowiedzieć ani słowa. Dobrze, że ucisk w piersi Renaty zaczął wolniutko się cofać. Mogła, więc sama wykręcić numer na pogotowie. Oboje jakoś teraz potrzebowali pomocy...

Renata siedziała przy łóżku córki wpatrując się w jej bladą twarz. Jagoda spała niespokojnie, ale niebezpieczeństwo utraty życia minęło. Renata głaskała jej szczupłą rękę starając się nie myśleć o tym, co się kilkanaście godzin temu stało. Prawda, której się dowiedziała była zbyt okrutna by przyjąć ją tak bez zastrzeżeń do wiadomości. Ból w okolicy serca minął, ale w jego miejsce pojawił się dziwny żal i rozpacz, że tyle wysłuchanych modlitw zostało tak bezmyślnie zniszczonych, zbezczeszczonych, udaremnionych. Że sprawczynią tego była jej własna córka. Może gdyby знаła historię własnych narodzin nie stałoby się to co się stało? Może miłość Renaty była za wielka, zbyt wybacząca dziecięce i młodzieńcze wybryki, może strach o jej życie zezwalał na zbytnią swobodę i brak dyscypliny? Może nie umiała w sercu córki zaszczerpić miłości i szacunku do życia? Zwłaszcza tego już poczętego. Kiedy córka wyrwała się z domu, kiedy poczuła większą ilość pieniędzy, kiedy zaczęła realizować swoje marzenia, wyniesione z domu normy moralne przestały się liczyć. Ważniejsze stało się mieć niż być. Ech, a ona Renata myślała, że córka z nadzieją wygląda na potomstwo. Że oczekuje dziecka jak ona trzydzieści pięć lat temu.

Renata cofnęła się myślami do przeszłości. Tamten niezwykle dzień odżył nagle w jej pamięci z niewyobrażalną siłą. Musiała go jeszcze raz obejrzeć na nowo, dotknąć tego co było, co się wtedy zdarzyło...

Zima stulecia dawała się wszystkim we znaki. Na wsi bardziej niż w mieście. Śnieg tworzył na domach, płotach, drzewach ogromne białe czapy. Od domu do domu prowadziły wykopane w śniegu wysokie tunele. Do sklepu nie docierał żaden transport z pieczywem i nabiałem. Matka smażyła ziemniaczane placki na węglowej kuchni, wyciągała z piwnicy kompoty i ogórki. Zerwane od ciężaru śniegu elektryczne druty zabierały możliwość słuchania radiowych wiadomości. Dzieciaki nie chodziły do szkoły, od mrozu popękały grzejniki i rury. Renata, młoda mężatka oczekiwała właśnie swojego pierwszego dziecka. Z niepokojem spoglądała przez oszronione okna wierząc, że zima w końcu odpuści.

Ale zima trzymała zakuwając w lód nawet wodę w studni. Topili więc śnieg i parzyli zbożową kawę, gdy zapas herbaty się skończył. Renata chciała ten srogi czas przeczekać, ale jej dziecko gdzieś miało zimowe zawieruchy i śnieżne zasy. Wtedy, tamtego dnia wierciło się od rana. Kopało zupełnie inaczej, bardziej zdecydowanie i ostro. Renata po kryjomu przed Janem zaczęła pakować potrzebne do szpitalu rzeczy. Do końca myślała, że to fałszywy alarm, że jeszcze tę noc prześpią spokojnie. Pierwszy ból złapał ją wieczorem. W kuchni paliły się świece, matka układała młodsze rodzeństwo do snu. Renata krzyknęła zaskoczona intensywnością bólu. Jan zaczął wciągać na nogi wysokie buty. Tylko Sołtys we wsi miał krótkofalówkę. Czekali na jego powrót z niecierpliwością.

- Karetka nie dojedzie - krzyknął od progu - trzeba nam pieszo do drogi.

Nie było czasu się zastanawiać. Ojciec już wyciągał z szafy futrzane płaszcze. Matka związywała w węzełek potrzebne na drogę rzeczy. Jan pomógł Renacie naciągnąć kozaki, kozuch, wełnianą czapkę. Dokładnie owinął ją szalem. Szli przez pole przyświecając sobie naftową lampą.

- Idźcie moimi śladami - dyrygował ojciec zanurzając się w śniegu po uda.

- Ojcie nasz - zaczęła półgłosem matka. Ale zimny wiatr cofnął jej zaraz słowa modlitwy z powrotem do ust. Ale wiedzieli, że matka modli się przez całą trzykilometrową trasę. Bali się, że zabłądzą. Że ominą gdzieś z boku karetkę.

- Już dalej nie mogę - Renata przysiadła w śniegu. Była zmęczona i wyczerpana, brzuch ciążył jej jak stukilowy kamień.

- Musisz - matka pociągnęła ją za rękaw, zmusiła do wstania - ono ma tylko ciebie.

- Jest! - krzyknął nagle ojciec wskazując ręką przed siebie. Była. Ich upragniona karetka. Stała na światłach jak morska latarnia. Dowlekli się do niej resztkami sił. Sanitariusz pomógł Renacie wsiąść do wozu.

- Tylko ona i on - wskazał na nią i na Jana - reszta się nie zmieści.

Wtuliła się w Jana, trzymała go kurczowo za rękę, błagała swojego Anioła by nie opuszczał jej do końca. Gdy wysiedli przed szpitalem odetchnęła z ulgą.

- Da pani radę na czwarte piętro? - zapytał lekarz na dyżurce - winda nie działa.

Dała radę. A później leżąc na dziwnie zimnym łóżku uleciała w zaświaty słysząc tylko kilka ważnych dla siebie słów:

- Dziewczynka. Trochę sina, ale przeżyje...

- Przeżyje - głos Renaty odbił się echem od tamtych ścian i zatrzymał się przy łóżku Jagody. Córka patrzyła na nią szeroko otwartymi oczyma. Renata otarła załzawione oczy.

- Mamuś, nie wiedziałam, że to tak...

Renata spojrzała na nią zdziwiona. Czyżby snuła swoją opowieść głośno?

- To byłam ja? Ta dziewczynka, która się wtedy urodziła? - Jagoda szukała potwierdzenia swoich domysłów.
- Tak, to byłaś ty. Śnieżynka. Tak cię wtedy nazwałam w myślach. W każde twoje urodziny wracałam myślami do tamtego wydarzenia. Bardzo chciałam, żebyś i ty doznała szczęśliwego macierzyństwa.
- Śnieżynka. Zimna i bez serca - Jagoda nie wstydziła się swoich łez - Już nigdy nie będę miała dzieci. Już nigdy nikogo tak nie pokocham jak ty.
- Pokochasz - matka otarła następną łzę w oku - Jeśli Bóg pozwoli byś mogła jeszcze raz...
- Tylko, że Zenek, on się nie zgodzi.
- Na co się nie zgodzi? - mąż stanął w drzwiach sali, dźwigając w ręku siatkę z owocami.
- Na dziecko - Jagoda zarumieniła się lekko. Zenek spojrzał na nią jakoś dziwnie. Czyżby nie zauważyła jak się zmienił? Do szpitala dziś przyszedł już drugi raz choć firma została bez dozoru... Bardzo się przestraszył tym, co się wczoraj stało. Przecież także z jego winy.
- Porozmawiamy jeszcze i o dziecku - uśmiechnął się ciepło do Jagody - teraz najważniejsze, żebyś wyzdrowiała

Renata objęła oboje łagodnym spojrzeniem. Nadzieje w jej sercu zaczęła rosnąć jak świąteczny drożdżak. Wsunęła rękę do kieszeni natrafiając na koraliki różańca. Może Matka Boża jeszcze raz wysłucha jej modlitwy? Może jej Śnieżynka odnajdzie swoje szczęście, a jej, Renaty, serce nie zazna już tamtego bólu?

Jak Madonna?

- Pospiesz się - Robert zapukał do drzwi łazienki. Mieli iść na imieniny do Halinki a już zegar wskazywał osiemnastą. Może Marianna chciała się spóźnić? Jakoś ostatnio nie przepadała za szwagierką.
- Taka karmiąca mamka z rękami upapranymi niemowlęcią kupą - krytykowała Halinę.
- Jest matką - Robert dziwił się poglądom żony - oboje z Wojtkiem są szczęśliwi, i chodzą koło Zochny jak wokół największego skarbu.
- To znaczy, że my nie jesteśmy szczęśliwi? - Marianna umiała ciąć wzrokiem jak sztyletem.
- Nie to chciałem powiedzieć - Robert wycofał się szybko z tematu.
- Chciałeś powiedzieć, że i ja powinnam urodzić - twarz żony tryskała plamami niezdrowej czerwieni - Zamienić się w grubą, brzydką babsztyl, otoczyć się górą pieluch i huśtać rozwrzeszczanego bachora.
- Przecież bym ci pomógł, dbałbym i o ciebie i o maleństwo - Robert rozmarzył się głośno.
- A moja figura? - zdenerwowała się Marianna - ani aerobik, ani siłownia tego później nie naprawią.
- Mnie podobałabyś się nawet taka pulchna jak Halinka - zaśmiał się figlarnie.
- To się do niej wyprowadź - warknęła groźnie.
- Przecie to moja siostra - odpowiedział rozbawiony.

Marianna wyszła z łazienki dziwnie blada. Robert przyjrzał się jej trochę zaniepokojony.

- Płakałaś? - zapytał zaglądając jej w podpuchnięte oczy.
- Wyczułam w piersi guz - powiedziała przerażona - jest już taki duży - pokazała wielkość kciuka.
- Cholera - zaklął Robert - musimy jak najszybciej iść z tym do lekarza.
- Nie pozwolę sobie usunąć piersi - załkała - bez niej nie będę już kobietą.

Przyciągnął ją do siebie.

- Będiesz - powiedział twardo - tysiące kobiet z tego wychodzi...

I ona też wyszła. Chociaż się buntowała, płakała, przeklinała Boga i los. Kiedy pierwszy raz zobaczyła szwy na usuniętej piersi była zdruzgotana. Wyglądały jak poskręcany bieliźniany sznurek. Ten sznurek doprowadzał ją do nieustannego szlochu. Odwracała głowę przy myciu, opatrunku, płakała, gdy kładąc rękę na piersi nie wyczuwała żadnego wzniesienia, żadnej cudownej miękkiej okrągłości. Kiedyś odwiedziła ją w szpitalu Halinka. Marianna wpatrywała się w jej dekolt tak zazdrośnie i bezceremonialnie aż spłoszona szwagierka uciekła z sali. Po powrocie do domu zaczęła kupować sobie kolorowe gazety. Przeglądała się w lusterku i porównywała piękno modelek ze swoją pooperacyjną brzydotą. Robiła to jednak zawsze sama, w ukryciu. Wzrok męża, dotyk był jeszcze dla niej nie do zaakceptowania. Robert próbował z nią rozmawiać na ten temat, wysyłał ją do psychologa, na spotkania Amazonek. Ale Marianna wciąż nie umiała się w swojej chorobie odnaleźć. Jakby odcięła ją ona od studni, z której czerpała dotąd życiodajne soki. Aż do wtedy, do tamtego pamiętnego dnia, który na nowo odmienił jej życie....

Wychodziła właśnie na rehabilitację, gdy zadzwonił telefon. Sięgnęła za słuchawkę.

- Halina i Wojtek... - usłyszała zachrypnięty głos męża.
- Co Halina i Wojtek? - zapytała.
- Mieli wypadek... Oboje nie żyją...

- Boże! Co za nieszczęście - pomyślała nie czując jak łzy spływają jej po policzkach. Chwyciła się za serce, za to puste miejsce na piersiach.
- A Zosia?
- Nic jej nie jest. Chcą ją zostawić w szpitalu, aż ktoś ją z rodziny odbierze.
- Przywieź ją na razie do nas - szepnęła dziwiąc się, że jej te słowa przeszły przez usta.
- Już jadę - oczami wyobraźni zobaczyła jego uradowane oczy.

Kołysała Zosię w ramionach nucąc jej jakąś piosenkę. Spod niebieskiej szyfonowej chustki wysuwały się już pierwsze kędziorki włosów. Robert przyglądał jej się czule z nad swojej robótki. Wczoraj postanowił ozdobić dziecinne łóżeczko Aniołkiem. Marianna podniosła się z krzesła, zaniósła śpiące maleństwo do łóżeczka, okryła kołderką. Robert wciąż nie odrywał od niej wzroku. Zauważyła to, splonęła rumieńcem. Szyfonowa chustka opadła jej na ramiona, rzęsy załopotwały niebezpiecznie.

- Wyglądasz jak Madonna - wyszeptał.
- Przesadzasz - odpowiedziała również szeptem - przecież wiesz, że...
- Wiem, że byłabyś dobrą matką - wszedł jej w słowa - tylko jeszcze o tym nie wiesz...

Egoistka?

- Majka - Anna otworzyła drzwi do pokoju córki - ubieraj się, czas do kościoła!
- Zwariowałaś? Myślisz, że nie mam nic innego do roboty? - Majka odpowiedziała jej opryskliwie.
- Za kwadrans masz być gotowa - Anna podniosła głos.
- Umówiłam się z Michałem na pływalnię.
- Dziś niedziela!
- Nie jestem świętą. Wystarczy, że Kaśka lata do kościoła jak nawiedzona.
- Nie tak cię wychowałam, żebyś nie szanowała niedzieli - Anna już dostała czerwonych wypieków na twarzy - a Kaśki nie tykaj. Przynajmniej ona wie co w życiu jest najważniejsze.
- Jasne, złożone ręce i różaniec - zakpiła Majka.
- Maja!- ojciec stanął w drzwiach rozgniewany - skończ już te dyskusje. Albo idziesz z nami do kościoła albo masz do końca tygodnia szlaban. Żadnego kina, żadnej dyskoteki, o nowych ciuchach też możesz zapomnieć.
- To mnie lepiej zwiążcie, bo i tak ucieknę - odpyskowała buńczucznie.
- Lepiej nie próbuj - ojciec był odporny na jej szantażowanie - bo możesz pożałować.
- Czego? Że mam takich zdewociałych rodziców?

Policzek, jaki nagle spadł na jej twarz rozniósł się echem po całym mieszkaniu. Zaniemówiła, zmrużyła ze złością oczy, przytknęła rękę do bolącego miejsca

- Nienawidzę was - wyszczała patrząc i na nich oboje.
- Majka - Kaśka nagle pojawiła się za plecami mamy - przecież ty tak nie myślisz, przecież ty taka nie jesteś!
- Zostaw mnie - Majka odepchnęła siostrę - jesteś taka sama jak oni...

Adres Michała znalazła w książce telefonicznej. Musiała się z nim natychmiast spotkać, poprosić o pomoc. Z rodzicami już mieszkać nie będzie. Po tej dzisiejszej kłótni już do nich nie wróci. Mają swoją Kaśkę, niech ją rozpieszczają. Ją ojciec dziś uderzył, upokorzył. Nigdy mu tego nie wybaczy.

- Majka? Przecież umówiliśmy się na później - Michał otworzył drzwi mieszkania dziwnie speszony.
- Uciekłam z domu, mogłabym się u ciebie zatrzymać? - Majka postawiła przed sobą wypchany ciuchami plecak Michał spoglądał na nią niepewnie przestępując z nogi na nogę.
- Porozmawiamy na dole - szepnął oglądając się za siebie - tu naprawdę nie mogę.
- Z kim ty rozmawiasz do jasnej cholery - jakiś zachrypnięty głos dobiegł ich z wnętrza mieszkania - zaproś gościa do środka, chyba się nie wstydzisz własnego ojca?
- Nie wstydzę - odkrzyknął chłopak, choć czerwony rumieniec jak dynia zakwitł na jego twarzy.

Majka weszła zaproszona jego gestem. Od razu owiał ją gęsty, papierosowy dym. Zakasłała głośno. Potarła kciukiem nagle załzawione oczy.

- O, jaka wrażliwa panienka - ten sam świszczący głos dobiegł znów do jej uszu. Wtedy ich zobaczyła. Nieogolonego mężczyznę i kobietę leżących na tapczanie.
- Te, stara, synuś przyprowadził narzeczoną. Musimy to uczcić - zabełkotał stary. Kobieta z ledwością uniosła powieki, uśmiechnęła się głupkowato.
- Przynieś szkło dla panienki - mężczyzna próbował usiąść na posłaniu.
- Ja nie piję - zaprotestowała Majka - Michał, chodźmy stąd - spojrzała na przyjaciela błagalnie.
- Nie mogę zostawić ich samych - chłopak sposepniał nagle - wiesz - dodał odprowadzając ją do drzwi - ja się wciąż za nich modlę, oni są po prostu chorzy i ja muszę im jakoś pomagać...

Szła chodnikiem zupełnie oszołomiona. Nigdy nie myślała, że Michał ma taki dom, że jego rodzice piją. Ona, Majka by tak w życiu nie chciała. Jej rodzice byli porządnymi ludźmi, dbali o nią, kochali. A ona im się odwdzięczała złością, agresją, humorami. Jak niedojrzała, samolubna egoistka.

- Majka! – usłyszała nagle za sobą głos mamy - zaczekaj.

Odwróciła się, poczerwieniała z wrażenia i radości. Stali naprzeciw niej całą trójką. Mama, tata, Kaśka...

- Wracaj do domu - powiedział ojciec tak jakoś miękko.

Skinęła głową, podeszła do nich bliżej.

- Może najpierw chodźmy do kościoła? - poprosiła nieśmiało - mam tam coś ważnego do załatwienia...

Idźmy, tulmy się jak dziatki...

Deszcz zaczął jak oszalały a autobusu nie było widać. Anna nacisnęła mocniej kaptur na głowę. Parasol musiała złożyć, bo wiatr targał nim z taką siłą, że druty z jękiem wyginały się na wszystkie strony.

- Jezus Maria - szeptała zbieleiałymi od zimna i strachu ustami. Znow ją złapał atak lęku, którego nie mogła za żadne skarby stłumić. Gliniasta klucha pełną od gardła przez żołądek do brzucha ciążyła jak stukilowy kamień. Anna ugięła się pod tym niechcianym ciężarem, oparła się o słup z rozkładem jazdy. Dobrze, że na przystanku nie było nikogo, więc nikt nie patrzył na nią podejrzanie, nikt nie dziwował się jej nagle spoconej twarzy i trzęsącym się nogom. Kiedyś, gdy w takim stanie zobaczył ją pewien starszy mężczyzna splunął jej wprost pod nogi i ze złośliwym grymasem na twarzy wysyczał:

- Ty pijaczko, do domu idź, do dzieci, a nie się łajdaczysz w biały dzień.

Co mu miała odpowiedzieć? Że od lat nie miała kropli alkoholu w ustach? Że gdyby nie praca w ogóle by z domu nie wychodziła? Że tych jej stanów lęku nie mógł uciszyć ani żaden lek ani żadna inna terapia, choć próbowała chyba już wszystkiego. I chińskiej akupunktury i ćwiczeń tai-chi i gorzkich ziół z korzenia arcydzięgla. Jadła mongolskie cuchnące bobki spod Himalajów i sproszkowane jadowne ukraińskie mrówki. Jakaś wiejska baba masowała jej ciało oklejając je mazistym płynem a polecany przez znajomych „wybitny” kręgarz wskakiwał na kręgosłup z taką siłą, że jęczała z bólu, a później równie zajadle wykręcał jej szyję aż kości grzechotały jak kamienne marakasy. Wierzyła, że muszą być jakieś siły, które jej pomogą, że żyć się już nie da z tą coraz trudniejszą do opanowania nerwicą. Cały dom przemeblowała stosując zasadę fen-shui, odsunęła łóżko z miejsca wskazanego przez różdżkarza jako emanującego złą energią wodnych cieków. Porozstawiała w domu odpromienniki, energetyczne piramidki, zawiesiła na drzwiach japońskie dzwoneczki. Nic nie pomagało. Żaden bioenergoterapeuta, psycholog, żadne mantry ani siła podświadomości.

- To jakaś paranoja - wykrzykiwał jej Maż, gdy kupowała zdrowotne lampy, materace, prześcieradła z energetycznymi punkcikami lub układała pod łózkami zbierane po parkach kasztany, kamienie, powykręcane korzenie drzew. Ale gdy Anna dostawała tego swojego ataku, gdy zaczynała puchnąć, albo co gorsza łapał ją paraliż Rafał dzwonił przestraszony po pogotowie współczując jej w tych pełnych cierpienia i strachu stanach. I pozwalał na dalsze eksperymenty, zaklinania, czary.

- Wsiada pani? - przez strumienie deszczu doszedł ją jakiś krzyk. Zupełnie nie zauważyła, kiedy nadjechał autobus. Młody kierowca wychylił się ku otwartym drzwiom i uśmiechem zapraszał ją do środka. Skinęła głową. W milczeniu zajęła miejsce tuż za nim. Nie chciała, żeby ją widział, żeby z nią rozmawiał. Klucha w jej gardle znow wysunęła swoje węzowe macki. Jeśli Anna za chwilę nie znajdzie się w domu zwymiotuje prosto pod nogi tego uprzejmego mężczyzny. Skuliła się, podciągnęła nogi pod brodę. Krople deszczu wyczyniały na szybach karkołomne wyścigi. Próbowała dojrzeć coś przez szybę, skupić się na mijanych domach, ludziach. Ale cały świat za oknem był zamazany, stracił kolory i kształty. Anna przymknęła oczy, zaciśnięte w pięści ręce z trudnością dawały utrzymać się na drżących kolanach. Boże, jak ten autobus wolno jedzie, ciągle gdzieś się zatrzymuje, choć na mijanych przystankach nikt nie czeka. Anna oparła głowę o szybę. Zaparowane okno chłodziło przyjemnie jej nagle rozpaloną twarz. Ale minuty ciągnęły się jak topiony ser a ona nie mogła utrzymać w sobie za grosz spokoju. Czuła jak serce w klatce piersiowej szarpie się i tłucze o żebra, jakby chciało opuścić to za ciasne dla niego miejsce.

- Boże, ratuj - myśli Anny zaczęły bezwładnie skakać nie dając się skupić na jeździe.

Wyciągnęła rękę, chciała jakoś zatrzymać pojazd, szarpnąć kierowcę za rękaw bluzy i zmusić go do natychmiastowego postoju. Ale wtedy poczuła, że zapada się w ciemność a nad jej twarzą nachylają się dziwne czarne postaci, mgliste zjawy, wyciągające się w różne strony cienie. Widziała belkotały coś, śmiały się chrapliwie, czuła ich odrażający zapach i gorąco płynące z ich ust.

- Jezus, Maria - załkała w sobie wciskając się coraz mocniej w fotel autobusu. To znow nadchodziło. Anna poczuła w sobie takie samo przerażenie jak wtedy, gdy to „coś” pojawiło się pierwszy raz...

Była młodą mężatką z ogromną ilością wolnego czasu. Dziecko zaplanowali sobie z mężem na później, zajmując się po ślubie tylko sobą. Tonami pochłaniali książki, godzinami oglądali telewizję, łazili na spacer. Rozmawiali o życiu, religiach, świecie, który zaskakiwał wielkością i nieznanym.

Wtedy po raz pierwszy wpadły jej do rąk czasopisma o duchach, niewyjaśnionych zniknięciach, pojazdach UFO, kręgach pojawiających się w zbożu, medycynie alternatywnej. Czytane wieczorami artykuły napawały ją dreszczykiem nieznanego emocji. Wprost zachłystywała się tym dotknięciem nieznanego. Biegała po kioskach, księgarniach, stoiskach z książkami wyszukując wciąż nowych pozycji, czegoś, o czym jeszcze nie słyszała, czego nie poznała. Podniecały ją relacje nie tylko ze spotkań Trzeciego Stopnia ale i kontakty ze zmarłymi, z dawanymi przez nich znakami.

Zaczęła gorzej sypiać, czuła się zmęczona, rozdrażniona, nieswoja. Rano wstawała cała rozbita z obrazami coraz makabryczniejszych snów pod powiekami. Wiedziała, że musi z tym skończyć, odpocząć, odciąć się od opisywanych nadprzyrodzonych historii. Ale jakaś niezrozumiała siła ciągnęła ją do czytania, do wracania po kilka razy do tych samych artykułów, więc z szeroko otwartymi oczyma chłonęła tę tajemniczą, niematerialną rzeczywistość. Aż do wtedy, do tego strasznego poranka...

Leżała jeszcze w łóżku rozespana długim siedzeniem w nocy po obejrzeniu jakiegoś horroru. Za oknem już jaśniało, ptaki zaczynały śpiewać. Rafała już nie było, pracował od wczesnych godzin porannych, więc mogła się jeszcze trochę powylegiwać. Przymknęła oczy, wyciągnęła się z lubością na wznak. Wtedy usłyszała kroki na schodach. Wyraźne, skrzypiące na starych deskach. Uśmiechnęła się. To pewnie Rafał zapomniał wziąć drugiego śniadania. Drzwi pokoju otworzyły się cicho, Rafał musiał stanąć nad jej głową, bo słychać było tylko jego oddech. Pomyślała, że uda, że jeszcze śpi. Że pozwoli na siebie patrzeć i zachwycać się długimi włosami i rzęsami ocieniającymi ładny owal policzków. Westchnęła czując dłoń Rafała wsuwającą się pod kołdrę. Przeciągnęła się mruczając jak kotka gotowa do porannych pieszczot. Poczwała jak Rafał kładzie się na nią, jak przywiera do niej swoim ciałem. Ale zaraz to jego ciało zrobiło się ciężkie i twarde, Uciskało żebra, przygniatało klatkę piersiową.

- Rafał- próbowała go zrzucić, uwolnić się od niego.

Wtedy poczuła ten zapach i gorąco które jak rozgrzewający plaster przyklejało się jej do piersi.

- Rafał - otwierała usta jak wyjęta z wody ryba, ale żaden dźwięk nie był w stanie wydobyć się z jej przerażonych ust. Oddychała ciężko, rzęziła, a to, co wydawało się jej jeszcze przed chwilą Rafałem uciskało jej serce nie dając się poruszyć, nie dając się zepchnąć. Wpadła w panikę, nie była w stanie wołać o pomoc.

- Matko Przenajświętsza - uczepiła się w myśli tego często powtarzanego okrzyku, którym operowała całe życie matka

- Matko Przenajświętsza, pomóż!

Ulga jak nastąpiła później wydała jej się najpiękniejszą chwilą w życiu. Otworzyła oczy, rozejrzała się wokół siebie. W pokoju nikogo nie było. Zbiegła na dół, sprawdziła wszystkie drzwi, okna. Były zamknięte na klucz. Niemożliwe, żeby ktoś wszedł i wyszedł niepostrzeżenie. Nogi trzęsły się jej ze zdenerwowania. Serce znów zaczęło bić przyspieszonym rytmem. Dopadła do telefonu, wystukała znany numer

- Rafał - krzyknęła do słuchawki - proszę cię, przyjedź natychmiast!

- Źle się pani czuje? - ktoś wpatrywał się w nią intensywnie zielonymi oczami. Spojrzała wokoło nieprzytomnym wzrokiem. Siedziała w autobusie a nad nią nachylał się ten miły kierowca.

- Już dobrze - uśmiechnęła się do niego sztucznie ciesząc się, że widma ją odstąpiły.

- Może tu by pani wysiadła? - zapytał miękko wskazując przez uchylone drzwi budynek szpitala - tam pani pomogą.

Skinęła głową, pozwoliła sobie pomóc przy wysiadaniu. Deszcz siąpił już tylko, więc nie wyjmowała parasola, godząc się by krople spływały po jej twarzy jak łzy. Rzeczywiście, powinna pójść na izbę pogotowia, zastrzyki w szpitalu zawsze ją jakoś uspokajały. Skinęła ręką kierowcy w podziękowaniu za troskę i wolnym krokiem ruszyła przed siebie. Była roztrzęsiona i zdenerwowana. Nagle przez jej głowę przebiegła niedorzeczna myśl. Nie, nie pójdzie do szpitala, nie będzie się już ratować żadnymi sposobami. Trzeba po prostu z tym skończyć. Zasnąć na amen, o niczym nie myśleć, niczego się nie bać. Z niczym się nie zmagać. Czerwone światło na skrzyżowaniu błyskało jak ślepie złego. Zapraszało, wprost nakazywało by wskoczyć na pełną pędzących pojazdów jezdnię. Tak, rzuci pod koła, pozwoli by jej ciało leżało za chwilę nieruchomo na ulicy jak szmaciana kukła. Jej kłębiący się w sercu strach zniknie, ulotni się jak para, jak mgła, gdy dotknie ją promień słońca.

- Życie pani niemiłe? - jakiś samochód zatrzymał się o metr przed nią. Kierowca popukał się w głowę w geście dezaprobaty.

- Może i niemiłe - odkrzyknęła nieprzyjemnie cofając się na chodnik.

- Wariatka! - pogroził jej przez uchylone okienko - niech nie grzeszy takimi słowami. Żeby Bóg naprawdę nie pokarał.

Rozpląkała się. Kucnęła przy najbliższym murze. Nagle w oczy wpadł jej namalowany sprayem napis „Bóg cię kocha”. Załkała jeszcze głośniej.

- Jeśli mnie Boże naprawdę kochasz to pomóż mi umrzeć - pomyślała rozżalona - albo pozwól uwolnić się od tego co mnie męczy i zabija, bo nie mam siły już walczyć ani dłużej tak żyć!

Wtedy usłyszała śpiew. Emilka? Nie, to niemożliwe. Znów jej się coś w głowie wymyśla, wydaje. Potrząsnęła nerwowo głową jakby strąsając z uszu napływające dźwięki. Ale muzyka nie cichła, płynęła przez ulicę jak rozpostarta w pochodzie wstęga, jak smuga aromatycznego zapachu świeżo zaparzonej kawy.

Emilka, jasne, że to ona. Znała doskonale głos córki, jej silne a jednocześnie delikatne brzmienie. Lubiła słuchać jak sobie podśpiewuje podczas odrabiania lekcji, sprzątanía mieszkania, pod prysznicem. Nieraz Anna podchwytywała to jej śpiewanie i nuciła sobie pod nosem znane piosenki. To była jakaś nić, która je łączyła, rozpraszała smutki i dawała namiastkę szczęścia. Chciałaby być taka pogodna i jasna jak Emilka, ale nie umiała. Strach, który jak cień wciąż za nią chodził zmiatał z jej twarzy uśmiech, dobre słowo, żart.

- Oj mamó, jakaś ty stara - dręczyła ją nieraz Emilka próbując ją wyrwać z domu do kina, na spacer, do kościoła.
- Wiem, że jestem stara - dąsała się - i brzydka. Już się mnie wstydzisz!
- Zwariowałaś? - Emilka potrafiła wybuchnąć nie licząc się ze słowami - nie o taką starość mi chodzi, tylko o tę, którą masz w środku, w sercu.

Nie umiała tak rozmawiać z córką. Bo jak miała jej powiedzieć, że w kinie, na spacerze i nawet w kościele mógł dopaść ją straszliwy lęk, że mogły ją otoczyć chmary atakujących chimery zionących na nią tym swoim cuchnącym zapachem i gorącym oddechem. Anna wzdygnęła się na myśl, że przed chwilą to spotkanie z nimi było tak blisko. Przyspieszyła kroku. Głos Emilki znów doszedł do jej uszu. Tkliwy, tęskny, czuły. Musiała za nim podążyć, dać się jemu poprowadzić, pozwolić, by stał się dla niej drogowskazem, choćby na krótko.

Nagle za wysokich drzew wyłonił się kościół. Nowa parafia istniała już kilka lat, ale Anna nie była w tej świątyni ani razu. Co innego Emilka, ona biegła do niej prawie każdego dnia. Anna nie mogła zrozumieć tej Emilki miłości do Boga, ufności w dobro, kiedy tyle zła, cierpień i rozpacz panoszyło się wokół. Ale nie zabraniała, nie odciągała jej od kościoła. Wierzyła, że sama kiedyś zrozumie, że się przekona ile ta jej wiara jest warta.

Głos Emilki zbliżał się w miarę jak dochodziła do kościoła. Już teraz wiedziała, skąd on płynie. Z umocowanego nad drzwiami głośnika. Anna stanęła przed wejściem do kościoła, zawahała się. Była sama, to nie była chyba pora żadnego nabożeństwa, Mszy Świętej.

- Idźmy tulmy się jak dziatki, do serca Maryi Matki - subtelny głos córki owijał jej serce jak ciepła wełniana kołderka. Nacisnęła ciężką, ołowianą klamkę. Drzwi zaskrzypiały jak młyńskie koło. Anna zrobiła kilka niezdecydowanych kroków. Kościół był pełen młodych ludzi. Na schodach przy bocznym ołtarzu twarzą do kolegów stała Emilka. Śpiewała trzymając w ręku mikrofon, ruchem całego ciała nadając pieśni właściwe tempo i siłę. Dziewczęta i chłopcy siedzący po obu stronach głównej nawy wtórowali jej poddając się jej dyrygenturze i pomagając sobie trzymanymi w rękach tekstami. Ale kiedy Anna weszła, kiedy zaskrzypiała otwieranymi drzwiami w kościele na kilka sekund zapadła cisza. Wszystkie głowy skierowały się ku niej. Poczerwieniała zawstydzona, jakby ktoś złapał ją na gorącym uczynku. Emilka od razu ją rozpoznała. Jej twarz pojaśniała jakby nagle przez okno wpadło do środka słońce. Potrząsnęła jasnymi włosami, zeskoczyła ze schodów lekko jak Aniołek.

- Mamusia? - zapytała zapominając że trzyma w dłoniach mikrofon. Echo jej pytania popłynęło przez kościół jak anielska wstęga. Ruszyła jej na przeciw prowadzona zaciekawionymi spojrzeniami młodzieży.

- Przygotowujemy pieśni na uroczystość Bierzmowania - Emilka nachyliła się nad nią szepcząc jej tym razem słowa wprost do ucha. - zaraz kończę to się razem pomodlimy - Anna poczuła jak córka wsuwa jej do ręki coś twardego, kanciastego. Dała się jej poprowadzić przed ołtarz, klękła pamiętając zasady wyniesione z dzieciństwa.

- Czy nas nęka życia trud, czy to winy czerni brud - rozeszło się teraz po kościele żywiej i jakoś głośniejsze, jakby wejście Anny nadało głębszy wymiar wspólnie śpiewanej pieśni.

Anna pochyliła głowę, otworzyła dłoń z podarunkiem od córki. To był komunijny różaniec Emilki. Jego szklane paciorki miały ostre brzegi i uwierały delikatną skórę dłoni. Boże, jak ona dawno nie trzymała takich koralików w ręku. Jak dawno się nie modliła. Anna spojrzała ku górze, ku obrazie Matki Bożej. Przez kolorowy witraż wpadła do kościoła jasna smuga światła. Otoczyła twarz Maryi drgającymi kolorowymi punkcikami. Anna westchnęła głęboko, zacisnęła mocniej różaniec w dłoni.

- Idźmy, idźmy ufnym krokiem, rzewnym sercem, łzawym okiem - przewalało się po ławkach jak huragan. Anna poczuła jak po policzkach płyną jej łzy. Nie umiała ich powstrzymać, nie miała nawet siły zakryć twarzy rękami. Jej ramiona wstrząsane żalosnym szlochem, drżały jak spadające z drzewa brzoźowe liście.

- Mamusi!!!!

Opanowała płacz, skierowała załzawione oczy ku górze. Maryja wychylała się z ram obrazu i uśmiechała się do niej tkliwie. Anna otarła łzy i wsłuchując się w słowa pieśni spróbowała dołączyć się do wspólnego śpiewu.

- To serce zna dzieci głos, odwróci bolesny cios - powtarzała nieudolnie za innymi z nieznaną dotąd u siebie ufnością i wiarą. Emilka przyglądając się jej z boku uśmiechała się do niej jak Maryja. Anna drżącymi rękami rozprostowała różaniec. Przytknęła krzyżyk do ust. Gdzieś z archiwum pamięci wydobyła pierwsze słowa różańcowej modlitwy.

- Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, pan z Tobą - zaczęła szeptać powoli, w skupieniu, z namysłem. I wtedy poczuła jak jej serce zaczyna pulsować innym rytmem, jak z jego głębi wypływa westchnienie ulgi i spokoju. Anna spojrzała z miłością na córkę, wzrokiem pokazała jak bardzo ją kocha i jak się cieszy, że są tu w tej chwili razem. Emilka podeszła do niej, klękła tuż obok, objęła ją ramieniem. W kościele znów na chwilę zapanowała przenikliwa

cisza. A później ktoś z pierwszej ławki zaintonował głośno:

- Idźmy, tulmy się jak dzieci...

Zakład

Wracali z dyskoteki rozbawieni jak małe dzieci. Filip z postawionymi na żel pomarańczowymi włosami i Krystian z tatuażem na gładko wygolonej głowie. Przed nimi Aśka i Paula w mini spódniczkach i wydekoltowanych bluzkach.

- Bierzymy je? - Filip wskazał na rozchichotane dziewczyny.

- Myślisz, że się nie oprą? - Krystian miał wątpliwości.

- Mnie żadna - Filip wyprostował dumnie plecy. Słyszał ze swej urody na całym osiedlu - Chcesz sprawdzić?

- Chcę - Krystian uśmiechnął się tajemniczo - ale jeśli jesteś taki chojrak wyrwij Hankę.

- Zwariowałeś?! - Filipa aż zatkało z wrażenia - tę naszą klasową zakonnicę?

- A jednak nie taki z ciebie Don Juan - Krystian prychnął kpiąco - są laski odporne na twoje maślane oczy.

Filipa zatrzęsło. Jaki byłby z niego facet, gdyby mu się taka Hanka oparła. Rozkocha ją w sobie w przeciągu tygodnia. Będzie mu jadła z reki

- Zakład, że za kilka dni będzie moja? - rzucił przez zęby - i na takie świętoszki mam niezawodne sposoby...

Hanka prawie biegła do szkoły nie mogąc doczekać się spotkania z Filipem. Chodzili już drugi rok do tej samej klasy a ona dopiero kilka dni temu dostrzegła, jaki z niego fajny chłopak. Jeszcze niedawno sprawiał wrażenie nie-dojrzałego bawidamka otoczonego wianuszkami zapatrzonych w niego dziewczyn. Ale od pewnego czasu patrzył tylko na nią. Koleżanki słuchały zazdrośnie, gdy prawił jej komplementy. A on nie odstępował jej na krok. Zamienił się nawet z Martą miejscami by siedzieć z Hanką w jednej ławce. Poprawił pałę z matmy i zmył tę okropną pomarańczową farbę z włosów. Był taki cudownie męski i ciepły. Wczoraj zaprosił ją do dyskoteki. Jeśli rodzice pozwolą pójdzie z Filipem na swoją pierwszą pozaszkolną potańcówkę. Hanka westchnęła radośnie. Nigdy nie myślała, że można tak się czuć lekko, jakby się u ramion miało anielskie skrzydła. Wczoraj, kiedy Filip pocałował ją przy rozstaniu poczuła w brzuchu motyle, zawsze się pojawiały, gdy ogarniało ją wzruszenie. Jak podczas wigilijnych życzeń, albo po spowiedzi, gdy Bóg wybaczał jej wszystkie grzechy. Hanka zamyśliła się. Chyba Bóg nie miał jej za złe, że pokochała Filipa, że pragnie być z nim blisko. No, nie tak jak po ślubie, ale jednak...

- I jak? - Filip czekał na nią przed szkołą. Był taki przystojny i taki promienny. W każdym jego słowie, w każdym geście przejawiało się coś niezwykle subtelnego, miękkiego. Hania miała ochotę się do niego przytulić, ale przecież nie robi tego na oczach koleżanek i kolegów.

- Co jak? - zapytała odwzajemniając mu uśmiech.

- Rodzice zgodzili się na dyskotekę?

- Chcą najpierw poznać ciebie. Mogłbyś wpaść do nas dziś wieczorem?

Filip skrzywił się, spochmurniał.

- Ekspонат jakiś jestem czy co? Starym się mam podobać czy tobie? - zaatakował niespodziewanie.

Poczuła w klatce piersiowej ból, jakby ktoś włożył jej do serca ostry kolec.

- Zrobisz jak zechcesz - odpowiedziała chłodno nie patrząc na Filipa - ale ja też chciałam, żeby cie poznali. Tyle im dobrego o tobie naopowiadałam a teraz... - zacięła się nagle czując w gardle rosnącą kluchę.

- Nie mam zamiaru... - zaczął odwracając od Hani wzrok. I wtedy natrafił na oczy Krystiana. Drwiące, pełne zwycięstwa i pewności siebie.

- Nie mam zamiaru - powtórzył chwytając Hankę za ręce - sprzeciwiać się tobie i twoim starym. Tylko się trochę boję...

Rozchmurzyła się czując jak spływa z niej dziwne napięcie. Zupełnie niepotrzebnie przestraszyła się, że Filip mógłby ją zawieść. A on przed tym spotkaniem miał po prostu najzwyklejsza pod słońcem tremę...

Filip usiadł sztywno na kanapie. Po pierwszej prezentacji i powitaniu mógł na chwile odsapnąć. Żadna dziewczyna nie przedstawiała go swoim rodzicom tak oficjalnie jak Hanka. Trochę niezręcznie czuł się w starych dzinsach i rozciągniętym swetrze, tymbardziej, że cała rodzina Skalskich włożyła na tę okazję wizytowe stroje.

- Chyba nie masz żalu, że chcieliśmy cię poznać - mama Hani przyglądała mu się ciepło choć wnikliwie.

- Oczywiście, że nie - wybąkał czując jak czerwony rumieniec wypływa mu na twarz.

- Bardzo kochamy naszą córkę i nie chcielibyśmy żeby ją ktokolwiek skrzywdził.

- Mamo - jęł Hani przypominał pisk małego psiaka - Filip pomyśli, że trzymacie mnie pod kloszem.

- Bo trzymamy - ojciec objął ją tkliwym spojrzeniem - dzisiejszy świat nie jest bezpieczny dla młodych panienek.

Filip znów poczerwieniał jak piwonias. Przecież to niemożliwe, żeby ci ludzie rozszyfrowali jego zamiary.

- Do kościoła chodzisz? - nagle pytanie pana Skalskiego ścięło go z nóg. Boże, czy ci ludzie muszą być tak bezpośredni?

- Nie - spłoszył się wpadając nagle w poczucie winy, że nie jest właściwym kandydatem na kolegę Hani.

- Trzeba to naprawić - ojciec westchnął ciężko - bo my jesteśmy katolicką rodziną. Chciałbym abyś o tym pamiętał.

-Daj już spokój z tym wypytywaniem Franiu - pani Skalska wskazała ręką na stół - gość pewnie głodny a my go egzaminujemy.

Po chwili wszyscy zajęli miejsca przy stole, ale Filip nie mógł przełknąć ani kęsa z nałożonych mu przez panią domu potraw. Dziwnie się tu czuł. Mieszkanie było skromne, meble staromodne, po podłodze ślizgał się stary wypłowiały dywan. Zawalone książkami półki ugięły się od ich ciężaru jak cięciwa w łuku. Wszędzie stały doniczki z kwiatami a na fotelach i krzesłach leżały własnoręcznie dziergane serwetki. Ale najgorsze były ściany obwieszane religijnymi obrazami i krzyże zawieszane nad każdymi drzwiami.

Rafał poczuł nagle jak dusi się w tym ciasnym, ponurym pomieszczeniu. U niego w domu wszystko było jasne, duże, nowoczesne i przestrzenne. Żadnych bazarowych bibelotów, żadnych bohomazów na ścianach. Wszystko w najlepszym guście i gatunku. Na wprost aksamitnej kanapy plazmowy telewizor w którym matka oglądała swoje ulubione seriale, najlepszej generacji muzyczny sprzęt w pokoju ojca i jego, Filipa pokój z komputerem i wieżą stereo na planie pierwszym. Rodzice Filipa dbali o to, aby każdy z członków rodziny miał swój azyl. I by nikt do nikogo się nie wtrącał. Tu, w rodzinie Hani, każdy każdym się interesował. Pan Skalski opowiadał o swoich kłopotach na budowie, pani Skalska zdawała relacje z osiągnięć dzieciaków w przedszkolu a Hania chwaliła się ocenami w szkole.

Jego, Filipa rodzice, przeważnie się kłócili. Ojciec wytykał matce upodobania do alkoholu, a ona wściekała się na widok jego poplamionych szminką koszul. Nigdy nie kontrolowali Filipa, nie pytali o jego stopnie, nie sprawdzali, kto nocuje w jego pokoju. Filip miał pełen luz i całkowity spokój.

A jednak patrząc teraz na twarze pochylone nad stołem zapragnął na moment tej ich intymności i bliskości. Czegoś co miękko kładło się na sercu i ogarniało ciepłem jak matczyne ręce. Hania uniosła ku niemu twarz. I nagle zobaczył w niej to, czego nie dostrzegł dotychczas w żadnej innej dziewczynie. Niezwykłą delikatność, czystość i niewinność. Była taka podobna do Maryi namalowanej na jednym z wiszących na ścianie obrazów. To samo spojrzenie, ta sama tkliwość i czułość skierowana na trzymane przy piersi dziecko. Na taką twarz można byłoby patrzeć całe życie. Filip odetchnął głęboko. Jakiś ciężki kamień spadł mu z serca. Po raz pierwszy naprawdę ucieszył się, że zaprzyjaźnił się z Hanią, że poznał jej rodziców i że będzie mógł spotykać się z nią choćby codziennie...

Szli właśnie z dyskoteki trzymając się za ręce. Filip okazał się świetnym tancerzem i wspaniałym opiekunem. Pilnował jej jak oka w głowie. Nawet Krystianowi nie pozwolił z nią zatańczyć. Czuła się przy nim jak księżniczka z bajki. Piękna, dobra i zasługująca na wszystko, co najlepsze.

- Zaczekajcie na mnie - Krystian dołączył do nich tuż po wyjściu na dwór. Był już porządnie pijany, bo chwiały się na nogach jak osika na wietrze.

- I jak się państwo kochankowie bawili? - zapytał przyglądając się im nachalnie. Nie lubiła jego wścibskiego wzroku i przytyków, które ją obrażały. Filip zresztą też unikał jego towarzystwa. Od kiedy zaczął z nią chodzić jego przyjaźń z Krystianem nagle się oziębła.

- Mógłbyś nas zostawić samych? - Filip hamował wzbierającą się w nim złość.

- A co? Będziecie robić to tu? Teraz? - zarechotał zbireźnie.

- Pajac - nie wytrzymała.

- No, maleńka nie podskakuj - zdenerwował się nagle - wszyscy wiedzą, że Filip żadnej nie przepuści.

- Plecie, co mu ślina na język przyniesie - Filip objął ją ramieniem, przyspieszył kroku.

- Bo ty o niczym nie wiesz - Krystian nie myślał przerwać swojego wywodu - Filip się założył ze mną że cie przeleci. Rozumiesz? Za pięćdziesiąt złociszów. I wciąż nie wiem kto z nas wygrał.

Spojrzała na Filipa, na jego purpurową twarz.

- Powiedz, że to nieprawda, że on bredzi, że wymyśla - wyszeptała zbiełymi nagle wargami. Nie odpowiedział, nie zaprzeczył. I nie zatrzymał jej, gdy puściła się pędem przed siebie. Jakby jej wogóle nie znał. Jakby mu wcale na niej nie zależało...

Wpadła do domu jak huragan. Jej opuchnięte od płaczu oczy świadczyły o tym, że przydarzyło się jej coś złego. Matka zupełnie nie wiedziała jak ją uspokoić, utulić.

- Co się stało? - pytała głaszcząc jej długie, falujące włosy. Ale córka łkała tak rozpaczliwie, że trudno było wydusić z niej jakieś słowo.

- Filip... - wyjąkała w końcu wycierając głośno nos.

- Jezus Maria - pani Skalska łapała się za serce - ktoś was napadł?

- Nie, po prostu nie chcę go znać!

- Co on ci zrobił? - ojciec zbładł przerażony.

- Założył się z Krystianem, że mnie zaliczy jak pierwszą lepszą panienkę. Ale mu się to nie udało - Hania płakała coraz głośniej. Rzuciła się na łóżko wciskając twarz w poduszkę.

- Łajdak - ojciec zdenerwował się jeszcze bardziej - a myśmy mu tak ufali. Zwłaszcza po tym jak zaczął chodzić

do kościoła. I jak się zapisał do tej twojej maryjnej wspólnoty.

Nagle cicho skrzypnęły drzwi. Odwrócili się gwałtownie. Ktoś skradał się przez przedpokój jak złodziej.

- Filip? - pani Skalska pierwsza rozpoznała kroku.

Hania drgnęła, otarła szybko zapłakana twarz, wyprostowała dumnie plecy. Nie pokaże mu jak bardzo cierpi. I jak nim potwornie gardzi.

- To prawda z tym zakładem - Filip stanął na progu pokoju, odszukał wzrokiem Hanię - i to prawda, że na początku miałem wobec ciebie złe zamiary. Ale kiedy przyszedłem tu po raz pierwszy, kiedy zobaczyłem twoje oczy pod tym obrazem z Maryją zrozumiałem, że nie mogę ci skrzywdzić. I wtedy zupełnie o tym zakładzie zapomniałem. Dopiero dziś Krystian mi o nim przypomniał. I zrobiło mi się strasznie głupio. Tak mnie zatkało, że nie mogłem ruszyć się z miejsca. Dlatego za toba nie pobiegłem.

Nie wiedziała, co mu odpowiedzieć. Jej serce krwawiło a sprawca tego krwawienia stał przed nią próbując jej wmówić, że nie jest takim łobuzem, za którego go jeszcze przed chwilą uważała. Spojrzała na obraz Maryi, na jej spokojną i czułą twarz. Jeśli Filip mówi prawdę to może Maryja pomoże odnaleźć im drogę do siebie? Nawet gdyby ta droga miała być wąska i długa...

Szczśliwe zakończenie

- Ty gdzie? - Jadwiga zasłoniła sobą drzwi.

- Powiem im, żeby się uciszyli - Andrzej próbował delikatnie odsunąć matkę z drogi.

- Przeszkadza ci, że ludzie odmawiają różaniec?

- Przeszkadza. Przyłazą tu codziennie i modlą się do jakiejś przeżartej kornikami figurki.

- Do Boga się modlą - Jadwiga nie rozumiała drwin syna.

- Jakiego Boga? - Andrzej podniósł głos - chyba nie tego, który pozwolił, żeby jakiś pijak potracił ojca samochodem.

Jadwiga umilkła. Wciąż nie wiedziała jak rozmawiać z Andrzejem na temat tamtego wypadku. Ale i Andrzej jej tego nie ułatwiał. Według niego to Pan Bóg ponosił odpowiedzialność za wszystko zło które się w ich życiu stało. Nagle ludzie zza płotu zaczęli śpiewać jakąś religijną pieśń. Andrzej wzdrygnął się jakby ktoś go przejechał batem po plecach.

- My też kiedyś klękaliśmy do wspólnej modlitwy - przypomniała mu Jadwiga.

- I po co? - syn odepchnął ją od siebie i wybiegł na dwór. Musiał natychmiast uciszyć te głosy, nie pozwolić by wciskały mu się do uszu jak fałszywa muzyka. Spuszczone z łańcucha psy zajazgotały głośno. Ale śpiew nie ustawał. Andrzej podniósł więc z ziemi kamień i rzucił nim w tamtych za płotem. Głośny jęk rannego Stańczaka wywabił z domu matkę.

- Kamieniami w nas rzuca bandyta jeden - krzyknęła jakaś kobieta wskazując ręką na Andrzeja.

- Oszalałeś - matka dopadła do Andrzeja - Jak mogłeś podnieść na niego rękę, jak mogłeś - załkała wypełniona dziwnym bólem.

- Andrzej, zaczekaj - Majka dogoniła kolegę prawie przy swoim bloku.

Zatrzymał się niechętnie. Nie miał dziś ochoty na rozmowę nawet z tak fajną dziewczyną jak Majka.

- Stało się coś? - Majka wyczuła brak humoru u kolegi.

- Nie - zaprzeczył tak jakoś bez przekonania - po prostu czasem człowiekowi nic w życiu nie wychodzi.

Majka przyjrzała się Andrzejowi uważniej. Ostatnio rzeczywiście nie wyglądał najlepiej. Sińce pod oczami, cera przeźroczysta, sylwetka zgarbiona. Komuś takiemu zaraz chciało się jakoś pomóc.

- Zapraszam cię na kopytko - zaproponowała - jak posmakujesz polanych masłem klusek mamy od razu chandra ci minie.

Andrzej zatrzymał się zdumiony. Nie wiedział, czy powinien się zgodzić na tę Majki propozycję, ale od tego długiego łożenia po mieście w brzuchu burzało mu przeraźliwie. I myśli dokuczały jak muchy latem. Może wizyta u Majki go wyciszy, uspokoi i pozwoli zapomnieć nie tylko o głodzie, ale i o tej historii ze Stańczakiem..

- Nazywasz się Piotrowski? - mama Majki wyteżyła umysł by przypomnieć sobie zgubione gdzieś w pamięci nazwisko. Byli już po obiedzie i pani Emilia przysiadła się do nich, by sobie z nimi porozmawiać. Właściwie to ona cały czas mówiła o swojej pracy w szpitalu.

- Był u nas taki jeden pacjent - wspominała patrząc na Andrzeja - o tym samym nazwisku co ty. Jakies dwa lata temu przywieźli go z wypadku. Boże, jak on wyglądał. Cały zalany krwią, poharatany, połamany. Lekarze składali go dwanaście godzin. Nikt mu nie dawał żadnej szansy. A jednak przeżył.

Andrzej poczerwieniał nagle czując jak krew zaczyna mu pulsować w skroniach. To niemożliwe, żeby mama Majki знаła jego ojca. Chociaż ta pielęgniarka, która się nim wtedy opiekowała była trochę do pani Emilii podobna.

- Lekarze mówili, że to cud - ciągnęła dalej mama Majki - że to jakiś sąsiad mu życie wymodlił.

- Nie rozumiem - serce Andrzeja załopotało jak flaga na wietrze.

- Ludzie gadali, że tam u niego za płotem stała jakaś święta figurka i on, ten sąsiad przed nią klęczał i pacierze odmawiał. I jeszcze ludzi zwołał, by modlitwę silniejszą uczynić. I Pan Bóg wysłuchał, bo choć ten Piotrowski na wózku ze szpitala odjechał, to jednak od śmierci się wywinął. Ot, jak to się czasem szczęśliwie ułoży.

Andrzej słuchał tej opowieści w milczeniu. Teraz był pewien, że pani Emilia opowiada o ojcu i o Stańczaku. To samo mówiła mu kiedyś matka ale on jej nie uwierzył. Wściekał się na sąsiada za jego modlitwy, psy na niego spuszczał, kamieniami rzucał. Jak głupi niedojrzały smarkacz.

- Szczęśliwie to się skończy - wyszeptał dziwnie wzruszony - kiedy syn tego Piotrowskiego do Stańczaka pójdzie i o przebaczenie poprosi. Strasznie ostatnio narozrabiał...

Duchowy Opiekun

Siedziała naprzeciw kobiety w kolorowym turbanie na głowie i z uwagą obserwowała ruch jej zwinnych rąk rozkładających karty na zielonym obrusie. Danka jej dała ten adres, przekonywała, że wróżka nie tylko potrafi odsłonić przyszłość, ale że tę przyszłość także zmienia.

- Moja znajoma też nie mogła zajść w ciążę, lekarze nie dawali jej żadnej nadziei a ta wróżka powiedziała, że urodzi. I urodziła - przekonywała przyjaciółka.

Poszła pod wskazany adres. Będzie miała czyste sumienie, że zrobiła wszystko, by mieć własne dziecko.

- Serce ty moje, ale tu już raz byłeś w ciąży - głos wróżki był ciepły, miękki, budzący zaufanie.

- Usunęłam. Nie byliśmy jeszcze z mężem przygotowani na dziecko.

- I dobrze! - Wróżka uśmiechnęła się do niej tklawie - i tak by się nie uchowało. Nie miało swojego duchowego opiekuna.

- Jak to? - Zuzka westchnęła zdziwiona - to może go nie być?

- Może. I jak się nie pojawi - nieszczęście gotowe. Ale twój tu jest i jest niezwykle piękny.

- To widać w kartach?

- Nie. On stoi za tobą - wróżka uśmiechnęła się tajemniczo - módl się do niego bez przerwy - za jakiś czas nam podziękujesz. I mnie i jemu...

Wyszła od wróżki oszołomiona. To niesamowite ale czuła przy sobie jakąś nieznaną siłę, kogoś kto mógłby przejąć ster nad jej życiem, pokonać nieumiejętności lekarzy i naprawić uchybienia natury.

- Jestem przy tobie - usłyszała dziwny szept za sobą. Odwróciła się, ale wokół nie było nikogo. I znów ten głos. Teraz wyraźnie usłyszała go w sobie.

- Tak to ja, twój duchowy opiekun Natan. Mogę spełnić to, co obiecała ci już wróżka.

To niesamowite! Jak się to działo, że go słyszała? Czyżby wróżka miała taką moc? Wpadła do domu jak burza, rzuciła się mężowi na szyję.

- Będziemy mieli dziecko, zobaczysz, już niedługo spełnią się nasze marzenia.

Biegła potykając się o nierówności chodnika. Natan dziś był bardzo natarczywy. Z przyjaznego i serdecznego towarzysza zamienił się nagle w kogoś apodyktycznego, wymagającego. Jego szept od rana do wieczora nie dawał Zuzsce spokoju. Do czegoś złego ją namawiał, czegoś niemożliwego od niej żądał. Zuzka bardzo pragnęła swojego dziecka, ale przecież nie tak, nie w ten sposób. Tylko, że głos Natana coraz bardziej ją dręczył, coraz natrętniej się od niej tego domagał. Dziś już nie wytrzymała, jakaś niewidzialna siła gnała ją ulicami miasta pod tamten wskazany przez Natana dom. Zajrzała do stojącego obok sklepowej witryny wózka. Czuły uśmiech zakwitł na jej czerwonej od biegu twarzy.

- Śliczny jesteś? - zagadła miękko nachylając się nad leżącym w wózku dzieckiem. Pogłaskała maleńkie rączki, dotknęła aksamitnego policzka. Maleństwo zagaworzyło radośnie, jakby ją rozumiało, jakby chciało okazać jej swoją ufność. Zuza poczuła nagle przepełniającą jej serce miłość. Zapagnęła wziąć niemowlę na ręce, przytulić je do piersi, zabrać je ze sobą do domu. Mąż na pewno uradowałby się z takiego prezentu, może nawet by się wzruszył, rozplakał. Włożyłaby mu więc zawiniątko z dzieckiem do rąk i odtąd byliby na zawsze razem, jak dobra, kochająca się rodzina. Zuza drgnęła. Natarczywy szept Natana ponaglał ją do działania. Powinna się pośpieszyć, dopóki nikt nie zwracał na nią uwagi. Znów nachyliła się nad wózkiem, odsunęła kocyk, chwyciła niemowlę na ręce, uniosła do góry. Dziecko wystraszone gwałtownymi ruchami rozkrzyczało się przeraźliwie. Chciała je uciszyć, uspokoić, przycisnęła je mocniej do siebie, ale ono wyrывało się jej z rąk i głośnym płaczem alarmowało wszystkich dokoła o dziejącą się mu krzywdzie.

- Ratunku, złodziejka, dziecko mi porywa! - jakaś kobieta wybiegła ze sklepu rzucając się ku Zuzsce z rozpaczą w oczach. Od razu wokół zrobiło się zamieszanie. Przerażona Zuza oddała dziecko kobiecie, ale już ktoś ją chwycił za rękę, już inny dzwonił na policję. Boże, co ten Natan nawyprawiał, do czego ją namówił.

- Puśćcie ją - nagle z gromadzącego się tłumu gapiów wysunęła się jakaś postać. To Danko - ucieszyła się Zuza.

Popatrzyła na przyjaciółkę z nadzieją. Jak dobrze, że znalazła się tu właśnie teraz. Zuzka przywarła do niej

całym ciałem, rozplakała się

- Ona nie chciała, ona jest chora - Danka przekonywała przyglądających się im ludziom - ja się nią zajmę!

Utulone przez matkę dziecko przestało płakać, ułożone z powrotem w wózku odjeżdżało prędko, jakby je znów ktoś gonił. Pomału rozeszli się też gapie.

- Zuza, co ty wyrabiasz? - Danka dopiero teraz mogła spokojnie porozmawiać z przyjaciółką - po co się tu zjawiaś?

- Ja nie wiem, co się ze mną dzieje - Zuza nadal trzęsła się ze strachu - chyba coś złego, mój duch... opiekun... on mi kazał zabrać tamto dziecko. Mówił, że ono powinno być moje...

- Jaki Duch? - Danka otworzyła ze zdziwienia szeroko oczy.

- Tamten, którym obdarowała mnie wróżka. Pamiętasz? Dałaś mi jej adres.

- O matko, nie wiedziałam, że ona tak! Zuza, żaden dobry opiekun nie kazałby ci porywać dziecka. Tylko demony namawiają do złego! - Danka przeraziła się jeszcze bardziej - przepraszam, że i ja byłam taka głupia.

- Bo widzisz - wyszeptła żałośnie Zuzka - ja tak bardzo pragnęłam dziecka i to dlatego.

- Jest tyle dzieci, które czekają na taką mamę jak ty - odpowiedziała jej Danka - znam taką znajomą, która...

Zuza nastawiła ciekawie uszy. Że też wcześniej nie pomyślała o tym, o czym opowiadała Danka. Ciekawe, co na to powiedziałby Natan. Zuza zatrzymała się na chwilę wsłuchując się w siebie. Ale szeptu Natana nie było słyhać. Czyżby ją opuścił? Zuza odetchnęła z ulgą. Miała nadzieję, że jej duchowy opiekun już do niej nigdy nie powróci. Machinalnie dotknęła czoła i szepnęła „W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego...”

Najlepszy Opiekun

Michał odłożył w pośpiechu pędzel. Gwałtowne walenie do drzwi mogło znów sprowokować sąsiadów do niepotrzebnej interwencji.

- Ale tu fajnie - Hiena wpadł pierwszy do mieszkania. Za nim wpakowała się reszta paczki. Rozejrzeli się wokół cmokając z podziwem ustami. Rzeczywiście, było czym się zachwycić. Krwistoczerwone meble, czarne ściany i sufit.

- Super Majkel - Wódz poklepał Michała po plecach - ustawmy więc sprzęt, powieśmy amulety i talizmany. Niech ktoś zapali świece - duchy już na nas czekają.

Skinęli głowami. Michała zalała fala szczęścia. Bardzo się starał by grupa go polubiła, zaakceptowała.

- Jak stara? - Wódz zapytał tak jakoś bez emocji.

- Dobrze, chyba dobrze - zająknął się - obiecałem, że będę ją tam często odwiedzał...

- Daj spokój - Wódz zarechotał nieprzyjemnie - chatę zapisała? Zapisała. Teraz to może cię pocałować...

Michał zaczerwienił się. Twarz babci stanęła mu nagle przed oczami. Patrzyła na niego zażalonymi oczami jak wtedy, gdy zostawił ją pod opieką pielęgniarek w domu starców. Była taka kochana. Ale ona potrafiła tylko odmawiać te swoje różańce i słuchać radia Maryja. A Michał potrzebował przy sobie kogoś silnego, odpowiedzialnego, na kim mógłby się wesprzeć i na kogo liczyć.

- Majkel, kładź serwetę - Wódz stał nad nim z talerzem w ręku - przecież chciałeś dowiedzieć się, co u starych słyhać. Jak sobie w zaświatach radzą.

- OK - odezwał się drżącym głosem - tylko najpierw otwórzcie piwo...

Obudził się w środku nocy. Siedział sam pośród porozwalanych wokół butelek, przewróconych krzeseł i wywróconego stolika. Świece w metalowych puszkach zaczęły już dogasać, ale jeszcze rzucały na ściany dziwaczne cienie. Michał podniósł się z trudnością. Wypity alkohol jeszcze dawał o sobie znać bólem głowy i trzęsącymi się rękami. Z trudem zaczął przypominać sobie wczorajszy wieczór. Jakieś magiczne rytuały i głos Wodza próbującego przywołać mamę i tatę. Wszystko to jakieś wulgarne, diabelskie i tajemnicze. Wywołujące niepokój i lęk.

Michał zaczął pomału ustawiać sprzęty, zbierać walające się po podłodze butelki. Serwetkę ze stolika trzeba będzie uprać. Babcia ją sama dziergała na drutach. Michał podniósł ją i niespodziewanie dla samego siebie przytulił do serca. Poczul zapach babcinych rąk, prawie usłyszał jej szept.

- Jezu! dlaczego jej tu przy nim nie ma. Dlaczego posłuchał Wodza i namówił babcię na ten dom starców. Pozbył się jej, zdradził za cenę mieszkania.

- Babciu - załkał bezgłośnie wtulając twarz w chropowatą tkaninę.

Nagle z serwetki coś wypadło. Michał schylił się i podniósł z podłogi obrazek, na którym jakiś skrzydlaty rycerz w lśniącej zbroi unosił nad głową srebrną lancę. Przy nim wtulony w jego płaszcz stał jasnowłosy chłopczyk. To przecież zdjęcie Michała jak miał dwa latka. Babcia musiała je tu dokleić. I jeszcze coś napisała po drugiej stronie. „Archaniele Michale opiekuj się moim wnusiem, nawet wtedy, gdyby o tobie zapomniał”

Michał jęknął, jakby ktoś ugodził go w samo serce. Kiedy był mały babcia często opowiadała mu o Archaniele Michale. Był dumny, że nosi jego imię. Ale później, gdy rodzice tak nagle zginęli w wypadku samochodowym zaczął go obwiniać, że im nie pomógł, że ich nie uratował. Ale on, Michał przecież żyje, ktoś go jednak ochronił, choć i on był w tamtym aucie.

Nagle w sercu Michała coś zadrgało, coś się rozjaśniło. Jeszcze raz przyjrzał się postaci na obrazku. Z twarzy Archaniola Michała biła jakaś niezwykła siła i wielka moc. Wódz przy nim wyglądał jakoś blado i nijako. Michał westchnął głęboko i sięgnął po telefon.

- Stało się coś? - zapytała przestraszona babcia.

- Znalazłem twojego Archaniola Michała - Michał wydusił ze ściśniętym gardłem - i tęsknię za tobą. Chciałbym, żebyś wróciła do domu.

W słuchawce zaległa cisza a później odezwał się czuły głos.

- Tylko czy ty sobie ze mną poradzisz Michałku?

- Przecież nie jestem sam - zawołał z dziwną u niego siłą - Archaniol Michał na pewno mi pomoże...

Brzydkie kaczątko

Lekcja zbliżała się ku końcowi, gdy polonistka nagle oznajmiła:

- Dziś o piętnastej zapraszam chętnych na pierwsze spotkanie kółka teatralnego. Chciałabym, abyśmy w przyszłym miesiącu wystawili którąś z baśni Andersena.

W klasie zawrzało jak w ulu.

- Idziesz? - Majka podeszła do Kaśki

- Jasne, nie widać, że mam aktorską urodę?

- W teatrze potrzebny jest chyba talent? - zaoponowała Majka - a ten to ma Agata. Ona najpiękniej recytuje wiersze.

- Zwariowałaś! - Kaśka aż poczerwieniała ze złości - Może i Agata ładnie mówi, ale jak ona wygląda! Jest gruba, piegowata i w dodatku ma wystające zęby. Jak Zombi.

- Ciiiiii - Majka przytknęła palec do ust. Ale było już za późno. Przed nimi stała Agata. Jej twarz oblana krwawym rumieńcem rzeczywiście nie wyglądała ładnie.

- Odczep się - powiedziała do Kaśki, ale tak jakoś cicho, z bojaźnią.

- Bo co? - Kaśka wydeła pogardliwie usta - polecisz do starej na skargę? - krzyknęła głośno, aż oczy całej klasy zwróciły się na nich.

Agata skuliła się jakoś, zmaląła. Wtedy podszedł do nich Filip. Kaśka rozpromieniła się nagle.

- Widzisz - zaszczebiotała przymilnie mrugając zalotnie rzęsami - takie coś mi tu podskakuje. I rzuca się jak flądra.

Ale Filip popatrzył na Kaśkę ostro. Nerwowo zacisnął dłonie.

- Wiesz co? - wycodził przez zęby - nie wiedziałem, że jesteś taka podła. Co Agata winna, że tak wygląda?

- Patrzcie jaki obrońca się znalazł - Kaśka przybrała znów pogardliwą minę - i za kim ty się tak wstawiasz? Za tą grubą, wstrętną Fioną?

Filipa zamurowało. Chciał coś jeszcze powiedzieć, ochronić Agatę przed złośliwym językiem Kaśki, ale ona jak oszalała wybiegła z klasy...

Woda w rzece płynęła leniwie i to jakoś Agatę uspokajało. Ale na krótko. Bo co i raz przypominała sobie słowa Kaśki. Jak ona mogła tak na Agatę powiedzieć, że gruba, piegowata, że Zombi. Wszyscy się z niej na pewno śmieli, od dawna pewnie tak drwią za jej plecami. Boli. Agata miała wrażenie, że w jej sercu tkwi zatruty sztylet. Nie mogła opanować płaczu. Dobrze, że tu na tym moście nikogo nie ma. Agata spojrzała w dół na brunatno-złote fale. Gdyby tak nagle znikła pod nimi...

- Tu jesteś - głos Filipa zaskoczył ją. Nie przypuszczała, że za nią przybiegnie.

- Odejdź - jęknęła chowając mokrą od łez twarz.

- Wiem, co czujesz i bardzo mi cię żal - powiedział ciepło.

- Nie potrzebuje twojej litości! - krzyknęła rozpaczliwie.

- Posłuchaj! - Filip chwycił ją za ramiona - kiedyś, jeszcze w podstawówce, miałem wypadek. Leżałem prawie rok z nogami na wyciągu. Kiedy wróciłem do szkoły dzieciaki śmiały się, że kuleję, nie chciały się ze mną bawić. I wiesz, co mi wtedy pomogło?

Spojrzała na niego już jakoś inaczej.

- Baśnie.

- Baśnie? - zapytała z niedowierzaniem.

- Właśnie! Kiedyś czytała mi je mama, potem ja sam. Odkryłem, że one nie są tylko dla dzieci, ale dla wszystkich ludzi, bo uczą odwagi i bohaterstwa. Pokazują też jak walczyć ze złem i jak pokonywać przeciwności losu i własne słabości. Mnie baśń o „Brzydkim Kaczątku” dała silny impuls, by ze słabeusza przemienić się w sportowca. Ty też mogłabyś podobnie.

- Mam biegać i podnosić ciężary? - zdziwiła się nie rozumiejąc o co mu chodzi.

- Niekoniecznie - rozbawił go jej pomysł - ale mogłabyś zostać świetną aktorką.

- Przecież wiesz jak wyglądam - rozpląkała się na nowo.
- Wygląd można zmienić. Są teraz takie aparaty na zęby. A kilka kilogramów możesz zrzucić dzięki diecie i bieganiu, Chcesz, mogę z tobą trenować.
- A piegi? - westchnęła ciężko.
- Piegi są ładne, zwłaszcza jak się uśmiechasz - zapewnił ją z figlarnym błyskiem w oku.

Agata poczuła jak na sercu dziwną lekkość. Ten Filip jednak potrafi podnieść człowieka na duchu

- Wiesz - zaczęła nieśmiało patrząc na niego ciepło - to ja chyba zapiszę się do tego szkolnego teatru. Może ta baśń, która ma być grana u nas, to właśnie „Brzydkie kaczątko”? Ona jest trochę jakby i o mnie. A ty... ty jesteś naprawdę dobrym człowiekiem, wierzysz nie tylko w baśnie ale i w ludzi...

Trzy matki

- Hej Gaba, „starsza” do Ciebie - Jolka wpadła w wianuszek dziewczęcych głów jak zbłąkany pocisk.

Gabrysia akurat opowiadała przyjaciółkom o Waldku i ich ostatniej wyprawie w góry. A tu nagle traaaaach i nastrój prysł jak bańka mydlana. Spojrzała w kierunku drzwi szkolnego korytarza.

- Zwariowałaś? - puknęła się demonstracyjnie w czoło - Ktoś taki do mnie?
- Sorry, myślałam, że to twoja matka. Ale jeśli nie, to spadam.
- Moja matka! - Gabrysia oblała się rumieńcem. Jak można było porównać jej matkę do tej karykatury w niemodnym płaszczu, ze szmacianą siatką na zakupy w rękę. Odwróciła się z niesmakiem.
- No i wtedy on powiedział, że mnie kocha jak nikt na świecie i że sobie nie wyobraża życia bez mnie! - kończyła swoją opowieść zapatrzoną w nią koleżankom.

- Czy można panienkę prosić? - Nie wiadomo kiedy nieznajoma stanęła tuż obok.

Gabrysia odskoczyła gwałtownie. Czar miłosnych zwierzeń ulotnił się jak para z czajnika.

- Nie można - warknęła nie ukrywając złości.
- Muszę z tobą porozmawiać - ton nieznajomej był delikatny ale stanowczy. Gabrysia potrząsnęła jasnymi włosami, wygięła kształtne usta w podkówkę. No jeśli ta stara musi...
- Jestem matką Waldka – kobieta ściszyła głos – chciałabym z tobą porozmawiać.

Gabę замуrowało. Matką Waldka?

- To jakaś pomyłka - odpowiedziała, ale już panika rozlewała się jej po sercu. Czy one, jej koleżanki to słyszały? Jutro cała szkoła będzie nosić jej imię na ustach.
- Nie znam pani! - burknęła nieprzyjaźnie. - Waldek nie ma matki!
- Ma matkę. I żonę - kobieta oparła się o ścianę. Po jej skroni cieniutką stróżką spływały krople potu.
- Zobacz - podstawiła jej pod oczy jakieś zdjęcie. Gaba przeleciała je wzrokiem. Na wiejskiej altance stała kobieta z dwójką dzieci. Obok nich mężczyzna. Gaba wpatrzyła się dokładniej. Tak to był na pewno Waldek.
- Czyje to dzieci? - zapytała choć już się domyślała, już prawie wiedziała...
- To moje wnuki - słowa pojawiły się razem ze łzami ocieranymi zniszczoną dłonią - Walerka i Władek.

Walerka i Władek. Dwa imiona jak lekkoatletyczne hantle umieściły się po oby stronach Gabrysinych ramion. Przygarbiła się od niewidzialnego ciężaru.

- Kłamiesz - jęknęła żałośnie. Ale twarz kobiety nie pozostawiała złudzeń.
- Wiesz, że nie... - szepnęła smutno.

Gabrysią zatrzęsło. To jakaś paranoja. Stara jej jakieś łzawe kawałki wtyka. Na jej sumieniu gra.

- Idź stąd! - wrzasnęła - Wynoś się! Ja go kocham, rozumiesz? Nikt mi go nie odbierze. Żadna żona, żadne dzieci!
- To ty im odbierasz męża i ojca - jak przez mgłę doszły ją słowa starej. Dziewczyny rozpięchły się nagle. To dzwonek na lekcje wymiółł korytarz jak jesienny wiatr liście. Jakie to szczęście. Gaba nie mogłaby teraz spojrzeć nikomu w oczy.
- Kiedyś i ty będziesz żoną i matką - rzuciła kobieta kierując się do wyjścia. Nagły podmuch zimnego powietrza wpadł przez otwarte drzwi i dotarł do Gabrysi nóg a potem wśliznął się w sam środek jej serca.

- Mamo, zakochałam się - Gaba musiała z kimś poważnie porozmawiać.
- Yhy - matka dmuchała w dopiero, co pomalowane paznokcie. Znów pewnie wybiera się na plotki ze swoją paczką.
- Spotykam się z nim.
- Yhy - ręce podniesione pod światło. Idealnie gładki lakier, uśmiech zadowolenia na ustach.
- Tylko wiesz, są pewne przeszkody.
- Tak? - matka stanęła przed lustrem poprawiając fryzurę. Obciągnęła dopasowany żakiet.
- On ma żonę.
- No i? - włożony do torebki telefon komórkowy, karta kredytowa, saszetka z kosmetykami. Ostatnie pociągnięcie pomadką, zaciśnięcie warg, by błyszczak dobrze rozłożył się na ich powierzchni. Ostatnie zalotne spojrzenie w kierunku lustra.

- On ma dzieci - Gabi z trudnością przeszły te słowa przez gardło.
- Ile?
- Dwoje.
- Czego dwoje? - matka rzuciła jej nieprzytomne spojrzenie - Pytam ile? Ile potrzebujesz? - wyjęła portfel. Otworzyła przegródkę.
- Nie proszę cię o pieniądze!
- Nie? A o co tym razem? Bluzka, sweterek? Weź z szafy, tylko nie zniszcz proszę. W ostatnim wypaliłaś mi dziurę.
- Mamo, czy ty mnie słuchasz?
- Oczywiście. Zawsze cię słucham. Coś w szkole nie tak?
- W szkole w porządku - odpowiedziała zrezygnowana. Ostatnio zbierane jedynki nie poprawiają matce humoru. Zresztą, czy dziś coś do niej dotrze!
- To daj mi stówę.
- Tak trzeba było od razu - matka wyciągnęła banknot - Kładę przy lustrze. Baw się dobrze. Wrócę przed północą. Obiad dla ojca w lodówce - rzuciła zza drzwi.
- Dzięki - odpowiedziała. Ale tego jej dzięki matka już nie słyszała.

Siedzieli naprzeciwko siebie. Waldek zamówił wino i jakieś przystawki. Ale jedzenie im nie szło. Waldek zaglądał jej przymilnie do oczu, próbował pogłaskać po rękę.

- Nie powiedziałeś mi - wybuchła wreszcie.
- Czego ci nie powiedziałem? - zapytał z niepokojem.
- Była u mnie twoja matka...
- Niepotrzebnie się wtrąca. Właśnie dziś chciałem ci wszystko powiedzieć.
- Mówiłeś, że mnie kochasz. Tylko mnie.
- Zrozum, Magda dla mnie nic nie znaczy. Ale dzieciaki? Bałem się, że tego nie zrozumiesz.
- Kocham dzieci - odpowiedziała naiwnie.
- Wiem, jesteś dobra, wrażliwa - patrzył na nią wzrokiem potulnego szczeniaka.
- Co teraz z nami będzie? - zapytała z oczami pełnymi łez.
- Rozwiódę się. Gaby, przecież wiesz jak cię kocham.

To miłosne wyznanie kruszyło jej serce. Nie mogła go stracić. W końcu nie ona pierwsza wyjdzie za rozwodnika. Podniosła kieliszek z winem. Wypiła czerwoną zawartość. Zrobiło się jej lekko i przyjemnie. Twarz Waldka kołysała się w świetle zapalonych świec. Powinna mu teraz powiedzieć. Ale on chwycił ją za rękę i poprowadził wzdłuż kawiarnianych stolików ku bocznemu wyjściu. Nie mogła zepsuć tych szczęśliwych chwil żadną złą wiadomością. Tam na górze w hotelowym pokoju czekało na nią prawdziwe niebo i nie miało to żadnego znaczenia na czyjej krzywdzie będzie się ono budować.

- Źle wyglądasz - matka przyjrzała się jej zaniepokojona - Te sińce pod oczami i ta bladość cery.
- Nie spałam dziś dobrze - Gabrysia wiedziała, że schudła znów dwa kilogramy. Nie miała apetytu i budziła się w nocy z niewytłumaczonym lękiem.
- Może kłopoty w szkole? - jak bumerang powracało między nimi wciąż to samo pytanie.
- E, nie - nie warto było matce nic tłumaczyć. Znów szykowała się na jakąś swoją imprezkę.
- A może ty się zakochałaś? Wracasz do domu tak późno!
- Tak zakochałam się - Gabrysia spojrzała na matkę z nadzieją. Może uda jej się z nią dziś normalnie porozmawiać. Jak matka z córką, jak z przyjaciółką.
- Oj, wiesz, że w tym roku matura. Nie możesz jej zawalić. Na miłość przyjdzie czas później.
- Ależ mamo...
- Wiem wiem, żartowałaś... - matka uśmiechnęła się patrząc do lusterka. Znów nie dla Gabrysi przeznaczony był jej uśmiech. Zresztą cóż jej po takim sztucznym ułożeniu warg, choćby nie wiem jak szerokim.
- Mamo, ja naprawdę źle się czuję - zarzuciła ostatni haczyk, może matka da się na niego złapać.
- Kup sobie witaminy. Wiesz ten cały zestaw dla młodych. I nie pij tyle kawy, ona wypłukuje magnez.
- Wiesz, że nie lubię kawy...
- To może potrzebujesz odpoczynku? Kładę pieniądze na stole, idź do kina albo, co... Wrócę późno. Obiad dla ojca zostawiam w mikrofalach.
- Pójdę do Aśki.
- Idź, idź, tylko nie uczcie się za dużo...

Chciała iść do Aśki. Ale nogi poniosły ją w kierunku parku. Musi trochę pobyć sama, pomyśleć, zastanowić się co dalej. Ostaniam rozmowa z Waldkiem wyprowadziła ją z równowagi. Już nie było kocham cię, ani jesteś

moja jedyna. Już jego oczy nie błyszczały miłosnym blaskiem a wykrzywione złością usta zamiast pocałunków wylewały potoki brudnych słów. Ale przecież musiała mu powiedzieć. Miał być przecież ojcem. Choć teraz, gdy poznała jego prawdziwą twarz nie bardzo wiedziała czy na to miano sobie zasłużył. Ach, wszystko się poplątało. Jak sobie ona z tym wszystkim poradzi? I co na to wszystko matka? Może lepiej gdyby wszystko odwrócić. Waldek deklarował pieniądze. Mówił, że jeśli się zgodzi to on jej nie opuści. Wahała się. Gdyby jej wtedy tak nie naubliżał, gdyby okazał więcej zrozumienia może by się zdecydowała. A tak sama już nie wiedziała, co dobre co złe jest. Nagle zrobiło jej się słabo. Oparła się o drzewo. Objęła je dłońmi jakby to ono miało zastąpić jej uścisk kogoś bliskiego, kogoś, kto w tej chwili był jej rozpaczliwie potrzebny.

- Chodź maleńka - usłyszała. Ten głos wydał jej się znajomy. Ten dziwny akcent, bolesne westchnienie. Poczula zapach domowego ciasta, jakieś migdały, pomarańcze, wanilia. Podała się ciepłym, dłoniom. Przytuliła się do szorstkiego płaszcza.

- Będzie dobrze, wszystko się jakoś ułoży - matka Waldka głaskała ją po jasnych włosach, tuliła do swej piersi. Przecież nie mogła o niczym wiedzieć. A zjawiała się jak Anioł, jak ostatnia deska ratunku.

- Odprowadzę cię do domu. Pewnie ktoś na ciebie czeka.

- Nikt nie czeka - wyrzuciła nagle wśród spazmatycznego płaczu - Nikt nigdy na mnie nie czekał.

Staruszka przyjrzała się jej uważnie. Znów westchnęła ciężko. Wyciągnęła chusteczkę. Wytarła jej rozmazane łzami i tuszem twarz. Gaby spojrzała w jej oczy. Było w nich tyle ciepła i tyle spokoju. To była kobieta, której można było zaufać, której można było chyba powierzyć każdą tajemnicę...

Wbiegła na trzecie piętro. Otworzyła drzwi mieszkania. Ojciec chrapał przed włączonym telewizorem. W pokoju mamy było pusto. Otworzyła okno. Tylu gwiazd dawno nie widziała. Nigdy nie myślała, że niebo może być tak blisko. Oparła głowę o plastikową framugę. Spojrzała w dół. W świetle ulicznej lampy zamajaczyła postać starej kobiety. Matka Waldka. Nie, teraz już babcia...

Gdzie mieszka Bóg

- Pospiesz się - Anna pociągnęła synka za rękę, by zdążyć przebiec jezdnię przy zielonym świetle. Zbliżała się siedemnasta a ona obiecała Błażyńskiej przymiarkę na dziś wieczór.

- Mamo - Krzys ledwie mógł za nią nadążyć - gdzie mieszka Pan Bóg?

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem. Co za pytanie! Tu na ulicy nie będą przecież rozmawiać o Bogu. Zresztą, miała na głowie tę sukienkę...

- Bo Aśka powiedziała, że Pan Bóg mieszka tylko w kościele.

- Daj spokój, nie mam teraz głowy na takie tematy - ton Anny nie zachęcał do dalszej rozmowy - zjedz lepiej batonik i śpieszmy się do domu. Mam jeszcze tyle spraw na głowie...

Biegł prawie czując jak po twarzy spływają mu łzy. Batonik miał gorzki smak a ręka mamy ziębiła niczym lód. Mama była czasami taka obca i taka nieprzyjemna. Nie lubiła z nim chyba rozmawiać. Więc może tata? Otarł dłonią łzy, wyprostował plecy. Batonik zrobił się znów słodki jak mód.

- Powiedz, gdzie mieszka Pan Bóg? - zapytał tatę od razu po wejściu do mieszkania - bo Aśka w przedszkolu powiedziała, że tylko w kościele.

- Wolałbym, żebyś w przedszkolu uczył się czytać i pisać - tata oderwał się od czytania gazety spojrzał na niego groźnie spod okularów - to będzie ci w szkole bardziej potrzebne niż Pan Bóg. Chciałbym zobaczyć twoje szlaczki. I więcej nie zadawaj mi takich niemądrych pytań.

Popatrzył na tatę bezradnie. Zupełnie nie rozumiał dlaczego tata się zdenerwował. Łzy ponownie pojawiły się w jego oczach. Nagle zabrzączał dzwonek u drzwi.

- Babcia! - krzyknął i z radością rzucił się babci na szyję.

- No, co tam u was? - babcia z trudnością wyswobodziła się z jego rąk.

- Aśka powiedziała, że Pan Bóg mieszka tylko w kościele - poinformował babcię mimo krzywego spojrzenia taty

- powiedz babciu, gdzie tak naprawdę mieszka Bóg?

- Chwileczkę - babcia usiadła ciężko na kanapie - najpierw obejrzę serial. Wyobraź sobie Aniu - babcia zwróciła się do mamy - że ten Filip znów zdradził Tatianę. Musze zobaczyć co teraz będzie. Mogłabyś włączyć mi drugi program?

- Ale babciu, dziś w przedszkolu... - próbował jeszcze kontynuować rozmowę, ale mama odsunęła go gwałtownie.

- Daj spokój Krzysiu, idź pobawić się do swojego pokoju. Tylko bądź cicho i nam nie przeszkadzaj.

- Miałaś mamo rację, ten Filip to straszne ziółko - Anna westchnęła ciężko kiedy film się skończył.

- Bo widzisz, oni wogóle ze sobą nie rozmawiali, stąd te nieszczęścia i kłopoty. Filip dopuścił się zdrady, Tatiana zostawiła dziecko. Takie dziwne czasy. Ludzie wogóle nie cenią tego co mają. Tylko dzieci z tego powodu cierpią.

- No właśnie - Anna dyskretnie spojrzała na męża. Może on też ją zdradza jak ten serialowi Filip. Ale ona by nigdy nie zostawiła Krzysia. Zaraz pójdzie i zobaczy co synek robi w swoim pokoju.
- Krzysiu - zawołała otwierając, drzwi. Ale pokój był pusty.
- Nie ma go - zawołała zaniepokojona.
- Tu też nie - teściowa zajrzała do kuchni i łazienki.
- Może wyszedł na dwór? - mąż w końcu odłożył gazetę i wstał z fotela.
- Nigdy nie wychodził sam z domu - zdenerwowała się Anna.
- Musimy go odnaleźć - Anna wpadła w panikę - przecież nie znikł nagle jak kamfora...

Minuty dłużyły się im niemiłosiernie. Obeszli wszystkich znajomych, dzwonili po wszystkich szpitalach, powiadomili Policję. Ale nikt nie widział samotnego małego chłopca blakającego się po ulicach. Nagle ktoś zapukał do drzwi.

- Jest - ucieszyła się Anna podbiegając do drzwi.

Ale na progu zamiast Krzysia stała pani Błażyńska. Zapłakane oczy Anny od razu uświadomiły jej, że coś się stało.

- Przyjdę jutro - klientka próbowała wycofać się z mieszkania. Ale Anna ją zatrzymała, zaprosiła do swojej pracowni.
- Synek nam zaginał, ale na pewno zaraz się znajdzie - zachlipała zdejmując z wieszaka sukienkę. I wtedy zobaczyła Krzysiove nogi.

- Krzys się znalazł - wrzasnęła wyciągając synka spod sterty materiałów, wstążek, krawieckich akcesorii. Mały zmrużył oczy. Popatrzył zdziwiony na pochyloną nad nim twarz

- Znalazłam cię synku - wyszeptała Anna drżącymi ustami - bardzo się przestraszyłam, że ciebie nie ma. A ty po prostu zasnąłeś.

- Nie, ja znalazłem Pana Boga - mały uśmiechnął się do niej radośnie - i wiesz? On mieszka także w naszym domu. Właśnie ze mną o tym rozmawiał. Nie wierzysz mi? To go sama o to zapytaj...

Niewinne kłamstwo

Dzwonek u drzwi odezwał się nagle z taką siłą, jakby ktoś włączył alarm. Justyna podniosła się z trudem z kanapy. Na progu stał jej ukochany wnuk. Jego mina jednak nie wróżyła niczego dobrego.

- Coś się stało? - Justyna zapytała z lękiem w głosie.

- Mama znów nie chce dać mi pieniędzy. A ja chciałbym z kolegami na wycieczkę w góry pojechać - wyjęczał dramatycznie.

Justyna westchnęła ciężko. Jacek coraz częściej wpadał do niej po pieniądze. Ale skoro własna matka nie może...

- Ile potrzebujesz? - zapytała z troską w głosie.

- Dwieście złotych...

- Tak dużo? - zdziwiła się, ale podreptała do kuchni. Dobrze, że w puszcze po kawie miała trochę odłożonych pieniędzy na węgiel.

- Kochana jesteś - chłopcu od razu roziskrzyły się oczy, chwycił banknot i ze zwycięską miną ruszył ku wyjściu.

- Tylko nie mów nic mamie, byłoby jej przykro - Justyna poprosiła go o dyskrecję.

- Jasne babciu, ale teraz muszę lecieć wpłacić te pieniądze. Pani powiedziała, że dziś ostateczny termin, więc sama rozumiesz..

Szkatułka po biżuterii mamy robiła się coraz pełniejsza. Jeszcze kilka wizyt u babci i będzie mógł sobie kupić nowy komputer.

- Skąd masz tyle pieniędzy? - głos mamy poraził go jak piorun. Jacek z traskiem zamknął szkatułkę.

- To nie moje - wykrztusił zasłaniając szkatułkę rękami - to klasowe. Chcemy kupić piłki i koszulki dla klubu - skłamał czerwieniąc się jak burak. Mama popatrzyła na niego podejrzliwie, ale chyba mu uwierzyła.

- Dobrze, że jesteś - powiedziała - pomożesz mi przynieść prowiant. Tylko weź ze sobą rower. Ostatnio tak się zdziwiałam, że rąk nie czułam.

- Mamo! - wyjęczał patrząc na nią błagalnie - jak mnie chłopaki zobaczą z tymi pakunkami zawieszonymi na rowerze, spalę się ze wstydu.

- Nie trzeba zwracać uwagi na ludzi. Gdybym nie skłamała kierownicze, że Kwietnikowa kradnie to by ona siedziała na kasie nie ja.

- Praca to co innego - Jacek zastanawiał się głośno - ale nie jesteśmy tacy biedni, żeby do Opieki po jedzenie chodzić.

Mama wzruszyła ramionami

- To prawda, że tata za granicą zarabia dużo. Ale o tym nikt nie musi wiedzieć. I skoro się należy to trzeba brać. Wtedy będziemy mogli więcej na samochód odłożyć. Takie małe kłamstwa nikomu nie szkodzą, w końcu jak nie my to ktoś inny z tej pomocy skorzysta.

Jacek skinął głową. Argumenty mamy od dawna trafiały mu do przekonania. Dlatego okłamywał babcię. Nauczył się, że niewinnym kłamstwem można osiągnąć wiele korzyści. Już kupił sobie magnetofon i za chwilę

na jego biurku stanie nowy komputer. Mamę zbajeruje, że wygrał go w jakimś konkursie, a babcia jest taka łatwowierna, że na pewno nigdy się nie kapnie. Jacek przeciągnął się błogo, z kłamstwem naprawdę dobrze można się urządzać...

Jacek wrócił ze szkoły głodny jak wilk.

- Jest obiad?! - krzyknął od progu, ale odpowiedziała mu tylko cisza. Za to na kuchennym stole czekała na niego kartka.
- Babcia w szpitalu, przyjdź, czeka na ciebie - przeczytał czując jak mu serce podchodzi do gardła. Chwycił tylko z chlebaka suchą kromkę i wybiegł z domu. Babcia nigdy nie chorowała, a tu nagle ten szpital. Spocony wpadł na salę. Babcia leżała nieruchomo podłączona do dziwnych aparatów. Jej blada twarz prawie była niewidoczna na tle białej poduszki
- Co jej jest? - Jacek zapytał siedzącej przy łóżku matki.
- Lekarz mówi, że jest wycieńczona, wygłodzona, ma silną anemię i zapalenie płuc. Podobno w mieszkaniu było bardzo zimno.

Myśli w Jacka głowie zaczęły szaleć jak huragan. To przez niego babcia zachorowała, przez jego kłamstwa. Oddała mu wszystkie pieniądze, wszystkie oszczędności. Jedzenia nie kupowała. Na węgiel nie miała...

- Babciu, ja ci wszystko zwrócę, wszystko wytłumaczę - szeptał gładząc babcię po szczupłej dłoni. Babcia otworzyła oczy, odszukała go wzrokiem, uśmiechnęła się. Jacek odetchnął z ulgą. Może nie jest jeszcze za późno na szczerą rozmowę, może babcia zrozumie, wybaczy.
- O co tu chodzi? - Justyna przyglądała się synowi podejrzliwie.
- O to, że już nigdy babci nie okłamię - Jacek wyrzucił z siebie obietnicę jak słowa przysięgi - w ogóle nikogo już nie okłamię – dodał czując w sercu niezwykle spokój i ulgę.

Niewinne żarty?

- Adam, pośpiesz się - Malwina ponagliła męża słysząc dzwonek w przedpokoju i czując nagły niepokój oplatający jej serce. Wolala, żeby to on otworzył drzwi.
- Co tu tak mocno pachnie? - teściowa już od progu zasygnalizowała pierwsze niezadowolenie - czyżbyście zapomnieli, że mam alergię?
- Przepraszam mam - Adam podbiegł do stołu omiatając Malwinę wściekłym spojrzeniem - to chyba od tych hortensji.
- Za chwilę kwiaty w poszukiwaniu których Malwina obeszła cały bazar wylądowały w koszu na śmieci. Serce Malwiny ścisnęło się nagłym bólem.
- Proszę, siadaj - zaprosiła teściową do stołu nie pokazując po sobie jak bardzo ją to powitanie zraniło.
- No, to skosztujemy, tego co przygotowałaś - teściowa próbowała być miła.

Malwina podała jej półmisek z sałatką.

- Por? Fasola? Kapusta? - widelec teściowej grzebał w jedzeniu jakby szukał trucizny - nie wiesz, że mi to szkodzi?

Adam znów skarcił żonę wzrokiem. Nie powinna zapomnieć o diecie jego matki. Malwina chwyciła miskę i wyniosła ją do kuchni czując pod powiekami wzbierające się łzy.

- Może posmakujesz mojej zapiekanki? - Adam natychmiast podsunął matce swój półmisek.

Twarz starszej pani rozpromienił uśmiech zachwytu i uwielbienia.

- Jest nadzwyczajna - pochwaliła zanim jeszcze włożyła pierwszy kęs do ust - no, ale ty zawsze gotowałeś lepiej od Malwiny. Jej nigdy się nic nie udawało. Tak w kuchni jak i w życiu - perorowała patrząc na syna z uznaniem - Elwira też tak smacznie gotowała, pamiętasz? Szkoda że zaprzepaściłeś taką partię. Jej firma świetnie prosperuje. Elwira ma duży dom, samochód, dwójkę wspaniałych dzieci. A tu u was pusto, smutno.
- Przesadzasz mam - Adam nachylił się nad talerzem, by ukryć rumieniec przed powracającą z kuchni żoną.

Malwina od razu domyśliła się o kim tak namiętnie rozmawiali. Na pewno o Elwirze. Przez wiele lat postać pierwszej dziewczyny Adama towarzyszyła im podczas wszystkich rodzinnych spotkań. Atmosfera przy stole od razu się więc oziębiła. Malwina zagryzła usta, nauczyła się ignorować aluzje teściowej, choć wciąż ją dotkliwie dotykały. Dawny lęk przed matką Adama nadal czynił ją dziwnie bezwolną i bezradną. Czuła jak drżą jej kolana i jak w gardle pojawia się znajoma klucha. Nagle ktoś zapukał do drzwi. Malwina zerwała się od stołu ciesząc się, że oto nagle nadciąga ku niej jakiś niespodziewany ratunek.

- Przepraszam, nie wiedziałam, że masz gości - Elżbieta zatrzymała się w progu - ale prosiłaś, żebym przyszła do ciebie jak będę coś wiedziała.

Malwina skinęła głową dając przyjaciółce znak, że może mówić.

- Nasz projekt wygrał. Latem wyjeżdżamy na zagraniczną promocję naszego towaru. Zobaczymy kawał świata no i kasa z tego pewnie niezła będzie - Elżbieta mówiła prawie na jednym wydechu, nie ukrywając emocji.
- Ale ja - Malwina spieszyła się czując na sobie spojrzenia wszystkich - ja chyba nie pojadę, jestem w ciąży...

Teściowa zaniemówiła. Przyglądała się Malwinie z niedowierzaniem. Zawodowy sukces synowej był nie lada zaskoczeniem. A do tego doszła jeszcze ta ciąża.

- Zawsze w ciebie wierzyłam - starsza pani podniosła się z kanapy i podeszła do Malwiny próbując ją objąć. Malwina zeszywniała.

- A Elwira? - zapytała czując, że nadszedł czas rozrachunku - przecież chciała mnie mama na nią zamienić.

- No coś ty. Chyba nie wierzyłaś w te moje niewinne żarty. Powinnaś mi je zapomnieć, wybaczyć.

Malwina westchnęła głęboko. Nagle poczuła w sobie delikatne poruszenie. Położyła dłonie na brzuchu. Popatrzyła na twarze swoich bliskich. Wszystko wokół nabierało innego sensu, innego znaczenia. Teściowa była trudną kobietą i niełatwo będzie wybaczyć jej te wszystkie złośliwości, ale przecież to ona będzie babcią tej małej kruszynki, która już rozwijała się pod jej sercem. Może więc nie warto roztrząsać dawnych urazów, żalów, gniewu. Może lepiej pomyśleć o przyszłości. Jeśli obie z teściową bardzo się postarają to może być naprawdę spokojnie, zgodnie i rodzinnie. A to chyba teraz powinno być najważniejsze...

Dziura w sercu.

Pogoda była prawie letnia. Słońko zaglądało do szkolnej klasy jak soczysta, ogromna pomarańcza. Ptaki na drzewach sięgających gałęziami parapetów trzeciego piętra wyśpiewywały arie jak w najlepszej światowej operze. Trudno było w takie dni wypełnione zapachem bzu i kwitnących wiśni wytrzymać w chłodnych murach przedwojennej szkoły. Toteż drugoklasiści z radością przyjęli wiadomość dyrektora, że z powodu konferencji lekcje zostaną skrócone. Zamiast więc o dwunastej chmara dzieciaków wypadła ze szkoły godzinę wcześniej. Większość z nich od razu pobiegła nad staw rozciągający się za budynkiem szkolnym, by z wesołą wrzawą nawoływać pływające po wodzie łabędzie i dzielić się z nimi resztkami drugiego śniadania. Ale Jasek postanowił tę nadprogramową godzinę wykorzystać na wykonanie prezentu dla rodziców. Niedawno podczas oglądania albumu ze zdjęciami wpadła mu do rąk fotografia z Chrztu Świętego. Tata w odświętnym garniturze, mama z upiętymi w kok jasnymi włosami, i on, zawinięty w becik, taka maleńka, delikatna kruszynka, której nikt by nie skrzywdził, nie zranił.

Jaśka rozpierała radość, że ma takich kochanych rodziców. Kilka dni temu tata przyszedł wieczorem do jego pokoju i usiadł przy nim na łóżku

- Wiesz Jasek - powiedział – jestem z ciebie taki dumny. Nigdy nie przestanę cię kochać.

- Wiem tato - Jasek przytulił się do twardego zarostu tatowego policzka - przecież jestem twoim największym skarbem.

- To prawda - tato przytaknął skwapliwie - chciałbym abyś o tym nigdy nie zapomniał. Żebyś wiedział, że nic i nikt nas nigdy nie rozdzieli.

- Nawet trzęsienie ziemi? - zapytał Jasek, choć pewien był taty odpowiedzi.

- Nawet największe tornado - uśmiechnął się tata i Jasek pomyślał, że nikt tak się pięknie nie uśmiecha jak on, ani tata Łukasza, ani tata Marcina, ani nawet tata Jacka choć był filmowym aktorem. Też był dumny z taty. Że taki był duży, silny i że kupował mu najwspanialsze prezenty. Na Pierwszą Komunię obiecał mu komputer i choć Jasek wiedział, że w tym dniu podarunki nie są najważniejsze to jednak myśl o własnym komputerze spędzała mu sen z powiek. Tata był naprawdę kochany. Mama zresztą też. Czasami grała z nim w warcaby, razem odrabiali lekcje, czytali komiksy i bajki. I można było z nią pogadać jak z najlepszym kumplem.

Jasek westchnął z radością na wspomnienie rodzinnego ciepła. Wystawił twarz do słońca, zmrużył oczy. Wtedy właśnie zobaczył nadchodzącego z naprzeciwka Rzeźbiarza. Mężczyzna człapał wolno szurając po chodniku starymi trampkami. Jego zmierzwiłone włosy skrywały w sobie jakieś drzazgi i kawałki różnych śmieci. Dokoła starego, podartego fartucha dyndały się noże różnej wielkości. Niektóre z nich straszyły wyszczerbionymi zębami inne iskrzyły się w słońcu jakby było dopiero co naostrzone. Przez te noże wszystkie dzieci z okolicy strasznie się starego bały. Mężczyzna najczęściej siedział w parku i z kawałka drewna wyczarowywał różne figurki, ptaszki, zwierzątka, motylki. Później je sprzedawał za kilka groszy, ale tylko dorosłym. Dzieciaki omijały go z daleka.

Kiedyś Rudy rozpuścił plotkę, że Rzeźbiarz nie lubi dzieci i że zabił jednego takiego co do niego za blisko podszedł. Przeciął go na pół jak jabłko.

Jasek aż wstrząsnął się na myśl tragedii, która mogłaby się jemu przydarzyć. Mama i tata pewnie oszaleliby wtedy z żalu i zgryzoty. Jasek przytulił się do ściany domu obok którego przechodził, ale Rzeźbiarz nie zwrócił na niego uwagi. Wyminął go nucąc pod nosem jakąś piosenkę. Jakie to dziwne, taki morderca i śpiewa. Jasek rzucił się do ucieczki, choć nikt go nie gonił. Zdyszał się, spocił. Otworzył drzwi zdjętym z szyi kluczem. Wszedł do przedpokoju. Nie lubił pustego mieszkania, panującej w nim ciszy i braku zapachu wydobywającego się z kuchni. Ale musiał w tajemnicy przed mamą i tatą wykonać ten prezent dla nich. Otarł więc tylko pot z czoła i wyjął kartonik z kolorowym papierem, klejem, i nożyczkami. Ramka musi być prześliczna i musi pasować do tego zdjęcia od chrztu. Rodzice na pewno się z takiego prezentu ucieszą.

Nagle zaskrzypiały drzwi. Jasek znieruchomiał ogarnięty paraliżującym strachem. To na pewno Rzeźbiarz. Śledził go. Zakradł się jego domu i teraz go potnie na kawałki. Włosy na głowie Jaśka stanęły dęba. Wiedział, że

musi uciekać. Zagarnął przed siebie karton z papierami i wraz z nim wsunął się pod łóżko.

- Teraz możemy porozmawiać spokojnie - to był głos mamy i jej szpilki nerwowo dreptające wokół stołu. Jasiek odetchnął z ulgą. Już chciał z głośnym okrzykiem radości wystrzelić spod łóżka, gdy zatrzymało go pytanie taty.
- Jaśka jeszcze nie ma?
- Wróci za godzinę, jak nas już nie będzie...
- Więc dobrze. Porozmawiajmy w końcu o tym naszym rozwodzie - powiedział stanowczo tata.

Jasiek przestał oddychać. Zakreśliło mu się w głowie. Nie od razu zrozumiał, co tu się naprawdę dzieje, ale sercem poczuł, że przed chwilą między jego rodzicami padły straszne słowa. Mocniej wcisnął się pod łóżko.

- Nie moglibyśmy tego odwlec? - zapytała mama drżącym głosem - dla Jaśka będzie to prawdziwy cios. Zwłaszcza teraz przed Pierwszą Komunią.

W pokoju zaległa ciężka cisza. Słysząc było tylko trzask zapalanej zapalniczki a później do nosa Jaśka doleciał papierosowy dym. Tata tak mocno się zaciągał tylko wtedy, gdy był bardzo zdenerwowany.

- Skoro ja mogę poczekać - odezwała się mama - mógłbyś i ty wykazać się dobrą wolą.
- Ewa spodziewa się dziecka - słowa taty cięły powietrze jak sztylet - zresztą... ten twój też się pewnie ucieszy.

Mama usiadła na krześle. Jej nogi wykonywały pod stołem szalony taniec. Musiała je przytrzymać rękami, żeby nie obijały się o blat stołu.

- A Jasiek? Co z nim?
- Wezmę go ze sobą!
- Oszalałeś? Chcesz go oderwać ode mnie?
- Musimy się nim jakoś podzielić. Mogę zabierać go na weekendy i na wakacje. Będę pomagał, dam pieniądze.
- Pieniędźmi mu serca nie nakarmisz - krzyknęła nagle mama zrywając się od stołu - ani wakacjami na końcu świata. Czy ty wiesz, że psujesz mu najważniejszy dzień jego życia?

Jasiek skulił się pod łóżkiem jak żaba. Gdyby mógł stałby się jeszcze mniejszy, tak mały jak ziarnko piasku i zniknąłby w podłogowej szczelinie jak maleńki pyłek. Zaciśnął mocno zęby, żeby nie płakać, żeby nie odkryli, że tu jest, że ich słyszy...

- Dobrze - powiedział po namyśle tata - poczekam do Pierwszej Komunii. Ale ani jednego dnia dłużej! Już dość mam tego naszego podwójnego życia. A teraz chodźmy. Mały nie może się dowiedzieć, że tu byliśmy...

Drzwi mieszkania znów zaskrzypiały nieprzyjemnie. Jasiek wolno wyczołgał spod łóżka. Potknął się o kartonik z przyborami. Kolorowy papier, klej, nożyczki wypadły z niego i z dzikim chrzęstem poszybowały na koniec pokoju. Przy nogach Jaska pozostała tylko fotografia z chrztu, na której śliczne niemowlę w białej czapeczce patrzyło ufnie w oczy swojego taty.

Myśli Jaśka płynęły tak szybko jak huragan. Szarpały jego głowę i mąciły spokój. Na chwilę chłopiec stracił opanowanie i rozkleił się jak mały bobas. Ale później zaciśnął pięści i podniósł do góry głowę. Zupełnie nie wiedział, co ma zrobić, jak się zachować. Nagle w jego sercu powstała dziura przez którą uciekała cała jego miłość do mamy i taty. Nigdy jeszcze nie czuł takiego bólu, nigdy jeszcze jego serce nie skurczyło się do tak małych rozmiarów.

Teraz, gdy miał po raz pierwszy spotkać się z Panem Jezusem, gdy miał go przyjąć do swojego serca dwie najważniejsze osoby w jego życiu oddalały się od niego jak pośpieszny pociąg. Co on im zrobił takiego, że nie chcą być już z nim razem, czym zawinił, czego nie zrobił. Tak niedawno tata zapewniał go o swojej miłości, mówił, że nie rozdzieli ich nawet tornado. Kłamał, potwornie go oszukał. Przecież gdy go przytulał myślał o tamtej pani i o tamtym dziecku. Mama jest lepsza, ona nie chciała go skrzywdzić. Ale nie, ona też uciekała do kogoś innego. Czytała mu bajki a myślami była gdzie indziej.

Boże, jacy oni są podli. Jacy wstrętnei i samolubni. Podstępni i zli. Mówili, że go kochają, że jest ich największym skarbem a teraz chcą się nim podzielić. Przecież dziecka nie można pociąć na części, nie można go mieć tak po połowie. A może można? Jasiek aż podskoczył na myśl, która nagle pojawiła mu się w głowie. Rzeźbiarz. On to umie. Przecież już kiedyś coś takiego zrobił. Ma tyle noży. Potrafi, na pewno potrafi. Chcą się nim podzielić? Dobrze. Będzie tak jak sobie zaplanowali, umyślili. Będą go mieli po równo na zawsze...

Jasiek poczuł w sobie dziwną energię, policzki zaczęły mu płonąć a oczy rozbłysły dziwnym światłem. Otworzył szafę i wyciągnął z niej dwie podróżne torby. Ogarnięty dziwnym amokiem powyrzucał z półek, szafek i szuflad wszystkie swoje rzeczy i popakował je do toreb.

- To dla mamy a to dla taty - wyszeptał zasuważąc z jękiem suwaki szmacianych pakunków i upychając do ich kieszeni szczoteczki do zębów i obrazek z Aniołkiem. Każda z jego połówek musiała mieć przecież swój oddzielny ekwipunek na tamtym świecie.

Podchodził wolno starając się robić jak najmniej hałasu. Rzeźbiarz siedział na swoim miejscu w rogu parku, schowany pod cieniem rozłożystego kasztana. W brązowym kawałku drewna utrzymanym przez niego w dłoniach

odbijał się wesoło promień słońca.

- Czego tu szukasz mały? - zapytał groźnie nie przeszkadzając sobie w robocie. Jego zgarbiona postać napawała Jaśka strachem. Już chciał wziąć nogi za pas, gdy przypomniał sobie, po co tu przyszedł.
- Słyszałem, że nie lubi pan dzieci - powiedział odważnie, choć serce waliło mu jak młot.

Stary popatrzył na niego podejrzliwie spod krzaczastych brwi

- Skąd wiesz? - zapytał z jakąś zabawną iskierką w oku.
- Rudy mi mówił - odpowiedział podchodząc bliżej i przyglądając się małemu pieskowi wyłaniającemu się spod sprawnych rąk starego.
- I co ci jeszcze powiedział ten twój Rudy?
- Że może pan nawet przeciąć dziecko.
- Co przeciąć? - nie zrozumiał Rzeźbiarz.
- Dziecko - ściszył głos Jasiek

Stary przyjrzał mu się z bliska. Chłopak nie wyglądał na chuligana ani na komedianta.

- Słuchaj mały, lepiej zmykaj stąd, bo zrobię z ciebie befsztyk - postraszył go trzymanym w ręku nożem. To był najlepszy moment na decydujące pytanie.
- Czy mógłby pan i mnie podzielić?
- Dlaczego? - stary podjął temat. Coś w spojrzeniu dzieciaka nie dawało mu spokoju.
- Mama z tatą się rozwodzą. Każdy z nich miałby jedną moją część.

Rzeźbiarz opuścił z wrażaniem nóż. Chyba ten mały mówi poważnie. Ma takie dziwne wypieki na twarzy i nienaturalnie rozszerzone źrenice.

- Skoro tak - Rzeźbiarz podniósł się ciężko z drewnianego krzeselka i zaczął chować noże do kieszeni pasa zapiętego na brzuchu - to zaprowadź mnie do swojego domu. Pogadamy i zrobimy co trzeba na miejscu.

Jasiek skinął głową a później poczuł jak mu miękną kolana i jak jakaś czarna zasłona przykrywa mu oczy...

Jasiek z trudem odmyka powieki. Pokój dziwnie faluje, ale za chwile wszystko jakoś wraca na swoje miejsce. Białe okna, białe szafki, białe wieszaki.

- Lepiej ci synku? - to mama nachyla się nad nim i głaszcze go delikatnie po policzku. Z jej oczu kapią na Jaśka ogromne, słone łzy.
- Aleś nas synku wystraszył - tata nerwowo splata i zaplata palce. Jego oczy też są jakieś wilgotne.
- Ja... - Jasiek nie wie co powiedzieć, bo nagle przypomina sobie wszystko co się stało. Na jego twarzy pojawia się rumieniec.
- Tylko się nie denerwuj - prosi go mama - długo chorowałeś, ale dzięki Bogu już jest lepiej. Dobrze, że pan Skwarski nam pomógł.
- Nie znam żadnego pana Skwarkiego - szepce Jasiek.
- Ale ja cię znam - na progu stoi Rzeźbiarz. Nie ma na sobie podartego fartucha, ani przypasanych do pasa noży. Uśmiecha się też do Jaśka jakoś inaczej, pogodniej.
- No smyku przyniosłem ci coś w prezencie - mężczyzna wyciąga do niego rękę z kawałkiem brązowego drewna.
- Piesek? Ten, którego pan rzeźbił? Dla mnie?
- Tak, od razu wiedziałem, że on będzie twój. Tak jakoś tęsknił za tobą.

Jasiek odwzajemnia uśmiech

- Skąd pan wiedział, że jestem tutaj? I gdzie ma pan noże?

Rzeźbiarz śmieje się głośno, zaraźliwie.

- Tak naprawdę to jestem emerytowanym psychologiem. Rzeźbienie to takie moje hobby, pasja. Ale kiedy się kogoś odwiedza w szpitalu trzeba wyglądać jak normalny człowiek, nieprawdaż? A skąd wiem, że tu jesteś? Bo ja cię tu przywiozłem. A teraz chciałbym się z tobą bliżej zapoznać, może nawet zaprzyjaźnić? Moglibyśmy sobie wtedy więcej pogadać o mamie, tacie, o tobie. Ale to już jak ty zechcesz.
- Mogę ci tylko w sekrecie powiedzieć - i tu pan Skwarski nachyla się do Jaśkowego ucha - że twoi rodzice też szukają kogoś takiego jak ja, więc może we czwórkę będzie nam jakoś łatwiej? Jak myślisz smyku? - Rzeźbiarz jest coraz miłszy, sympatyczniejszy.

Jasiek patrzy na mamę, na tatę. Na ich przepełnione bólem i niepokojem oczy. To są oczy ludzi, którzy go naprawdę kochają. I których on kocha najbardziej na świecie. Wzdycha więc głęboko czując jak powietrze wypełnia szczelnie całe jego płuca i uśmiecha się lekko do mamy i taty, i do tego człowieka, który pragnie zostać jego przyjacielem i nagle czuje jak ogromny ciężar spada z jego piersi, a dziura w sercu staje się jakby odrobinę mniejsza...

Twarz Anioła

Zegar na ścianie wskazywał godzinę piętnastą a Grzesiek dopiero przeciągał się po męczącym śnie. Ale trudno wstać wcześniej, gdy z libacji wróciło się dopiero nad ranem. Powłócząc nogami poszedł do łazienki. Za chwilę wrócił starzy z Marianką i znów zaczęło się trucie dlaczego nie był w szkole, z kim się włóczy po nocach i jak sobie wyobraża swoją najbliższą przyszłość. Nie czuł się dobrze, bolała go głowa i suszyło w gardle. Spojrzał na wiszące nad umywalką lustro. Opuchnięta twarz, podkrążone oczy, strąki tłustych włosów czyniły go dużo starszym i brzydszym niż był w rzeczywistości. Nagle usłyszał przekręcany w drzwiach klucz. Najszybciej jak mógł poczłapał do swojego pokoju.

- Jezu - piskliwy głos matki wywiercił mu w głowie dziurę - jak tu cuchnie! Grzesiek, ty znowu piłeś!

Marianka ostentacyjnie zatkała nos.

- Musimy poważnie pogadać - ojciec chwycił za klamkę, ale drzwi do pokoju syna były zamknięte. Grzesiek udął, że go nie słyszy. Sięgnął po pilota. Hałaśliwa muzyka rozlała się głośnie łoskotem po całym mieszkaniu.

- Nałóż słuchawki - matka już dostawała furii - Po to ci je kupiłam.

Ale Grzesiek jeszcze bardziej podkręcił głośniki. Niech matka nie myśli, że ją posłucha. Że będzie nim rządzić tak jak kiedyś. Skończyło się. Ojcu też nie pozwoli się już więcej tknąć. Grzesiek skulił się na swym tapczanie. Pamięta tamten dzień, gdy ojciec wlał mu po raz pierwszy. Marianka właśnie skończyła trzy lata i ojciec w przypływie radości podrzucał ją do góry z zachwytem patrząc na jej jasną twarz i rozrzucone wokół twarzy złociste włosy. Marianka śmiała się dźwięcznie a on czuł jak ściska mu się z zazdrości serce.

- Tato, teraz ja - prosił ciągnąc ojca za nogawkę spodni.

- Duzi chłopcy już się tak nie bawią - powiedział ojciec i odepchnął go od siebie. Kopnął go wtedy pierwszy raz i pierwszy raz ojciec sprawił mu prawdziwe manto. Od uderzeń paska popękała mu skóra a on czuł jak wraz z nią popękało mu małe dziecięce serce.

-Grzesiek - nerwowy głos ojca wyrwał go z nieprzyjemnych wspomnień - otwórz zaraz te cholerne drzwi! Wojskowy but stojący przy tapczanie Grzeska pofrunął nagle w kierunku ojca. Trafiona nim szyba rozpadła się na drobne kawałki.

- Ty gówniarzu - ojciec wpadł w szal - jak cię dorwę to popamiętasz.

- Tylko mnie rusz - Grzesiek doskoczył do ojca ze ściśniętymi pięściami.

- Nie bij taty - Marianna podbiegła do brata, chwyciła go za łokieć.

Grzegorz złagodniał. Opuścił dłonie. Spojrzał w niebieskie oczy siostry. A później na jej jasne długie włosy. I wtedy wstąpił w niego zły duch. Już wiedział jak zranić ojca, jak sprawić ból matce. W jego rękach nie wiadomo skąd pojawiły się nożyczki.

- Grzegorz! - krzyknęła zrozpaczona matka.

Ale było już za późno. Pierwszy pukiel jasnych włosów upadł miękko na podłogę...

Leżał skulony na swym tapczanie jak nieżywy. Wciąż miał przed oczami przerażoną buzię siostry. Nigdy mu tego nie wybaczy. Z jękiem odwrócił się na drugi bok. Jego dusza było tak obolałe jak jeszcze nigdy w życiu.

- Nie martw się - mała, ciepła ręka pogłaskała go delikatnie po głowie. Uchylił opuchnięte oczy. Zobaczył przed sobą drobną twarzyczkę okoloną króciuteńkimi, prawie białymi włosami. Jak u Aniołka na obrazkach.

- Przepraszam - wyszeptał zagryzając wargi aż do krwi - nie chciałem cię skrzywdzić.

- Nic się nie stało - wyszeptała oplatając rękami jego szyję - włosy odrosną a ty się zmienisz prawda?

Skinął głową, jakby dana siostrze obietnica była czymś naturalnym, nie wymagającym wysiłku. I nagle poczuł jak z jego serca spada ogromny ciężar. Po policzku spłynęła mu łza.

- Nie płacz - szepnął mu ten jego Aniołek wsuwając się pod kołdrę. Małe serce zabiło radośnie tuż przy jego, już prawie dorosłym

Westchnął głęboko czując jak zapada się w spokojny sen. Nie widział już więc jak do pokoju weszło dwoje ludzi z czułością patrząc jak mała dziewczynka o twarzy anioła przytula się do wyrośniętego wyrostka o którym chyba trochę zapomnieli, że też jest ich dzieckiem.

Właściwy czas

- Bartek, znów się nie uczysz, a jutro masz test z polskiego - podniesiony głos ojca boleśnie przenikał cienkie ściany dzielące pokoje nowego mieszkania. Wszystko tu było czyste, jasne, wesołe, ozdobione kwiatami i drogimi obrazami. No, jednak nie wszystko, bo pokój Bartka tonął w czerni i smutku pomimo drogich mebli, najlepszego audiowizualnego sprzętu i elektrycznej gitary upchniętej za regałem pełnym książek. Ale za drzwiami synowskiego azylu było zupełnie cicho, więc ojciec podszedł na palcach do jego drzwi i przycisnął do nich ucho.

- Daj mu spokój - matka jak zwykle stanęła w obronie syna - zmęczony jest, pewnie śpi.

- A czym on jest zmęczony? - ojciec prawie krzyknął - jedzeniem czy spaniem? Bo chyba nie nauką. Jego oceny są mizerniutkie.

- Przesadzasz- matka zrobiła obrażoną minę. Nie lubiła jak się o Bartku mówiło źle - po prostu dojrzewa i szuka swojej drogi.

- Chyba tylko w pabach, bo innych miejsc to on zupełnie nie zna - usprawiedliwienia matki wyprowadzały ojca z równowagi. Machnął ze złością ręką i mocniej przystawił ucho do drzwi. Wtedy usłyszał monotonne klikanie w klawiaturę komputera. A więc szczeniak traci czas na jakieś głupie gry, zamiast siedzieć nad podręcznikiem.

- Bartek, słyszysz jak się uczysz - ojciec jeszcze bardziej podniósł głos - masz natychmiast wyłączyć komputer i zabrać się do nauki.

Bartek uśmiechnął się pod nosem nie zdejmując palców z klawiatury. Ojcowskie gderanie traktował jak codzienny niegroźny rytuał.

- Ja w twoim wieku już ciężko zarabiałem na siebie, i gdyby i później nie moja ciężka praca to i ty byś nic nie miał. Zrozum, że musisz się uczyć by coś osiągnąć - ojciec nagle zmienił ton na łagodniejszy.

Bartek aż się zakrztusił od powstrzymywanego śmiechu. Jego stary miał dobrze prosperującą firmę i wiadomo było, że Bartek ją po nim obejmie. Szkoły mu do tego nie były zupełnie potrzebne. Niedługo i te roznegliżowane panienki uśmiechające się zalotnie z ekranu monitora też będą w zasięgu Bartka ręki. Ojciec przecież nie będzie wieczny, a fortunka po nim nie byle jaka.

- Bartek, czy ty mnie słuchasz? Jeśli czegoś nie rozumiesz to powiedz. Załatwię ci korepetytora. I z takich osłów jak ty wyrastają mądrzy ludzie

Ośła? Bartka nagle poniosło. Brzęczenie ojca stawało się nader przykre i trzeba z nim było natychmiast skończyć. Oderwał się od biurka jak oparzony, otworzył drzwi i stanął w wojowniczej pozie przed ojcem

- Nienawidzę cię - wrzasnął mu prosto w twarz - i ostatni raz mnie obrażasz. Rozumiesz?

- Bartek, jak ty możesz do ojca tak? - matka tym razem stanęła po stronie męża.

- Jakiego ojca? - chłopak zrobił wrogą minę - dobry ojciec nigdy by tak do mnie nie powiedział. Wciąż się czepia, wciąż czegoś chce, nic mu nie pasuje. Traktuje mnie jak jakiegoś niechcianego bachora a nie jak syna.

- Jesteś niesprawiedliwy - matka chwyciła się za serce - przecież dla ciebie sobie żyły wypruwa, o ciebie się troszczy, przecież niczego ci nie brakuje!

- Bez niego też sobie poradzę. Jestem już prawie dorosły!

- Skoro tak to żyj na własny rachunek. Fora ze dwora, skoro dwór ci niemiły - ojciec w gniewnym geście pokazał mu drzwi. - Nie mam zamiaru chować dłużej takiego darmozjada jak ty!

Bartka zamurowało. Nigdy jeszcze stary nie rzucił mu takim tekstem. Ręce zaczęły mu się trząść jak w febrze. Słowa ojca paliły go w serce jak rozżarzone żelazo. Ale skoro on tak to i Bartek tak. W końcu ma swój honor i ambicję. Cofnął się do swojego pokoju, sięgnął po torbę, jednym gestem wepchnął tam wyrzucone z półki ubrania, sięgnął za szafę po gitarę.

- Już mnie nigdy nie zobaczycie - zagroził z dziwną, prawie dziecięcą bezsilnością.

- I dobrze, spróbuj szczęścia bez nas, zobaczysz jak gorzko smakuje - ojciec nie pozostawał mu dłużny - Tylko zostaw walizkę i gitarę. One są nasze. Zacznij od zera, może wtedy docenisz to co miałeś.

- Boże, przestańcie - matka próbowała wszystko naprawić, załagodzić zupełnie niepotrzebny konflikt - Bartek, ojciec tak wcale nie myślał, to tylko nerwy, taka nikomu niepotrzebna kłótnia.

Ale Bartek odepchnął ją jak nic nieznaczącą przeszkodę i ruszył ku wyjściowym drzwiom. Rzucona na progu gitara jęknęła żałośnie, z otwartej torby posypały się na podłogę bluzki, skarpetki, koszule kładąc się cieniem na ich przecież szczęśliwy dotychczas dom.

- Synku, oszalałeś? - zawołała jeszcze matka, ale tupot chłopięcych butów odezwał się nieprzyjemnym echem po pustym korytarzu. Ojciec siadł ciężko przed telewizorem i powiedział w przestrzeń pustego nagle mieszkania.

- Nie płacz Zosiu, on zaraz wróci. Tak go tylko postraszyłem. Przemyśli sobie wszystko i jeszcze dziś spać będzie we własnym łóżku. No, bo dokąd miałby pójść?

- Florek, zimno mi - Bartek przywarł plecami do pleców nowego przyjaciela. Spotkał go zaraz tamtego dnia, gdy rozgniewany uciekł z domu. Szwendał się do późna po różnych knajpach, tak długo na ile starczyło mu pieniędzy zachomikowanych po kieszeniach. Był głodny i wyczerpany nie tylko picciem, ale i rozmyślaniami nad sytuacją, jaką sobie sam zgotował. Ale musiał pokazać starym, że nie jest rzeczą i że nie mogą go traktować jak gówniarza. Głowa mu pękała od piwa i od tych różnych złorzeczeń, jakie nieustannie mełł w ustach. Nie miał, dokąd pójść, u kolegów mogliby go rodzice namierzyć a on chciał, by się pomartwili trochę, by namawiali do powrotu. Musi im dać nauczki, zwłaszcza ojcu, który traktował go jak swoją własność i zupełnie nie liczył się z jego zdaniem.

To prawda, że się nie uczył, ale po co, skoro miał zostać dziedzicem tego wszystkiego co posiadali.

Zamelinował się w krzakach pobliskiego parku i w końcu zapadł w pełen złych urojeń i majaków sen.

- Hej, wstawaj - obudził go rano jakiś zachrypły głos. To był właśnie Florek. Tak przynajmniej kazał na siebie mówić.

Trudno było określić jego wiek, bo miał tłuste włosy, pomarszczoną twarz i zniszczone ręce, ale chyba nie był wiele starszy od Bartka.

- No? Ruszysz się w końcu czy nie?

Bartek podniósł się ociężale i niechętnie spojrział na natręta. Nie miał ochoty zadawać się z kimś tak brudnym i obszarpanym. Ruszył więc bezmyślnie przed siebie w kierunku domu. I nagle przypomniał sobie wczorajsza awanturę. Nie, nie mógł zrobić starym takiej satysfakcji. Rozejrzał się wokół, pierwsi spieszący się do pracy ludzie patrzyli na niego jak na menela. Poczerwieniał od wstydu, zawrócił. Był zmarznięty i głodny. Florek siedział na ławce żując kromkę suchego chleba. Bartek przełknął głośnie ślinę. Nieznajomy wyciągnął do niego rękę z kawałkiem pieczywa. Przyjął ją z ogromną wdzięcznością. Ssanie w żołądku było naprawdę dokuczliwe.

- Ja też jestem na gigancie - powiedział tamten lustrując Bartka czerwonymi od popękanych żyłek oczami - mam tu taką starą norę niedaleko, jak chcesz to możesz się na chwilę zatrzymać.

Począł więc za nim ciesząc się, że będzie miał nowe lokum i że jest ktoś kto mu jakoś pomoże. Nora była odrażająca. Stara buda przeznaczona do rozbiórki, pełna była śmieci, starych puszek, worków i butelek. Bardziej wysypisko niż miejsce do mieszkania. Ale Florek był zadowolony. Tkwił tu już od miesiąca i jeszcze nikt go tu nie namierzył.

- Będziesz tu bezpieczny - poklepał Bartka po plecach aż zadudniło - a we dwóch będzie nam różnie.

I zaczęło się dla Bartka nowe życie. Pełne niespodzianek i walki o przetrwanie. Florek potrafił wszystko: ukraść jedzenie ze sklepu, ściągnąć suszące się na linie ubranie, obrobić jakiegoś staruszka, wyrwać komuś torbę z zakupami. Znosił to wszystko do ich wspólnego gospodarstwa, do tego chylącego się ku upadkowi domu z kawałkiem pnia służącego za stół i legowiskiem wymoszczonym starymi kocami. Bartek na razie wegetował, zaraz następnego dnia opowiedział Florkowi o tym co się stało, i o tym, że musi przez jakiś czas pozostawać w ukryciu. I Florek na to przystał ciesząc się, że Bartek na niego czeka, że z nim gada, że zasypiają przytulenie do siebie jak bracia.

- Wiesz - powiedział kiedyś - można by było tych twoich starych przetestować i sprawdzić czy cię naprawdę kochają. I przedstawił mu swój dość oryginalny plan. Bartkowi oczy rozbliły jak świece w kościele. Pomysł Florka był naprawdę fajny i Bartek nie mógł się doczekać kiedy zamienią go w czyn...

- Zygmunt, posłuchaj - Zofia wpadła do domu z trudnością łapiąc oddech - ktoś widział Bartka na Dworcu w Lublinie.

Mąż zeszytywniał nagle od tej wiadomości

- Pewnie znów fałszywy ślad - wyjąkał bojąc się myśleć, że i ten trop może okazać się nieprawdziwy.

Zofia już od pewnego czasu przynosiła do domu takie niesprawdzone wieści. A to ktoś Bartka widział razem z Cyganami gdzieś na drugim końcu Polski, a to włóczył się z ćpunami na Mazurach, a to chodził od domu do domu jak Świadkowie Jehowy. Wsiadali więc w samochód i ruszali w drogę. Zrobili setki kilometrów, zaglądali do różnych miast i wsi, chwyтали się każdej najmniejszej nici mogącej doprowadzić ich do syna. Czas mijał a ich lęk o Barka rósł coraz bardziej. Ogłoszenia w radio, gazetach i telewizji nie dawały żadnego efektu, więc zaczęli podejrzewać, że może Bartkowi się coś stało, że leży gdzieś zabity, albo rzucił się z mostu do rzeki. Ale choć szukały go policyjne oddziały i zawodowi nurkowie przeczesali rzekę ślad po nim zaginął. W tych doniesionych przez innych miejscach których go rzekomo widziano też nie było ani krzty prawdy. Ale Zofia zawsze z jednakowym entuzjazmem podchodziła do tych wiadomości. Jej serce drżało ze wzruszenia, intuicja mówiła, że Bartek właśnie tam jest gdzie go mają szukać, że czeka na nich, że za nimi tęskni, że ich potrzebuje, słyszała jego nawołujący ich głos, widziała pełne tęsknoty spojrzenie.

- Może pojedziemy tam jeszcze dziś - Zofia spojrzała na męża błagalnie, choć wiedziała, że się zgodzi. Wciąż miał poczucie winy, że to przez niego Bartek uciekł z domu i jeśli się nigdy nie odnajdzie to on będzie wyrzucał to sobie aż do śmierci. Sięgnął po mapę, odnalazł Lublin, przemierzył palcem trasę, obliczył kilometry.

- Szykuj się - powiedział do żony - może już dziś Bartek do nas powróci...

Stali po przeciwnej stronie ulicy i przyglądali się jak rodzice Bartka pośpiesznie wsiadają do samochodu, jak ojciec przekręca klucz w stacyjce, jak ruszają szybko spod bloku.

- Jednak cię kochają - Florek łypnął na Bartka zazdrośnym okiem - dziś rano puściłem plotkę o tym dworcu w Lublinie a oni już jadą cię szukać. Niepoprawni frajerzy. Ganiają po całej Polsce, choć ich synuś paradytuje im pod nosem.

- Daj spokój - Bartek jakoś przestał lubić te Florkowe uwagi. Początkowo bawiło go zachowanie rodziców i żarty Florka, ale od pewnego czasu serce jakoś go bolało, gdy widział swoich starych wyruszających w kolejną podróż. Zmienili się bardzo, wychudli, zmizernieli. Mama miała takie podpuchnięte oczy a ojciec garbił się jak staruszek. Test z miłości zdali na piątkę i o tym Bartek już doskonale wiedział. Miał wyrzuty sumienia i współczuł nie tylko im, ale i sobie. Wiedział już, co to głód, zimno, samotność, ale głupio mu było się do tego przyznać nawet przed sobą.

- Pojechali - szepnął czując łzy na policzkach.

- Przestań się mazgać - Florek walnął go po plecach - mamy kilka godzin swobody, otwieraj drzwi.

Bartek natrafił na klucz ukryty w kieszeni spodni. Od kiedy Florek go odkrył wymyślił, że w czasie tych przymusowych wycieczek jego starych oni będą mogli odpocząć w komfortowych warunkach, wykapać się, najeść, pograć na kompie, ech... żeby tylko ich dozorca nie złapał...

- Pani Zosiu, słyszałam, że Bartek się odnalazł - sąsiadka z dołu uściśnęła dłoń Zofii w przypiływie wzruszenia.
- To pomyłka - Zofia zacisnęła powieki, żeby się nie rozplakać - W Lublinie też go nie było.
- Jak to? - sąsiadka zrobiła okrągłe oczy - przecież słyszałam, jak wczoraj grał na gitarze.
- Musiała się pani przesłyszeć - Zofia pokręciła głową - gitary nikt nie dotykał od trzech miesięcy.
- Nikt tak nie gra jak Bartek. Nie mogłam się pomylić. I śpiewał. Przecież znam jego głos. I ten blues, który i ja uwielbiam.

Zofia rzuciła się po schodach do góry. Za chwilę już była w pokoju Bartka. Od jego odejścia bała się tu wchodzić, by nie poruszać w sobie żadnych wspomnień.

- Zygmunt - krzyknęła jak oparzona rozglądając się po pokoju syna – on tu był.
- Kto? - mąż stanął za nią przestraszony.
- Bartek. Był tu na pewno. Nie ma jego ubrań, pościeli, koca. Gitara leży na kanapie a nie za szafą. Kamińska mówiła, że wczoraj grał, że śpiewał...
- Więc to tak sobie wymyślił - ojciec już zaczynał rozumieć misterny plan syna - my tu od zmysłów odchodzimy a on nam takie numery odstawia. Boże, nie wiem co mu zrobię jak go zobaczę.
- Ale on żyje - Zofia załkała tuląc się do męża - słyszysz? Żyje. I to naprawdę się teraz tylko liczy.

Skinął głową, że tak właśnie jest, że też tak czuje. Objął ją ciasno swoimi silnymi rękami i tak trwali w milczeniu, aż im się serca uspokoiły i myśli wyciszyły. Ich syn żyje, jest cały i zdrowy. Czyż to nie najwspanialsza nowina, jaką mogli kiedykolwiek usłyszeć?

Siedzieli na fotelach oglądając telewizję. Wykapani, pachnący, najedzeni. Starzy Bartka znów chwycili haczyk i wyjechali. Do Krakowa tym razem. Bartek miał coraz większe wyrzuty sumienia, że ich znów oszukał, ale Florek nalegał tak bardzo, że trudno było mu odmówić. Zresztą, sam też lubił te powroty do domu, do zapachu pełnej smakołyków lodówki i smaku domowego ciasta.

- Chciałbym mieć taki dom - Florek pogłaskał się z błogością po pełnym brzuchu. - nie rozumiem dlaczego z niego zwiąłeś.
- Przecież wiesz - Bartek wzruszył ramionami - ojciec krzyczał na mnie, zmuszał do nauki, zabraniał picia, palenia.
- Gdyby o mnie ktoś się tak troszczył, byłbym w siódmym niebie - rozmarzył się Florek - Pani Bajka z Bidula nie była zła, ale reszta, ech...
- Nigdy nie mówiłeś, że jesteś z Domu Dziecka - zdziwił się Bartek.
- Nigdy nie pytałeś. Zresztą, nie ma o czym mówić. Stary mnie bił, matka z nim piła, więc Opieka mnie stamtąd zabrała. Ale Dom Dziecka to też nie miejsce dla mnie, więc uciekłem... Nie pierwszy raz zresztą.

Bartek zamyślił się. Jego rodzice naprawdę nie byli źli, kochali go, martwili się o niego, dogadzali. A on się obraził tylko za to, że ojciec chciał wychować go na porządnego, wartościowego człowieka. Boże, jaki z niego był głupi dzieciak. Mały egoistyczny szczeniak. Kąsający ręce, które chroniły i otaczały opieką. Bartek poczuł jak serce ściska mu nieznana dotąd obręcz. Musiał wyjść na chwilę z pokoju. Musiał z ojcem natychmiast porozmawiać. Wyciągnął z kieszeni telefon

- Tato, jestem - szepnął opanowując drżenie głosu - powiedz mamie, że wróciłem do domu.
 - Zaraz tam będziemy - usłyszał natychmiast.
 - Jak to? Przecież jesteście w Krakowie.
 - Tym razem u cioci Agnieszki. Po drugiej stronie miasta. Czekałem na twój telefon.
 - Skąd wiedziałeś, że zadzwonię?
 - Czułem, że już jest właściwy czas. Musimy poważnie porozmawiać.
 - Wiem tato. To jest właściwy czas. I na rozmowę i na to bym stał się w końcu prawdziwym mężczyzną.
 - To ja już zmykam - Florek stał w drzwiach kuchni przysłuchując się Bartka rozmowie z ojcem - i niech ci się wiedzie.
 - Zostań - Bartek spojrzał na Florka prosząco - pogadam z ojcem, może mógłbyś zamieszkać razem z nami.
- Florek oniemiał z wrażenia. Takiej propozycji by się nigdy nie spodziewał. Nawet od takiego dobrego kumpla jak Bartek.
- Dzięki stary - wysapał dziwnie wzruszony - ale nikt nie przyjmie pod swój dach takiego nieudacznika jak ja. Nawet, gdyby obiecał, że się zmieni. Chyba, że byliby to jacyś święci Aniołowie.
 - Tacy jak moi starzy? - zapytał Bartek czując jak po sercu rozlewa mu się dziwne ciepło. Trochę się bał tego spotkania z rodzicami, ale czy można bać się Aniołów. I czy można im przestać ufać?

Bartek odetchnął z ulgą i uściśnął rękę Florka. Bardzo go polubił. Miał mu to akurat powiedzieć, ale właśnie usłyszał dźwięk przekręcanej w drzwiach klucza, więc tylko przycisnął rękami rozszalałe ze zdenerwowania serce i ruszył ku wchodzącym do mieszkania rodzicom.

Amazonka

- Jak chcesz zdążyć to się pospiesz! - Robert któryś raz z kolei pukał do drzwi łazienki. Marianna poświęcała sobie chyba zbyt wiele czasu. Była już dziś u fryzjera, kosmetyczki i w solarium. A teraz siedziała zamknięta w łazience i co najmniej od godziny robiła sobie makijaż. Nie daj Boże zauważy jakąś dodatkową zmarszczkę na twarzy czy fałdkę tłuszczu na biodrach i zacznie się domowe tsunami, bo żona wpadała wtedy w histerię tłukąc lusterka, wyrzucając z szaf niemodne według niej ciuchy i niszcząc ze złością kosmetyki. Po takich atakach następowały chwile spokoju, wyciszenia, by zamienić się wkrótce z szaf biegania po sklepach, mierzenia ubrań, kupowania butów. To dzisiejsze wyjście do Halinki też przysporzyło tylko kłopotów. Marianna nie lubiła siostry. Wytykała jej brak dbałości o siebie i zbyt poświęcanie się mężowi i dziecku

- Kura domowa, głupia wiejska mamka z plamami mleka na bluzkach i rękami upapranych niemowlęcą kupą - skrytykowała siostrę niedawno po jednej z wizyt u Halinki.

- Przesadzasz - Robert próbował łagodzić wybuch żony - Halinka to po prostu dobra żona i matka. Nie widzisz, jacy oni są szczęśliwi. Oboje chodzą koło Zochny jak wokół największego skarbu.

- To znaczy, że my nie jesteśmy szczęśliwi? - Marianna umiała ciąć wzrokiem jak sztyłem.

- Nie to chciałem powiedzieć - Robert wiedział, że musi się szybko wycofać. Temat dzieci, zwłaszcza tego cudownego szkraba Halinki i Wojtka wywoływał w Mariannie dziwną agresję.

- Wiem, co chciałeś powiedzieć! - twarz żony tryskała plamami niezdrowej czerwieni - że i ja powinnam urodzić! Zamienić się w grubego, brzydkiego babsztyla, otoczyć się górą pieluch i wstawać po nocach do krzyczącego bachora.

- Przecież bym ci pomógł, dbałbym i o ciebie i o maleństwo - Robert rozmarzył się nagle głośno.

To nie był dobry moment na taką rozmowę. Zresztą, chyba żaden inny też nie byłby dobry. Marianna nie znosiła rozmów o ciąży, porodach i dzieciach.

- To po co ja chodzę do siłowni? Po co biegam na aerobik? Chcę ci się podobać, chcę być piękną właśnie dla ciebie!

- wmawiała mu za każdym razem, gdy poruszał ten drażliwy temat.

- Dla mnie? - podnosił głos - chyba raczej dla siebie. Mnie podobałabyś się nawet taka pulchna jak Halinka.

- To się do niej wyprowadź - warczała groźnie.

- Przecież to moja siostra - odpowiadał rozbawiony...

- Wychodzimy - Robert znów zapukał do drzwi łazienki - Halinka nie lubi jak się spóźniamy.

Marianna nie cierpiała, gdy mąż ją ponaglał, popędzał. Musiała być dopięta na ostatni guzik. Może nawet specjalnie spóźniała się na imprezy, by wywoływać wśród zebranych większe wrażenie? Pewnie i dlatego zgodziła się być chrzestną matką Zosi. Takie widowisko jak to w kościele należało do rzadkości. Halinka siedziała w pierwszej ławce, wystrojona, pachnąca, emanująca kobiecością i pięknem. Wszystkie męskie spojrzenia skierowane były na nią. Nawet ksiądz popatrywał ku niej z dziwną u niego ciekawością.

Marianna uwielbiała być w centrum uwagi, potrafiła odpowiednio zalotnie spojrzeć, poruszyć głową, rzucić czarujący uśmiech. Potrafiła też świetnie zabawiać gości, sypać dowcipami i rozsiewać wokół niebываły czar. Po wielkich spektaklach cichła, posępniała, bez swojej publiczności zamieniała się w nerwową i samolubną babę. Taką ją znał chyba tylko Robert. Ale dziś Marianna powinna świecić blaskiem. Szli na pierwsze imieniny Zosi. U Halinki będzie trochę liczniejsze grono przyjaciół niż zazwyczaj. Marianna zechce pewnie znów zrobić nieprzeciętne wrażenie.

- Kochanie - Robert niecierpliwił się coraz bardziej - proszę cię chodź już.

Drzwi łazienki zaskrzypiały lekko. Robert zamarł w bezruchu. Marianna stała przed nim w kąpielowym ręczniku, miała jaką, przygarbioną, bladą jak papier. Mokre włosy opadały jej w nieładzie na drżące ramiona i plecy.

- Jeszcze nie jesteś gotowa? - zapytał, choć czuł, że nigdzie z żoną dziś nie pójdzie. Jej podpuchnięte, czerwone oczy wskazywały, że musiała płakać przez dłuższy czas.

- Mam guza - z trudem wydusiła z siebie te bójące słowa - mam guza w piersi - powtórzyła padając mu w ramiona.

Matka

Za oknem dopiero szarzało, gdy Anna klęczała już przed świętym obrazem odmawiając różaniec. Chciała jeszcze pomodlić się Nowenną do Matki Bożej, więc sięgnęła po modlitewnik leżący na stoliku. I wtedy jej wzrok padł na ulubiony tomik z wierszami Ewy Szelburg-Zarębiny. Otworzyła go na pierwszej stronie.

-,Matka rano wcześniej od nas wstaje

I szykuje grube kromki chleba”

- zaczęła czytać wolno, z namaszczeniem. Przed jej oczami stanął nagle dom jej dzieciństwa. Przypomniło się jej jak siadali z rodzeństwem przy kuchennym stole a matka znakiem krzyża błogosławiła chleb. Kroiła go później właśnie na takie grube kromki a oni wyciągali po nie ręce jak po kawałki świętej Hostii. Czuli, że ten chleb ich naprawdę łączy.

- Mamo, czemu znów tak wcześnie wstałaś?

Anna wzdrygnęła się słysząc nad sobą głos córki. Zamknęła szybko książkę.

- Chciałam ci ugotować kakao - powiedziała ciepło.

- Kawa mi wystarczy - córka włączyła ekspres - a Jackowi i Aśce też nic nie rób. Wolą kupić sobie coś w szkolnym sklepiku.

Anna westchnęła ciężko. Odłożyła książkę na stół, wyciągnęła z szafy chustkę, nałożyła ją na głowę.

- Wybierasz się gdzieś? - Mirka zapytała zaniepokojona.

- Pójdę do kościoła.

- Ależ mamo, prosłam cię, żebyś się nie afiszowała tak ze swoją wiarą. To może Markowi zaszkodzić w wyborach. Ludzie powiedzą, że ma teściową dewotkę co trzyma z czarnymi.

Anna spuściła głowę.

- To może ja zrobię zakupy, ugotuję coś dobrego na obiad? - próbowała zmienić temat.

- Nie musisz - Mirka podeszła do niej, zdjęła jej chustkę z głowy - my zjemy coś na mieście a mamie przyniesie obiad Różia.

Anna skrzywiła się. Od jakiegoś czasu dom córki pachniał tylko płynami do czyszczenia okien i pastami do mebli. A ona tęskniła za zapachem rosółu, kapuśniaku, ogórkowej.

- To może ja posprzątam? - poprosiła cicho.

- Lepiej niech sobie mama telewizję poogląda. Radia posłucha. Różia poradzi sobie ze wszystkim.

Drzwi za Mirką zamknęły się z cichym trzaskiem. Anna wróciła do pokoju. Usiadła w swoim fotelu, jeszcze raz sięgnęła po tomik poezji.

„A w południe czeka nas z obiadem,
Gdy wpadamy niecierpliwi, zziajani
I dotyka rozpalonych garnków
Bezbronnymi, nagimi rękami...”

Łzy po twarzy popłynęły jakoś same. Cicho, bezszelestnie. Obiady mamy zawsze zaspokajały ich głód. I było wszystko jak w tym wierszu, dziecięce zziajanie, zmęczenie i chęć jedzenia od razu, zaraz. I mamy kochane ręce, całe czerwone od nagrzanego fajerek. I zapach bigosu, pierogów, placków, który przyciągał do ich domu także inne dzieci z kamienicy, a mama je karmiła jak własne. I gwarno było przy stole, wesoło, nie tak jak teraz, gdy wszyscy zamykali się w swoich pokojach uciekając od siebie jak od wrogów.

- Babciu słyszałaś? - Jacek wpadł do jej pokoju jak bomba - podobno stary ukradł jakieś partyjne pieniądze i za nie kupił to nasze nowe auto. Wszyscy w klasie wytykają mnie teraz palcami.

- Wierzysz im? - zapytała oszołomiona tą nowiną. Ale wnuczek wykręcił się na pięcie i już go przy niej nie było. Pewnie za chwilę zamieni ten świat na inny, wirtualny. Po chwili do domu wróciła Aśka. Anna właśnie sobie parzyła herbatę w kuchni bo na obiad z trojaków jakoś nie miała ochoty.

- Jak on mógł! - wrzasnęła od progu - katechetka powiedziała, że wstydzić się powinnam takiego ojca. Już więcej do tej parszywej szkoły nie pójdę - jęknęła też wycofując się do siebie.

Rodzice pojawili się w domu późno. Usiedli przed telewizorem, smutni jacyś, przygnębieni. Anna popatrzyła na nich z niepokojem. A później podreptała do kuchni. Wyjęła z szafki mąkę i sól. W lodówce znalazła mleko, jajka, dżem, olej.

- Placki - Aśka pierwsza poczuła rozchodzący się po domu zapach

- Siadajcie do stołu - zawołała Anna - musimy pogadać. Ale najpierw zjemy wspólną kolację.

Uśmiechnęli się, odprężyli, okrążyli stół, sięgnęli po rumiane poduszeczki, włożyli je sobie do ust.

„Gdy wracamy w wieczór, śpiewający,
Że możemy próżnować do rana,
Zastajemy naszą matkę, jak klęczy
Na podłodze, na obu kolanach”

- Anna dobrze zapamiętała ostatnią zwrotkę ulubionego wiersza. Wyszeptała ją teraz cicho dotykając różańca schowanego w kieszeni fartucha. Chciała, żeby tamten świat dzieciństwa się jakoś w niej zatrzymał, na zawsze powrócił. I nagle zrozumiała, że ona zawsze nosiła go w sobie, że siedł za nią jak zapach placków smażonych przez mamę na ciężkiej, żeliwnej patelni. I że już nigdy jej nie opuści...

Pusia

Beata podniosła się gwałtownie z fotela.

- Jedziemy na zakupy? - zapytała córkę chowając do torebki broszurkę z reklamami.

Martynie rozbłysły oczy. Z hałasem zamknęła książki i zeszyty. Mama już dawno obiecała jej kupno nowych spodni, więc może dziś nareszcie tę swoją obietnicę spełni.

- Rośniesz jak na drożdżach - wzrok mamy obrzucił ją niechętnym spojrzeniem. Martyna roześmiała się nerwowo. To prawda, wyrosła ze wszystkich swoich szmatek w ciągu ostatniego roku.

- Pusia! - zawołała mama w kierunku psa wylegującego się na haftowanej poduszce w rogu kanapy. W jej ręce pojawiła się śliczna, wysadzana błyszczącymi kamyczkami smycz.

- Bierzesz ją z sobą? - przeraziła się Martyna - nie mogłybyśmy pójść do sklepu same?

- Zwariowałaś? - mama wzięła psa na ręce, cmoknęła go w mokry pyszczyk - takie maleństwo? Bez opieki? Serce by jej pękło z tęsknoty - mama szczebiotała patrząc przymilnie psu w oczy.

- Mamo, przecież to tylko pies - wyjęczała Martyna z kwaśną miną. Wyprawa do sklepu z Pusią nie zapowiadała się kolorowo. Mama zamiast Martyną będzie zajmowała się psem. Będzie go nosić, tulić, szeptać mu na ucho jakieś miłe słowa jakby to było dziecko a nie zwierzę.

- Albo Pusia idzie z nami, albo zostajemy w domu - powiedziała mama stanowczo. Martyna zacisnęła usta. Wiedziała, że mama swojej decyzji nie zmieni, że Pusia odkąd stała się członkiem ich rodziny jest ważniejsza niż ona i tata.

- Dobra - warknęła kierując się ku drzwiom - jestem gotowa.

- Zaczekaj - mama uśmiechnęła się pojednawczo - tylko nałożę jej tę różową sukienkę...

Jechali z powrotem w milczeniu. Martyna pociągała nosem powstrzymując łzy i wpatrując się intensywnie w mijane po drodze domy. W jednym z okien zauważyła twarz jakiejś małej dziewczynki i kobietę stojącą za nią jak Anioł Stróż. Ten widok wstrząsnął jej sercem. Zerknęła z nienawiścią na mamę.

- Przestań ryczeć - głos mamy przepełniony był złością - Pusia się niepokoi.

Martyna nerwowo zacisnęła dłonie w pięści. Zapięta w foteliku Pusia wierała się i piszczała żałośnie przez całą drogę.

- Podaj mi ją - mama zwolniła prędkość - ona tam z tyłu nie czuje się bezpiecznie.

Martyna przechyliła się przez siedzenie, odpięła psie pasy, gwałtownym ruchem rzuciła Pusię mamie na kolana.

- Podła jesteś! - wrzasnęła histerycznie - martwisz się tylko o tego swojego głupiego psa.

- Martyna - w oczach mamy pojawił się gniew - tylko nie w ten sposób do mnie.

- A w jaki? Mam szczeukać? Wyciągać łapki? Merdać ogonem? Może wtedy zaczniesz mnie dostrzegać, kochać? Może wtedy mi wreszcie coś kupisz? - Martyna rozplakała się jeszcze głośnie.

- Spodnie kupimy innym razem - mama też podniosła głos - widziałas przecież, że zabrakło mi pieniędzy. Wszystko teraz jest takie drogie.

- Ale na kubraczek dla Pusi miałaś? I na psie buty też! Ten pies ma lepiej niż ja i tata.

- Jak ty nic nie rozumiesz. Ona potrzebuje mojej opieki, mojej miłości. A ubranka były w promocji. Dobrze, że przejrzałam dzisiaj tę reklamę.

- Wiesz? Życzę ci żeby ten twój pies po prostu zdechł - Martyna już nie panowała nad emocjami.

- Zwariowałaś? - matka rzuciła w jej stronę swoje ulubione słówko, nacisnęła na hamulec, szarpnęła nerwowo kierownicą. Autem zarzuciło gwałtownie. Twarz Martyny znalazła się nagle na przedniej szybie samochodu. Dziewczyna krzyknęła z bólu. Brzęk tłuczonego szkła przestraszył matkę. Spojrzała z lękiem na Martynę, na jej twarz zakrwawioną odłamkami szkła.

- O Boże! - jęknęła szukając w torebce chusteczek. Pusia z przeraźliwym piskiem zeskoczyła z jej kolan, przywarła z lękiem do jej nóg. Matka przez chwilę nie wiedziała czy ratować córkę, czy zająć się psem.

- Uspokój się Pusia! - krzyknęła jednak na psa.

Pies skulił łapy, podwinął ogon i wcisnął się z drżeniem pod siedzenie.

- Zaraz ci pomogę - mama nachyliła się nad Martyną - za chwilę już nie będzie tak bolało.

Martyna poddała się jej delikatnym rękom wyjmującym odłamki szkła z jej twarzy. Ból rzeczywiście zelżał. Pusia oddychała ciężko wyglądając trwożliwie spod fotela.

- Chodź Puśka! - Martyna zawołała cicho. Pies wyczołgał się spod siedzenia, pomerdał przyjaźnie ogonem. Martyna wyciągnęła do niego rękę pozwalając by polizał jej dłoń. Mama spojrzała na Martynę z wdzięcznością.

- A teraz pojedziemy na pogotowie - powiedziała - trzeba te twoje rany jakoś opatrzyć córeczko. No i Pusia... - mama wzięła psa na ręce, przytuliła go czule - ona też się zdenerwowała. Może trzeba podać jej coś na uspokojenie?

Zamiana

To był trudny dzień. W biurze znów pośpiech, popędzanie, bieganie od dyrektora do działów zupełnie jakby to jakieś sportowe wyścigi były a nie normalny zakład pracy. Irmiona spojrzała na zegarek. Już siedemnasta a ona dopiero na rogu Jagielly. Jagoda pewnie stoi przy oknie z rozplaszczonym nosem na szybie. Że też ta przedszkolanka pozwala, by dziecko tak stało, by tak się gapiło nie wiadomo na co, przecież mogłaby dać jej jakąś zabawkę, nią się jakoś zająć.

Ech! Irmiona poprawiła włosy klejące się do spoconego czoła. Gdyby wtedy posłuchała Marka nie byłoby tych problemów. To prawda, Jagody by też nie było, ale za to Irmiona mogłaby się realizować, skończyć studia, mieć upragnioną pracę, robić to co lubi. A tak, kilka lat wyciętych z życiorysu przy pieluchach i butelkach z mlekiem.

No, bo Marek nie uważał, że to on mógłby się dla dobra rodziny poświęcić. Dobrze, że w tym roku znalazła się dla Irminy praca i że koleżanka załatwiła jej cudem to miejsce w przedszkolu. Ale to nie było to o czym Irmina marzyła, za czym tęskniła...

- Mała znów dziś jakaś smutna - Pani Kasia uśmiechnęła się do niej w drzwiach sali - chciałam ją wziąć na ręce, przytulić, ale ona chyba nie lubi czułości. Jest taka zamknięta w sobie, zupełnie nie wiem jak do niej dotrzeć.

Irmina zaczerwieniła się przypominając sobie niesłuszne posądzenie nauczycielki o brak troskliwości. Przyjrzała się bladej twarzy córki. Jagoda co prawda rzadko się uśmiechała, ale przecież nie każde dziecko musi tryskać nieujarzmionym temperamentem i radością.

- Ja też taka byłam - Irmina wzięła córkę za rękę czerwieniąc się jeszcze bardziej - też nigdy nie lubiłam ludzi, pocałunków i tych nic nie znaczących gestów.

- Rozumiem - pani Kasia starała się być delikatna - ale Jagódka nie tylko, że nie lubi bliskości. Ona unika także normalnych kontaktów z dziećmi. Mało mówi, jest apatyczna, niechętnie bierze udział w zabawach. Martwię się o nią.

Oczy Pani Kasi naprawdę wyrażały zaniepokojenie. Irmina poczuła nagle, że mogłaby z nią szczerze porozmawiać, poradzić się. Bo może Jagoda ma rzeczywiście jakiś problem skoro jej zachowanie odbiega od zachowania innych dzieci.

- Widzi pani, Jagoda po powrocie z przedszkola przeważnie bawi się sama. Myślałam, że jak się tu nabawi to potrzebuje spokoju. Zresztą i ja lubię ciszę. A mąż wraca do domu bardzo zmęczony, więc mała mu się nie naprzykrza. Pani Kasia pokiwała głową jakby dając znać że wszystko rozumie, wie, jest w stanie to sobie wyobrazić.

- A może pomyślelibyście państwo o rodzeństwie dla Jagódki? - zapytała niespodziewanie.

I wtedy nagle czar szczerzej rozmowy prysł. Irmina zacisnęła usta w wąską linijkę. Coś w jej oczach kazało nauczycielce nie kontynuować tego tematu.

- Przepraszam - powiedziała uciekając wzrokiem w podłogę - więc jeśli nie dziecko to może jakieś zwierzątko, pies, kot, chomik może mała wtedy by się jakoś otworzyła.

Irmina odwzajemniła wychowawczyni sztuczny uśmiech, pociągnęła córkę za sobą do szatni. Nagle poczuła jak w oczach zbierają się jej łzy.

- Pospiesz się - warknęła wycierając ukradkiem oczy - jesteś już prawie dorosła. Powinnaś być bardziej samodzielna.

Jagoda bez słowa włożyła buty i płaszczyk. Bez słowa wyszła na ulicę. Bez słowa wsunęła swą małą dłoń w mamy rękę. Ale zimno, jakie poczuła kazało jej swoją rękę natychmiast cofnąć, jakby przed obawą, że matczyny chłód zmrozi jej nie tylko ciało, ale i serce. Irmina spojrzała na córkę dziwnie obco. Nie mogła zrozumieć tego braku miłości do niej. Marek miał rację. Nie nadawała się na matkę. Nigdy nie powinna była zgodzić się na urodzenie dziecka. A teraz obie cierpią. I ona i mała. A ta nauczycielka jeszcze dolewa oliwy do ognia. Też coś, rodzeństwo dla Jagody?

A dla niej Irminy co? Znów nocne wstawanie, znów zupki, spacer, niekończący się płacz? Zwierzątko to zupełnie inna sprawa - Irmina znów wytarła załzawione oczy - ale oni żadnego zwierzątko mieć nie mogą. I to przez Jagodę właśnie. Bo mała była uczulona na zwierzęcą sierść. Jak się tylko urodziła, jak przyszły ze szpitala do domu od razu ją wysypało. Całe ciało miała w krostach. Drapała się, rany sobie robiła paznokciami. A ona z Markiem przez kilka miesięcy po lekarzach jeździli, maści różne stosowali, kąpiele w solach, diety, lekarstwa. Nic nie pomagało. Dopiero któryś z lekarzy zalecił im kategorycznie psa z domu usunąć.

Boże! Co to była dla nich za tragedia. Nagle miał dom opuścić najważniejszy jego członek. Ich ulubiony pies, Krokus, którego przywlekli ze schroniska. Gdy go pierwszy raz zobaczyli był cały poszarpany, z zakrwawionym okiem, z urwanym ogonem. Ktoś go przywiązał w lesie do drzewa i jacyś miejscowi go znaleźli. Z początku nie ufali im, patrzył spode łba, omijał gdy chcieli go wykapać, uczesać. Wykarmili go jednak, odchuchali. Irmina pokochała go całym swoim sercem. Marek też za nim przepadał. I w końcu Krokus ich zaakceptował, polubił, uwierzył, że nie zrobią mu krzywdy. Dzięki niemu stali się jedną wspianą rodziną. Chodzili na wspólne spacer, robili wypad nad morze, w góry. Krokus przy nich niczego się już nie bał, nie trząsł się ze strachu, gdy zostawiali go w domu samego.

Zapomniał o swoim poprzednim życiu, o udrękach, głodzie, złych ludziach, którzy zadali mu tyle bólu i cierpienia. Więc kiedy musieli się z nim rozstać serca im się rwały na kawałki. Irmina pamięta tamten pełen smutku dzień, gdy próbowali go zaciągnąć do samochodu, a on się zapierał łapami jakby wiedział, że już więcej tu do nich nie wróci, że przez to małą, wrzeszczącą w łóżeczku istotę on będzie musiał iść na ponowne wygnanie. Wył później, gdy odchodzili od klatki trzymając się z Markiem ciasno za ręce.

Wtedy po raz ostatni tak mocno potrzebowała mężowskiego wsparcia, jego siły i opanowania. Była mu wdzięczna, że nic nie powiedział o jej winie i braku odpowiedzialności. Wiedziała, że gdyby posłuchała Marka nie musiałaby rozstawać się z Krokusem. Ale skąd mogła wiedzieć, że Jagoda i Krokus nie będą mogli żyć pod jednym dachem?

Irmina westchnęła boleśnie nie zwracając uwagi na wlokącą się za nią córkę. W końcu mała miała wszystko, dom, rodziców, ciepłe łóżko. A Krokus siedział tam samotny, obolały z tęsknoty, odrzucony. Odwiedzała go później kilka razy, ale nie mogła spokojnie patrzeć w jego ogłupiałe ślepie, cierpiała, gdy musiała go zamykać za drutami, po tym jak wyhasali się i wybiegali na trawie. Ich rozstania były coraz dłuższe i coraz bardziej czułe. Głaskała go

po grzbiecie, tuliła twarz w jego ciepły łeb, szeptała mu do uszu najtkliwsze słówka. A później wracała do czerwonego od płaczu dziecka i nie umiała go wziąć na ręce, przytulić, uciszyć, zaśpiewać kołysankę.

- Już jesteś? - Irmina zdziwiła się, gdy zastała męża w domu. Nigdy nie wracał ze swoich eskapad tak prędko. Był taki atrakcyjny. Silny, opalony, pełen jasnego światła w oczach. Wciąż zafascynowany swoją pracą i misją, jak zwykł się wyrażać o swojej życiowej pasji.

- Ja tylko na chwilę - zatrzymał spojrzenie na nią tylko na moment - chciałbym, żebyś obejrzała ze mną program w TV. Będzie o naszej akcji. O tym znęcaniu się nad tą klaczą w Bugajach. Pamiętasz? Wspominałem ci. Ten rolnik zaprzęgał do wozu żrebną klacz. Sadysta. Ty wiesz, co on mi powiedział? Ze kobiety też pracują do ostatnich chwil przed porodem. Dźwigają torby z zakupami, gotują, sprzątaj. Takie duperele.

- Trochę to on miał rację - Irmina przypominała sobie swoją ciążę. Nikt jej wtedy nie zwolnił od obowiązków w domu, studia też przerwała dopiero po porodzie, jak Jagoda zaczęła chorować.

- Konie to nie ludzie - zachnął się Marek - one same nie potrafią się obronić. Dlatego nasza organizacja musi wylapywać tych wszystkich, którzy je krzywdzą, zabijają, zadają ból i cierpienie. Zresztą, co ja ci będę tłumaczył. Przecież o tym doskonale wiesz.

Jasne, że wiedziała. Właśnie za tę miłość do zwierząt pokochała Marka najbardziej. Poznali się w schronisku. Oboje byli wolontariuszami, przybiegali tu w każdy wolny dzień, w każdą wolną chwilę. Tu było ich prawdziwe życie wśród tych opuszczonych psów szczekaniem domagających się zainteresowania, dotyku rąk, miski z jedzeniem, koca, ludzkiego ciepła. Później Marek zajął się także końmi. Godzinami mógł opowiadać o tym w jakich warunkach jadą na rzeź, jak się je później okrutnie traktuje, jak się męczą. Pojawiał się wszędzie tam, skąd dochodził sygnał o bezduszości ludzkiej.

- Świat chyba już nie ma serca - biadolił, gdy z rzeki wyłowiono worek pełen piszczących szczeniąt. Przez Internet szukali dla nich domu, opieki - żeby takie maleństwa męczyć, topić. Nie lepiej byłoby sukę wysterylizować?

Milka przy tych jego rozważaniach. Czasem miała wrażenie, że mały szceniak, żrebię, jagnię więcej dla niego znaczy niż własne dziecko. Ale czy i ona też tak nie czuła? Czy broniła się przed aborcją, gdy zaszła w ciążę wtedy na początku studiów? Czy nie zrobiłaby tego samego z Jagodą, gdyby lekarz nie postraszył jej, że może już nigdy nie mieć dzieci?

- I co? Ukarali tego rolnika? - zapytała by strzepać z siebie te nagle niechciane myśli

- Ukarac, nie ukarali. Ale cała Polska zobaczy co to za swołocz jedna. Teraz będziemy robić więcej takich filmów. Ludzie muszą dowiedzieć się jak żyją niektóre zwierzęta. Muszą respektować ich prawo do życia i godnego traktowania.

Irmina lubiła u Marka ten entuzjazm, to przejmowanie się każdą sprawą jakiej się dotknął. Ale coraz mniej rozumiała jego system wartości. No, bo jak rozumieć i respektować to prawo do życia zwierząt gdy się to samo prawo do życia odbierało własnemu dziecku? Ale Marek chyba nigdy nie myślał o aborcji jako o zabijaniu właśnie. Człowiek mógł sam decydować o sobie, za zwierzę odpowiadali inni.

- O! Już się chyba zaczyna - Marek usadowił się wygodnie w fotelu - chyba najpierw będzie wstawka o naszym schronisku - uśmiechnął się tajemniczo jakby niespodzianka jaką przygotował żonie miała ją przyjemnie zaskoczyć.

- Krokus! Moje najukochańsze psisko! - Irmina aż pobladła z wrażenia. Pies pokazany był w zbliżeniu. Na środku ekranu pojawiły się jego rozpaczliwie smutne oczy i opuszczone uszy. Irmina wyjęła chusteczkę. Świat naprawdę nie miał serca, kiedy pozwalał na takie cierpienie.

- Mamo! - Jagoda pojawiła się za ich plecami nie wiadomo kiedy - mnie też oddajcie!

Irmina odwróciła ku niej zaskoczoną twarz. Co się takiego ważnego musiało stać, że ich córka odezwała się do nich nie pytana. Irmina jeszcze nie zrozumiała, jeszcze nie dotarło do niej żadne z tych strasznych słów.

- Co ty mówisz dziecko! - krzyknęła bojąc się odpowiedzi.

- Oddajcie mnie. Do takiego domu, skąd można wziąć dzieci. Pani nam mówiła. Żeby nikt nie był samotny i żeby był kochany.

- Przecież ty masz dom! - Marek był zły, że Jagoda przerwała mu ważny program - dzieci z domu dziecka chciałby mieszkać tak jak ty.

- Ale wy jesteście nieszczęśliwi ze mną. Wy tęsknicie za Krokusem. Jak mnie oddacie on będzie mógł wrócić.

- Jagoda czyś ty zwariowała? Kto cię tak pokocha jak my? - Irmina poczuła jak jej twarz tężeje jakimś niezrozumiałym dla niej bólem. Popatrzyła na Jagodę jakby zobaczyła ją pierwszy raz w życiu, na jej dziwnie dorosłą buzię, na oczy przepełnione bólem i głodem miłości. Tak przed chwilą patrzył Krokus z ekranu telewizora.

- Może pokocha mnie jakąś inna mama, jakiś inny tata...

Cisza jak nastała po tych słowach zadźwięczała im w uszach jak ogromny kościelny dzwon. Dwoje dorosłych ludzi i mała dziewczynka o anielskich włosach wpatrywali się w siebie jak w święte obrazy. I nagle tę ciszę przerwał jęk Irminy. Kobieta wstała wolno z kanapy. Odległość jaka dzieliła ją od córki wydała się jej nagle niewyobrażalnie daleka. Ale zrobiła ku córce kilka kroków. Wyciągnęła do niej rękę.

Mała jakby czekała na ten gest. Z westchnieniem ulgi wpadła w te rozpostarte ręce jak w skrzydła Anioła. Irmina ogarnęła jej wątłe ciało sztywnymi rękami. Przytuliła ją niezdarnie do siebie. I nagle usłyszała bicie jej serca, szybkie, trwożliwe, walące o żebra jak małe, żelazne młoteczki.

- Tu jest twój dom, tu jest twoje miejsce - wyszeptała przerażona tym co usłyszała - to ja jestem twoją mamą, a to jest twój tata. To prawda, że Krokusa kochamy, ale przecież i ciebie też - zapewniała próbując uwierzyć w to co mówiła.

- Więc to nieprawda, że chcecie mnie zamienić? Bo Janka mówiła, że wy bardziej kochacie zwierzęta niż dzieci.

- Głupia ta twoja Janka - Irmina poczuła jak jej myśli szaleją z nieprawdopodobną szybkością - co ona może o nas wiedzieć.

- No właśnie - Jagoda znów westchnęła głęboko - tak tylko gada aby gadać. Przecież nic nie jest ważniejsze od człowieka, prawda mamo?

- Prawda córeczko - Irmina zalała się krwawym rumieńcem. Jej mała córka powiedziała przed chwilą coś co już dawno siedziało jej w sercu, o czym myślała, do czego nie umiała się jednak przyznać. Irmina mocniej przytuliła Jagodę do siebie. I nagle poczuła przepływające przez jej ciało niezwykle ciepło.

- No, chyba dość tych czułości - sarknął Marek ze złością widząc, że program na który czekał zbliża się do końca. Ale i on doznał chyba jakiegoś dziwnego ułknięcia w sam środek serca, bo spojrzał na Małą jakoś inaczej, poważniej, z dziwnym u niego wzruszeniem w oczach. Coś tu się działo między nimi czego nie umiał jeszcze pojąć, zrozumieć.

To ich dziecko uczyło ich właśnie jakiegoś innego języka, jakichś innych doznań. Spojrzał pytająco w kierunku żony. Irmina zauważyła tę jego zmianę, uśmiechnęła się do niego lekko dając oczami znak, że porozmawiają o tym później - może wtedy gdy Jagoda już zaśnie w swoim łóżku wtulona po raz pierwszy nie w pluszowego misia, ale w jej mokry od łez policzek? A może wtedy gdy wybiorą się razem z córką do schroniska, by choć z daleko dać Krokusowi znać, że wciąż jest kimś ważnym dla ich rodziny i że postarają się mu znaleźć równie dobry dom jak ich? A może wtedy, gdy pójdą z Markiem do lekarza, by odwołać ten planowany od tygodnia zabieg i dać swojemu niedawno poczętemu dziecku prawo do normalnego, szczęśliwego życia?

Dziadek?

Szła ulicą zupełnie bezmyślnie. Ktoś ją potrącał, ktoś coś do niej mówił, ktoś przyglądał się jej natarczywie, ale nie reagowała, nie rozumiała tego ich języka a mijane twarze wydawały się jej tak obce jak egipskie mumie. Mgła oklejała jej ciało nieprzyjemnym chłodem, ale nie chciała wracać do pustego mieszkania, w którym na nią nikt nie czekał i w którym mogła porozmawiać, co najwyżej ze sobą, bo Krzysiek nie pojawił się w nim już od tygodnia. Żle się czuła. Była słaba i głodna. Krzysiek nie zostawił jej pieniędzy, a w lodówce świeciło się tylko światło. Mój Boże, jaka ona była głupia, że zaufała mu tak bezwzględnie i bez żadnych oporów.

- Tylko za granicą można dobrze żyć - przekonywał ją, gdy poznali się na imprezie u Kaśki - Jesteś dorosła, możesz sama decydować gdzie chcesz mieszkać.

To prawda, była dorosła. Rodzice wyprawili jej osiemnastkę jak się patrzy, choć ona wołała by zabawę w pubie, w gronie swoich przyjaciół, przy piwie i głośniejszej muzyce. Ale mama uparła się, że taka ważna rocznica nie może odbyć się bez najbliższej rodziny. Więc pojawili się wszystkie ciotki i wszyscy wujkowie. No i dziadek oczywiście, który pachniał naftaliną i cygarami i co chwila wycierał łzy patrząc na Justynę jakby ukochana wnuczka miała co najmniej umrzeć a nie wchodziła w dorosłe życie. Justyna z uśmiechem przyjmowała prezenty godząc się na ten cały szum wokół jej osoby. Należała im się ta ostatnia feta, to pożegnanie.

Już wiedziała, już zaplanowała, że wyjedzie z Krzyskiem jak tylko dostanie dowód. I wyjechała. Uciekła właściwie nic nikomu nie mówiąc i nie martwiąc się, że ją szukają, że obdzwanianą wszystkich znajomych, że nie śpią po nocach modląc się w przykościelnej kaplicy. Zawsze tak robili, gdy komuś w rodzinie się źle wiodło. Umawiali się na wspólny różaniec, na Koronkę, wierząc, że Bóg ich szybciej wysłucha, że pomoże. Justyna westchnęła ciężko. Teraz pewnie też klęczą przed Najświętszym Sakramentem a dziadek w drżących palach przesuwając paciorki różańca i intonując modlitwę.

Boże! Justyna poczuła jak miękły jej nogi. Oparła się o jakiś uliczny słup. Pot cienką strużką zaczął spływać jej wzdłuż pleców. Nigdy w życiu nie czuła takiego potwornego strachu, takiej samotności i takiej bezradności. Zaciśnęła z całej siły oczy. I wtedy gdzieś nad sobą usłyszała czyjś głos. Ktoś do niej mówił, ktoś się ją o coś pytał, ale nie rozumiała ani jednego słowa. I nagle poczuła znajomy zapach. Zapach, który rozpoznałaby na końcu świata. To przecież woń naftaliny i tanich cygar, takich, jakich używał...

- Dziadek! - krzyknęła uradowana otwierając oczy. Ale przed nią stał jakichś starszy mężczyzna w staromodnym cylindrze na głowie.

- Polka? - ucieszył się staruszek - pytałem czy ci nie potrzeba jakaś pomoc, jesteś taka blada.

Rozpląkała się nagle głośno i żałośnie wyrzucając z siebie potoki dawno nie używanych słów. Czuła nieodpartą potrzebę opowiedzenia temu człowiekowi o wszystkich swoich kłopotach. Jakby nie jemu o tym mówiła, lecz dziadkowi, mamie, tacie, wszystkim, których w Polsce zostawiła. Starszy pan uśmiechał się do niej dobroniusznie, lecz słuchał jej uważnie.

-Już dobrze - uspokoił ją ciepłym głosem, gdy skończyła swoją opowieść - chodź, tu niedaleko jest polski kościół i nasza religijna wspólnota. Tam ci pomogą. Pani Kasia się wszystkim zajmie. Ale najpierw cię nakarmi, bo nie wyglądasz najlepiej. A później pomyślimy, co zrobić dalej. Ale już się nie martw, już jesteś wśród swoich, a my ci zginąć nie pozwolimy.

Odwzajemniła mu uśmiech, chwyciła pod rękę. Szła teraz przy nim wyciszona, wypogodzona, spokojna. Staruszek coś jej opowiadał, pokazywał, wyjaśniał. A ona myślała o swoich i o tym, że pewnie teraz tam w tej polskiej kaplicy Bóg daje im jakieś znaki, że ona jest, że żyje, że wróci. Justyna westchnęła głęboko wdychając w siebie zapach naftaliny i tytoniu. Nigdy nie myślała, że ten właśnie zapach wyda się jej taki cudowny, taki wyjątkowy i taki swojski.

Obcy pan?

Wpadł ze szkoły do domu jak zwykle podekscytowany i pełen złotych iskieł w oczach.

- Babciu jeść! - krzyknął od progu rzucając plecak w róg przedpokoju. Ale z pokoju odpowiedziało mu tylko głośnie chlupanie mamy i głos babci przepełniony bólem.

- Nie krzycz tak Rafałku, bo w domu nieszczęście - babcia podeszła do niego głaszcząc go po jasnych włosach.

- Coś z Olą? - poczuł jak nogi mu dziwnie dygocą. Rano starsza siostra skarżyła się na ból głowy, który nieraz kończył się atakiem.

- Z Olą wszystko dobrze - babcia otarła łzy chusteczką - ale tata... Miał wypadek. Bardzo groźny. Leży w szpitalu i czeka na nas.

- Tata? - Rafał odetchnął z ulgą. Co może go obchodzić ten facet, którego znał tylko z fotografii wiszącej nad mamy łóżkiem. Tata nie był nikim ważnym w jego życiu. A właściwie Rafał był na niego zły, gdy patrzył na ślubny portret rodziców i na mamę uśmiechniętą i wesołą, jakiej nigdy nie poznał. Bo mama była zawsze jakaś smutna, nieobecna i często płakała w swoim pokoju myśląc, że jej nikt nie słyszy. Ale Rafał słyszał i Ola też. Rafał wtedy włożył pod koldrę siostry i tuląc się do niej zaciskał rękoma uszy, żeby nie słyszeć tego mamy płaczu. Gdyby wtedy pojawił się przed nim tata chyba by go uderzył w złości. Jakoś czuł, że to przez niego mama tak okropnie cierpi.

- Musimy do niego pojechać, choć to daleko - babcia westchnęła ciężko - jak tylko wróci Ola ze szkoły spakujemy kilka potrzebnych rzeczy i pójdziemy na dworzec. Zamówiłam już dla nas bilety.

- A Kajtek? - Rafał przytulił psa merdającego radośnie ogonem.

- Dziadek z nim zostanie. Tata chce zobaczyć ciebie i Olę. Bardzo prosił...

Rafał wzruszył ramionami. Co mu tam po życzeniu taty. Kajtek to co innego. Kochał go i łąził za nim krok w krok. A tata był daleko, może miał nawet swojego innego Kajtka albo innego Rafała i Olę. E, tam, nie warto sobie nim zawracać głowy. Tylko szkoda mamy i babci. Tak bardzo im smutno. Ale z drugiej strony podróż pociągiem może być naprawdę ciekawa. Rafał nigdy nie jechał koleją. A teraz taka frajda. Można się poświęcić temu nieznanemu ojcu w zamian za to inne, nieznanne, które czekało na niego gdzieś w świecie. Rafałowi zabłyśły oczy, ale zaraz odwrócił się od babci, żeby nie widziała jego radości. W końcu mama i babcia znały tatę, więc może dla nich to zupełnie inna historia?

Adam z trudnością przekręcił się na bok. Ból znów się odezwał z ogromną siłą. Trzeba było zacisnąć mocno zęby, żeby nie wydać z siebie żadnego jęku. Obok na łóżku pan Stanisław rozmawiał po cichu z żoną i córką. Przywieźli go tu dwa dni temu, też po samochodowym wypadku i od tego czasu ktoś z rodziny zawsze siedział przy jego łóżku. Teraz żona poprawiała mu pościel głaszcząc go delikatnie po policzku. Adam nie mógł patrzeć na te jej gesty czułości. On leżał od kilku dni zupełnie sam. Miał dużo czasu na myślenie, na wspomnienia, na rachunek sumienia.

- A ten pan nie ma dzieci? - usłyszał wczoraj głos tej małej przy sąsiednim łóżku - leży taki samotny. Musi być bardzo nieszczęśliwy.

- Cicho Agatko - żona pana Stanisława spojrzała na Adama spłoszonym wzrokiem - pewnie przyjdą jutro

Adam skurczył się od tego stwierdzenia. Coś w nim się złamało i zabolalo bardziej niż połamane ręce i nogi. Przed oczami stanęła mu Anna i dzieci. Boże! Jego syn pewnie poszedł już do szkoły a Ola to na pewno duża panna. Anna zapraszała go w tym roku na jej Pierwszą Komunię. Ale nie pojechał, bał się, że go zbyt chłodno przyjmą. Że nie wybaczą. Ale teraz, gdy ta mała tą jakąś dziecięcą intuicją odgadła jego samotność zatęsknił za domem, za swoimi, za tamtym szczęśliwym czasem. Dlatego wczoraj zadzwonił do teściowej, bo jego matka znów gdzieś wyfrunęła ze swoim nowym kochankiem a ojciec miał w głowie tylko świat książek i naukowych rozpraw. Powiedział o tym teściowej przez telefon, choć czuł się dziwnie upokorzony.

- Ma pan gości - pielęgniarka otworzyła szeroko drzwi wpuszczając do pokoju całą jego dawną gromadkę. Patrzył na nich leżąc nieruchomo jak na jakiś nierealny obraz zawieszony nagle na ścianie. Anna poważna, załęczniona. Ola przytulona do Anny sukienki i ten mały, z ciekawym spojrzeniem ogarniającym wszystko dokoła.

- Jesteś synku - teściowa usiadła na stojący przy łóżku taboret - jak się czujesz?

Nie odpowiedział. Chłonał ten widok jak gąbka zanurzona w wodzie. Serce łomotało mu w piersi o bolące żebra, ale chciał tego bólu i tego uczucia rozpierającego mu nie tylko serce ale i mózg w poczuciu jakiejś niewytłumaczonej wdzięczności komuś tam na górze.

- Za kilka tygodni mąż stanie na nogi - pielęgniarka uśmiechnęła się do Anny - potrzeba będzie jednak jeszcze rehabilitacja. Ale jak się ma taką kochającą rodzinę to wszystko się uda nieprawdaż?

Anna schyliła głowę, by ukryć napływające do oczu łzy.

- A Zofia? - szepnęła zaciskając palce na brzegu łóżka.

- Odeszła ode mnie dwa lata temu - usta Adama zrobiły się blade, jak jego twarz, tylko czerwona blizna na policzku nabrała krwistego wyglądu.

- Mogę odstąpić ci swój pokój, myślę, że Ola i Rafał przyjmą mnie do siebie na jakiś czas - teściowa złożyła ofertę tak spokojnie jakby ją nic nie kosztowała.

Adam poczuł jak jego ciało wciska się mocno w szpitalny materac. Pod powiekami zapiekło, jakby ktoś nasypał mu do oczu soli. Pokój teściowej był miejscem, którego zawsze unikał, z którego się naigrawał i śmiał. To było miejsce, gdzie matka jego żony odmawiała te swoje monotonne różańce i litanie zapatrzona w obrazy zawieszane na ścianie. Ba, do tego pokoju często zaglądała także Anna z Olą na rękach a później z tym małym w brzuchu, którego nigdy nie widział zauroczony swoją nową miłością i życiem bez zobowiązań i kłopotów. A teraz nagle zapragnął widoku tamtego pokoju, zapragnął klęknąć tam z nimi wszystkimi wpatrując się w twarz Jezusa modlącego się w Ogrójcu i prosić go o przebaczenie i pomoc.

- A ty, nie masz nic przeciwko temu? - zapytał z trudem wydobywając z gardła głos skierowany do żony - może już jest ktoś inny w twoim życiu.

- Przecież tobie przysięgałam...

Jak błyskawica stanął przed oczami Adama tamten dzień ślubu. Kościół, Goście. Biała sukienka i welon Anny. I to jej w niego zapatrzenie. I te jej słowa... że będzie kochać do samej śmierci. On, Adam nie dotrzymał obietnicy, on wszystko zniszczył, popsuł, zerwał więzi, które mu zaczęły uwierać, przeszkadzać. A teraz tęskni za nimi jak za niczym innym w życiu. I nie dlatego, że potrzebuje opieki, ale dlatego że nagle wszystko zrozumiał, że zapragnął tej właśnie rodziny, ich bliskości, miłości.

- A to jest nasza Ola i Rafał - westchnął jakoś inaczej, radośniej - może jeszcze uda mi się wszystko między nami naprawić? Chodź do mnie synku, chciałbym cię przytulić.

Rafał spojrzał z lękiem na mamę i babcię. Jego nogi zamieniły się nagle w dwa kawałki drewna. Tata był taki obcy, ale i jakiś taki żalony, chory, i chyba naprawdę próbuje się zaprzyjaźnić. Tylko, czemu te Rafałowe nogi nie chcą zrobić nawet jednego kroku, czemu w gardle zrobiło mu się nagle tak sucho jak na pustyni a jego ręka szuka pomocy w mokrej od potu dłoni siostry. I nic nie pomaga błagalne spojrzenie mamy ani łzy taty spływające mu po policzkach.

- Dajcie mu trochę czasu - szepnęła babcia i Rafał z westchnieniem ulgi rzucił się w jej kochane, ciepłe i bezpieczne ramiona...

Świąteczny prezent

Pieniążek, który dostała od babci był duży. Faustynka przyglądała mu się ze zmrużonymi oczami. Obramowany srebrnym otokiem i lśniący w środku złotą cyfrą przyjemnie układał się w dłoni. Faustynka zerknęła jeszcze w stronę kuchni skąd dochodził płacz Seweryna. Babcia nosiła go na rękach przygotowując jednocześnie zupkę w małym garnku na kuchni. Faustynka włożyła pieniążek delikatnie do ust.

Nagle w gardle zrobiło się jej dziwnie ciasno. Zakrztusiła się.

- Babciu! - zawołała trzepocząc rękami ale głos znikł jej gdzieś pomiędzy gardłem a ustami. Przerazona wstała z kanapy, gdzie od rana oglądała bajki i popędziła najszybciej jak mogła do kuchni.

Ewa uśmiechnęła się do następnego klienta. Wybiła na kasie cyfry, starając się zrobić to szybko i bez pomyłki. Kolejka była długa, jak zwykle w niedzielę. Tak jakby ludzie mieli wyznaczony tylko ten jeden dzień na większe zakupy. A jeszcze teraz przed świętami koszyki aż ugiwały się od towaru. Zupełny horror. Ręce sztywniały od tego ciągłego uderzania w klawiaturę i kręgosłup bolał od nieruchomego siedzenia przez kilka godzin w jednym miejscu. Ewa wydawała właśnie komuś resztę, gdy zadzwoniła komórka.

- Przyjedź natychmiast do szpitala! – matka krzyczała do słuchawki – Faustyna połknęła pięć złotych. Seweryna zostawiłam u sąsiadki a z nią jadę na Pogotowie.

Ewa zerwała się od kasy właśnie w momencie, gdy obok pojawił się kierownik.

- Muszę na chwilę wyjść - spojrzała na niego błagalnie składając ręce jak do modlitwy

- Zwariowałaś? Nie widzisz ile ludzi czeka w kolejce?

- Ale moja córka, ona się dusi!

Kierownik wzruszył ramionami. Jego twarz wyrażała zupełną ignorancję.

- Jak wyjdiesz teraz możesz już nie wracać – rzucił zza ramienia kierując się w stronę biura.
- Bardzo pani współczuję - kobieta wykładająca towar na ladę popatrzyła na nią z troską - na pewno w szpitalu córeczce pomogą - pocieszyła ją serdecznie.

Ewa skinęła głową, drżącymi palcami nacisnęła na kolejne cyfry, które pod powiekami układały się w sznur tańczących bezwładnie punkcików. Boże! Jak ciężko jest się uśmiechać, kłaniać, życzyć dobrego dnia i udanych zakupów gdy w sercu niepewność, strach i przerażenie. Ewa nachyliła głowę nad kasą ukrywając przed klientami łzy. Kierownik nawet za ten brak pogody na jej twarzy mógł zwolnić ją z pracy w każdej chwili. A ona sobie przecież na to nie mogła pozwolić...

- Co ci przyszło do głowy, żeby wkładać pieniędzy do buzi? - Ewa siedziała przy łóżku Faustynki trzymając ją za rękę. Mała była już spokojna. Bardzo się bała tego chirurgicznego zabiegu, choć lekarz znieczulił jej gardło i starał się wyciągnąć pieniądź bardzo delikatnie.
- Pomyślałam, że jak go połknę to wy z tatą zaraz przyjedziecie do mnie - mała rozplakała się gwałtownie - tak bardzo za wami ciągle tęsknię.
- Już dobrze - Ewa pogłaskała czule małą po włosach przerażona tym co usłyszała. Nigdy nie myślała, że jej córeczka czuła się taka samotna. Przecież zawsze, gdy Ewa szła do sklepu dziećmi opiekowała się babcia. Ona, Ewa, musiała pracować, bo na Witka od dawna nie mogła liczyć.
- A jednak pani uciekła? Widziałam jak pani zamawia taksówkę - kobieta w stroju pielęgniarki, która weszła na salę wydała się Ewie dziwnie znajoma. No tak, to przecież ta klientka, która ją pocieszała przy kasie. Ewa uśmiechnęła się do niej ciepło.
- Musiałam - odpowiedziała pewnie - nie mogłam dłużej tam być, gdy moje dziecko tak bardzo mnie potrzebowało.
- Rozumiem - pielęgniarka westchnęła ciężko, ale zaraz jej twarz rozjaśnił uśmiech - bo widzi pani, właśnie się dowiedziałam, że u nas w szpitalu szukają nowej salowej, więc gdyby pani zdążyła...

Ewa popatrzyła na nią niepewnie. To byłby najwspanialszy świąteczny prezent, tylko, że Faustyna z Sewerynem znów musieliby zostawać w domu z babcią. Pewnie także w niedzielę.

- Niech się pani nie martwi - pielęgniarka zauważyła wahanie Ewy - nasz dyrektor to dobry człowiek. Bardzo kocha dzieci. Sam ma ich piątkę, więc na pewno ustawi pani godziny tak, by jak najwięcej mogła pani przebywać z nimi w domu...

Cisza

Grażyna wyszła z przedszkola oburzona. Czy ta nauczycielka całkiem oszalała? Żeby organizować wycieczkę z dziećmi w niedzielę? I to do jakiegoś zabitego dechami wiejskiego gospodarstwa? Właśnie teraz, kiedy w domu jest tyle sprzątanina i przygotowywania do świąt? I kiedy sklepy kuszą promocjami, prezentami, świątecznymi gadżetami?

- Co pani o tym sądzi? - zapytała idącą obok kobietę, chyba mamę tej długowłosej Zuzi o której jej Leoś tak często opowiadał

- O tym wyjeździe do Dwórzna? - upewniła się tamta.
- No, tak - Grażyna potrząsnęła ze zdenerwowania głową - zupełnie mi się ten pomysł nie podoba. Niedziela to czas na rodzinę, na wspólne zakupy, rozmowy, obiad na mieście. Przedszkolne wycieczki powinno się organizować w czasie godzin pobytu dziecka w placówce.

Mama Zuzi przyjrzała się Grażynie uważnie. Chyba widziała tę kobietę na zebraniu po raz pierwszy. Może dlatego tamta nie wie, że to rodzice właśnie zaproponowali taki a nie inny termin.

- Wie pani - postanowiła ją uświadomić - w ciągu tygodnia właśnie rodzice nie mają czasu, a to ma być wspólny wypad na wieś. Ale jeśli komuś nie pasuje, to przecież przymusu nie ma - uśmiechnęła się jakoś tak przepraszająco, jakby to ona była winna temu, że Grażyna ma inny pomysł na spędzenie niedzieli z bliskimi.
- No właśnie - mruknęła wciąż niezadowolona Grażyna - już ja tam wolę zakupy. Leoś też. Teraz, gdy w sklepach tyle światła, muzyki, zabawek to dla nas istny raj. Więc trzeba korzystać ile się da. Bo nie uważa pani, że to najpiękniejszy czas w całym roku? Nigdy nie jest tak kolorowo, bogato i błyszcząco jak przed Bożym Narodzeniem. No i nigdy nie dostaje się tyle prezentów, nieprawdaż?

Mama Zuzi popatrzyła na Grażynę dziwnym wzrokiem. Jakby patrzyła na małą rozpieszczoną dziewczynkę a nie na dorosłą, dojrzałą kobietę.

- Proszę sobie jeszcze raz to przemyśleć - zachęciła ją jednak - Leoś na pewno by się bardzo ucieszył. Zuzia mówiła, że on bardzo lubi zwierzęta. A tam będzie ich kilka.
- Leoś ma całe pudło zwierząt - Grażyna podniosła zrozumiale głowę - więc po co ma się nudzić gdzieś na odludziu?

Mama Zuzi nic nie opowiedziała. Zrozumiała, że nie było sensu ciągnąć dalej tej całej, nic nie znaczącej rozmowy...

- Jacek, uspokój go! - Grażyna cała spocona biegła za synem szalejącym pomiędzy sklepowymi półkami.

No cóż. Leoś był bardzo żywym dzieckiem i trudno było go utrzymać w ryzach. Grażyna musiała mieć oczy szeroko otwarte, bo Leoś co chwila zdejmował coś z półek i wrzucał do koszyka, chociaż umówili się na jedną,

ewentualnie dwie zabawki. Trudno było z takim rozbrykanym dzieckiem szukać czegoś dla siebie i domu. Grażyna w tym roku chciała zmienić wystrój stołowego pokoju. Pomyślała o błękitnych girlandach i złoto-niebieskich świecach. Przydałaby się też siwozielona choinka sięgająca sufitu i bombki ręcznie malowane, hit ostatniego sezonu. Krystynę szlag trafił jak zobaczył te bajery u niej na Wigilię. Ją nigdy stać nie będzie na taką dekorację. Zresztą, nawet gdyby miała pieniądze to i tak nie potrafiłaby tak jak Grażyna gustownie urządzić mieszkania.

- Jacek! - Grażyna potrząsnęła męża za rękaw - czy ty nie widzisz, że Leoś jeździ wózkiem ludziom po nogach?
- Grażyna stanęła bezradnie rozkładając ręce.

- Trzeba było go nie brać - mąż udawał, że nie widzi złych spojrzeń klientów. Przed świętami sklepy pękały w szwach i trudno było się bezpiecznie wymijać.

- Zobacz! - Grażyna już zapomniiała o swoim zdenerwowaniu - jaki śliczny obrus. Cały w Aniołkach. Chyba go wezmę.

Mąż przemilczał tę radosną uwagę. Przyzwyczajony był do kaprysów żony i wiedział, że w takich chwilach lepiej się nie odzywać. Zakupy to była dla Grażyny świętość i jeśli nie chciał nagłej burzy i tygodnia złowrogiej ciszy to lepiej żeby się godził na jej zachcianki.

- Leoś! - głos Grażyny przerwał rozmyślenia Jacka - w tej chwili odłóż ten samochód. Jak będziesz grzeczny może przyniesie ci go Mikołaj, Zobacz, masz już składanego robota, resorka i zestaw małego konstruktora. Wystarczy.

- Ale ja chcę ten wóz strażacki. Muszę go mieć, naprawdę - chłopiec zacisnął palce na aucie nie dając sobie odebrać wybranej zabawki - Dominik też ma taki, nie chcę być od niego gorszy!

- Połóż go na miejsce - Jacek przyłączył się do nakazu żony - słyszysz, co powiedziała mama? Na dziś już wyczerpałeś swój limit. Po prostu na więcej nie mamy pieniędzy.

- To niech mama odłoży obrus - mały zastosował szantaż - wtedy starczy na ten samochód.

Grażynę nagle opanowały jakieś dziwne emocje. Poczzerwieniała cała, zmarszczyła groźnie brwi.

- Ty głupi szczeniaku! Mamie będziesz warunki stawiał? Mamie dyktował co ma kupić? Jazda, kładź ten samochód bo pożałujesz.

Ale mały ani myślał jej słuchać. Przycisnął auto do piersi a potem rzucił się na ziemię waląc nogami o płytki.

- Przestań! - Jacek próbował podnieść synka z posadzki, ale mały zaparł się, zrobił się ciężki jak słoń a jednocześnie gibki jak wąż. Nie było jak unieść go do góry.

- Ratunku, oni mnie biją - jego krzyk był tak przeraźliwy i jednocześnie wiarygodny, że wokół zebrała się gromadka ludzi.

- Może by wezwać Policję - zaproponował jakiś staruszek wrażliwy na dziecięce łzy.

- Że też są jeszcze tacy despotyczni rodzice - przytaknął jeszcze ktoś inny - łatwo wyżywać się na słabszym, zwłaszcza na dziecku. Że też na takich kary nie ma!

Grażyna poczerwieniała jeszcze bardziej. Ale przecież nie powinna reagować na te głupie gadanie wokół. Pani psycholog do której chodziła z Leosiem kategorycznie zabroniła słuchać opinii innych i przeczekać szał synka. Tylko, że wokół nich zbierał się tłumek a Leoś krzyczał i tupał nogami coraz bardziej. I jakoś wszystkie wskazówki i nakazy pani psycholog przestały mieć istotne znaczenie. Grażyna czuła, że jeśli teraz synkowi nie ustąpi to w sklepie wybuchnie awaria. Zanim się z niej wytłumaczy straci mnóstwo nerwów i czasu.

I wtedy przyszedł jej na ratunek telefon.

- Przepraszam, że dzwonię - Grażyna z trudem rozpoznała głos nauczycielki z przedszkola - ale za chwilę wyjeżdżamy do Dwórzna i nie wiemy czy czekać na państwa, bo nie zgłosiła pani swojego udziału.

Grażyna przez moment nie wiedziała o co chodzi. A później nagle ją oślnięło. Leoś cały tydzień marudził o tej wycieczce na wieś, błagał ich wręcz żeby z nim tam pojechali, ale oni woleli supermarket. Więc może to byłby jakiś argument. Grażyna nachyliła się nad Leosiem.

- Dzwoni twoja pani - szepnęła mu na ucho - jeśli odłożysz strażaka pojedziemy z dziećmi na wieś.

Mały zastygł z wrażenia. A później grzecznie wstał z podłogi i uśmiechając się promiennie odłożył strażacki wóz na swoje miejsce. Ludzie zaczęli rozchodzić się rozczarowani, że oczekiwana sensacja umknęła im sprzed nosa.

- Proszę na nas poczekać - rzuciła Grażyna do telefonu - za dziesięć minut będziemy...

Siedzieli przy ognisku rozpalonym na leśnej polanie. Drzewne szczapy trzeszczały lizane językami ognia. Poza nimi wokół panowała cisza. Dzieci zmęczone zabawą z owieczkami, kozami i kucykami czekały cierpliwie na kielbaski nadziane na leszczynowe kijki trzymane przez starszych nad żarem. Grażyna wyciągnęła zmęczone nogi i oparła głowę o ramię Jacka. Wszyscy rodzice zasłuchali się tak jak oni w ostatnie odgłosy lasu. Robiło się późno. Gdzieś na niebie pojawiła się pierwsza gwiazda. Z głębi lasu odezwał się puchacz. Grażyna przymknęła oczy. Czuła się taka odprężona i spokojna. Leoś, który zazwyczaj sprawiał tyle kłopotów, tu zachowywał się idealnie. Zachwycony kontaktem ze zwierzętami, zarumieniony od zimna i wrażeń siedział przytulony do niej jak jeszcze nigdy w życiu.

Grażyna myliła się, że pudło plastikowych zwierząt zastąpi mu choćby jedno, prawdziwe. Jak tylko mały zobaczył te wszystkie wiejskie zwierzątka nie odstępował ich na krok. Zwłaszcza upodobał sobie małego baranka.

Głaskał jego wełniane boki, tulił kędzierzawy łeb, całował okrągłe uszy. Z trudem rozstawał się z nimi, gdy pani Jadwiga, babcia jednej dziewczynki z Leosia grupy zamknęła je na noc w obejściu. A Leoś zawsze taki żywy, ruchliwy, głośny, tu, na tym „odludziu” był taki łagodny i cichy jak ten wcześniej tulony przez niego baranek.

Cud. To był naprawdę cud. Bez psychologa, bez kar, bez obietnic. Grażyna po raz pierwszy od wielu miesięcy po prostu mogła normalnie wypocząć i po raz pierwszy wolny czas spędzony z mężem i synem sprawił jej ogromna radość.

- Mamuś, zobacz jak tu pięknie - Leoś westchnął błogo unosząc twarz ku górze. Podążyła za jego wzrokiem obejmując spojrzeniem choinki ubrane w białe śnieżne czapy, srebrzysty pył unoszący się na ogniskiem, jasne niebo usłane milionami gwiazd. Choćby nie wiem jak się starała, choćby nie wiem jak ślicznie próbowała udekorować swój dom nigdy nie miałby w sobie uroku tego miejsca i tej chwili.

- Jak tu cicho - szepnęła siedząca obok niej mama Zuzi - w takiej ciszy musiał się chyba narodzić Jezus.

Grażyna zdziwiła się słowom sąsiadki, ale nie odpowiedziała nic. Może, dlatego, że sama poczuła coś takiego, co trudno było nazwać, a co ją jakoś zaskoczyło. I nagle zrozumiała, że te zakupy, ta przedświąteczna bieganina wypadły jakoś blado przy tym wspólnym siedzeniu przy ognisku i ciszy, która delikatnie owinęła się jej wokół serca.

- Mamuś, już możemy jeść kielbaski! - Leoś wyjął jej z rąk patyk.

I nagle leśna polana rozbrzmiała gwarem i śmiechem. Usmażone kielbaski smakowały wybornie, dzieciaki odżyły, zaczęły baraszkować na śniegu. Ktoś tam zawołał - „lepimy bałwana!”. Ktoś inny odczepił przywiązane do drzew sanki. Pewnie jeszcze pobędą tu bawiąc się wspólnie jakiś czas. Grażyna uśmiechnęła się błogo. To był fantastyczny pomysł by zorganizować tę wspólną wycieczkę tu właśnie. Wszystko jej się podobało, i te zwierzęta w wiejskim gospodarstwie, i ośnieżone choinki, i granatowe rozgwieżdżone niebo i zapach smażonych kielbasek i ciepło płynące od ogniska. Ale najbardziej zachwyciła ją ta cisza, z którą po raz pierwszy wkradło się piękno inne niż to płynące z rozświetlonych ulic, sklepów i domów.

- Mamuś, przyjedziemy to jeszcze? - Leoś patrzył na nią roziskrzonymi oczami.

Skinęła głową czując w gardle dziwną kluchę. Jacek ogarnął ją mocniej swoim ramieniem. On też był wzruszony tym wieczorem i łzami, które nagle pojawiły się w jej oczach, bo jeszcze nigdy dotąd nie widział w nich naraz, tylu mieniących się złotem gwiazd....

Dobrze, że jesteś!

Hanna nerwowo popatrzyła na zegarek. Właśnie zbliżała się szesnasta a Stefan ani myślał szykować się do pracy.

- Rusz się wreszcie - ponagliła męża z niepokojem w oczach.

- Nie będę niczym niewolnikiem - burknął rozpierając się jeszcze bardziej na kanapie - pójdę o której będę chciał!

- Czyś ty oszalał? - Hanna stanęła na przeciw męża w pozycji nie wróżącej nic dobrego - Antek płaszczył się przed dyrektorem, żeby cię tylko przyjął na to stróżowanie a ty teraz fochy stroisz?

- Wielka mi praca! - Stefan splunął pogardliwie prosto pod jej nogi. Hannę poniosło.

- To ja tu nie wiem, w co ręce najpierw włożyć a tobie i ta praca nie pasuje? Znów chcesz bąki zbijać? Z koleżkami pod sklepem stać?

- Ile mi jeszcze będziesz brzęczeć nad uchem? - Stefan machnął ze zniecierpliwienia ręką - sama idź pilnować po nocach tych Banaszka samochodów. A skoro twój braciszek tak się o mnie martwi to niech mi lepszej pracy poszuka. Nie jestem głupszy od niego.

- Głupszy to może i nie - Hanna sapnęła gniewnie - tylko, co ty tak naprawdę umiesz? Chyba tylko przed telewizorem siedzieć, do lodówki zaglądać.

- Gdybym chciał to bym miał forsy jak lodu - prychnął jak rozłoszczony kocur.

- To czemu nie chcesz!?! - Hanna nie potrafiła opanować krzyku - czemu się czymś pożytecznym nie zajmiesz? Na budowie praca zła, bo za ciężko. Jurkiewicz chciał, żebyś mu płytki koło domu położył to ci wstyd, że cię będą palcami wytykać. U Strusia na wyrębie lasu tylko dwa dni wytrzymałeś!

- Nie wrzeszcz tak, bo nie wiem, co zrobić... - Stefan czuł jak mu rośnie ciśnienie.

- No co? - nie bała się go odkąd zamieszkali u rodziców - znów sobie wyjedziesz w świat szczęścia szukać? Proszę bardzo. Jedź, gdzie cię oczy poniosą. Przynajmniej będę miała o jedną gębę mniej do wykarmienia. Tego było już za wiele. Stefan wykrzywił usta ze złości, zerwał się z kanapy, chwycił żonę za przeguby dłoni.

- Puść! - jęknęła z bólu zginając kolana - puść bo zawołam Antka.

- Dziś to ci nawet Antek nie pomoże – syknął ogarnięty dziwnym amokiem. Uniósł do góry rękę, zamierzył się nią gwałtownie.

- Tato nie bij! - przeraźliwy krzyk powstrzymał go od uderzenia. Odwrócił się w kierunku skąd doszedł go głos. I wtedy zobaczył cztery pary przestraszonych oczu. Dzieciaki jadły właśnie obiad, ale zawsze dziwnie cichy gdy w domu zaczynała się awantura. A teraz ktoś się z tej ciszy wyłamał. Stefan zmarszczył gniewnie czoło.

- Tato, proszę cię - to był głos Jaśka. Chłopiec podbiegł do ojca, chwycił go za brzeg koszuli. Jego zwykle blada nabrała teraz niezdrowych rumieńców. Stefanem zatrzęsło.

- Zostaw, smarkaczu! - zachnął się wyrывая się małemu z uchwytu. Przez pokój przeszedł cichy chrzęst dartego materiału. Jasiak skulił ramiona chowając za siebie kawał podartego rękawa.

- Przeklęty dom! Głupie dzieciaki! - Stefan był wściekły, ale powstrzymał się przed rękoczynami. Splunął tylko za siebie, zdjął z wieszaka czapkę i naciągnawszy ją na uszy wybiegł jak oszalały z domu...

Jasiak nie mógł jeść, choć pierogi mamy pachniały tak apetycznie, że ślina sama płynęła do ust. Ale co ugryzł kawałek to mu ciasto stawało w gardle jak twarda, gruba klucha i nijak było ją połknąć.

- No jedz synku, jedz - zachęcała go mama czujnie obserwując jego zachowanie przy stole.

Czuł, że się martwi o niego, słyszał kiedyś jak mówiła do wujka Antka, że nerwowo się przez ojca zrobił, że strachliwy, do nauki nieskory i taki płaczliwy jak baba. A to on właśnie dziś stanął w jej obronie, przeszkodził ojcu w awanturze. W końcu jest najstarszy, więc musi przestać się bać, musi zacisnąć ręce i nie pozwolić tacie na te wszystkie kłótnie, wyzwiska, szamotanie się z mamą. Tylko, że to trudne takie. Bo przecież kochał ojca i nie chciał z nim walczyć. Chciał, żeby ojciec zrozumiał, żeby się zmienił, żeby wiedział, że jest im potrzebny. Bo wciąż miał wrażenie, że tata po prostu o tym nie wie, że się nie domyśla, że nie umie być normalnym kochającym ojcem.

- Nie idzie ci dziś jedzenie - mama pokręciła z niezadowoleniem głową zbierając ze stołu talerze. Młodsze rodzeństwo syte i wesołe ruszyło do swoich zabawek. W kuchni zrobiło się na moment cicho i spokojnie. Jasiak oparł głowę na rękach Tata już pewno do nich nie wróci. Zły jest chyba i na Jaśka. Myśli, że Jasiak go już nie kocha, że mu na nim nie zależy. Jasiak poczuł jak do oczu napływają mu łzy. Powinien był ojcu wszystko wyjaśnić, powinien go przeprosić, ale tata wybiegł z domu tak szybko i był taki wzburzony. Jaśkowi nagle zrobiło się go strasznie żal. I strasznie, ale to strasznie chciał się z nim natychmiast zobaczyć.

- Muszę do Krzyśka po zeszyt - skłamał wstając nagle od stołu - zapomniałem co było zadane.

- Leć, tylko wracaj prędko, przypilnujesz dzieci - mama uśmiechnęła się do niego cieplej niż zwykle - obiecałam Marczakowej, że zrobię jej zakupy i pani Stasia czeka na obiad.

Skinął potakująco głową. Mama chwyciła się każdej pracy, więc musiał jej jakoś pomagać. Szkoda, że tata tego nie rozumiał. Przecież był silny i zdrowy. Tylko, że on szukał nie wiadomo czego. A to nie wiadomo co wciąż wymykało mu się z rąk, jak choćby teraz ta praca u Banaszka. Ale może tata kiedyś zmądrzeje, może zrozumie, że najważniejsze wcale nie musi być daleko i że nie warto szukać po świecie tego co w zasięgu rąk i serca.

Szedł ulicą chwiejąc się na boki. Jóźwiak się trochę wymigiwał przed przynoszeniem mu nowych butelek piwa, ale gdy powiedział mu, że pracuje u Banaszka i że za kilka dni ma wypłatę ten z uśmiechem otworzył mu nowe „konto” w swoim zeszycie. W porządku ten Jóźwiak. Czasem pomarudzi, ale przecież o swoje musi dbać. Stefan też by dbał, gdyby miał własny interes. Ale jemu to zawsze było pod górkę. Nic mu w życiu nie wychodziło. Taki Antek na przykład otworzył sklep z częściami samochodowymi. Stefan chciał, żeby go do spółki przyjął a on, że nie, że takich obiboków nie potrzebuje. I jeszcze powiedział, że gdyby nie był mężem Hanki to by go dłużej, darmożjada, pod jednym dachem nie trzymał.

A co Stefan na to poradzi, że dusza u niego cygańska, że w jednym miejscu dłużej usiedzieć nie może, tymbardziej, że przy żonie i dzieciach żadnych perspektyw nie ma. Własna firma to inaczej brzmi i możliwości wiele. Ech, wszystko jest nie tak. I Hanka taka jakoś ostatnio pyskata. Za nic go ma. A przecież mężem jej jest a nie jakimś popychadłem. Dyktować mu nie będzie, co ma robić. Najlepiej będzie jak znów wyjedzie, Może mu się w końcu gdzieś poszczęści.

Stefan zatrzymał się na chwilę, w głowie mu się kręciło jak jeszcze nigdy dotąd. Jednak za dużo dziś wypił. To przez tych dwóch facetów, którzy przysiedli się do niego do stolika. Wódkę mieli ze sobą i rozlewali ja sobie po kryjomu do kufli po piwie. Jemu Stefanowi także wlewali raz po raz. Stefan ich nie znał, ale musieli być stąd, bo wiedzieli wszystko o Banaszku, ile ma samochodów, jak nazywają się kierowcy i że on Stefan tam stróżuje.

Wódka była dobra, swojska, szczypała w gardło jak pieprz, ale w żołądku rozplýwała się przyjemnym ciepłem. Powiedzieli, że mają jej więcej i że jak Stefan chce to mu przyniosą wieczorem na plac jak stróżować będzie. Tanio. Za kilka złotych I jeszcze mu dali jedną flaszkę na drogę, tak dla kurażu - powiedzieli. Rzadko się zdarza taka szczerość i przyjaźń od pierwszego wejrzenia.

Stefan zatrzymał się na chwilę. Oparł się o jakiś płot. W głowie mu znów porządnie zawirowało.

- Jeszcze jeden łyczek - pomyślał łakomie sięgając do butelki. A później powlókł się w kierunku zakładu Banaszka. Niech Hanka nie myśli, że on się swojej pracy wstydzi. Ale będzie pracować tylko wtedy kiedy to jemu, a nie jej, się zachce...

Jasiak był już bardzo zmęczony. Biegał po mieście najszybciej jak mógł, ale nigdzie nie spotkał ojca. Ani na dworcu, z którego odjechał już ostatni pociąg i żaden kolejarz nie wiedział, żeby ojciec wsiadał do jakiegoś wagonu.

Ani na wylocie dróg do Jaworzni i Sumark skąd najczęściej można było się zabrać „okazją”, ani na ulicach przy których stały restauracje i bary goszczące nieraz tatę, gdy udało mu się zarobić kilka groszy. Jasiek zwątpił już czy w ogóle jeszcze tatę zobaczy. I dlatego serce mu biło jak oszalałe ze strachu, że tata już na zawsze się na niego obraził i że już nigdy nie odezwie się do niego żadnym słowem. Nagle znalazł się przy barze Józwiaka. Ojciec lubił także i tu bywać, więc Jasiek otworzył drzwi, ale w środku już nikogo nie było. Tylko barman zamiatał podłogę i ustawiał krzesła.

- Ojca szukasz mały - zapytał przyglądając mu się ze smutkiem - poszedł już do pracy. Słyszałem jak tu z jakimiś obcymi gadał, że nockę ma. Ale może trzeba tam do niego zajrzeć. Na nogach ledwo się trzymał.

Jasiek poczerwieniał jak burak. Zawsze się wstydził ojca gdy ktoś o nim tak mówił. Dlatego nie odezwał się już ani słowem tylko wykręcił się na pięcie i ruszył do wyjścia. Tam, na zewnątrz pomyśli, co ma dalej zrobić. Bo przecież coś zrobić musi, to pewne...

Stefan leżał na materacu w rogu stróżówki. Czuł się okropnie. W głowie zalegał mu jakiś ciężki kamień, ręce i nogi drżały jak w gorączce a żołądkiem targały bolesne skurcze. Co chwila zapadał w jakiś dziwny, pełen majaków sen, by za chwilę obudzić z tym potwornym bólem żołądka. „To przez tę wódkę” - pomyślał w chwilach względnej przytomności. Wypił tę flaszkę, którą podarowali mu tamci i jeszcze rozpoczął tę, którą mu przynieśli tutaj. Byli tacy mili, serdeczni. Wpuścił ich, bo chcieli sobie z nim trochę pogadać. Później jakoś znikli. Może nie chcieli mu przeszkadzać, gdy powieki zaczęły mu się zamykać, mimo, że starał się nie spać. Stefan spróbował się podnieść. Żołądek podszedł mu do gardła i wiedział, że jeśli za chwilę nie wyjdzie na zewnątrz to ubrudzi całe swoje posłanie. Z rękami przy ustach zaczął się czołgać ku drzwiom. Drzwi nie były całkiem zamknięte, więc pchnął je głową zachłystując się rześkim nocnym powietrzem.

- O Boże! - jęknął czując jak wszystkie wnętrzności zaczęły mu przewracać się w brzuchu. I jak torsje pozwalają mu się oczyścić z tego, czego miał nadmiar w sobie. Za chwilę poczuł ogromną ulgę. Położył się na plecach. Niebo było usiane milionami gwiazd. Dokoła było cicho i pięknie. I nagle usłyszał czyjś głos.

- Uważaj, bo przelejesz!

Zastygł w bezruchu, nastawił uważnie uszu. Od razu jakoś wytrzeźwiał.

- Nie przeleję, to już ostatnia bańka. Paliwo śliczne jak ta lala.

Stefan nie mógł uwierzyć. Te głosy dochodziły go gdzieś z pomiędzy samochodów. I były mu dziwnie znajome. Położył się z powrotem na brzuchu i podczołgał w ich kierunku. I nagle jego oczom ukazał się zaskakujący obraz. Dwóch mężczyzn o znajomych mu sylwetkach stało przy jednym z samochodów z kanistrem w ręku.

- Boże! Przecież oni kradną paliwo! - pomyślał przerażony, że tak łatwo dał się nabrać na ich grzeczne słówka. Zaczął nerwowo szukać po kieszeniach telefonu.

- Zostawcie to! - zawołał tak głośno na ile starczyło mu siły.

Usłyszeli go. Zawahali się. Zrobili kilka kroków w jego kierunku.

- Dogadajmy się - krzyknął jeden z nich.

- Nie jestem złodziejem - zawołał - zaraz wezwę policję.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Po chwili tamci zaczęli szeptać pomiędzy sobą. Podeszli do niego bliżej.

- Nie ryzykuj, na takich jak ty mamy różne sposoby.

- Nie boję się was - powiedział odważnie choć nogi mi drżały jak osika. Wystukał numer na telefonie. Nie zdążył jednak nic powiedzieć, bo nagle jeden z nich zaczął rozlewać benzynę. W rękach drugiego zabłyśnięcie płomienia zapalki.

Przestraszył się, rzucił się do ucieczki, ale potknął się o jakiś wystający z ziemi korzeń i runął na trawę jak długi czując jak wokół ogrania go gorąco i nieprzenikniona ciemność...

Okrążyli go kołem jak jakiegoś bohatera.

- Dziękuję panu raz jeszcze - Banaszak ścisnął rękę Stefana w geście największej wdzięczności - ci złodzieje grasowali nie tylko u mnie. Teraz za wszystko zapłacą. A pan... pan... - właściciel ciężarówek szukał właściwego słowa - pan to już ma u mnie etat na całe życie i to nie jako stróż ale jako kierownik, brygadzysta.

- E tam! - Stefan uśmiechnął się skromnie, choć widać było, że propozycja Banaszaka sprawiła mu ogromną radość. Jeszcze całkiem nie doszedł do zdrowia, ale poparzenia nie były takie rozległe więc była nadzieja, że za kilka tygodni rzeczywiście będzie mógł podjąć się nowej pracy.

- Gdyby nie Jasiek i Antek to nie wiem, jak by się to wszystko skończyło - dodał patrząc na swych wybawców z dziwną u niego łagodnością.

Jasiek poczerwieniał z dumy. Może też trochę czuł się takim bohaterem jak tata? Choć wtedy, w tamtą tragiczną noc wcale tak nie myślał. Zły był na tatę, że tak się upił i że poszedł w takim stanie do pracy. Ale jak zawsze martwił się o niego. Dlatego pobiegł do wujka, żeby go prosić o pomoc, choć wiedział, jak bardzo wujek taty nie lubi. Ale przekonał go, uprosił, ubłagał prawie. Poszli później we dwójkę przez uśpione miasto w nadziei, że nic złego się nie stało.

- Pośpieszmy się proszę! - Jasiek był jednak niespokojny, jakby ktoś mu szeptał do ucha, że tam na skraju miasta dzieje się coś złego.

Byli właśnie przy bramie gdy zobaczyli ogień. Przestraszyli się, wpadli na samochodowy plac ogarnięci paniką. Wtedy zobaczyli postać mężczyzny zamienioną w ognistą pochodnię biegnącą w ich kierunku. Od razu poznali, że to tata. Wujek natychmiast zdjął z siebie kurtkę i rzucił się na niego przygniatając go do ziemi. To uratowało mu nie tylko życie ale ustrzegło przed mocniejszym poparzeniem. Jasiek westchnął ciężko. Nie chciał o tym już myśleć ale obraz płonącego taty pojawiał się w jego głowie bardzo często.

- No to co? - Banaszak jeszcze raz uściśnął dłoń taty - czekam na pana jak tylko pan wydobrzeje.

- Oczywiście - uśmiechnął się tata i spojrzał na mamę. W tym jego spojrzeniu Jasiek dostrzegł coś czego nigdy u taty nie widział. Jakieś takie ciepło, coś co rozjaśniało jego oczy jakimś dziwnym światłem. Podeszedł więc do niego i pogłaskał go delikatnie po obandażowanej dłoni. I wtedy tata przeniósł spojrzenie z mamy na niego.

- Dobrze, że jesteś - powiedział patrząc mu głęboko w oczy. I Jasiek po raz pierwszy poczuł jak słowa taty zapadają mu głęboko w serce i po raz pierwszy doświadczył tego, czym jest prawdziwa synowko-ojcowska więź...

Nowe wyzwanie

Telefon odezwał się tuż przed trzecią.

- Pamiętasz o bilardzie? - głos Szymona był jak zwykle zasadniczy.

- To dziś? - Karol podniósł z biurka kalendarz - masz rację, będę punktualnie - uśmiechnął się przez słuchawkę do kolegi. Uwielbiał te męskie spotkania, sportową rywalizację i adrenalinę, która wyzwalała w nim niezwykle emocje.

- Basiu! - zadzwonił jeszcze do żony - dziś wrócę później. Umówiłem się z Szymonem na bilard.

Po drugiej stronie rozległo się ciężkie westchnienie

- Przecież startujemy dziś w przedszkolu w rodzinnych zawodach. Kacper tak się cieszył że choć raz będziesz z nami.

- To może Jacek? - zaproponował natychmiast Karol.

Chrzestny Kacpra był zawsze chętny do pomocy. Często wpadał do nich na kawę i żeby się dowiedzieć, co słychać u bratanka. Zazwyczaj jednak rozmawiał z Basią, bo Karol miał jakieś inne zajęcia do wykonania. Uważał, że małżeństwo nie może przekreślać jego kawalerskich pasji. Zresztą uprzedził Basię przed ślubem, że nigdy nie zrezygnuje z bilarda ani koszykówki. No i z wielu innych przyjemności do których był od dawna przyzwyczajony. Gdyby żona nie uparła się na dziecko też mogłaby robić to co lubi a tak skazała się na dom, pieluchy, a teraz na te wszystkie przedszkolne imprezy. Coś takiego w czym Jacek czuł się dużo lepiej od niego. I w czym doskonale umiał go zastąpić.

- Ale Kacper wołałby, żebyś to był ty...

- Może następnym razem - Karol udał, że nie słyszy żalu w głosie żony.

Wyłączyła telefon. Wiedziała, że dalsza rozmowa z mężem nie miała sensu. Jak zwykle nie mogła liczyć na Karola. Jej mąż wciąż zachowywał się jak mały chłopiec, który nie dojrzał do ojcostwa a ona wciąż nie umiała i nie chciała się z tym pogodzić.

Wracał z klubu szczęśliwy i wniebowzięty. Po raz kolejny wygrał z Szymonem i to sprawiało mu ogromną satysfakcję. Spojrzał na zegarek, nie było jeszcze tak wcale późno. Gdyby się pośpieszył mógłby jeszcze zdążyć na końcówkę tych zawodów Kacpra. Trochę mu głupio było, że znów zawiódł syna, ale mały zrozumie, zawsze przecież rozumiał.

Wrzawę dobiegającą z przedszkolnego boiska usłyszał z daleka. Zawody rzeczywiście jeszcze trwały. Właśnie kilka rodzinnych drużyn pokonywało tor przeszkód. Karol stanął za plecami zebranych wokół boiska kibiców. Poszukał wzrokiem żony. Była, biegła razem z Jackiem i Kacprem. Boże, jak oni pędzą. Kacper też, jest chyba najszybszy z wszystkich dzieci. To niesamowite. Jeśli się nic nie stanie będą pierwsi na mecie.

- To jest moja żona i mój syn - zawołał podekscytowany do jakiejś kobiety, która stała obok niego.

Nieznajoma popatrzyła na niego podejrzliwie.

- Nigdy tu pana nie widziałam - zdziwiła się - zresztą wszyscy tatusiowie startują razem z dziećmi.

- Ale to jest naprawdę moja rodzina - powtórzył głośniejszym głosem jakby chciał ją usilnie przekonać, że to prawda.

Kobieta nadal była nieufna, ale zaraz wszystko się wyjaśniło, bo do Karola podbiegła Basia z Kacprem.

- Jednak przyszedłeś - ucieszyła się żona.

- Spisaliście się świetnie - odwzajemnił jej promienny uśmiech - a z ciebie synu jestem naprawdę bardzo dumny.

Mały wyprostował plecy, uniósł głowę do góry. W jego oczach rozbłysło jakieś niesamowite światło.

- Co tu tak stoicie? - Jacek podbiegł do nich wymachując rękoma - przecież za chwilę wyścigi w workach. Musimy je też wygrać.

- Tato! - Kacper popatrzył na ojca z nadzieją - może teraz ty pobiegiesz z nami?

Karol nie spodziewał się takiej propozycji. Zmieszał się nagle, przestąpił niecierpliwie z nogi na nogę. Oczywiście chciał jak zwykle odmówić, ale nagle natrafił na kpiące spojrzenie kobiety stojącej obok. Poczuł jak jego twarz oblewa krwisty rumieniec.

- Jasne - odpowiedział omijając ją wzrokiem, czując jednocześnie jak pot spływa mu po plecach. Zupełnie nie wiedział czy podoła nowemu wyzwaniu, ale właśnie Kacper z żoną pociągnęli go ku linii startu i było za późno, by się ze swej pochoptnej decyzji wycofać...

Falszywy alarm

Tłok na korytarzu był taki duży, że Malwinka ściśnięta pomiędzy zebranymi tu ludźmi ledwie mogła złapać powietrze. Nie lubiła tu przychodzić, ale mama mówiła, że gdyby nie pomoc tych pań z Opieki Społecznej nie miałaby pieniędzy na jedzenie. Mama była cała spocona, bo Grześ na rękach mamy wciąż się wiercił i płakał a Adusia co chwila gdzieś zniknęła i mama kazała Malwinie jej lepiej pilnować.

Nagle jedne z drzwi otworzyły się i pokazała się w nich jakaś pani.

- Proszę pani Donaj – skinęła ręką na mamę – niech pani wejdzie pierwsza

Malwinka odetchnęła z ulgą. Weszła za mamą do pokoju, w którym urzędowała tamta pani. Ścisnęła mocno rączkę Adusi.

- A pani znowu w ciąży - kobieta popatrzyła na mamę krzywiąc z niezadowoleniem czoło - jak pani może być tak nieodpowiedzialna?! Nie wystarczy już pani gęb do wykarmienia? - zapytała patrząc na mamy brzuch z niechęcią - na co pani jeszcze jeden bachor!

- Tak jakoś się przydarzyło - wyszeptała mama z lękiem. Malwinka nie rozumiała tego mamy strachu, ani oczu utkwionych nieruchomo w podłogę. Tamta pani musiała być złym człowiekiem, no bo jak można tak mówić do kogoś oczekującego na dziecko? Czy ta pani nie wie, że w brzuchu mamy jest malutki dzidziuś, że on tam sobie rośnie pomalutku jak drożdżowa babeczka i że niedługo przyjdzie na świat tak jak kiedyś ona, jak Adusia, jak Grzesio i jak tamta trójka chodząca już do szkoły?

- A może oddałyby je pani do adopcji? - głos kobiety stał się bardziej przymilny - przecież pani mąż więcej przepije niż zarobi.

Malwina spojrzała na tamtą panią z nienawiścią. Czy ona myśli, że Malwina nie rozumie takiego trudnego słowa?

- Wracajmy do domu - szarpnęła mamę z całych sił za sukienkę, aż mama zachwiała się niebezpiecznie.

Przyjrzała się Malwinie z uwagą a później wyprowadziła ją i Adusię na korytarz.

- Zaczekajcie tu - powiedziała stanowczo i zamknęła im drzwi przed nosem.

Malwinka oparła się plecami o ścianę, zwinęła dłonie w pięści, zagryzła usta aż do krwi. Rozejrzała się dokoła. Nikt nie zwracał na nią uwagi, więc chwyciła siostrzyczkę za rękę i wybiegła z nią na ulicę a później pędem pobiegła w stronę domu pana Walczaka.

- Tato? - wrzasnęła wbiegając na podwórko - zbierają nam dziecko!

Ojciec klęczał akurat przy jakimś samochodzie i majstrował coś przy kole. Pan Walczak wołał go czasem do pomocy, gdy tata był trzeźwy i miał ochotę do pracy.

- Jakie dziecko? - zapytał a jego nieogolona twarz wyrażała głębokie zdumienie.

- Naszego małego braciszka, tego, który się jeszcze nie urodził - Malwina wpadła w ręce taty z płaczem - chcą go zabrać do adopcji.

I opowiedziała mu później łykając łzy o tej pani z Opieki Społecznej, która mówiła, że tata pije i dlatego nie mają pieniędzy i o mamie, która zamknęła się z nią w pokoju i pewnie zgadza się już na tą straszną adopcję.

Tata popatrzył na Malwinę z przerażeniem, ale też i z jakimś wstydem, jakby nagle odkrył całą gorzką prawdę o sobie. Wziął Adusię na ręce i tak jak stał, w roboczym ubraniu wybiegł z podwórka Walczaka. Malwina uczepliła się jego zniszczonego fartucha i pobiegła za nim jak przyklejony do jego pleców Anioł.

Mamę zobaczyli z daleka. Stała przed budynkiem Opieki i rozglądała się nerwowo dokoła. Kiedy ich zobaczyła odetchnęła z ulgą.

- Coś się stało? - zapytała podchodząc do nich pośpiesznie.

Tata wytarł spoconą od biegi twarz.

- Malwinka powiedziała, że chcesz oddać nasze dziecko do adopcji - wyjąkał wzburzony - ale ja się na to nie zgadzam. Ja już nie wezmę do ust kropli alkoholu, tylko obiecaj mi, że naszego synka nikomu nie oddamy.

- Ani mi to przez myśl nie przeszło - zawołała mama zdumiona słowami taty - po prostu powiedziałam tej paniusi z Opieki co o niej naprawdę myślę i nie chciałam, żeby nasze dziewczynki to słyszały. Jakże miałabym odrzucić taki Boży dar?

Malwinka przytuliła się do sukienki mamy. A później spojrzała z wdzięcznością na tatę. Było jej trochę głupio, że tak spanikowała, ale kiedy zobaczyła jak tata głaszcze mamę po brzuchu i szepce jej coś z uśmiechem do ucha pomyślała, że ten jej fałszywy alarm to może wcale nie był taki głupi pomysł?

Wycieczka czy Psalm.

- Naprawdę nie możesz? - pani patrzyła na Kasię smutnymi oczami - ta wycieczka kosztuje tylko 150 zł.

Kasia spuściła głowę. 150 zł do dla nich było naprawdę dużo, zwłaszcza teraz przed Komunią Świętą, kiedy prócz wydatków związanych z uroczystością doszła choroba taty i zakup leków, które były takie drogie.

- Trudno - pani zamknęła notes, w którym zapisywała chętnych na wycieczkę w góry - jesteś jedyną osobą, która z nami nie pojedzie. Może zadzwonię do twojej mamy?

- Nie! - Kasia aż krzyknęła z przerażenia - ja po prostu nie chcę tam jechać - powiedziała. Mama i tak miała na głowie masę problemów, nie powinna ją martwić jeszcze tą wycieczką. Pewnie znów wzięłaby jakieś nadgodziny, choć nogi bolały ją od tego biegania po biurach ze szczotką w rękę.

Pani spojrzała na Kasię tak jakoś dziwnie, ale nic nie powiedziała. Za to Wiktoria do końca lekcji nie spuszczała z niej oczu. A po dzwonku zaraz podeszła do niej i zaproponowała.

- Jak chcesz możesz dziś ze mną wracać ze szkoły.

Uśmiechała się przy tym tak jakoś miło. Kasia spojrzała na swoje zniszczone buty i pocerowane rękawy. Nie pasowała do tej modnie ubranej dziewczynki, do jej kolorowych ciuchów, spinek we włosach i markowych adidasów. Ale zaproszenie Wiktorii jakoś jej zaimponowało. Podziwiała jej stroje i zazdrościła bogatych rodziców.

- No? chodź! - Wiktoria pociągnęła ją za rękę. Kasia poczuła się nagle bardzo ważna, więc szybko spakowała książki do plecaka. Szła za koleżanką jak, mały szczęśliwy psiaczek.

- Zobacz, jak piękna sukienka - Wiktoria zatrzymała się nagle przed witryną jednego ze sklepów - ta długa, cała z koronki. Z tymi perełkami przy szyi i haftami w rękawach. Taka samą mama mi kupiła na pierwszą Komunię. A ty? Masz już sukienkę?

Dziewczynka skinęła głową. Właśnie wczoraj mama przyniosła jej białą sukienkę od cioci Wisi. Nie była taka piękna i wyszywana jak ta na wystawie, ale przecież Pan Jezus nie patrzy na bogactwo tylko na czyste serce.

- Też taka śliczna? - Wiktoria drążyła temat.

Kasia zarumieniła się i nic nie odpowiedziała.

- Bo widzisz - Wiktoria zrobiła się nagle bardzo poważna - pomyślałam sobie, że skoro będę miała taką piękną sukienkę to ja powinnam śpiewać Psalm podczas Mszy Świętej. Rozumiesz? Ja a nie ty!

Kasia popatrzyła na koleżankę szerokimi od zdziwienia oczami.

- Powiesz pani katechetce, że nie chcesz, że nie potrafisz, że nie umiesz. Powiesz, że ja śpiewam lepiej od ciebie. Ona cię lubi, posłucha.

Kasia poczuła jak po plecach spływają jej zimne krople potu. Co ta Wiktoria wygaduje. Czy ona nie rozumie, że śpiewanie Psalmu w kościele podczas Pierwszej Komunii to dla Kasi ogromne wyróżnienie?

- No dobra - Wiktoria chwyciła ją mocno za ręce - zrobimy tak, ja ci dam te 150 zł na wycieczkę a ty zrezygnujesz ze śpiewania.

Kasia aż podskoczyła z wrażenia.

- Skąd weźmiesz tyle pieniędzy! - zapytała z dziwnym lękiem.

- O to się nie martw - Wiktoria roześmiała się głośno - mam takie kieszonkowe, że i na twoją wycieczkę wystarczy! Więc co? Zgadzasz się? Ty będziesz miała pieniądze a ja zaśpiewam Psalm.

Kasia poczuła w sobie dziwne dreszcze. Jakby nagle zrobiło się jej bardzo zimno. Bardzo chciałaby jechać na tę wycieczkę ale przecież Pierwsza Komunia to coś niezwykłego, niecodziennego.

- Dziwna ta twoja propozycja Wiktorio - nagle nas ich głowami rozległ się smutny głos pani - chciałabym jak najszybciej porozmawiać z twoją mamą.

Wiktoria chyba się trochę zawstydzila, bo spuściła nisko głowę.

- A ty Kasiu śpiewasz przepięknie. I szkoda by było żeby Pan Jezus tego nie usłyszał. A na wycieczkę też pojedziesz. Właśnie pan dyrektor obiecał, że poprosi Radę Rodziców o pieniądze dla ciebie - pani pogłaskała ją po jasnych włosach.

I wtedy Kasia poczuła w sercu taką wdzięczność dla pani, że aż podskoczyła z radości a później przytuliła się do niej tak mocno, jak do własnej mamy...

Ja go tak bardzo kocham

Aneta siedziała w rogu szkolnego korytarza z rękami ciasno oplatającymi głowę. Ból w okolicy czoła był nie do zniesienia, a ona musiała czekać na Mateusza jeszcze co najmniej godzinę. Od kiedy nauczycielka zabroniła jej bycia z nim na zajęciach siedziała pod drzwiami klasy i nasłuchiwała czy synek nie płacze, czy nie oczekuje od niej pomocy. Dotychczas nigdy się ze sobą na tak długo nie rozstawali. Aneta nagle przypomniła sobie moment przyjscia Mateusza na świat. Była wtedy taka szczęśliwa. Tuliła go do swych piersi, szeptała czule słowa, głaskała jego główkę. A później pielęgniarka zabrała go od niej nie pytając o zgodę. Nie mogła patrzeć na to jak go dotyka, kapie, zawija w pieluszkę.

- Proszę mi go oddać - krzyknęła zalewając się łzami - to jest moje dziecko, tylko moje...

Pielęgniarka popatrzyła na nią dziwnie.

- Przecież ja tylko wykonuję swoje obowiązki - obruszyła się.

A teraz, gdy Mateusz zaczął chodzić do Zerówki, tamto uczucie wróciło ze zdwojona siłą. Serce Anety krajało się z bólu gdy syn znikał za drzwiami klasy głaskany i tulony przez nauczycielkę. Nie lubiła jej. Ale co tam nauczycielka. Aneta nie cierpiała, gdy jej własny mąż brał Mateusza na ręce, gdy podrzucał go do góry, gdy zaśmiewał się razem z nim podczas wspólnych zabaw. Wciąż uważała, że tylko ona ma do niego prawo, że tylko ona wie jak się nim zajmować, karmić, ubierać i bawić. Mąż próbował to jakoś zmienić ale ona nie dawała mu żadnej szansy. Kiedyś chciał go zabrać ze sobą na mecz piłki nożnej ale Aneta wykrzyczała mu, że jest nieodpowiedzialny i samolubny. Wtedy po raz pierwszy zasłabła. Upadła uderzając głową w róg komody. Robert przestraszył się, wezwał pogotowie. Na szczęście skończyło się tylko kilkoma zadrapaniami, ale Robert już nigdy więcej nie próbował zajmować się małym, choć było mu szkoda, że synek wyrasta na maminsynka. Aneta westchnęła ciężko. Znow poczuła silne łupnięcie w głowie. Ciemne punkciki zawirowały jej przed oczami.

- Musze wytrzymać - pomyślała, ale wtedy właśnie zachwiała się i z hałasem upadła na ziemię.

Jechali autem dość wolno. Robert dyskretnie obserwował twarz żony. Była blada, zmęczona i niespokojna. Pomyślał, że kilka dni w szpitalu powinno ją jakoś wyciszyć, zdystansować, tym bardziej, że wyniki badań okazały się dobre a omdlenia spowodowane były nerwami a nie konkretną chorobą. Ale Anety to jakoś nie obchodziło. Ona wciąż myślała tylko o Mateuszu. Codziennie wydzwaniała do męża z pytaniami jak sobie mały bez niej radzi, czy nie tęskni, nie płacze. Tu w szpitalu cierpiała jeszcze bardziej. Nie ufała Robertowi, nie wierzyła, że mąż potrafi ją zastąpić. Dlatego teraz nie mogła doczekać się, kiedy synka zobaczy, kiedy zamknie go w swoich objęciach i nigdy z nich nie wypuści.

- Chyba są na boisku - Robert zatrzymał samochód na parkingu.

Aneta zagryzła wargi aż do krwi. Wysiadła niecierpliwie z samochodu. Zobaczyła go pośród zerówkowej gromady.

- Mateusz! - krzyknęła czując napływającą do oczu łzy.

Zauważył ją. Pomachał na powitanie ręką. Podbiegł do nich z uśmiechem na ustach.

- Tato - zwrócił się najpierw do ojca - wiesz? Nauczyłem się dziś zjeżdżać na rurze - zawołał z iskierkami w oczach.

- Przybij piastkę - Robert zwichrzył mu włosy dumny z nowego osiągnięcia syna.

- Nie przywitasz się ze mną? - Aneta patrzyła na Mateusza z żalem.

- Zaraz mam - mały wciąż mówił do ojca - tylko wam pokażę, jaki ze mnie sportowiec.

- Mateusz, przecież wiesz, że to niebezpieczne! - krzyknęła przerażona. Ale on już stał na szczycie drewnianej wieżyczki, już zaciskał ręce na metalowej rurze. Jego twarz promieniała niezwykłym blaskiem.

- Pozwól mu być sobą - Robert objął ją mocno ramieniem. Rozpłakała się.

- Ale ja go tak bardzo kocham - wyjęczała cicho rozmazując sobie łzy po policzkach.

- Więc właśnie dlatego - szepnął patrząc jej ciepło w oczy. Przytulił się do niego jak mała bezbronna dziewczynka. Nie rozumiała tego, co do niej mówi, ale po raz pierwszy widziała naprawdę szczęśliwą twarz swojego synka a to przecież było dla niej najważniejsze...

Kulas czy bohater

Szedł z opuszczoną głową jak na skazanie. Budynek szkoły wynurzył się zza kwitnącymi kasztanowcami jak z bajki. Szkoła była piękna i nowoczesna, ale Kamil jakoś nie potrafił jej polubić. Co z tego, że miała jasne duże klasy i komputery na każdej ławce, gdy nikt go tam nie lubił, nikt z nim nie rozmawiał, nikt nie zapytał jak się czuje. Wszyscy mu tylko rozkazywali i nie było dnia, żeby mu ktoś nie dokuczył, nie śmiał się z niego czy nie przezywał. Kamil był wciąż nowy i wciąż inny. Przyszedł do szóstej klasy w środku roku szkolnego, bo ojciec dostał pracę w zakładzie produkcji obuwia i mieszkanie w innym mieście. Cała rodzina się z tego bardzo cieszyła wierząc, że teraz stać ich będzie nie tylko na lepsze jedzenie i ciuchy, ale może nawet na rower czy laptop.

Koledzy Kamila z klasy wyglądali na zamożnych, nosili markowe buty i kurtki, stawiali włosy na żel i upodobniali się do idoli telewizyjnych seriali lub programów rozrywkowych. Zwłaszcza Jarek szpanował jakby był z innego, lepszego świata. Pewnie jego starzy zarabiali kupę kasy. Kamil w swoich podrabianych dzinsach i zwykłych koszulkach odstawał od niego wyraźnie, przynajmniej tak mu się wydawało. Ale co tam ciuchy. Kamil znał swoją wartość i na początku się tym w ogóle nie przejmował. Dopiero po kilku dniach, gdy ojciec niespodziewanie przyszedł po niego do szkoły wszystko się zmieniło. Kochał ojca, ale było mu głupio, gdy pojawił się tam wtedy bez uprzedzenia. Cekał na niego przy bramie, zgarbiony i pochylony jak przekrzywiony od wiatru drogowy znak. Koledzy aż zagwizdali rozbawieni, gdy wyciągnął do Kamila szeroko rozpostarte ręce.

- Tato, nie rób mi obciachu - Kamil zaczerwienił się aż po czubek głowy widząc kpiący wzrok Jarka.

- Przepraszam synku - ojciec zmieszał się, zupełnie zapomniał, że jego syn ma już jedenaście lat i takie okazywanie uczuć w miejscach publicznych nie jest mile widziane - chciałem cię tylko zabrać od razu po lekcjach do tego muzeum techniki, o którym niedawno rozmawialiśmy.

Kamil aż podskoczył z wrażenia. Muzeum techniki to było coś. Jaki ten tata jest dobry, że o tym pomyślał. Wciąż go czymś zaskakiwał. Właśnie jego, swojego jedyne go syna, z którego był taki dumny. Bo dziewczyny wołały lalki i takie tam babskie zabawy. A Kamil był facetem i tata to doskonale rozumiał. Dlatego ciągnął go ze sobą na górskie wędrówki, na mecze, na narty i rower. Ale to już były dawne dzieje. Bo w zeszłym roku wszystko się urwało, skończyło a tata już nie był taki silny i sprawny jak kiedyś. Rower i narty zaś trzeba było sprzedać na lekarstwa i rehabilitację. Ale dziś to muzeum techniki. Boże, jaka frajda, jakie szczęście. Kamil chwycił ojca za rękę zapominając o ciekawskich oczach szkolnej ferajny. Twarz ojca rozjaśnił uśmiech radości. Ruszył z synem po chodniku ciągnąc jedną nogę za sobą.

- Te... - Jarek zarechotał głośno pokazując palcem ojca Kamila - zobaczcie, jego stary kuleje. To normalny kulas.

- Kulas, kulas, kulas - potoczyło się echem wokół szkoły. Kamil skulił ramiona jakby te słowa spadały mu na plecy niczym kamienie. Ojciec nie zareagował, przyspieszył tylko kroku, jego lewa noga podskakiwała teraz jak u jakiejś zepsutej marionetki.

- Ja im jeszcze pokażę! - Kamil poczuł w sobie przyptyw nienawiści.

- Daj spokój - ojciec ścisnął mocniej jego rękę - to jeszcze głupie szczeniaki, nie znają prawdziwego życia, no i pewnie ich nikt nie nauczył, że nie wolno śmiać się z czyjegoś nieszczęścia.

Kamil wyprostował głowę. Jaki ten tata mądry. Wszystko potrafi wyjaśnić, wytłumaczyć. Ech, nie warto się przejmować takimi głupotami, lepiej pomyśleć o tym co zobaczą w muzeum, o tam to się pewnie będzie działo!

- Kamil westchnął marzycielsko czując jak w sercu zapala mu się iskierka ciekawości i ekscytacji.

W muzeum było rzeczywiście fantastycznie i Kamil mógł na jakiś czas zapomnieć o przykrym wydarzeniu sprzed szkoły, zwłaszcza, że po powrocie z muzeum opowiadali Mamie i dziewczynkom wszystko co tam zobaczyli, czego dotknęli, poznali, doświadczyli. Mama miała takie ciepłe oczy i uśmiechała się promiennie, jak kiedyś. A dziewczynki turlały się ze śmiechu, gdy Kamil pokazał im jak się trząsł na magnetycznym łóżku i jak chodził po moście wysadzonym gwoździami.

Ale na drugi dzień zły scenariusz się powtórzył. Paczka Jarka czekała na niego pod drzwiami klasy.

- Te, kulas - Jarek zaczął ostentacyjnie zginać kolano - twój stary to z konia spadł czy zagapił się na czerwonym świetle.

- Po prostu źle skoczył i noga mu się podwinęła - odpowiedział Kamil poważnie udając, że nie widzi drwiny w oczach kolegi.

- Taki z niego kaskader? - do rozmowy wtrącił się Darek - pewnie pijany był albo się naćpał czego. Jakoś na takiego wygląda.

- Zwariowałeś?! - Kamila aż zatrzęsło z oburzenia - mój ojciec nie pije, nigdy nie pił. A ta noga to...

- Dobra, dobra Kulas - Jarek chwycił go mocno za przegub ręki - nie każdy może mieć starego kulturystę. Zresztą jaki syn taki ojciec, pędź Kulasie do klasy i nie wychylaj się z ram. Będziesz grzeczny to jakoś uda się ci z nami przetrwać do wakacji... A później wal do innej szkoły...

Kamil pobiegł wtedy do ławki jak posłuszny baranek. A mógł się postawić, mógł ich przekrzyczeć, powiedzieć całą prawdę o ojcu. Ale się nie postawił i później już nie dało się tego naprawić. Po kilku dniach nikt już nie pamiętał jego prawdziwego imienia. Został Kulasem choć miał sprawne nogi i nie wyglądał na cherlaka. Ale widać pasował do klasowego kozła ofiarnego, bo odtąd nadawał się świetnie do noszenia chłopakom plecaków, do oddawania im swojego śniadania, do pisania im wypracowań i podrzucaniu ściąg na klasówkach. Dokuczały mu nawet dziewczyny, tylko Zosia patrzyła na niego nieraz z jakimś takim współczuciem, ale Kamil odwracał wtedy głowę, samym patrzeniem przecież nikomu pomóc się nie da.

Ech, gdyby ojciec wiedział ile złego to jego przyjście wtedy pod szkołę narobiło w życiu Kamila. Ale Kamil przecież nie powie ojcu, jaki jest słaby, bezradny i nieszczęśliwy. Byłoby mu przykro, że to przez niego, zresztą Kamil powinien być dzielny, ojciec uczył go odwagi i siły. Sam dał temu niezbity dowód. Tylko, że teraz ten dowód stał się źródłem pośmiewiska i szyderstwa. I tego Kamil nie mógł chłopakom jakoś odpuścić. Wczoraj coś się w nim złamało, pękło.

Kamil przypomniał sobie dokładnie ten przykry incydent. Wyszedł po lekcjach z klasy jak zwykle ostatni, tamci się spieszyli na jakieś zawody czy mecz, więc był pewien, że dziś dadzą mu spokój. Ale nie, czekali za rogiem szkoły specjalnie na niego. Otoczyli go kołem.

- Fajny z ciebie koleś Kulas - Patryk patrzył na niego w niedbalej pozie klasowego playboya - i mam nadzieję, że się znów sprawdzisz. Masz kasę ?

Kamil pokręcił przecząco głową. Dotychczas tamci nie wyłudжали od niego pieniędzy, musieli wiedzieć, że Kamil nie ma przy duszy złamanego grosza.

- Przecież wiecie, że nie - Kamil przełknął głośno ślinę.

Patryk splunął mu niby niechęć pod same nogi.

- To postaraj się, żeby na jutro mieć. Pieniądze albo szlugi. Na razie wystarczy paczka.

- Nie da rady - Kamil spuścił głowę - mój ojciec nie pali a pieniędzy też za wiele nie mamy. Mój ojciec był na rencie, teraz dopiero znalazł pracę.

- No tak - Patryk cmoknął niezadowolony z odpowiedzi Kamila - taki Kulas, ten twój stary, co on potrafi, tylko wyciągać pieniądze od państwa. I kto na niego pracuje? No, kto? Mój stary, i stary Darka i innych. Podatki się na was płaci Kulasy jedne, a ty nie możesz mi paczki papierosów załatwić, ech ty gnojku jeden. Nie wiesz jak trzeba zdobyć pieniądze? Wyjąć staremu z kieszeni jak będzie spał... - Patryk wymachiwał na nim gwałtownie rękami.

- Kocham mojego ojca i nie będę go okradał, nie będę okradał mojej rodziny - Kamil powiedział to jakoś tak patetycznie aż tamci się chyba zdumiali.

- Wiesz, co Kulasie? - Patryk spojrzał na niego z nieukrywanym obrzydzeniem - dziwię się tobie, że się tego swojego starego nie wstydzisz. Ja gdybym miał ojca kalekę to bym się chyba po ziemię zapadł. Ale ty musisz się go wstydzić i twoja matka też i twoje siostry. No powiedz prawdę, wstydzisz się go nie Kulasie?

I Patryk chwycił go za ucho i zaczął je skręcać w palcach jak gumę do żucia.

- Boli - Kamil jęknął zginając kolana

Ale Patryk wpadł w jakiś amok

- Powiedz, wstydzisz się swojego starego, no powiedz, że tak - wykrzykiwał aż jego policzki nabrały purpurowego koloru.

I wtedy Kamil nie wytrzymał. Rzucił się na Patryka z pięściami. Tamten zupełnie nie spodziewał się ataku ze strony Kamila. Nie zdążył osłonić twarzy. I nagle z jego nosa popłynęła krew. Patryk rozmasował ją rękami po twarzy.

- Ty bandyto - wrzasnął przewracając Kamila na ziemię. Dokoła rozbrzmiały głośne okrzyki doping, a oni turlali się po chodniku waląc się rękami na oślep.

- Dyro idzie - krzyknął ktoś nagle i wszyscy się momentalnie rozpiechli. Tylko na ulicy pozostało dwóch bijących się chłopców, którzy zauważyli dyrektora dopiero wtedy, gdy stanął nad ich głowami i huknął tubalnym głosem.

- No, dość panowie tych zapasów, zapraszam do mojego gabinetu na poważną rozmowę...

Ta rozmowa nie była przyjemna i skończyła się uwagą w dzienniczku i wezwaniem ojca do szkoły. Dlatego Kamil szedł teraz jak na skazanie. Nie sam. Ojciec szedł obok niego. Milczeli. Jeszcze wczoraj ojciec próbował wyciągnąć z niego powód, dla którego pobił kolegę. Ale Kamil zaciął się. Nie chciał rozmawiać nawet z mamą. Wtulił się tylko w swoją kołdrę na tapczanie i udawał, że śpi. Więc go zostawili tak samego, bo tata powiedział, żeby dać mu spokój, że facet musi mieć czas, by przemyśleć swoje postępowanie. Więc Kamil myślał. Cieszył się, że wreszcie dał nauczkę Patrykowi, ale z drugiej strony wiedział, że ani mama ani tata nie pochwalają takiego agresywnego zachowania. Że trzeba było jakoś inaczej z Patrykiem to załatwić, pogadać, wytłumaczyć. Tylko, czy ktoś taki jak Patryk potrafi zobaczyć więcej niż czubek własnego nosa? Ech...

- Tato, ja nie chciałem - Kamil wydusił z siebie, gdy stanęli przed gabinetem dyrektora.

- Spokojnie synu - ojciec oparł rękę na jego ramieniu - mam nadzieję, że wszystko się zaraz jakoś wyjaśni.

Kamil poczuł jak w jego serce wlewa się cień nadziei.

- Witam - dyrektor wstał zza biurka, by przywitać się z tatą - proszę niech pan siada i ty Kamile też.

Kamil rozejrzał się dokoła. Tamci już też siedzieli. Patryk z opuchniętym nosem i jakiś elegancki gość w skórkowej kamizelce i śnieżnobiałej koszuli spiętej przy szyi złotą spinką. Kamil domyślił się, że to musi być ojciec Patryka.

- Musimy poważnie porozmawiać - dyrektor popatrzył smutno na Kamila - bo widzisz, twój kolega Patryk oskarżył cię o napaść. Bezpodstawną napaść. Za takie czyny u nas po prostu usuwa się ucznia ze szkoły. Rozumie pan o czym mówię - wzrok dyrektora padł teraz na ojca - Patryk chodzi do naszej szkoły już wiele lat i nigdy nie było z nim kłopotu. Wręcz przeciwnie. Utrzymujemy z panem Wójtowiczem dobre stosunki, pan Wójtowicz jest sponsorem wielu szkolnych imprez, kupuje nam pomoce dydaktyczne. Rozumie pan, że będę musiał podjąć drastyczną decyzję panie Milowski! - dyrektor zacisnął usta w wąską linijkę.

- Przepraszam - ojciec Patryka zerwał się nagle z fotela - jak godność pana?

- Milowski - ojciec Kamila popatrzył na ojca Patryka bez zdziwienia - ja pana poznałem, od razu jak tu wszedłem. Ale nie chciałem, żeby tamto miało jakiś wpływ na to co stało się wczoraj. A to jest pański syn jak mniemam? - Milowski wskazał ręką Patryka - zdrowy i cały, bardzo się z tego cieszę.

- Widzi pan - Wójtowicz zmieszał się nagle jak dziecko złapane na gorącym uczynku - bo ja wtedy, wie pan, byłem w takim szoku i nie miałem głowy, żeby jakoś panu podziękować, zadośćuczynić temu, co pan dla Patryka zrobił. Słyszałem, że po tym skoku złamał pan nogę i to bardzo niefortunnie. Że ona się nie zrosła jak powinna... Gdybym mógł jakoś teraz się odwdziżyć... - Wójtowicz sięgnął do portfela, wyciągnął z niego kilka grubych banknotów i skierował rękę ku Milowskiemu.

Ten nie poruszył się nawet. Ręka Wójtowicz zawisła dziwnie w powietrzu.

- No, co też pan - Milowski udał obrażonego i Kamil był mu za to ogromnie wdzięczny - nie dla pieniędzy to zrobiłem, po prostu, syn mógł się utopić, uderzył głową o podłoże.

Kamil popatrzył ze zdumieniem na Patryka. To ten chłopak, któremu ojciec uratował życie? Wtedy, gdy zbiegł ze śliskiej skarpy, gdy źle ustawiona stopa wykręciła mu się tak mocno, że kości zgruchotały jak grzechotnik? Ojciec później wyciągnął go z wody pomimo bólu, pomimo cierpienia. Chłopiec po kilku dniach wyszedł ze szpitala i słuch o nim zaginął. Za to tata leżał w szpitalu kilka miesięcy a noga i tak nie wróciła do pełnej sprawności. Kamil przez chwilę wyłączył się z rozmowy rozpamiętując tamten dzień, gdy spadło na nich to nieszczęście, gdy tata nie mógł już pracować i z pieniędzmi zrobiło się krucho.

- To panowie się znają? - Kamil usłyszał pytanie dyrektora jakby gdzieś zza szyby - jaki skok, jakie uderzenie głową?

- Pan Milowski uratował Patrykowi życie. Syn rok temu poszedł z kolegami bawić się na plac budowy a tam był wykop pełen wody, chłopaki zaczęli się wygłupiać, popisywać, ktoś wpadł na pomysł żeby skakać do wody, pamięta pan, mówiłem...

- Wójtowicz otarł nagle spocone czoło i zamilkł jakby tamto wspomnienie sparaliżowało mu język.

- To pan wtedy mnie wyciągnął? Pan? - oczy Patryka zrobiły się wielkie ze zdumienia - Boże, a ja byłem taki podły dla pana i dla Kamila także... - wykrztusił a później wybiegł z gabinetu, by pod kwitnącym kasztanowcem rozplakać się jak małe dziecko...

- Kamil, Kamil! - Zosia nawoływała go od kilku chwil wymachując przed sobą gazetą - widziałeś? Tu jest o twoim tacie, o tym jak uratował Patrykowi życie. Zobacz, jest nawet twojego taty zdjęcie. Chcesz, to ci przeczytam. Chcesz?

Kamil uśmiechnął się. Ta Zośka. Odkąd rozeszła się po szkole wieść o wyczynie taty przyczepiła się do niego jak rzep. Ale taki fajny rzep, nie kłujący.

- Czytaj - pozwolił łaskawie widząc oczy koleżanki pełne podziwu.

- No to słuchaj, najpierw tytuł „Bohater”, ładnie nie?

- Ładnie - odpowiedział zaglądając jej przez ramię. Wciąż doznawał tego trudnego do opisu uczucia dumy, gdy ktoś mówił o jego ojcu.

- Rzeczywiście bohater - usłyszał nagle za swoimi plecami. Zatrzymał się. Od razu rozpoznał głos Patryka. Od tamtej rozmowy w gabinecie nie byli ze sobą tak blisko i nie wiedział jak się ma teraz zachować.

- Byłem głupi - powiedział tamten wierząc w ziemi dołek czubkiem adidasów.

- Bywa - Kamil nie miał zamiaru ułatwiać mu rozmowy, choć dawno już wybaczył mu tamto złe traktowanie.

- Może dasz się namówić na mecz siatkówki? Ojciec dał mi dwa bilety. Chłopaki też będą. Darek i tamci.

Kamilowi zabłyśły oczy, ale zwlekał z odpowiedzią.

- To nie przekupstwo - powiedział Patryk, jakby wyczuwając wahanie kolegi - po prostu Kamil, chciałbym z tobą pogadać jak facet z facetem i pomyślałem, że tam byłoby nam chyba najłatwiej.

Kamil skinął głową i ruszył za Patrykiem. Pomysł był naprawdę nie najgorszy. I to Kamil zamiast Kulasa zabrzmiało jak najpiękniejsza muzyka.

- Miałam ci przeczytać ten artykuł - Zośka stała na chodniku zupełnie zdezorientowana.

- Dobrze, dobrze - Kamil uśmiechnął się do niej przepraszająco - wpadnę do ciebie wieczorem, jeśli oczywiście chcesz. Może pomogłabyś mi z matmy?

- OK - Zośka zaczerwieniła się jak burak. Ten Kamil. Ta pomoc to chyba tylko taka wymówka, bo przecież to on jest z matematyki najlepszy. Tylko jakie to ma teraz znaczenie?

Jak znaleźć czas

Milenka wyrzała przez okienko drewnianego domku. Ptaki na gałęziach drzew śpiewały tak pięknie, że trudno było spać. Dziewczynka potrząsnęła jasnymi włosami i bosy zbiegła do pokoju rodziców.

- Wstawajcie - krzyknęła - bo znów prześpicie cały dzień.

Ale oni udali że jej nie słyszą.

- Mamusiu, zapomniałaś, że dziś niedziela? Obiecałaś, że pójdziemy do kościoła.

- Nie krzycz tak - Anna objęła głowę dłońmi próbując otworzyć oczy.

- Mama źle się czuje - Mirek też nie wyglądał najlepiej. No tak, skoro się imprezowało do rana to trudno być wyspanym i wypoczętym. Milenka posmutniała, wyszła przed dom i usiadła na drewnianej ławeczce. Dookoła wały się jakieś naczynia, talerzyki, widelce i grill z resztkami kaszanki i kiełbasy. Milenka nie tak wyobrażała sobie wymarzone wakacje. Cieszyła się nimi już od kilku miesięcy. Tym bardziej, że mama i tata, kiedy nie mieli dla niej czasu wciąż powtarzali:

- Jak pojedziemy na wczasy to będziemy wreszcie całe dnie spędzać tylko ze sobą. Razem się kapać, biegać po plaży, grać w piłkę, chodzić na grzyby i łowić ryby.

Ale to była nieprawda, tu też nie mieli dla niej czasu. Ważniejsze były te wieczorne spotkania ze znajomymi i ich odsypianie niż zabawy z córką. Gdyby nie ten staruszek spod lasu Milenka zanudziłaby się na śmierć. Ten staruszek

miał na imię Franciszek i miał psa, dwa koty i oswojoną wiewiórkę. I zbierał zioła i chowając je do płóciennych woreczków. Pokazywał jej te zioła, tłumaczył ich nazwy, wygląd, kolory. A któregoś dnia zabrał ją do swojego domu i zaparzył herbatę miętową w glinianym kubeczku. Ta herbata była naprawdę smaczna i taka aromatyczna. Milenka westchnęła ciężko. Szkoda, że rodzice nie mają dla niej czasu tak jak pan Franciszek. Ale może gdyby poszła do...? Milenka aż krzyknęła z radości ciesząc się, że taki pomysł przyszedł jej do głowy, zerwała się z ławki i pobiegła szybko w kierunku lasu...

- Gdzie ona może być? - Anna popatrzyła na męża wystraszonymi oczyma. Szukali Milenki już od dłuższego czasu, ale małej nigdzie nie było. Anna traciła zmysły, choć znajomi z ośrodka pocieszali ją i pomagali w poszukiwaniach.
- Dzwonię na policję - Mirek był tak samo przerażony. Tyle razy mówił, żeby córka nie oddalała się zbyt daleko. Przecież przywieźli jej tu ze sobą laptopa z gramami i bajkami, żeby się nie nudziła.
- A może ona poszła do tego starego zielarza, co mieszka pod lasem - powiedział nagle dozorca ośrodka - nieraz ją z nim widziałem.

Anna poczuła, jak miękną jej nogi.

- I pan mi tego nie powiedział, nie ostrzegł?

- Myślałem, że wiecie gdzie i z kim dzieciak przebywa.

Anna chwyciła męża za rękę, pociągnęła go w stronę lasu.

Kiedy dopadła do domu starego zaczęła walić pięściami w drzwi.

- Oddaj mi moją córkę - krzyknęła.

Zielarz wyszedł przed dom wystraszony tak samo jak oni. Chyba ich rozpoznał, bo powiedział:

- Tu jej nie ma, ale chyba wiem, gdzie można ją znaleźć. Proszę iść za mną, zaprowadzę.

W oczach Anny pojawiła się iskierka nadziei. Ruszyła za starym wąską leśną ścieżką, za nią mąż i cała zaniepokojona reszta.

- Przecież to chyba jakiś skansen - zawołał Mirek, kiedy zza ostatnich drzew ukazały się stare chaty, wiatrak i karczma. Był nawet kościół z szeroko otwartymi drzwiami. Nie wiedzieli, że tuż za lasem jest takie urocze miejsce. Podeszli cicho najpierw do kościoła i nagle przystanęli na jego progu zdumieni niezwykłym widokiem

Milenka klęczała w smudze jasnego światła i wpatrywała się w wiszący na ścianie obraz Pana Jezusa. Wyglądała jak rozmodlony Anioł, choć Anioły nie chodzą w piżamkach w czerwone kropki i z bosymi stopami.

- Ledwośmy cię tu znaleźli - Anna przypadła do niej, objęła ją drżącymi ramionami.

- Pewnie pan Franciszek was tu przyprowadził - mała zauważyła zielarza i uśmiechnęła się do niego - to dobrze, bo ja tak bardzo chciałam, żebyście mnie tu odnaleźli i pobyli ze mną choć przez chwilę.

Uwierzyć w Anioły

Anka szła ze szkoły znów zdenerwowana. Już kolejny raz matka Adasia zrobiła jej awanturę i to przy wszystkich dzieciach. Skończyli właśnie ostatnią lekcję, Anka jak zwykle poprosiła, by pomodlili się do Ducha Świętego, gdy Czaplińska wpadła do klasy jak wichura.

- To chyba szkoła świecka - krzyczała nie czekając aż zostaną same - a pani wciąż tylko się modli i modli, jakby ze szkoły pani Kościół chciała zrobić!

- Ale przecież pani wyraziła zgodę na lekcje religii - Anka próbowała odeprzeć atak - więc i na modlitwy także ...

- Na lekcję religii tak - tamta nie miała zamiaru skapitulować - ale nie na pacierze w ciągu dnia, ani na religijne piosenki, ani na spacer do kaplicy. Powinna pani to umieć rozdzielić, pani poprzedniczka miała inny system nauczania, nowoczesny...

- Ale być chrześcijaninem trzeba zawsze, a nie tylko od czasu do czasu - głos Anki niebezpiecznie zadrżał. Z trudem opanowała nerwy, chwyciła z biurka dziennik i wyszła z klasy. Rozpłakała się dopiero za rogiem szkolnego ogrodu. Nie tak wyobrażała sobie pierwszą pracę. Kiedy dostała propozycję, żeby przejść drugą klasę, po nauczycielce, która zachorowała myślała, że złapała pana Boga za nogi. Ale szybko się rozczarowała. I nie dlatego, żeby sobie nie radziła z dziećmi, ale dlatego, że od pierwszych dni matka Adasia czyniła jej życie w szkole nieznośnym. Wciąż miała do niej jakieś pretensje, żale. Ostatnio czepiała się prawie codziennie. Wczoraj powiedziała jej z nieukrywaną złością.

- Nie rozumiem po co te modlitwy od samego rana, pani Zosia zaczynała dzień od ćwiczeń na myślenie, na pobudzenie umysłu. Adaś jak pił rano wodę mineralną i robił „sowę”* albo „leniwe ósemki”* to uczył się lepiej i mniej zmęczony był. A teraz to jakby w innym świecie żyje, wciąż tylko o Aniołach gada, o jakichś świętych. Nie wiem, czy mu to w nauce pomaga.

Anka westchnęła ciężko na wspomnienie tamtej rozmowy. Mijające ją dzieci patrzyły na nią ze współczuciem. Wtem mała Agnieszka podeszła do niej, wsunęła jej rękę w dłoń.

- Niech się pani nie martwi - szepnęła i Anka uśmiechnęła się do niej nagle uspokojona.

- Już się nie martwię - powiedziała i wtedy usłyszała samochodowy klakson i pisk hamulców dobiegających ze skrzyżowania.
- Chyba jakiś wypadek - zapiszczała Agnieszka ciągnąć ją za rękę. Pobiegła więc za nią wiedziona jakimś złym przeczuciem. Z daleka rozpoznała tamten samochód, teraz wywrócony do góry nogami z kręcącymi się w powietrzu kołami.
- Proszę pani, to Adaś tam leży, widzi pani ile tam krwi - mała zaczęła chlipać przerażona strasznym widokiem. Anka przytuliła ją do siebie, zasłoniła oczy. Adaś leżał na jezdni bezwładnie jak kukła.
- Ratujcie mi dziecko!!! - matka Adasia klęczała nad jego ciałem jęcząc rozpaczliwie. Niespodziewanie szybko pojawiła się wezwana przez kogoś karetka.
- Pośpieszmy się - Anka pociągnęła Agnieszkę za rękę - musimy zwołać całą naszą klasę, całą szkołę, musimy się modlić, prosić pana Boga o ratunek - wołała pędząc z powrotem do szkoły.

Smutno było bez Adasia w szkole. Jego puste miejsce w ławce przypominało wszystkim o tamtym wypadku. Ale wciąż była nadzieja, bo choć chłopiec był nieprzytomny to przecież ciągle żył.

Którego dnia matka Adasia stanęła w progu klasy. Wyglądała jak cień. Anka wstrzymała oddech ze strachu co tamta powie, ale pani Czaplińska uśmiechnęła się do niej tak jakoś ciepło, serdecznie.

- Chciałam wam wszystkim podziękować - powiedziała cicho - Adaś dziś odzyskał przytomność. W klasie zawrzało jak w ulu. Anka wyciągnęła do mamy Adasia ręce w przyływie naglej radości.
 - Ja wiem, że to dzięki pani, że to dzięki wam... - pani Czaplińska rozplakała się jak dziecko - kiedy dziś Adaś się obudził, kiedy otworzył oczy powiedział, że w tym swoim długim śnie was nieustannie widział, jak stoicie ze złożonymi rękami a wokół was unoszą się Anioły. Ja już wszystko zrozumiałam, ja już wszystko wiem. Dlatego chciałabym się dziś z wami pomodlić - mama Adasia zrobiła na sobie znak krzyża a oni zaraz przyłączyli się do niej. Tylko Anka nie mogła wydusić z siebie ani jednego słowa, bo nagle jakaś twarda klucha stanęła jej boleśnie w gardle...
- *sowa , * leniwe ósemki - ćwiczenia w metodzie Paula Dennisona

Na ratunek

- Gotowi? - Grzegorz zawołał do żony ubierającej synka w pokoju - jak się nie pośpieszymy nie zdążymy na pociąg.
- Zaraz - Agata wystawiła głowę zza drzwi - Wojtuś jeszcze pakuje swoje zabawki.
- Jakie zabawki? Przecież umawialiśmy się na jedną.
- To mu to sam powiedz! - żona machnęła niecierpliwie ręką - ale wtedy nie zdążymy na pociąg na pewno.

Grzegorz zmarszczył czoło, wszedł szybko do pokoju. Mały klęczał nad podróżną torbą i upychał do niej wszystko co wpadło mu do rąk.

- Synku, weź tylko jedną rzecz - głos Grzegorza był bardzo stanowczy.
- Ale ja chcę wszystko! - mały tupnął nogą patrząc groźnie na ojca.

Grzegorz udął, że go nie słyszy, chwycił torbę i zaczął ją opróżniać.

- Włóż moje zabawki z powrotem!!! - chłopak poczerwieniał z wściekłości i kopnął go w nogę. Grzegorz chwycił synka za ręce próbując go od siebie odsunąć, ale mały kopnął go drugi a później trzeci raz. Grzegorz zdenerwował się.
- Natychmiast się uspokój - powiedział spokojnie wymierzając mu klapsa. Mały na moment oniemiał z wrażenia a później krzycząc wniebogłosy chwycił się sukni mamy.
- Oszalałeś! - Agata patrzyła na niego jak na jakiegoś sadystę - nie wolno ci go bić, rozumiesz? Jesteś taki sam jak twoja matka. Ona też by tylko strofowała, pouczała, nakazywała, jakby dziecko było jakąś marionetką a nie normalnym człowiekiem
- Ależ Agata, przecież wiesz, że miałem rację - Grzegorz nie miał zamiaru kapitulować - moja mama zresztą często też!

- Skoro tak, to jedź do niej sam - żona zrobiła nieprzejednaną minę i Grzegorz wiedział, że teraz musi ustąpić.
- Dobra, pakujcie co chcecie - powiedział z rezygnacją w głosie - czekam na was na dole.

Wojtuś z miną indiańskiego zwycięzcy zaczął na nowo wpychać zabawki do torby. Grzegorz ominął go wzrokiem. Bitwa między synem a nim skończyła się fiaskiem...

Na pociąg oczywiście nie zdążyli. Dobrze, że mieli za jakiś czas następny skład. Grzegorz siedział więc teraz na ławce zły i milczący pilnując bagażu. Agata biegła po peronie za Wojtusiem, który uparł się, by zrobić sobie wyścigi pomiędzy czekającymi podróżnymi, co i rusz kogoś potrącając i wpadając innym pod nogi.

- Ja sam, ja sam - wołał, gdy Agata chciała go trzymać za rękę.

Wtem z megafonu dał się słyszeć głos zapowiadający przyjazd pociągu. Rzeczywiście w oddali widać już było światła zbliżającej się lokomotywy.

- Wojtuś!! - Agata zawołała synka, ale ten nagle przyspieszył, kobieta próbowała chwycić go za kaptur kurtki ale mały

potknął się o płytkę chodnika i przewracając się sturlał się z peronu na szyny. Przez piersi pasażerów przeleciał jęk przerażenia. Grzegorz też zauważył co się stało i jak oszalały zerwał się z ławki. Kilkomina susami dopadł do małego chwycił go na ręce. Tuż nad sobą usłyszał gwizd lokomotywy i pisk hamulców. Chwycił więc chłopca na ręce i zaczął biec przed lokomotywą. Wojtuś przywarł do niego zaciskając mocno palce na jego bluzie, jego serce waliło niczym małe żelazne młoteczki. Grzegorz z lękiem obejrzał się za siebie. Światła lokomotywy zaczęły nagle się oddalać. Grzegorz zatrzymał się sapiąc ze zmęczenia. Czekający na peronie ludzie odetchnęli z ulgą.

- Życie panu niemiłe - wyglądający oknem maszynista wycierał chustką spoconą od strachu twarz. Dopiero, gdy zobaczył biegnącą po peronie kobietę z rozwianymi włosami i szeroko rozpostartymi rękoma zrozumiał co się naprawdę stało.

- To moja вина - Agata podbiegła do Grzegorza trzęsąc się jak osika - to ja nie dopilnowałam Wojtusia...

- Już dobrze - Grzegorz objął ją ramieniem. Stali więc teraz razem, przytuleni mocno do siebie, aż maszynista zagwizdał, żeby opuścili szyny. Weszli więc na peron rozglądając się za ławką z bagażem. Kiedy Grzegorz zbierał pakunki synek nie odstępował go na krok.

- Daj rękę mamie - polecił mu Grzegorz kierując się w stronę pociągu i Wojtuś posłusznie wsunął swoją rękę z jej dłoń. Agata spojrzała z podziwem na męża. W jej oczach pojawiła się nagle taka wdzięczność, jakiej od dawna do Grzegorza nie czuła...

Taniec serca

Bogna szła ze szkoły sama. Widziała smutek w oczach Jolki, kiedy powiedziała jej wreszcie o końcu wspólnego spędzania czasu, ale może przyjaciółka zrozumie, że to nie ona, lecz jej rodzice nie akceptują tej ich przyjaźni. Bogna zagryzła usta stając przed drzwiami domu. Czuła się taka samotna. No i ten problem, który nie dawał jej spokoju. Powinna chyba o tym powiedzieć rodzicom. Ale może jeszcze nie dziś. Może dopiero po tej olimpiadzie matematycznej, która była teraz dla rodziców taka ważna. Bogna potrząsnęła nerwowo włosami. Znow poczuła na skórze głowy dziwne mrowienie.

- Jak było w szkole? - mama otworzyła jej drzwi mieszkania, pewnie jak zwykle czekała na nią patrząc przez okno w kuchni.

- Ujdzie - mruknęła rzucając plecak na podłogę.

- A test z matematyki? - surowe spojrzenie mamy zatrzymało się na leżącym plecaku, więc Bogna podniosła go szybko i położyła na krześle.

- Piątka - uśmiechnęła się z nadzieją, że mamy twarz się rozpogodzi.

- Piątka? - mama wydeła z niezadowolenia usta.

- Mamo, piątka to dobra ocena.

- Szóstek nie było? - mama popatrzyła na nią podejrzliwie.

- Joaśka dostała...

- A jednak! - mama prychnęła jak kotka - mówiłam co, że ta przyjaźń z Jolką wyjdzie ci boki. To ona ma na ciebie taki destruktywny wpływ - mama lubiła popisywać się wyszukany słownictwem.

- Z Jolką już koniec - Bogna poczuła łzy pod powiekami.

- I bardzo dobrze! - mama ucieszyła się klaszcząc w dłonie jak mała dziewczynka - przecież ona wyciąga ledwo trójkzynę, nigdy nie będzie kimś takim jak ty. Będzie sprzątała ulice jak jej matka...

Bogna nic nie odpowiedziała. Nie było warto. Mama zawsze znajdowała mocne argumenty przeciwko Jolce i jej rodzinie. Ale Bogna wiedziała, że to nie o pracę pani Kosińskiej mamie chodzi, a o jej religijność, o to, że z całą rodziną do kościoła chodzi i że podczas zamiatania ulic śpiewa sobie kościelne pieśni. Bogna była u Jolki kilka razy i bardzo polubiła panią Kosińską, mama Jolki miała takie dobre, pełne ciepła oczy i parzyła świetną malinową herbatę. Jolka mogła jej powiedzieć o wszystkim, z wszystkiego się zwierzyć, zapytać, doradzić. Jej mama była zimna jak lód.

- Umyj ręce i siadaj do stołu, ojciec będzie za kilka minut. Ciekawe co on powie na tę twoją piątkę!!!

Bogna zacisnęła usta, czując jak się jej robi niedobrze. Rozmowa z tatą nigdy nie była miłą. I zawsze podszyta była lękiem, którego Bogna nie umiała opanować. Teraz też stojąc przed lustrem w łazience widziała swoją bladą twarz i trzęsące się ręce. Próbowwała odwrócić wzrok od włosów ale oczy same jej biegły w ich kierunku. Podniosła rękę by ich dotknąć, by przypomnieć sobie ich delikatność, połysk i miękkość. Na chwilę zapomniała o mamie, tacie, domu i nauce.

- Bogna, obiad stygnie - głos mamy dodał do niej jak zza jakiejś grubej szyby. Oderwała ręce od włosów i ruszyła do kuchni.

- Znow mnie zawiodłaś córko! - tata podniósł głowę znad talerza - jeśli nie będziesz najlepsza nici z pierwszego miejsca na tej olimpiadzie. Od dziś masz szlaban na komputer - ojciec podniósł głos.

- Na komputer mam szlaban za tamtą czwórkę z chemii - szepnęła.

- To teraz jeszcze na telewizję.
- Telewizję to ja jej zabroniłam. W półce z ubraniami znów był bałagan.
- No to może koniec z imprezami.
- Z jakimi imprezami? - Bogna próbowała się bronić - nawet na imieniny do Jolki nie mogłam iść. Czuję się tu jak w więzieniu...

Ojciec spojrzał na nią tak jakoś wrogo.

- Jak ci się nie podoba to sobie zmień dom - wysyczał zdumiony jej odwagą - ale dopóki tu jesteś to ja ustalę zasady, jasne? A teraz obiad i nauka. Zrozumiałas?

Bogna opuściła głowę. Zanurzyła łyżkę w zupie. Nagle odezwał się telefon taty. Wiadomość, która dotarła do jego uszu wywołała na jego ustach niecenzuralne słowa.

- Twój siostrzeniec znów narozrabiał! - krzyknął do mamy jakby to ona winna była, że Patryk wpakował się w nowe tarapaty - ja nie rozumiem jak Anna może mu tak popuszczać. Smarkacze pobili i obrabowali jakąś staruszkę, a teraz kryją się po jakichś melinach i myślą, że nikt ich nie znajdzie. Anna z płaczem prosi żebym go z tego wyciągnął, a co ja mogę, co ja mogę? Gdyby to mój syn był to bym regularnie trzepał mu tyłek od małego a nie czekał aż z chłopaka zbój wyrośnie.

- Jaki zbój? - mama nagle poczuła solidarność z ciocią - przecież to dzieciak jeszcze.

- Ładny mi dzieciak!!! Trzynastoletni chuligan bez żadnych zasad i obowiązków. Ale jak mówiłem, żeby go krótko trzymać to Anna mi do oczu skakała, że tyran jestem, że sadysta.

- Bo ty chciałybyś wszystko tylko rozkazem, siłą, a Patryk źle reagował na nakazy, sam wiesz.

- Przebiegły gówniarz był i tyle. Wiedział jak rodzicami manipulować. Krzykiem wymuszał wszystko, uważał, że jak się rzuci na ziemię jak będzie walił nogami to wszystko dostanie. No i dostawał, jakżeby inaczej! Pamiętasz jak się zachowywał, gdy przychodzili do nas?

Mama nie odpowiedziała, ale Bogna musiała tu przyznać tacie rację. Kiedy kuzyn wpadał jak huragan do ich mieszkania Bogna szybko zamykała się w swoim pokoju, by pochować swoje zabawki, bo jeśli chłopakowi się coś spodobało nie było siły by mu to odebrać. A on psuł, rozkręcał, rzucał wszystkim co popadło nie reagując na cioci „zostaw”, „połóż”, nie ruszaj”. Nie słuchał nawet wujka Jurka. Tyle, że wujek Jurek tak naprawdę nie miał nic do gadania, bo jak nawet na Patryka nakrzyczał to zaraz ciocia stawiała w jego obronie i napadała na wujka, że nie ma pojęcia o wychowaniu, że tylko matki wiedzą najlepiej jak postępować z dziećmi, i że nie po to się ma dzieci aby je strofować, ale żeby były radosne i szczęśliwe. No i Patryk był szczęśliwy ale wszyscy wokół niekoniecznie.

Ale to cioci zupełnie nie przeszkadzało. Nawet, gdy zaczęły się kłopoty w szkole, gdy Patryk nie chciał się uczyć, wszczynął bijatyki, chodził na wagary i palił papierosy ciocia go wciąż broniła, wybielała, zwała winę na kolegów, nauczycieli. Dopiero, gdy Patryk wpakował się w narkotyki, gdy po raz pierwszy pojawiła się w ich domu policja ciocia nagle spotulniała, chciała, żeby wujek jej dopomógł, ale wujek wtedy powiedział, że umywa od tego ręce, że ma dość życia w takim piekle i się po prostu wyprowadza do swojej sekretarki. Ciocia się wtedy załamała, więc tata postanowił jej jednak pomóc. W końcu pracował w Policji nie od dziś.

Bogna westchnęła głęboko wpatrując się w talerz z zupą.

- Jedz! - mama na chwilę skupiła na niej swoją uwagę.

- Nie mogę - jęknęła pod nosem.

- Co nie możesz?! - słuch ojca był bardzo wyczulony - gdybym pozwolił twojej matce tak wychowywać ciebie jak ciotka Patryka pewnie już dawno byś się wykoleiła. A teraz nie jęcz, tylko kończ obiad i jazda do lekcji. Jak wrócę to cię przepytam? I lepiej żebyś wszystko umiała - ojciec sięgnął po kurtkę szykując się do wyjścia.

- Tato - poprosiła prawie szeptem kuląc ze strachu ramiona - musimy porozmawiać.

- Teraz? - przez twarz ojca przebiegł grymas niezadowolenia - teraz to ja nie mam czasu.

- Ty nigdy nie masz czasu dla mnie! - westchnęła ze łzami w oczach.

- Co? Ja nigdy nie mam czasu dla ciebie? - ojca zatkało. Podszedł do Bogny z miną nie wróżącą niczego dobrego.

- To ja odrabiam codziennie z tobą lekcje, po kilka razy tłumaczę, wbijam ci do głowy wszystko czego pojąć nie możesz a ty mi mówisz, że ja czasu dla ciebie nie mam?

- Ale tato, nie o naukę mi chodzi... - poczerwieniała jak burak. Mrowienie w głowie znów się nasiliło. Co jej strzeliło, żeby się do ojca akurat teraz odezwać?

- Nie o naukę? A co może być dla ciebie ważniejsze od nauki! Nie pozwolę byś skończyła tak jak Patryk!!!

Bogna popatrzyła na tatę zupełnie go nie rozumiejąc. Przecież zawsze była posłusznym i grzecznym dzieckiem, nigdy nie dawała rodzicom powodu do zmartwień czy niepokoju. Nawet zerwała z Jolką, by zadośćuczynić ich prośbie. Z nikim się nie spotykała, nigdzie nie chodziła, wciąż tylko nauka i nauka. A ona chciałaby zapisać się na tańce. Czuli, że jej powołaniem nie jest ani architektura (jak chciałby tata) ani medycyna (o czym marzyła mama), ale wciąż nie umiała rodzicom tego powiedzieć. Dzisiejsza próba też się nie powiodła.

Bogna odłożyła łyżkę z zupą, bo nagle jakaś ogromna klucha stanęła jej w gardle.

- Muszę do łazienki - powiedziała wybiegając z kuchni. Odkręciła kran, żeby rodzice nie słyszeli jak wymiotuje. Jej ręce powędrowały ku włosom.
- Zwariowałaś? - matka stanęła w drzwiach zaskoczona niespodziewanym widokiem. Jej córka blada i drżąca stała przed lustrem trzymając w ręku pasmo włosów.
- One mi tak same wypadają - Bogna zagryzła mocno usta, aż na jej wargach pojawiła się kropla krwi.
- Niemożliwe! - matka machnęła lekceważąco ręką - po prostu zbyt mocno je szarpiesz.

Bogna zrobiła krok w kierunku matki, rozgarnęła palcami swoje długie włosy

- Zobacz mamó, ja robię się łysa. Naprawdę...

Matka z przerażeniem przyjrzała się jasnym plackom na głowie Bogny.

- Dlaczego? Co się stało? - zaniepokoiła się jednak.
- Nie wiem, ale mamó, pomóż mi, bo ja już dłużej tego nie wytrzymam!
- Czego nie wytrzymasz? - ojciec stanął nagle między nimi, choć Bogna myślała, że już wyszedł z domu.
- Wszystkiego!!! - Bogna zapomniała nagle o strachu i dobrych manierach - tego domu, nauki i tych cholernych włosów też!
- Bogna!!! - ojciec nie spodziewał się takiego wybuchu złości - oszalałaś?
- Oszalałam, jasne, że oszalałam! - krzyknęła histerycznie nie panując nad swoim głosem - każdy by z wami oszalał! Wciąż tylko nakazy i zakazy, ja nie wiem, czy wy mnie jeszcze kochacie!
- Bogna! Jak możesz! - matka z niepokojem popatrzyła na ojca - przecież dla nas liczysz się tylko ty!
- Wiesz, że to nieprawda! - ręce Bogny powędrowały znów ku włosom - liczą się tylko wasze aspiracje, wymagania, marzenia. Ja jestem tylko robotem spełniającym wasze rozkazy. Boże, jak ja was nienawidzę, jak bardzo nienawidzę!

Ojciec znów się zdenerwował. Nigdy nie widział córki w takim stanie, nigdy nie mówiła takich okropnych rzeczy.

- Nie waż się tak więcej do nas mówić - zachrypiał tak jakoś nienaturalnie. A później ze złością uderzył ją w twarz. Bogna aż cofnęła się zaskoczona tym co się stało. Chwyciła się za bolący policzek i spojrzała gniewnie na ojca.
- Już mnie nigdy nie zobaczysz! - wyszczała przez zaciśnięte zęby - i ty też! - dodała kierując wzrok na matkę i tak jak stała wybiegła z płaczem z domu...

Siedziała ukryta w krzakach za blokiem wtulając trzęsące się ramiona w oplatające je dłonie. Nie mogła już płakać, ale jej oddech był nadal płytki i nierówny. Było jej chłodno. Na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy, wszystkie dzieciaki hałasujące na placu zabaw spały już pewno w swoich łóžeczkach, a ona nie potrafiła przegonić złych myśli. Dom, który miał być jej schronieniem i bezpieczną wyspą od dawna był szalasem pełnym dziur i delikatnej konstrukcji. Dlatego dziś runął i nie warto go było naprawiać, bo Bogna już nigdy do niego nie wróci. Była o tym święcie przekonana. Koniec z konkursami, olimpiadami, testami pisanymi na szóstkę. Włosy też mogą jej wypaść, nie musi się nikomu podobać, nie musi już być Kimś.

- Wylaż stąd - ktoś rozgarnął gałęzie stając nad jej głową jak cień. Głos wydał się jej jakiś znajomy.
- Patryk? - zawołała zdumiona.
- Bogna? - chłopak zaśmiał się radośnie jakby spotkanie z kuzynką wypełniło go niespotykanym szczęściem - a co ty tu robisz o takiej późnej porze.

Nie odpowiedziała rumieniąc się jak pensjonarka. Przecież nie mogła powiedzieć Patrykowi, że ojciec ją uderzył i że jest na niego wściekła.

- Zwiłaś z domu - Patryk jednak się domyślił i pokiwał ze zrozumieniem głową nachylając się ku niej, by zajrzeć jej w oczy - to dlatego twój stary uruchomił całą Policję, a ja myślałem, że to oblawa na nas - odetchnął jakby trochę z ulgą.

Bogna poczuła jak z oczu znów płyną jej łzy. Ona też widziała światła policyjnych samochodów, słyszała okrzyki, nawoływania, głosy szukających ją ludzi, ale nie miała zamiaru im ulec. Po raz pierwszy chciała zrobić coś po swojemu, a to po swojemu miało zacząć się jutro i to daleko stąd. Czytała na stronie internetowej o takiej szkole tańca z internatem. Znajdzie ją i tam zostanie na zawsze i już. Tyle tylko, że musi zdobyć pieniądze na bilet, może jutro uda się jej poprosić o nie Jolkę. Ale teraz było jej źle i nieprzyjemnie. Noc stawała się coraz zimniejsza a w krzakach robiło się coraz bardziej niebezpiecznie. Ojciec, albo któryś z policjantów ją w końcu znajdzie i siłą zaciągnie do domu.

- Patryk, a może byś mnie do rana jakoś przechował - zapytała z nadzieją w głosie.

Chłopak złapał się teatralnie za głowę.

- Dziecinko! Przez ciebie twój stary naszą melinę odkryje, chłopaki by mi nie darowały tej wpadki.
- Błagam cię Patryk - wyjęczała słysząc znów charakterystyczny warkot policyjnych samochodów - ojciec mnie zabije jak mnie dziś znajdzie.

Kuzyn popatrzył na nią ze współczuciem, zawsze się dziwił jej strachowi przed rodzicami, jego starzy jedli mu z ręki.

- No dobra - zgodził się niechętnie - tylko nie mów moim, że jesteś moją kuzynką. Przedstawię cię jako swoją dziewczynę...

Skinęła głową zadowolona, że w tunelu ukazało się jakieś światelko. Chwyciła mocno podaną jej przez Patryka rękę. Biegła później za nim starając się nie robić hałasu a on prowadził ją gdzieś tyłami bloków, piwnicami, garażami aż w końcu zapukał do jakiś starych, odrapanych drzwi. Mieszkanie było ohydne, brudne i pełne śmieci i dymu, oświetlone nagą żarówką dyndającą na kablu zaczepionym na haku przy suficie. Kilku chłopaków i dziewczyn leżało na starych kocach i materacach bezpośrednio na podłodze. Chyba byli pijani, bo bełkotali coś niewyraźnie a obok nich walały się butelki po piwie.

- Nareszcie jesteś - chłopak, który otworzył im drzwi wyglądał na dużo starszego od nich. Popatrzył na Patryka z góry wyciągając ku niemu rękę - masz o co prosiłem? - zapytał patrząc podejrzliwie na Bognę.

- Jasne, że mam - Patryk wyciągnął z kieszeni kilka woreczków białego proszku - a ta lalunia jest moja. Ma bogatych starych, więc się nam przyda, Gracjan...

Tamten cmoknął z aprobatą ustami. Wskazał gestem jej wolne miejsce w rogu pokoju. Uśmiechnął się pokazując zepsute zęby.

- Dobra stary - poklepał Patryka po ramieniu - jak twoja to i nasza. Niech się rozgości - podał jej puszkę z piwem.

Bogna przykucnęła na wskazanym miejscu. Nikt jakoś nie zwrócił na nią uwagi, tylko Gracjan nie spuszczał z niej wzroku.

- Musisz wypić kilka łyków, żeby nie budzić podejrzeń - Patryk usiadł obok niej. Podniosła puszkę do ust. Poczuła w gardle pieczenie i takie jakieś ciepło wlewające się jej do brzucha. Ogarnął ją dawno nie odczuwany spokój. Patryk objął ją ramieniem, on też trzymał w rękach piwo.

- Będę twoim Aniołem Stróżem - szepnął jej do ucha. Odwzajemniła uśmiech. Rozejrzała się dokoła. Zauważyła wśród leżących kilka par. Całowali się i obściskiwali nie zwracając uwagi, że nie są sami. Gracjan nadal na nią patrzył. Jego spojrzenie było natrętne i takie jakieś obleśne. Udała, że tego nie widzi. Znow podniosła puszkę do ust. Pragnęła tej ciszy w sobie i tego nagłego zapomnienia o domu, rodzicach, wszystkich problemach. Nagle zrobiło się jej tak dobrze jak nigdy dotąd. Poglaskała Patryka po policzku, wtuliła się w jego ramię.

- Jak się wkupisz u Gracjana to może pozwoli ci zostać tu na dłużej - Patryk puścił do niej oko - wiesz, coś za coś. To jego mieszkanie i widzę, że ma na ciebie chęć.

Bogna zeszytniała. A później zerwała się szybko i potykając się o leżące ciała ruszyła do drzwi. Jednak Gracjan był od niej szybszy i zagroził jej drogę a ona wpadła wprost w jego ramiona.

- A dokąd to? - chwycił ją za przeguby dłoni - chyba nie będziesz taka niewdzięczna za okazaną przysługę.

- Puść mnie - krzyknęła próbując mu się wyrwać. Wzrokiem poszukała Patryka, ale on gdzieś nagle znikł jej z oczu. Gracjan był duży i silny. Jego śmierdzący oddech owionął jej twarz. Poczuła w żołądku dziwny skurcz. Wykrzywiła usta.

- Będę wymiotować - jęknęła.

- Głupia dziwka - chłopak odskoczył od niej jak oparzony. To wystarczyło, żeby otworzyła drzwi. Na korytarzu było ciemno. Ruszyła więc przed siebie wyciągając ręce, by się nie przewrócić.

- I tak cię dorwę - usłyszała za sobą głos i kroki Gracjana. Zadrżała. Zatrzymała się opierając o ścianę. Dźwięk dzwonka, którego kształt poczuła pod plecami przeciął blokową ciszę. Gdzieś wewnątrz mieszkania zaszurały czyjeś nogi. Jasny prostokąt drzwi i kobiece „kto tam?” wystraszyło Gracjana. Chłopak zaczął się szybko oddalać. Bogna odetchnęła z ulgą.

- Co ty tu robisz dziecko? - usłyszała nagle nad sobą - całe osiedle ciebie szuka.

Bogna nie mogła uwierzyć własnym oczom. Przed nią w kraciastym szlafroku stała pani Kosińska i przyglądała się jej podejrzliwie. Bogna rzuciła się jej w ramiona jak do kogoś najbardziej kochanego na świecie.

- Szukam pomocy - wyszeptała czując jak jej nogi miękły niczym z waty.

- Jolka, mamy gościa - zawołała kobieta - zrób jej szybko gorącej herbaty, chyba twoja koleżanka wpadła w jakieś poważne tarapaty.

Bogna kątem oka zobaczyła Jolkę jak stoi w progu pokoju i ze zdumieniem otwiera usta, więc podbiegła teraz do niej z płaczem, by opowiedzieć co się stało. Ciepło domu, jasne spojrzenia słuchających ją osób, resztki piwa i gorąca herbata nappełniły ją błogim spokojem. Oczy zaczęły się jej zamykać i nie widomo kiedy zapadła w głęboki sen.

Obudziła się nagle cała rozdygotana i spocona. Bolała ją głowa, ręce i nogi. Serce łomotało tak mocno, że myślała iż wyrwie się jej z piersi. Za oknem szarzało. Spróbowała się podnieść, ale nie miała siły. Objęła wzrokiem pokój. Westchnęła głęboko. Leżała w swoim łóżku przykryta swoją kołdrą w motylki. Więc tamto wszystko musiało chyba jej się tylko przyśnić, Patryk, Gracjan, pani Kosińska. Tylko dlaczego jest jej tak niedobrze i dlaczego ją tak wszystko boli. Dawno już tak się źle nie czuła.

- Mamo - jęknęła widząc nad sobą jakąś postać.

- Leż spokojnie córeczko - usłyszała cichy głos matki - wszystko będzie dobrze.

-Co będzie dobrze? - zapytała widząc zapłakane oczy mamy.

- Już się tobą zajmę. Pani Kosińska zadzwoniła do nas w nocy. Zaraz pojechaliśmy po ciebie. Strach pomyśleć co mogłoby się wydarzyć, gdyby ci nie pomogła. Ale to mądra i odważna kobieta. Przyjechała tu ze mną i czuwała przez kilka godzin. Dopiero niedawno wróciła do siebie. Kiedy spałaś długo ze sobą rozmawialiśmy. Wiedziała o tobie więcej niż ja - mama wytarła oczy chusteczką - była pewna, że to dobry Anioł przyprowadził cię do niej.

Bogna poczuła jak robi się jej gorąco. A więc to nie był sen, to wszystko zło, które wczoraj ją dotknęło wydarzyło się naprawdę.

- Przepraszam cię mamo, ja nie chciałam - szepnęła nie mogąc pozbierać myśli - ja wcale o was tak nie myślałam...

- Wiem, wiem, czasem się w człowieku tyle nabiera goryczy, że sobie nie może poradzić. Szkoda, że nie umiałam z tobą o tym porozmawiać. Ale pani Kosińska dała mi adres takiej poradni przy duszpasterstwie akademickim, mówiła, że tam mogą nam pomóc. Bo chyba musimy jakoś to lepiej między sobą ułożyć.

- Tata się nie zgodzi - Bogna zacisnęła mocno oczy by jakoś zamazać w sobie obraz ojca. Tak bardzo się go bała.

- Tata nie jest taki zły. Bardzo cię kocha. I chce dla ciebie jak najlepiej, tylko czasem mu nie wychodzi. Zrozum, wychowanie to naprawdę trudna rzecz. Ale go spróbuję przekonać, jak wróci z pracy.

- To tata jest jeszcze w pracy? - zdziwiła się Bogna.

- Wiesz, dzięki pani Kosińskiej policja namierzyła tę melinę do której trafiłaś. Był tam także Patryk, chyba teraz będzie musiał ponieść zasłużoną karę - mama znów wyciągnęła chusteczkę.

Bogna też posmutniała. Ona znalazła silne oparcie w mamie, ale kuzyn? Może jak wyjdzie z poprawczaka?

- Dam cioci też ten adres - mama zamyśliła się - może i ona zechce kiedyś z niego skorzystać. Ale ty teraz nie myśl o tym. Odpocznij, wypij się, dziś nie pójdziesz do szkoły, Jolka obiecała przynieść ci lekcje. A w poniedziałek możesz się zapisać na kółko taneczne jeśli zechcesz. Ale nauki chyba nie odpuszczisz? Olimpiada matematyczna za pasem.

Bogna spojrzała na mamę z wdzięcznością. Po raz pierwszy zobaczyła w jej oczach ciepło i czułość. Może ta jej mama wcale nie jest taka zimna jak myślała? Może tylko nie umie okazywać uczuć? Bogna poczuła w sercu dziwne drgnienie. Chciała się do mamy przytulić, ale nie wiedziała jak to zrobić. Więc może uściska ją później, jak ich stosunki się polepszą. Jak będą potrafiły okazywać sobie miłość słowem i gestem. A teraz pomyśli o tacie. O tym co mu powie jak wróci. I o tym jak przestanie się go tak strasznie bać. I o tym jak będzie tańczyć z rozwianym włosami na scenie, choćby tylko takiej jak w ich Domu Kultury. Bo jakoś nagle uwierzyła, że jej marzenie się może spełnić, że chyba znalazło się na wyciągnięcie ręki i że nauka wcale nie musi mu w tym przeszkadzać.

Bogna ziewnęła szeroko i wtuliła głowę w miękką poduszkę. Dobrze być znów w domu i spać w swoim własnym łóżku, dobrze poddać się pieśszczocie czułych rąk mamy, dobrze poczuć w piersi taniec szczęśliwego nagle serca.

Pamiętka po ojcu

Paweł powoli przepisywał temat wypracowania z tablicy.

- Mój dom, moja rodzina - powtarzał cicho słowa pojawiające się na kartce zeszytu.

Rozejrzał się po klasie. Większość kolegów i koleżanek zabrała się do pisania ale on zupełnie nie miał na to chęci. Nowa polonistka zauważyła jego niezadowoloną minę i podeszła do niego.

- Chyba sobie poradzisz? - zapytała zaglądając mu w oczy.

Spłoszył się, poczerwieniał. Skulił ramiona jakby ktoś nagle położył mu na plecach ogromny ciężar. Kowarska przyglądała mu się wnikliwie.

- „Nie mam żadnej rodziny a mój dom zawalił się dawno temu” - napisał trzęsącą się ręką i podał jej zeszyt.

Przeczytała, popatrzyła na niego ze smutkiem. Chciała coś powiedzieć, ale Paweł wstał i wyminął ją kierując się ku wyjściu. Wzdrygnęła się, gdy trzasnął drzwiami. Kilka głów podniosło się z nad zeszytów ale zaraz w klasie zapanowała cisza zakłócana jedynie skrzypieniem długopisów i szelestem przewracanych stron.

Od czasu tamtego wypracowania minęło kilka dni. Kowarska podczas lekcji polskiego omijała go wzrokiem. Oddała mu zeszyt bez oceny, bez żadnej uwagi. A dziś czekała na niego za rogiem szkoły.

- Chciałabym żebyś poznał moją rodzinę - powiedziała patrząc mu w oczy.

Zaskoczyła go tą propozycją. Nie oczekiwał od niej współczucia ani litości.

- Niech się pani ode mnie odczepi - odpowiedział niegrzecznie.

Pobladała, ale nie obraziła się. Sięgnęła do torebki, wyjęła z niej jakąś kartkę, wcisnęła mu ją do rąk.

- To jest mój adres. Może kiedyś wpadniesz do nas.

Odeszła zostawiając go z tym świstkiem papieru. Chciał go podrzeć i wyrzucić do kosza, ale zamiast tego zwinął go w rulon i wsunął do kieszeni. Wrócił do domu markotny. Matka pisała coś pochylona nad klawiaturą komputera.

- Opowiedz mi o ojcu - zażądał.

- Twój ojciec nie żyje. Rozumiesz? Nie żyje i już ! I daj mi święty spokój!

Spojrzała na nią z nienawiścią. Był pewien, że kłamie.

- Kowarska chciała wiedzieć kim on jest - skłamała czerwieniąc się jak burak.
- To idź i powiedz jej, że nic jej do tego - odburknęła nie podnosząc głowy z nad komputera.
- Żebyś wiedziała, że pójde - odpyskował jej wyciągając z kieszeni kartkę z adresem. Jasne, że pójdzie, pójdzie i poprosi o pomoc. W końcu dłużej z takim ciężarem na sercu nie da się normalnie żyć...

Siedzieli przy stole oglądając album ze zdjęciami. Paweł z jakimś dziwnym wzruszeniem patrzył na twarz pani Kowarskiej, jej męża, syna, dziadków. Czuł od tych ludzi dziwne ciepło. Słuchał rodzinnych opowieści przeplatanych śmiechem i żartami. Przemek - syn pani Kowarskiej - był taki zabawny, miły, opowiadał mu o swoim ojcu i dziadku, był taki dumny, że jest do nich podobny. Paweł dziwnie się czuł odkrywając te rodzinne tajemnice, ale chłonał je całym sercem. Jednocześnie miał wrażenie, że on jest jakiś pusty, nieważny, bezwartościowy. Bardzo pragnął poznać swoją przeszłość, ale to wciąż nie było możliwe. Miał nadzieję, że ci ludzie mu jakoś pomogą, przekonają mamę, żeby odkryła przed nim prawdę.

I wtedy nagle zobaczył tamto zdjęcie mężczyzny, trzymającego na kolanach małe dziecko. Zrobiło mu się gorąco. Przysunął fotkę do oczu. To nie mogła być pomyłka. Trzymał w ręku takie samo zdjęcie jak to, które ukrywał w swoim kartonie pod łóżkiem, zdjęcie, które było jedyną pamiątką po tacie.

- To mój brat a twój ojciec - pani Kowarska spojrzała mu uważnie w oczy - chciałam ci o tym kiedyś powiedzieć, ale skoro już zobaczyłeś to zdjęcie nie ma sensu dłużej ukrywać prawdy. Tata bardzo chciałby się z tobą spotkać, ale narobił w życiu trochę głupstw i boi czy mu wybaczysz. Prosił bym cię odnalazła, bym cię o to zapytała.

Paweł poczuł w głowie dziwny zamęt. Chciał coś powiedzieć, ale w gardle usadowiła mu się jakaś twarda klucha, więc tylko przycisnął zdjęcie z ojcem do piersi i rozplakał się jak dziecko. Okrążyli go ciasnym kręgiem, wyciągnęli do niego ręce. Rzucił im się w ramiona dziwiąc się, że nie czuje ani wstydu ani śmieszności. Jego serce ogarnęło trudne do opanowania wzruszenie. Nie sądził, że właśnie dziś pozna swoją nową rodzinę i że wkrótce może odzyskać także ojca.

Najpiękniejsze życzenie

Ewa krzątała się po domu jak oszałała. Już od tygodnia robiła generalne porządki, ale wciąż było jeszcze tyle do zrobienia. Jednak mimo zmęczenia uśmiechała się radośnie. Lubiała te przedświąteczne przygotowania, dekoracje w sklepach, zakupy, gwar, pośpiech, rozmowy ze znajomymi na temat pieczenia ciast, wigilijnych potraw, prezentów. Oddychała całym tym świątecznym blichtrem jak uzdrowskowym powietrzem. Wczoraj w nocy popakowała prezenty dla dzieci i męża. Wydała na nie wszystkie swoje oszczędności, ale niech tam, uwielbiała patrzeć w roziskrzone oczy swoich pociech.

Nagle poczuła w sercu dziwny skurcz. To pewnie z tej radości, z tego oczekiwania. Tak bardzo chciała, żeby Boże Narodzenie w jej domu niczym nie przypominało tamtych z lat jej dzieciństwa, kiedy ojciec wracał w wigilię do domu pijany a matka stawiała na stół miskę z parującymi ziemniakami i śledzie ze śmietaną i cebulą. Jedli wtedy ten niecodzienny rarytas aż im się uszy trzęsły i to był dla nich najpiękniejszy prezent po dniach głodu i ssania w żołądku oszukiwanym wodą z kranówki.

Kiedy Ewa założyła swoją własną rodzinę przysięgła sobie, że jej wigilia będzie taka jak w tych rodzinach, które podglądała przez okna, błakając się z siostrą po zaśnieżonych ulicach, gdy ojciec wyganiał je z domu. Że stać ją będzie i na choinkę ubraną w najdroższe świecidełka i na tyle jedzenia, żeby stół ugiął się pod ich ciężarem i na prezenty. Ewa odgarnęła z czoła jasne loki. Jej niebieskie oczy zaśniły łzami.

- Już jestem - nagle ze wspomnień i refleksji wyrwał ją głos wchodzącego do domu męża.

- Gdzie byłeś tak długo? - zapytała z pretensją w głosie.

- Musiałem zostać dłużej w pracy - Adam tłumaczył się dziwnie podekscytowany - prezes urządził wigilijne spotkanie, nie mogłem się wymówić, tym bardziej, że dostałem premię, wysoką premię.

Ewa aż podskoczyła z radości. Dodatkowe pieniądze na święta, tego się zupełnie nie spodziewała. Zajrzała do koperty wręczonej jej przez męża. Przeliczyła banknoty. Oniemiała z wrażenia. O rany! Będzie można zaszaleć jak nigdy dotąd.

- Dzieciaki! - oderwała od telewizora syna i córkę - Mikołaj w tym roku będzie niezwykle hojny. Może macie jakieś specjalne życzenia? - zapytała podnosząc do góry kopertę z pieniędzmi.

Antek z Zużką już byli przy niej, już wykrzykiwali swoje prośby tańcząc wokół niej jak motyle. Przez ten hałas wcale nie słyszeli dzwonka u drzwi. Dopiero gdy jego dźwięk stał się długi i uporczywy ucichli, patrząc po sobie, kto by to mógł być.

Ewa podeszła do drzwi, otworzyła je szeroko. Na progu stał chłopiec ubrany tylko w dres i podarte trampki. Ewa przyjrzała mu się wnikliwie. Chyba to był syn tych sąsiadów z dołu, których wymijała czasami na schodach ze wstrętem. Zapach alkoholu zawsze wywoływał w niej przykre wspomnienia.

- Jeść - szepnął mały rozmazując sobie łyzy zaciśniętymi piąstkami po brudnych policzkach.

Serce Ewy załomotało głośno.

- Wejdz - powiedziała prowadząc chłopca do kuchni. Posadziła go za stołem, wyciągnęła z lodówki masło, mleko, ser, wędlinę. Mały jadł łapczywie, prawie nie oddychając. Przyglądali mu się w milczeniu. Nagle spojrzenie Ewy padło na odłożoną na szafce kopertę z pieniędzmi. Sięgnęła po nią drżącą ręką, przycisnęła do piersi.

- Może jutro zabierzemy go na zakupy? - szepnęła do męża wskazując oczami na jego zniszczone ubranie - i pomyślimy co zrobić, żeby już nie był głodny?

Adam skinął głową. Objął ramieniem ją i dzieci. Zawsze lubił spełniać życzenia żony, ale to było chyba najpiękniejsze...

Nowa wnuczka?

Anna od rana była mocno podekscytowana. Wacław wiedział, że to z powodu Dnia Babci. Ożywiała się tak tylko w te dni, gdy odwiedzały ją dzieci i wnuki.

- Kupiłeś te babeczki, które lubi Mateusz? - zawołała w kierunku kuchni po której krzątał się Wacław.

- Kupiłem, kupiłem. I dla Zosi czekoladki i dla Pawełka chipsy i dla Justynki słone paluszki - mąż wymieniał ulubione przysmaki wnuków - już je stawiam na stole.

- Tylko czy oni przyjdą - Anna pytała nie wiadomo który z kolei raz

- Na pewno przyjdą, już ja ci to obiecuję.

- To powinni już chyba być! - niecierpliwiła się.

- Jeszcze wcześniej, poczekajmy cierpliwie - pocieszał ją, choć za oknem robiło się ciemno - wiesz, pójdę, wyrzucę śmieci to może ich spotkam.

Serce Anny biło coraz bardziej niespokojnie. Nadzieją na wspólnie spędzony dzień z wnukami malała z minuty na minutę. Włączyła radio. Trafiła akurat na koncert życzeń. Jakiś sympatyczny konferansjer składał właśnie gorące życzenia wszystkim babciom. Do jej uszu dotarły pierwsze takty ulubionej piosenki sprzed lat. Poczula pod powiekami łzy. Tak bardzo pragnęła być ze swoimi dziećmi i wnukami w dzisiejszym dniu. Czyżby zapomnieli o niej? Nie mogli? A może stało się coś złego? Nagle odezwał się dźwięk telefonu. Anna ucieszyła się, gwałtownie sięgnęła po słuchawkę leżącą na stole.

- Wybacz mam, ale nie przyjdziemy dzisiaj - głos córki był jakiś daleki, chłodny - Mateusz ma teraz w czwartki taekwondo, a Zosi nie można oderwać po lekcjach od nowej gry, sama wiesz, takie to komputerowe czasy, może więc wpadniemy do ciebie po niedzieli, ale nie obiecuję, bo może coś wypaść.

Anna nie zdążyła ochłonąć po tej bolesnej informacji, gdy telefon odezwał się po raz drugi.

- Mam, sorry, ale Pawełek ma jutro klasówkę z matematyki, a Justynka zapisała się na tańce. Jeszcze nie wróciła. Chyba musisz poczekać na nas z tą naszą wizytą do przyszłego tygodnia, w końcu ty zawsze jesteś w domu, więc jest to ci chyba obojętne, kiedy przyjdziemy - młodsza córka mówiła szybko, jakby się bała, że Anna jej przerwie, że będzie ją prosić, namawiać...

Ale ściśnięte bólem gardło Anny nie było w stanie wydobyć ani jednego słowa. Dawno już nie poczuła się taka nieszczęśliwa.

Nagle usłyszała od strony drzwi głos męża.

- No i mamy gości, co prawda to nie nasze wnuki, a znajome dzieciaki spod czwórki, ale Anno, one są chyba na tyle głodne, że ucieszą się z twojego poczęstunku.

Twarz Anny rozjaśniła się. Wytarła oczy rękoma.

- Chodźcie, chodźcie dzieciaczki! - zawołała pokazując szerokim gestem stół - siadajcie, częstujcie się, proszę.

A później patrzyła wzruszona, jak rzuciły się na jedzenie, jak łapczywie pochłaniały małe kanapeczki, jak wkładały sobie ciastka i cukierki do buzi. Zapytała co słychać w szkole, co w domu. Odpowiadały z pełną buzią i trudno było je zrozumieć. Ale to nie było ważne. Ważne, że tu były, że mieszkanie znów rozbrzmiewało dziecięcym gwarem i śmiechem. I że Anna czuła ciepło w sercu, ale i ciepło emanujące od nich.

- Chyba już czas wracać do domu, bo może mama wróciła - Wacław dał sygnał dzieciom do odejścia.

- Już? - Anna posmutniała.

- Mogę jeszcze jedno ciasteczko? - najmłodsza dziewczynka zerknęła w kierunku nienaruszonej jeszcze tacy stojącej na kuchennej półce. Anna skinęła głową.

- Tak ci smakowały? - spytała.

- Bo widzisz - wyjaśniła mała - mój braciszek wróci z mamą, a jest jeszcze malutki i ja dla niego...

- Weź nawet więcej i zawsze możesz tu do mnie przyjść - Annie zabiło mocniej serce. Wyciągnęła do małej rękę, nagle zapragnęła ją przytulić. Mała nieśmiało wtuliła twarz w jej suknię i Anna poczuła wtedy w swoim ciele dziwne dreszcze. Usiadła na fotelu przygarniając dziewczynkę do siebie. Wtedy ta zaczęła wdrapywać się jej na kolana.

- Szkoda, że pani nie jest moją babcią - powiedziała zaciskając małe rączki wokół jej szyi.

- Jak chcesz, to mogę nią być... - Anna poczuła w sobie nowy przypływ ciepła i energii - mojego serca, jak i tych ciastek, starczy także dla ciebie, moja nowa wnuczko - szepnęła napotykając rozczerwione spojrzenie Wacława.